

Jan Dobraczyński

Dwa stosy

Warszawa 1947

Córce Joannie - ofiarowuję

„Ignem veni mittere in terram
et quid volo nisi ut accendatur”
[Luc. XII, 49R]

Część pierwsza - Hus

1.

W dniu św. Łukasza Ewangelisty Roku Pańskiego 1414 opuścili postowie królewscy Kraków i skierowali się przez Racibórz na Konstancję. Duchowieństwo, które również udawało się na sobór, wyjechało znacznie wcześniej ze zrozumiałych zresztą powodów: chodziło mianowicie o to, aby zanim się rozpoczną właściwe obrady i zanim nadjedzie papież i król rzymski, spokojnie omówić poruszającą wszystkie umysły sprawę byłego rektora uniwersytetu praskiego oraz rektora Collegium Polonorum, Jana Husa, oskarżonego ostatnio przez arcybiskupa Albika o rozsiewanie heretyckich nauk. W zamęcie tylu spraw, które się niemal równocześnie dokonywały, nawet wśród tysięcy nieporozumień i zatargów, jakie budziła przewlekająca się schizma kościelna, nawet w obliczu bezwstydných kręctw i matactw Krzyżaków, którzy, jakby niepomni tak świeżej jeszcze nauczki, osaczyli ze wszech stron Jagiełłę i judzili całą Europę przeciwko Polsce - sprawa wygnanego z Pragi rektora przesławnej praskiej uczelni nie schodziła po prostu z ust światlejszych mężów krakowskich. Toczyły się o nią nie kończące się spory, bo Husa, choć nigdy w Polsce nie był, znano dobrze z jego nauk i polemik, a także słyszano o nim dużo od szlachetnego rycerza Hieronima z Pragi, który zeszłego lata na wezwanie królewskie do Krakowa przybył. Wiedzano także, że Hus listy do Jagiełły pisał i od króla odpowiedziami był zaszczycony, aż największy honor go spotkał, gdy Jagiełło, zakładając w Pradze - zgodnie z życzeniem swej świętej małżonki - collegium polskie, powołał uczonego księdza na stanowisko jego rektora.

Nie był więc Hus postacią nieznaną. Znano go - choć ogół rycerski wcale, prawdę mówiąc, jego nauk, które tyle oburzenia wywołały i w Avignonie i w Rzymie, dobrze nie pojmował. Wprawdzie Polacy, którzy studiowali nad Wełtawą, powracając przywozili do kraju wieści o dziwnych nieco naukach Wikleffa, zaś Hieronim będąc w Krakowie wobec króla i wielkiego księcia rozwijał szeroko i długo uczoną mowę, w której zawarł zarówno zasady wyznawane przez mistrza z Oksfordu jak i ich rozwinięcie dokonane przez wielebnego magistra Husa, szczególnie w dziełach „De Ecclesia” i w „Zwierciadle człeka grzesznego”, jednakże obaj władcy zdrzemnęli się podczas tej kilka godzin trwającej przemowy i nic a nic nie mogli wyrozumieć, na czym miała polegać odrębność i heretyckość głoszonych prawd. Wręcz przeciwnie. Bardziej impulsywny i znacznie zuchwalszy w sprawach wiary od kuzyna Witołd, rozbudziwszy się akurat w miejscu, gdzie czcigodny

prażanin odmalowywał w czarnych barwach upadek moralny i zeświecczenie wśród duchowieństwa i zakonników, począł jego słowem kiwaniem głowy przytakiwać, a także i od siebie dorzucać różne uwagi o tym, jak to niestosowną jest rzeczą, aby księży w kosztownych futrach chodzili, czerwone buty z długimi nosami nosili, a kubraki mieli krótkie, jakby im życie nie przy ołtarzu, ale na koniu schodziło. Musiał aż kanonik od św. Floriana Zbigniew, pan na Oleśnicy, mocniej chrząknąć, by zwrócić uwagę księcia na nastroszoną twarz arcybiskupa Mikołaja, który, że był usposobienia porywczego, mógł coś z nagłą powiedzieć, z czego by potem dłuższe swary wynikły, bo i Witołd należał do ludzi, którzy często najprzód coś zrobią, a dopiero potem o tym myślą.

Jeżeli więc Hus cieszył się popularnością w Krakowie, to nie tyle z racji swych nauk, nad którymi ślęczenie wydawało się rycerzom tylko stratą czasu, ile raczej ze względu na ostre wyrzuty, których nie szczędził duchowieństwu. Rycerze słysząc o tym, zacierali ręce, bo choć w Polsce kler i zakony stały bez porównania moralnie wyżej niż na zachodzie Europy, to jednak i tutaj przedarło się już zepsucie, zeświecczenie oraz rozwiązłość epoki poczyniły zataczać coraz szersze kręgi. Wielu biskupów, kanoników, opatów, ba! Nawet zwykłych księży nosiło się lepiej i bogaciej niż ten i tamten spośród rycerstwa. Co gorzej - byle klecha, który posiedział trochę albo w Akademii Krakowskiej albo Praskiej, był potem po dworach lepiej przyjmowany niż niejeden rycerz, który z turniejów zwykł był wychodzić bez szwanku, a w dyskursach na udeptanej ziemi nie dał się nikomu w argumentach przeskoczyć.

Ostre słowa rektora trafiały więc wielu do przekonania, gdyż rycerze, wysoko ceniąc siłę, odwagę i zręczność w walce, chcieli widzieć w księżach i mnichach ciche i posłuszne sługi ołtarza, a nie nadętych swą pychą dostojników świeckich, mających pretensję i do bogatego odzienia, i do tytułów, i do miecza, a w potrzebie sięgających - zbyt może szybko - po kłutwę. Miano też z duchowieństwem na pieńku w związku ze sprawą dziesięciny, którą rycerstwo chciało dowolnie dysponować - albo jej za przykładem ziem litewsko-ruskich w ogóle zaniechać - zaś księży polecali ją płacić właściwym plebanom w naturze, a nie „maudratami” czy wykupem, oraz odstawiać na miejsce. A i to nie każdy umiał strawić, gdy dobra ziemskie zakonne rozszerzały się i kwitły, u niego rola leżała odłogiem, przeważnie w braku rąk roboczych.

Niewątpliwie Jagielle nie wszystko także podobało się z tego, co zastał w Polsce. Dualizm władzy świeckiej i duchowej razić musiał króla, który dawniej jako książę litewski był samodzielniejszy niż dziś jako wielki król obu narodów. Ale Jagiełło był neofitą i raz stanąwszy oko z oko z odwieczną potęgą rzymskiego Kościoła, nie umiał zatrzeć w sobie niepokoju, jaki budziła w nim wielka, nie z ludzi niewątpliwie biorąca swą siłę - instytucja.

Zresztą - kto go tam mógł zrozumieć, tego litewskiego misia? Długa, wąska twarz, wygolona jak u mnicha, była tak tajemnicza, jakby ją skrywała najszczelniejsza z masek. Gdy uśmiechał się - marszczyły się w tym uśmiechu usta, ale siwe oczy, skryte głęboko za kępą jasnych strzępiastych brwi, zachowywały ten sam wyraz niespokojnego wyczekiwania. Nie patrzył zresztą nigdy nikomu w oczy. Gdy mówił - swym wolnym, pełnym zatrzymań i zahaczeń głosem - zwykł był oglądać starannie palce obu rąk lub wpatrywać się z uwagą w szpice swych butów. Słuchając natomiast wodził oczami po suficie lub bez końca zakładał nieposłuszne - brzydkie, szaro-żółte jak wyżęta szmata - kosmyki włosów za uszy. Lubił się także bawić nożem, którym nacinał z zamiłowaniem brzeg stołu i wtedy wydawał się tak bardzo zainteresowany swoją pracą, że często przemawiający w danej chwili człowiek przerywał w pół zdania rozpoczętą mowę, nie wiedząc, czego ma od roztargnionego króla oczekiwać. Lecz ten, nie przestając wyrzynać i nie podnosząc głowy, pytał:

- Mówiliście, wasza dostojność... Kończcie...

Kto go tam wie, co on myśli? Tak samo poprzedniego dnia, gdy posłowie przybyli do sali zamkowej, aby się pożegnać i otrzymać przed drogą instrukcje, wydawał się więcej zainteresowany szerokimi rękawami swego kaftana niż nimi. Skubiąc brzeg aksamitnej materii mówił im, jak mają powitać „brata” Zygmunta i co mają mu powiedzieć. Wpatrzony w swoje smagłe palce wspominał o Husie i o Hieronimie. Mogło się im wydawać, że go ta sprawa nic a nic nie obchodzi, ale gdy po chwili - wciąż bawiąc się palcami - wspominał o obu wiklefiście po raz drugi, posłowie nastawili czujniej uszu, zrozumiałwszy, iż tu się zawiera właściwy ciężar ich poselstwa. I rzeczywiście raz jeszcze Jagiełło do zatargu Husa z arcybiskupem praskim powrócił, napomknął o tym, aby „brata” Wacława pozdrowić, wreszcie mocno podkreślił (wówczas na chwilę podniósł głowę i objął ich spojrzeniem swych małych siwych oczu) niechęć, jaką żywią Niemcy do reformatora czeskiego, uważając go za sprawcę wyroku, który ich usunął z uczelni praskiej. Dłuższy czas rozmawiano o pretensjach i roszczeniach krzyżackich, na które należało odpowiedzieć. Na pożegnanie król objął ramieniem każdego z posłów za głowę i przycisnął do piersi. Wychodzili kolejno, skłaniając się raz jeszcze od progu.

I zawsze był taki. Pamiętali w ten gorący ranek lipcowy, gdy słońce przypiekało boleśnie, a małe chmurki, grożące przelotnym deszczem, ślizgały się po niebie jak rozegnane po wielkiej łące barany. Nadjechali galopem gońcy - jeden, drugi, trzeci - donosząc o zbliżaniu się nieprzyjaciela. W brzozowym gaju powstał tumult i zamieszanie. Opatrywano popręgi koniom, wołano na pachołków o kopie, miecze, hełmy i tarcze. Rżały konie, suchy przeddeszczowy skwar chwycił za gardło, a król kazał dzwonić na mszę świętą i sam zaraz

zasiadł w swym szerokim fotelu, wpatrzony w malowaną okładkę psalterza, jakby go nic w tej chwili poza malowanym obrazkiem, nie obchodziło. Wyszła msza, dwóch małych chłopaczków w czerwonych pelerynkach i białych komżach służyło księdzu. Ich dzwoneczki brzmiały jakoś lękliwie, toteż rycerstwo musiało się uciszyć, aby nie przeszkadzać w Ofierze, choć temu i tamtemu słowa modlitwy całkiem uleciały z głowy, a w pamięci tkwiło tylko zainteresowanie szykującą się bitwą. Pobłogosławił ksiądz rycerstwo, a ono, przyklękawszy przez chwilę w pokorze, trzymało głowy spuszczone, potem zaś poczęło z chrzęstem pancerzy wstawać, lecz oto znowu Jagiełło ręką skinął i zaraz inny ksiądz wyszedł z nową mszą. Już ze zniecierpliwienia rycerze przestępowali z nogi na nogę, zerkając na pole, na którym rozlewała się fala nieprzyjacielska, a mniej opanowani chyłkiem wymykali się do swych chorągwi. Lecz król zdawał się niczego nie widzieć poza swym psalterzem i zapatrzwszy się w obrazek, przedstawiający Mękę Pańską, zapomniał nawet o zakładaniu włosów za uszy.

Skończyła się druga msza i każdy z niecierpliwością biegł już w stronę swoich chorągwi, gdy nagle rozgłosili heroldzi królewscy, że teraz Najjaśniejszy Pan będzie odbywać ceremonię pasowań. Więc znowu ci najmłodsi, którym się z natury rzeczy najwięcej do boju paliło, musieli iść z głowami odkrytymi pod namiot królewski i tu otrzymywali z rąk wiecznie nad czymś zamyślonego króla ostrogi i pas, będące dla każdego z nich świadectwem dojrzałości i najwyższą odznaką wojskową.

Słońce piekło, rycerze się niecierpliwili i już gotowi byli twierdzić, że ten zakamieniały Litwin, którego flegmy nawet kuzyn Witołd nie mógł ścierpieć, nie ma w ogóle pojęcia o rycerskim boju, albo - co gorsza - boi się nieprzyjaciela. Ale jeżeli w lasku dusiła rycerzy spiekota, to Krzyżacy na otwartej płaszczyźnie palili się po prostu żywcem w swych żelaznych pancerzach. Klęli, zżymali się i niecierpliwili, stali w złości posłów do Jagiełły, chcąc sprowokować obraźliwą treścią już nie samego króla, który wydawał się niedosięglym żadnej prowokacji, ale Witołda i innych rycerzy. Miotał się Witołd, słysząc słowa posłów, panowie polscy w szalonym gniewie trzaskali zbrojną w żelazną rękawicę ręką w rękojeść miecza, Jagiełło zaś oglądał z uwagą białe pnie drzew lub bawiąc się włosami patrzył posłom pod nogi. Lecz nie minęła godzina, gdy prace z niecierpliwością do zwycięstwa wojsko krzyżackie cofnęło się, umożliwiając chorągwiom polskim, litewskim i ruskim rozwinięcie się na przedpolu lasu.

Gdy przypominali sobie dzisiaj o tamtych chwilach, zbierało się im na śmiech. Sprytnie podszedł zarozumiałych mnichów roztargniony król. Gdy wreszcie spuścił ze smyczy swoich jak zniecierpliwioną sfore, której wciąż przed nosem pacholek miga lisią kitą,

poszli z taką furją, że nawet salwa z armat, która miała rzucić popłoch w szeregach polskich, przez nikogo nie została zauważona. Na cudzoziemską broń król posiadał swoją niezwyciężoną litewską metodę trwania.

Posłowie - opuszczający Kraków - właśnie o tamtym dniu z ożywieniem rozmawiali. Dzień wstał ładny, choć zimny i bezsłoneczny. Szary tuman jesieni wisiał nad polami. Niebo, jednolicie ołowiane, opinało miękko widnokrąg, ujęty w ciemną ramę borów. Nierówny podmuch wiatru ciskał pod nogi koniom całe masy zeschniętych, szeleszczących liści, które toczyły się potem po drodze, podobne żywym stworzeniom.

Przed jadącymi otwierała się szeroka, piaszczysta droga, wysadzana po obu stronach drzewami. Rozwinęli się w linię, która zatarasowała całą szerokość traktu i tylko naprzód pchnęli dwóch heroldów, którzy mieli oczyszczać drogę. Orszak, służba, wozy ciągnęły z tyłu. Oni zaś jechali szeregiem, zabawiając się rozmową i starając się w dawnych wspomnieniach utopić nudę podróży.

W samym środku jadących znajdował się pierwszy poseł Jagiełły i jeden z najbliższych doradców królewskich, Zawisza Czarny z Garbowa, starosta spiski. Jeżeli w radzie królewskiej sam król był hamulcem i krytykiem wszystkich nowych poczynań, jeżeli o jego marmurowy spokój, o jego milczenie i zagadkowość jego sądów rozbijały się często fantastyczne i zuchwałe projekty niektórych doradców, o tyle Zawisza był sprężyną działania w każdej sprawie, która tylko weszła na stół obrad. Nie było zadania, którego by się nie podjął, gotów był zarówno posłować do Ojca Świętego jak do chana tatarskiego; umiał także z równym talentem prowokować wojnę, jak doprowadzać do pokoju zwaśnione strony lub kojarzyć politycznie wskazane małżeństwa. Szalenie bogaty, umiał swoim bogactwem błysnąć, a żaden inny z panów nie potrafiłby zdobyć się na tak kosztowną reprezentację jak on. Była to zresztą reprezentacja nie tylko kosztowna, ale i umiejętna, gdyż Zawisza, zjeżdżiwszy Europę wzdłuż i wszerz, nabrał w tych podróżach zachodniej ogłady i zachodnich obyczajów. Od lat cudzoziemskie - szczególnie francuskie, węgierskie i włoskie dwory - żyły pod urokiem jego siły, odwagi, umiejętności walczenia. Trubadurem był, „canzony” miłosne na cześć różnych italskich piękności układał lub prowansalskie hrabianki czarował swym niskim, melodyjnym głosem. Mówiono o nim, że miał więcej wielbicielek niż którykolwiek inny rycerz. Podczas turniejów dwórki na równi z paniami ciskały mu z góry, co która tylko miała pod ręką, aby z tym jej darem walczył i zwyciężał. Pachołkowie mieli potem prawdziwy kłopot ze zbieraniem rozlicznych wstążek, rękawiczek, buciczków. Czasem zaś znajdowali wśród rzuconych na arenę przedmiotów jakieś części stroju kobiecego o tak intymnym przeznaczeniu, że śmiać się im chciało, gdy przyszło im te fatalaszki panu odnosić.

Raz - gdzieś w Aragonii - gdy Zawisza, walcząc ze znanym rycerzem hiszpańskim Ferdynandem Luizem Sangresem da Cierva (kto go tam zresztą wie, ile jeszcze imion miał ten chłystek?!) wytrącił mu w starciu miecz, a potem schwyciwszy rozbrojonego za pas, wyciągnął go jedną ręką z siodła i wiódł w ten sposób wokół podwórca, hrabianka Ineza, ogarnięta zachwytem, zdarła z siebie i rzuciła zwycięzcy czepiec, buciczki, suknię, kilka sztuk dolnej bielizny, rzuciłaby także i koszulę, ale zgorszony ojciec wyciągnął ją przemocą z łoży i odwiózł kolasą do zamku.

Nie zrównany w miłości, niezwyciężony w turnieju, pan z Garbowa miał wielkie powodzenie u ludzi, którzy, rzecz dziwna, choć zwykle obdarzają nienawiścią takich jak on wybrańców fortuny, w stosunku z nim nie mogli się oprzeć czarowi, otaczającemu niemłodego już przecież rycerza. Może w tym się właśnie kryła tajemnica powodzenia Zawiszy, bo przecież nie był ani zbyt lotny, ani zbyt uczony. Kochał wojnę i kochał sławę - na resztę machał pogardliwie ręką. Król Zygmunt nazywał go swoim przyjacielem, elektor Fryderyk Brandenburski witał się z nim pierwszy, jakby miał do czynienia z udziałnym księciem. Spowinowacony - przez małżeństwo - z biskupem Wyszem, cieszył się specjalnymi względami i łaskami duchowieństwa. U Krzyżaków samo jego imię budziło trwogę, a nawet w niesławnej zresztą wojnie, którą wiódł Zygmunt z Turkami, Zawisza zdołał się okryć wielką chwałą, zasłaniając wspólnie z Farurejem haniebną ucieczkę króla z nadbrzeżów Dunaju.

Otaczali Zawiszę inni rycerze, którym Jagiełło powierzył reprezentację Korony i Litwy na soborze. Jechał więc ponury, ogromną blizną naznaczony Janusz z Tuliszkowa, kasztelan kaliski; rycerz Donin, sławny od czasów rozprawy grunwaldzkiej; Balicki Jędrzej, wprowadzony swego czasu przez Zawiszę na dwór Zygmunta jego towarzysz broni z wojny tureckiej; Bolesta Naporą z Łazanek, kuzyn biskupa Jastrzębca z mniej bogatej, ale dzielnej linii Jastrzębców; syn Bolesty Paweł - młody, osiemnastoletni zaledwie rycerzyk, jeszcze nie pasowany; Siestrzeniec, zaufany króla, o którego bucie i hardości wieści chodziły po kraju i który specjalnie lubił się stawiać okoniem duchowieństwu, gdyż zawsze wyrzekał, że nie ma gorszych pijawek niż klechy i mnichy - oraz kilku pomniejszych.

Konie parskały, strzemiona uderzały o strzemiona, grube, wesołe śmiechy jadących huczały w nie zimnym jeszcze powietrzu. Wciąż się jeszcze nie mogli naopowiadać o sławnym starciu, w którym zresztą wszyscy - poza młodym Naporą - brali udział. Było to prawdziwie mocne przeżycie, z którego było co zaczerpnąć na całe życie. Nie każdemu zdarzy się przeżyć taką wojnę! Można zjeździć świat - jak Zawisza - zestarzeć się, z sił opaść, a w takim starciu nie wziąć udziału. Będzie o czym choćby i prawnukom opowiadać!

Zawisza puścił wolno ogromnego bachmata, na którym jechał, wparł się obu rękoma pod boki, przymknął oczy. Lubił czuć pod sobą rytmiczny chybot konia i nigdy mu nie było żal pożeranej w marszu przestrzeni. Zawsze naprzód - sam nie wiedział, skąd w nim ten pęd się zrodził, to pragnienie nieustannej zmiany miejsca, poznawanie nowych ziem i nowych ludzi. Właśnie w nim, przed którym, gdzie tylko wstrzymał konia, wszelkie bramy szczęścia stały otworem. Chwilę jechał milczący, wsłuchując się w szmer toczącej się rozmowy. Uśmiechnął się sam do siebie. Uderzył piętami konia, który korzystając z nieuwagi jeźdźca począł skracać stępa.

Donin spierał się teraz z Balickim na temat użyteczności dwuręcznego miecza. Sam ogromnej budowy i nie byle jakiej siły (na pozór robił wrażenie, jakby był jeszcze silniejszy, niż Zawisza) wskazywał na ogromne zalety tej wielkiej broni. Przeciwnie, Balicki, drobny i raczej zręczny niż silny, twierdził, iż znacznie niebezpieczniejszy w starciu jest rycerz w mały miecz uzbrojony, jeżeli nim umie tylko zręcznie władać. Jakżeż strasznym przeciwnikiem są np. lekkobrojni wojownicy tureccy! Balicki począł ich opisywać, wskrzeszając opowiadaniem do życia klęskę pod Nikopolis. Było ich przecież wielu tych wszystkich, którzy chcieli zatrzymać na przedpolu Dunaju zwycięski pochód Bajazeta: rycerze francuscy, niezrównani w konnym starciu, pod wodzą Jana Neversa, syna księcia Burgundii, Eu i Boucicaulta; ciężka jazda niemiecka, straszna, gdy uderzała od czoła, ale całkiem bezbronna na bokach, z Hermanem grafem Cyllejskim i Fryderykiem Hohenzollernem, doświadczeni w walkach z muzułmanami Joannici rodyjscy; zawzięci i uparci Polacy z młodymi jeszcze wówczas Zawiszą, Farurejem, Balickim; Węgrzy, Włosi. Liczono wtedy chrześcijan do stu tysięcy, a przecież gdy potem Polacy i Węgrzy zasłaniaли uciekającą w popłochu na drugi brzeg rzeki armię, to nie widzieli już więcej niż czwartą jej część; wszystko co pozostało z wspaniałej i dumnej jeszcze tego ranka krucjaty.

- Na Zachodzie - dowodził Balicki - inaczej się całkiem walczy. Rozepną się konie w ciźbie, rycerz może wtedy choćby i całkiem wodze rzucić i mieczem rąbać. Ale co tu mówić, gdy przyjdzie do starcia z lekką i niezmiernie ruchliwą jazdą turecką albo z jeszcze bardziej ruchliwą tatarską.

- Albo i armaty - wmieszał się do rozmowy Siestrzeniec. - Turek czy Tatar walczy podstępem i unika złożenia wręcz - to prawda - ale przynajmniej walczy. Nie ucieka, nie kryje się. Postępuje jak rycerz. Lecz czyż to jest bój rycerski, gdy kto - jak to zrobił Zakon w wojnie z Polską - używa cudzoziemskich wymysłów, tych wyrzucających pociski armat? Nie zasługuje na miano rycerza, kto tylko z dala razi przeciwnika.

- Dojdzie do tego, że byle cham będzie mógł bezkarnie zabić rycerza - rzekł Balicki, nie przeczuwając, że te same słowa wypowie niedługo potem niezwyknięty Bayard, zaskoczony niepojętym dla siebie sposobem walczenia Hiszpanów.

- Albo też wojnę prowadzić będą ciury, które się nigdy piersią w pierś nie zetną, tylko zza muru strzelać do siebie będą - dodał Siostrzeniec.

Spierali się w dalszym ciągu, gdyż Donin począł twierdzić, że właśnie ich przypuszczenia przemawiają za tym, iż trzeba dawną sztukę rycerską chronić, a chamskich sposobów walki unikać. Stąd też i zastosowanie dla dwuręcznych mieczy.

Bolesta, rycerz z Łazanek, nieznacznie pozwolił się wyminąć towarzyszom. Biały jak mleko koń, na którym jechał, niezadowolony z tego, że go minięto, szedł bokiem, strzygł uszami, przysiadł na zadzie, jakby chciał zerwać się do galopu, zaś przednimi nogami wyrzucał nerwowo. Lecz szeroka wodza zmuszała go do posłuszeństwa.

Rycerz jechał chmurny, zły, trapiiony budzącymi gniew myślami. Chwilami obelżywe słowo napływało na wargi, aż musiał zagryzać usta, żeby go głośno nie wypowiedzieć. Głębokie szczeliny zmarszczek poorały czoło Bolesty, niesmak i gorycz osiadły w kącikach ust.

Przed nim jechał syn, zasłuchany w opowiadania rycerzy. Młoda twarz chłopca mieniła się, usta chciwie chwytaly powietrze i widać było, że przeżywa całym swym ciałem awanturyczne przygody opowiadających. Bolesta skrzywił usta, złość błysnęła w jego oczach. Po prostu z nienawiścią popatrzył na chłopca, na jego nie dość jeszcze szerokie ramiona. Głupiec - wyszeptał przez zaciśnięte wargi.

Nie kochał syna. Dawniej - być może trochę go i kochał, kiedy Paweł był jeszcze dzieckiem. Kiedy łudził się, że znajdzie w nim sprzymierzeńca w walce z żoną. Ale prędko się przekonał, że Katarzyna ma łatwiejszy dostęp do serca syna i że to ona sama użyje opanowanego przez siebie Pawła jako ważny atut, którym grozić będzie mężowi. Wtedy zapiekał się w nim gniew, a może i zazdrość. Zazdrość? Tak. Łapał się na tym uczuciu, gdy patrzył na młodzieńczą sylwetkę syna. Paweł miał życie przed sobą. Ileż burz i namiętności, które szarpia, lecz także rozkoszą napełniają serce ludzkie, ileż nieoczekiwanych możliwości, ileż pragnień i wciąż jeszcze na pozór realnych (choćby miały być w rzeczywistości tylko złudzeniem) marzeń czekało go dopiero. Życie nie będzie dlań niewolą ani wieczną walką. Ułoży je sobie według własnej woli, sto razy jeszcze potrafi je sobie ułożyć. Nie tak jak ojciec, który już żadnej zmiany oczekiwać nie może.

Ci, co znali bliżej domowy dramat Bolesty, współczuli mu serdecznie. Byli jednak tacy, którzy nie mogli zrozumieć niepojętej uległości rycerza. Dać się zawojować do tego

stopnia przez żonę - wydawało się tym rycerzom mocnym, gorącym, nawykłym do brania kobiety gwałtem, czy chciała tego czy nie chciała - czymś niepojętym. Za plecami Bolesty strojono sobie żarty, dowcipkowano, śpiewano na jego cześć wesołe piosenki. Nikt jednak nie śmiał powiedzieć mu o tym w oczy, gdyż znano powszechnie odwagę i zapalczywość rycerza.

Niemłody był już Bolesta, gdy żenił się z Katarzyną, bratanicą Spytka z Melsztyna. Ona też nie była pierwszej młodości, ale jej dojrzała - kobieca, już nie dziewczęca - uroda pociągała ku sobie wielu. Boleście, któremu do tego czasu życie w kłopotach i zmartwieniach płynęło - bo mimo starań i zabiegów same niepowodzenia w życiu spotykał - urodziwa kobieta zasłoniła świat. Począł się o nią starać, gotów do natychmiastowej walki z każdym, kto by go chciał ubiec. Lecz choć rozgonił rzeszę zalotników i sam tylko został na placu, panna długo się namyślała nad proponowanym małżeństwem. Chciała to tego, to tamtego; wysuwała tysiące trudności, tysiące powodów, które jej decyzję odwlekały. Bolesta gryzł się tym, obiecywał, zaklinał, a nie przyszło mu ani na chwilę do głowy, aby upartą pannę porzucić i szukać innej.

Wreszcie dopiął swego. W jakimś zaślepieniu, któremu tak łatwo ulegali członkowie jego rodu, nie widział, nie chciał widzieć uporu swej narzeczonej ani trawiącej ją żądy przewodzenia. Współzycie miało ułożyć się samo i rzeczywiście ułożyło się, ale w sposób nader przykry dla Bolesty. Kobieta, którą kochał rozpoczęła wobec niego walkę podjazdową. Była w tym dziele nieznużona. Pragnęła za wszelką cenę zmusić go do uległości. Gdy się opierał - zwyciężała go, górując nad nim zaciętością i bezwzględnością, gdy ustępował - dawała mu do zrozumienia, że nim pogardza. Nie znała spoczynku. Jeżeli widział ją złą, czuł, że w jakiś niepojęty dla siebie samego sposób sparaliżował jej plany, lecz jeśli okazywała mu swoją czułość, doszedł do tego, że przeczuwał w tym jakiś podstęp. Nie spuszczała go z oczu i pilnie śledziła jego postępowanie, aby odkryć chwilę słabości. Czasami odczuwał przesądny lęk, bo mu się zdawało, że ta kobieta zna wszystkie jego myśli, umie go przeświećlać swoim wzrokiem na wylot.

Czasem buntował się. Wybuchał. W sposób grubiański krzyczał, awanturował się, żądał posłuszeństwa. Wtedy cofała się, pozwalając, aby jego wybuch dokonał się w próżni. Wiedziała zbyt dobrze, że czym głośniej krzyczał, tym prędzej sam później dążył do zgody. Bo on nie umiał chować się ze swoją zawziętością, ale rozładowywał się w krótkim paroksyzmie gniewu. Postąpiwszy naprzód dwa kroki, gotów był potem cofnąć się o dziesięć. Brak mu było konsekwencji, brak mu było linii wytycznej.

A Katarzyna miała ją przed sobą wytkniętą. Musiała po niej stąpać. Wiedziała zawsze, co ją czeka. Nie znużyło jej chłodne opracowywanie wszystkich szczegółów walki. Na zimno,

z rozwagą, na wiele dni, a nawet tygodni naprzód prowokowała wybuch mężowskiego gniewu, by potem czuć Bolestę przy sobie ukorzonego, zgnębnionego.

Jednej tylko rzeczy i ona nie umiała znieść: tego, gdy cofał się z pola walki, gdy zamiast wybuchnąć ustępował. W takich chwilach nie umiała zapanować nad swoim gniewem. Zdawało jej się, że przestaje zwracać na nią uwagę, że obywa się bez niej. Nie mogła tego ścierpieć. Chciała męża wolę złamać i swojej ją poddać, ale jednocześnie łaknęła ze strony mężczyzny pożądania. Każda jego obojętność, to był policzek wymierzony jej kobiecości. Odpowiadała nań potokiem słów pogardy. Chciała znów zmusić tego człowieka, by czołgał się u jej stóp, by znowu sięgał po owoc miłości nie pewną i stanowczą ręką, ale drżącymi z niepewności palcami.

Gdyby potrafił okazać jej obojętność nie na chwilę, nie na moment, ale na czas dłuższy! Gdyby umiał trzymać swoje uczucia na wodzy i kierować nimi według swej woli! Wyzwoliłby się wówczas. Ale czym więcej ta kobieta znęcała się nad nim, tym on rozpaczliwiej i z większym utęsknieniem wyczekiwał z jej strony uśmiechu. Nie wiedział, jak ma postępować. Tłumił w sobie gniew, bo wiedział, czym mu przyjdzie za każdą jego chwilę płacić, odrywał wzrok od wszystkiego, co mogło go poza Katarzyną zainteresować, pełen trwogi, że chwila nieuwagi ściągnie na niego burzę. Zawieszony między wzbierającym wciąż gniewem a lękiem, że ta kobieta, której szaleńczo pożądał, odwróci się od niego, przeżywał nie kończąca się nigdy tragedię. Tragedię wielu ludzi cichych i zbyt męskich, by umieli walczyć w szrankach, gdzie toczą równy bój z mężczyznami obdarzone męskim charakterem kobiety.

Paweł stał się mieczem, który sobie przez czas pewien wzajemnie wydzielali. Bolesta wtedy ostatni raz zerwał się do gwałtowniejszej walki. Syn - jedyny syn - był ostatnią nadzieją, ostatnią deską ratunku. Niepłodna obecnie kobieta nie mogła mu dać innego. Jeżeli więc w synu nie znajdzie współnika - myślał Bolesta - to już nie ma dla niego ratunku. Zginie, zatonie w tej nienasyconej kobiecie, stanie się tylko jej cieniem. Zapomni o tym, po co i dla kogo żył. Zapomni o sensie samym życia.

Lecz został mu wymierzony najboleśniejszy cios. Uderzenie, które trafiło go w samo serce: Paweł stanął przy matce. Pod jej wpływem, patrząc oczami, które mu ona kształtowała, widział w ojcu głupca i niedołęgę. Pogardzał nim. Szydził zeń za jego plecyma. Uparty, interesowny, rozpuszczony i nie znający granic w swych pożądaniach, patrzył na życie ojca jak na pasmo bezsensownych błędów. Z chępliwością wspominał o swoich planach, oklaskiwanych w sposób prowokacyjny przez matkę. Znęcali się teraz oboje nad Bolestą.

Wtedy w sercu rycerza poczęła się zapiekać gorycz i rozpacz. Już nie buntował się jawnie, bo wiedział, że niczego tą drogą nie osiągnie. Cofał się tylko w głąb własnego ja, zamykał jedne za drugimi drzwi, które go ze światem łączyły, świadomie otoczył się ciemnością. I miał poczucie, że tam, w zamkniętym szczelnie sercu, które nikogo nie kochało i od miłości się odwracało, dokonuje się jakaś dziwna fermentacja. Bujne, pieniące się soki dawały znać o sobie niespodziewanymi uderzeniami. Rosła w nim fala, której nie znał. Podnosiła się i zalewała wszystko.

Lękał się chwili, kiedy wewnętrzny potop wydobędzie się na wierzch. Ale jednocześnie myślał o tym z utęsknieniem, bo mu jakiś głos mówił w duszy, że ten moment przyniesie dlań wybawienie. Jakie? Jak miało to wybawienie wyglądać? Tego nie wiedział, nie umiał tego zgadnąć.

Lecz z wolna jego charakter nasiąkał buntem i zaciekłością. Jeżeli nie śmiał okazać swego gniewu wobec Katarzyny, umiał za to wybuchać w stosunku do innych ludzi. Stał się zgryźliwym, łatwo obrażającym się odludkiem. Choć wielu rzeczy nie wypowiadał głośno, to jednak rozkoszował się mówieniem ich wewnątrz, wobec samego siebie. Wówczas odpłacał ludziom za to, co sam musiał wycierpieć, wówczas nawet Katarzyna stawała bezbronna i pokorna pod pręgierzem karzących słów.

Swoje buntownicze nastawienie zaczął przenosić na całe otaczające go życie. Zrodziło się w nim przekonanie, że człowieka krępują bolesne więzy. Kłopoty, które nań spadały w ciągu lat młodości, małżeństwo, nieszczęśliwy związek ze zbyt silną kobietą, niekochany syn - to wszystko było tylko symbolem tego świata niewoli, w którym mu przyszło żyć. Ktoś zbyt dotkliwie spętał serce człowieka, ktoś za tę niewolę musiał ponieść odpowiedzialność. Ale kto?

Bóg? Nie, tego oskarżenia Bolesta nie śmiał rzucić. Życie przepełnione tajemnicami, niepojętymi dla jego umysłu, wykluczało nieobecność Boga, zaś oskarżać Istniejącego byłoby szaleństwem lub odwagą godną tylko lucyfera. Bolesta zaś był tylko małym, zgnębnym nieszczęśliwym życiem człowiekiem. Nie mógł znieść swej doli i szukał istoty, którą by mógł o nią oskarżyć. Odebrać tej nędzy wiarę w dobrotliwego Boga, to znaczy odebrać jej życie. Ale podsunąć tej nędzy poczucie, że ktoś ją od oblicza Bożego odsuwa - to znaczy rozpalic bunt i dać buntowi duszę. Albo prawa świata są prawami Bożymi i człowiek cierpiąc dowiaduje się, że Bóg jest niesprawiedliwy, albo prawa świata nie są prawami Bożymi...

W Boleście zawaliła się nagle cała sakralna hierarchia życia. Stał on - tak samo jak tyłu innych ludzi tej epoki - na przełomie. Zapragnął dotrzeć do Boga bezpośrednio, omijając w tej wędrówce jakiegokolwiek pośrednictwo. Zapragnął zdobyć Boga tylko dla siebie.

Biały żrebiec potknął się i ten wstrząs wyrwał nagle rycerza z kręgu ponurych myśli. Wczesny jesienny zmrok czepiał się drzew i ludzi. Zszarzały - nakryte jego welonem - barwne ubrania towarzyszy, straciły swój zwykły blask cenne siodła i ogłowia. Ponuro - wśród drzew - dyszał wiatr.

Niedługo już zresztą jechali, bo wkrótce zabieliły się wśród drzew mury klasztoru, w którym mieli się na noc zatrzymać. Przed bramą stało kilku braciszków z pochodniami - widać wysłani naprzód pachołcy uprzedzili w czas o przybyciu posłów królewskich.

Zaraz też na powitanie rycerzy wybiegł opat, szczupły i ogromnie ruchliwy mnich. Starał się być bardzo serdeczny - może dlatego, by zatuszować kwaśny wyraz innych braci, wcale nie zachwyconych niespodziewaną wizytą. Przeczuwali już, że wszystkie zapasy klasztorne padną ofiarą żarłocności gości, nikt zaś bardzo nie liczył na jakieś wynagrodzenie, gdyż rzadko się zdarzało, aby urzędnicy królewscy płacili za gościnę, co nie wpływało zupełnie na wysokość stawianych przez nich wymagań. Brat szafarz z pomocą dwóch młodych braciszków w pośpiechu załadowywali co cenniejsze i smaczniejsze zapasy do ukrytego loszku.

Ale Zawisza lubił popisywać się swoją hojnością, nawet w ubogim klasztorze, i w zamian za gościnę rzucił opatowi na stół garść złotych monet. Braciom, którzy to widzieli, aż oczy wyszły na wierzch z podziwu. Kiedy zaś rycerz rozkazał, aby zdjąć z podróżnego wozu beczkę doskonałego węgierskiego wina, zapraszając do stołu wszystkich braci, ten i tamten pobiegł co tchu do szafarza wołając, aby wydobywał z powrotem ukryte smakołyki. Uśmiechać się wesoło poczęli wszyscy, a miłe zapachy dolatujące z kuchni wprawiły i gości i domowych w radosne podniecenie.

Zawisza zasiadł przy środku stołu, rozpiął swój kaftan podróżny, bo w izbie było ciepło. Przywykły do wytwornych uczt na dworze króla Zygmunta, jadł spokojnie, z umiarem i cicho, natomiast jego towarzysze siorbali i chleptali na wszystkie sposoby, manifestując w ten sposób swoje zadowolenie z dobrego jada. Pozrucano pasy, które przeszkadzały w jedzeniu, braciszki zaś rozluźnili swoje sznury zakonne. Wino uderzało do głów, rozmowy stawały się krzykliwe, gestykulacja żywa. Z hałasem klepano się po ramionach lub po kolanach. Paweł siedział przy rycerzu z Tuliszkowa, czkając raz po raz i mając oczy po pijacku zamglone. Opowiadał coś żywo, utraciwszy, widać pod wpływem wina, chłopięcą nieśmiałość. Głos jego nabierał chwilami nieprzyjemnie wysokich tonów, rozbrzmiewając dziecinnym jeszcze falsetem. Zdawało się, że Paweł chce kogoś przekrzyczeć. Chwytał kasztelana za rękę, pragnął go zmusić do uwagi, tamten zaś wparł w chłopca tępo ponury

wzrok i milczał. Mdła woń ludzkiego potu, pomieszana z aromatem rozlanego wina, wisiała jak ciężki opar w izbie.

Jedzono do utraty tchu, a kto nie mógł już więcej jeść i pić, ten walił się ciężko na ziemię i zaraz zasypiał. Po ciałach śpiących przechadzały się klasztorne psy, znęcone zapachem jedzenia. Kaganki nie pilnowane dymiły, z dworu dochodziły krzyki pijących pacholców.

W nocy nadciągnęła nad klasztor chmura i rozplakała się beznadziejną jesienną chlapaniną. Konie, dla których nie starczyło miejsca w stajni, stały cierpliwie na podwórzu, kiwając mokrymi łbami i przestępując z nogi na nogę w człapiącym błocie. Spływająca deszczowina porobiła ciemne zacieki na ich gładkiej skórze.

Jeszcze przed świtem bracia musieli iść do kaplicy, choć niesporo im było wyrwać się z objęć snu. Idąc potykali się i wspierali wzajem ramionami. Ich śpiew mógł wystraszyć każdego. Rycerze zasnęli w ławkach i chrapali.

2.

Niemrawo rozpoczynał swe prace sobór konstancjeński i wyglądało tak, jakby lada chwila miał się rozjechać nic nie załatwiwszy. Zbyt wiele może spraw zważyło się jednocześnie, a że wszystkie były pilne, nie nadające się do odwlekania, komisje nie wiedziały po prostu, za co się chwytać. W debatach ogólnych mówcy wzajemnie się przekrzykiwali, co sprawiało, że często dzień cały minął, a uczestnicy soboru nie wiedzieli nawet, o czym mówiono. Poza tym legacje zjeżdżały się wolno, wciąż na kogoś trzeba było czekać. W dniu Wszystkich Świętych, kiedy to już miało nastąpić oficjalne otwarcie soboru, nie było jeszcze ani żadnego z papieży, ani króla Zygmunta. Jeżeli chodzi o kandydatów do Stolicy Apostolskiej oczekiwano tylko Jana, gdyż Grzegorz przesłał w zastępstwie swoich legatów, Benedykt zaś zapowiedział, iż uchwał soboru nie uznaje i nie uznaje. Król Zygmunt w pierwszych dniach listopada zjechał do Konstancji w otoczeniu panów węgierskich i zaraz krzątać się począł, aby kulawo toczącym się obradom soboru nadać większą spoistość, zdawał sobie bowiem dobrze sprawę z tego, że od losów soboru zależą także w pewnym stopniu i jego losy. W Niemczech po klęsce pod Nikopolis mówiono bez współczucia dla wodza krucjaty, elektorzy byli zdania, że nie można jednocześnie myśleć i o pomyślności Rzeszy, i o interesach bałkańskich. Trzeba więc było na gwałt ratować swą zagrożoną powagę.

Zjechał potem Fryderyk ks. austriacki. Ściągały wolno poselstwa angielskie, aragońskie, neapolitańskie. Polskie przyjechało z wielkim opóźnieniem, gdyż Zawisza po drodze był goszczony w Raciborzu u ks. Jana i w Ratyzbonie. Wreszcie przyjechał Jan XXIII.

Wraz ze zjawieniem się papieża wybuchły gorszące zatargi i spory na temat: papież nad soborem, czy sobór nad papieżem. Jan przez swoich kardynałów dowodził, że on jeden, jako prawy następca Aleksandra V i ten, który zwołał sobór, ma prawo decydować w ostatecznej instancji o powziętych uchwałach. Natomiast większość uczestników soboru odstąpiła od stanowiska soboru pizańskiego i twierdziła, że należy sprawę schizmy rozpatrywać całkowicie od początku, przy czym żaden z papieży nie ma prawa uważać się za jedynie prawdziwego, ale orzecznictwo należy do soboru. Wówczas Jan zagroził zamknięciem soboru, przeciwko czemu znaczna większość zebranych podniosła protest. Grzmiał z mównicy czcigodny kanclerz uniwersytetu paryskiego Jan Chryzostom Gerson, popierał go znakomity teolog - jeden z 750 zebranych na soborze teologów - Piotr d'Sailly. Przemowy obu uczonych, poparte licznymi dowodami i cytatami, zrobiły na zebranych wielkie wrażenie i pod ich wpływem król Zygmunt poparł protest oznajmiając, że do zamknięcia soboru nie dopuści, póki sprawa schizmy nie zostanie załatwiona.

Wtedy Jan zmienił front oświadczając, iż poddaje się wyrokowi soboru, prosi jednak, aby przede wszystkim zebranie załatwiło niezmiernie pilną sprawę zgłoszoną na ręce papieża przez arcybiskupa praskiego Albika z Uniczowa, następcę niedawno zmarłego czcigodnego Zbinki. Chodziło mianowicie o Husa i innych wiklefiistów. Na takie postawienie sprawy ten i ów począł się krzywić, a Gerson i d'Sailly otwarcie twierdzili, że zło, które się zadomowiło w Kościele, trzeba tępić od góry, nie zaś od dołu. Z drugiej strony, Jan wołał przez usta swoich kardynałów i ostrzegał przed piekielną nauką heretyków. Jeden z kardynałów powiedział w odpowiedzi Gersonowi, iż lepiej, aby schizma jeszcze z siedemdziesiąt lat trwała, niż by miała fałszywa i grzeszna nauka kazić chrześcijaństwo. Rozpoczął się więc dłuższy spór o wartości poszczególnych dusz i o zakazie zwątpienia w czyjekolwiek zbawienie.

Tymczasem papież porozumiał się z królem. Obu tym ludziom zależało na tym samym, a mianowicie na wpojeniu w cały świat przeświadczenia, że tylko oni są prawdziwymi obrońcami wiary i Kościoła. Zygmunt lubił ustępować w drobnych rzeczach, licząc na uzyskanie w zamian większych ustępstw. Miał on usposobienie kunktatora i nawet wówczas, gdy nie liczył na zarobek przy danej transakcji, ubierał ją w szatę umów, paragrafów, klauzul i zastrzeżeń. Poza tym przystosowywał się chętnie do sytuacji, w danej chwili dążąc do wykorzystania nawet przelotnych okazji. Póki pontyfikat Jana nie był wyraźnie zakwestionowany, trzymał z papieżem, zapowiedział więc, że na prośbę Ojca

Świętego i on też prosi o zbadanie przede wszystkim sprawy Husa. Jednocześnie, w tym samym czasie wzywał do siebie na tajne narady wielkiego mistrza Zakonu oraz niektórych kardynałów i biskupów, by przedyskutować z nimi i obwarować warunkami ewentualny wybór przyszłego papieża.

Były rektor akademii praskiej przybył do Konstancji w połowie listopada, otrzymawszy od króla list żelazny z gwarancją bezpieczeństwa osobistego. Bez tego zabezpieczenia nie chciano go puścić z Pragi. Ludność błagała go, aby nie jechał. Do samej Konstancji towarzyszyli mu rycerze: Jan z Chlumu, Wacław z Duby i Henryk Lacenbok, gdyż na ogół prazanie nie bardzo ufali słowu króla i jeżeli byli pewni, że ich mistrzowi włos z głowy nie spadnie podczas soboru, to jednak mieli powody lękać się, czy przypadkiem najęte zbiry nie napadną gdzieś na drodze autora „De transsubstantione”.

Hus już na trzeci dzień po przybyciu został zawezwany na plenum soboru, gdzie zażądano od niego, aby wyjaśnił swoją naukę. Mistrz z Husińca początkowo mówił spokojnie i rzeczowo, rozwijając tezy Wikleffa. Gdy jednak przystąpił do dowodzenia na podstawie Pisma Świętego, że Komunia św. winna być udzielana pod dwiema postaciami, nazywając jednopostaciowość „błędem rzymskim”, oraz że Eucharystia jest tylko symbolem, po konsekracji zaś nie znika substancja chleba i wina - podniosły się zewsząd głośne protesty. Przypominano Husowi, że błędna nauka Wikleffa o transsubstancjacji została potępiona na synodzie londyńskim. Były rektor odpowiedział na zarzut okazaniem pisma inkwizytora papieskiego, które stwierdzało, iż jego dzieło napisane w tej samej sprawie nie zawiera żadnego błędu. Mówiąc to jednak zaczął się unosić i od rozważań teoretycznych przeszedł do ostrych zarzutów. W głosie jego było tyle gorącego żaru i nie hamowanej namiętności, że niejednen z uczestników soboru zaczął się zastanawiać poważnie, czy aby ten szalony ksiądz z Pragi nie ma w wielu sprawach naprawdę racji. Nie chodziło tu zresztą tyle o sprawy dogmatyczne - gdyż tutaj Hus wyraźnie błędził - ale o tragiczny rzeczywistości stan Kościoła - opisywany przez Husa w słowach pełnych brutalnego realizmu. Głos mówcy drżał, gdy wołał:

- Spójrzcie, czcigodni ojcowie, na siebie i porównajcie swój wygląd z wyglądem owych świętych Rybaków Pańskich. Oni pracowali w pokorze, w uniżeniu, wy zaś otoczyliście się służbą, a duma każe jednym z was wynosić się nad drugich. Oni skromne szaty wdziewali na siebie, a wasze ubrania aż kapią od złota... Czy w złocie chodził Chrystus? Czy w jedwab i złotogłów się ubierał? Czy sługami był otoczony? A wy, bracia tylu klasztorów, coście ubóstwo ślubowali? Gdzie jest to wasze ubóstwo? Gdzie jest wasze żebractwo?

I podnosił obie ręce nad głowę, jakby przestraszony grozą obrazu, który przed otoczeniem rozpostarł. Sala szemrała, dostojnicy kościelni, nieomal palcem wytykani, nie mogli pohamować słów oburzenia dla zuchwalca, który mówił z wciąż wzrastającą gwałtownością, zwracając swoją mowę w stronę tronu nieobecnego zresztą tego dnia papieża. Nazywał go nie Ojcem Świętym, ale „synem Beliala”, „diabłem wcielonym”, „świętokradczym Cossą”, „handlarzem odpustów”, „Antychrystem”. Zrobił się rumor, chciano przerwać mówcy, on jednak krzychał coraz głośniej, nie dając się zagłuszyć. Żądał od grzesznego papieża - zresztą nie tylko od Jana, ale od wszystkich trzech papieży - aby natychmiast złożył swój urząd i nie przymuszał ludzi do niegodnego posłuszeństwa.

- Papież nie jest głową Kościoła - krzychał - ale sam Chrystus! Cóż to, czy Chrystus umarł i nie zmartwychwstał, że człowiek chce go wyręczać? Poleciał Pan nam, odchodząc do nieba, być nauczycielami Jego Słowa. Ale nie władcami, nie panami! Jeno świętość i Boża łaska - co wprost płynie z ust i z serca - może wzywać do posłuszeństwa. Nigdy grzech! Nigdy obmierzły grzech! Gdy papież zgrzeszył, już nie jest papieżem! Tak samo gdy król zgrzeszył, już nie jest królem! Nikt nie musi go słuchać, a nawet nikomu nie wolno go słuchać. Władcy grzeszni - choćby papieżami byli, przez lud za grzechy sążeni będą. Lud nad nimi, bo lud nie zna grzechu...

Teraz krzychała wraz z Husem cała sala. Jedni starali się go zagłuszyć, inni wysuwali przeciwko jego słowom swoje argumenty. Ze środka krzyżącego tłumu kardynałów, biskupów, opatów i prałatów dobywał się chrapliwy głos byłego rektora:

- A wy, czyście lepsi? Każdy z was w grzechu tonie, a chcielibyście wiązać i rozwiązywać ludzkie sprawy. Mówicie, że jesteście Kościołem. Skądżeście tacy pewni, że żaden z was nie urodził się ze znakiem potępienia na czole? Założyliście ludowi na szyję pętlę waszych przebrzydłych więzów, zdusiliście sumienia, szatańską synagogę nazwaliście Kościołem i za przewodem tego Antychrysta nie chcecie odejść. Ale nikt już was słuchać nie będzie! Wasz czas minął! Teraz nie będziecie się nad drugich wynosić ani posiadać tego, co tylko do wszystkich należy!

W końcu i jego nikt usłyszeć nie mógł, w ogólnym chaosie. Zebranie zamknięto, część uczestników soboru udała się do papieża naradzić się z nim, co należy robić z buntowniczym nauczycielem. Jan, usłyszawszy relację z zebrania, pojechał czym prędzej do króla, prosząc go, aby polecił Husa uwięzić. Zygmunt opierał się. Nie chciał łamać danego słowa, tym bardziej, że nie wiedział, jak wypadnie o Husie opinia całego soboru. Poza tym zdawał sobie z tego sprawę, że będzie to wystąpienie przeciwko bratu, który już kilkakrotnie bronił swego

rektora, za Wacławem zaś stała opinia czeska, którą Zygmunt chętnie by chciał sobie zaskarbić, uważając się już w duchu za następcę bezdzietnego Wacława.

Ale gdy i sam d'Sailly przerażony tym, co rano usłyszał, poparł Jana twierdząc, że nauka Husa grozi wszelkiemu porządkowi i wszelkiej hierarchii zarówno duchownej jak i świeckiej, postanowił działać. Tejże nocy, z piątego na szósty grudnia straż królewska wywlekła z mieszkania Husa i odprowadziła do ponurego więzienia Dominikanów.

Wiść o uwięzieniu obiegła szybko całe miasto. Mówiono o tej sprawie dużo. Zaraz też następnego dnia poselstwo czeskie złożyło oficjalny protest przeciwko pozbawieniu wolności ich przywódcy. W odpowiedzi na to zapytano posłów, czy protestują w swoim własnym imieniu, czy też w imieniu swego króla. Ponieważ Wacław nic jeszcze o uwięzieniu Husa nie wiedział, wysłano do niego gońców. Jednakże delegaci obawiali się, że król ich nie zechce występować przeciwko zarządzeniom Zygmunta, i dlatego szukali sobie gdzie indziej poparcia. Zwrócili się mianowicie do poselstwa polskiego, powołując się na życzliwość, jaką okazywał Husowi Jagiełło.

Zawisza przejął się całą sprawą i postanowił poprzeć protest. Jeżeli nawet rycerz z Garbowa występował przeciwko Zygmunтови, na którego dworze tyle lat przebywał, to tym chętniej pośpieszyli to zrobić inni członkowie poselstwa polskiego, związani uczuciowo z braterskim i jednojęzycznym narodem czeskim, a nienawidząc podświadomie Niemców i ich króla. Wprawdzie duchowni członkowie legacji mieli wątpliwości, czy należy popierać i bronić człowieka oskarżonego o kacerstwo, ale poczucie dokonanego bezprawia okazało się silniejsze niż skrupuły.

Udano się naprzód do króla. Pojechał sam arcybiskup Mikołaj, Jędrzej, Laskarys Goćławicki nominat poznański, kanonik Zbigniew Oleśnicki, Zawisza, Balicki, Bolesta i Wacław Leszczyński. Poselstwo we wspaniałych ubiorach, otoczone znacznym poczem przeciągnęło przez miasto, budząc powszechny podziw. Dzień był brzydki, dżdżysty. Od jeziora wiatr niósł i rzucał garściami zlodowaciałego deszczu. Konie grzęzły w błocie.

Zygmunt witał posłów niemal serdecznie. Zawiszę objął ramionami nazywając swoim drogim przyjacielem, Balickiego ucałował w czoło, innych przybyłych obrzucił tysiącem miłych słów. Rozpływać się począł nad wielkimi cnotami arcybiskupa, zapewniając go, iż wśród zebranej w Konstancji samej elity sług Kościoła jest płonącym świecznikiem. Wtrącił kilka słów o Poznaniu, aby biskupowi Laskarysowi zrobić przyjemność, nawet o młodym kanoniku nie zapomniał, wynosząc pod niebo odwagę, jaką okazał Zbigniew ocalając życie Jagiełły w bitwie grunwaldzkiej. Prawdziwy potop słodczy płynął z ust króla, a że mówił bez chwili przerwy, posłowie nie mogli doczekać się z wyłożeniem swej misji, tylko wciąż

bronili się przed tym zalewem pochlebstw. Zawiszę i Balickiego nazwał obrońcami chrześcijaństwa i pierwszymi rycerzami na świecie, a nawet pozostałym członkom poselstwa, których nie znał, umiał sypnąć jakimś ujmującym komplementem.

Nie potrafili mu zaprzeczyć ani przerwać - wymawiali się tylko, a serca ich zdobył wymowny król. A on zaczął rozwijać przed ich oczami wielkie horyzonty i plany, stojące przed światem chrześcijańskim. Gdy raz zostaną załatwione kłopoty, nękające obecnie wewnętrzne życie Kościoła, on, król, a lada dzień cesarz rzymski, zwoła wielką krucjatę przeciwko poganom. Czas położyć tamę naporowi pogaństwa, czas wskrzesić wielką chwilę, gdy Jerozolima była w ręku chrześcijan. Ale droga do Ziemi Świętej wiedzie przez Węgry. Wprawdzie ludzie słabi duchem i którzy o swych radościach, nie o bezpieczeństwie chrześcijaństwa całego myślą, zbyt wiele przywiązują wagi do przegranej pod Nikopolis. Ale błędzą. Był to moment, który już się nigdy nie powtórzy.

- Wy wiecie sami - rzekł zwracając się do Zawiszy i do Balickiego - dlaczego wówczas nie można było zwyciężyć niewiernych!

Prawdę mówiąc - nie wiedzieli. Może byli wówczas zbyt młodzi, może zanadto gorąco pożąдали boju, aby myśleć o planach i strategii dowódców. Walczyli, póki ich dźwięk trąb nie zmusił do odwrotu. Dlaczego cała krucjata uciekała w dzikim popłochu - nie mieli najmniejszego pojęcia. Pozostawało im tylko zasłaniać zmykających towarzyszy. Ale żołnierz lubi sądzić, że za przegraną przez niego bitwę ponosi odpowiedzialność jakieś tajemnicze fatum, i dlatego chętnym sercem przyjęli słowa Zygmunta.

Król zaś mówił i mówił. Upajał się sam swoimi słowami. Coraz piękniejszy i coraz pełniejszy obraz wyrastał przed oczami zdumionych słuchaczy. Widzieli odżyłe chrześcijaństwo wieków średnich, opanowała ich serce i porwała tęsknota, ta sama, która wiodła krzyżowców poprzez spaloną słońcem równinę Małej Azji i która pędziła ich okręt na Cypr, Rodos do Akry, Aleksandrii, Damietty, Tunisu. Powiał ku nim i rozrzucił ich włos mocny oddech przestrzeni, poczuli się znów jak fregata, o której żagle bije wiatr i która rusza ku dalekim upatrzonym, wymarzonemu portom, a nie zamiera w bezruchu, by pławić się w gnuśnym i rozleniwiającym słońcu Odrodzenia. Byli przecież tacy młodzi, tak przedwcześnie dojrzały w swym narodowym bycie... Inni, zanim dali się opanować odmětowi apatii, zaznali już burz i porywów młodości, pamiętali młodość, która ich wiodła ku słońcu. Lecz oni wciąż jeszcze żyli jakby w oczekiwaniu na coś, co ich ominęło, ale co wrócić się musi. Na jakiś głos, który ich nie powołał, lecz się znowu rozlegnie i wtedy powoła ich... wezwie... wskaże drogę...

Jakże blada i pozbawiona znaczenia wydała się im sprawa, z którą tu przyszli. Nie śmieli po prostu o nią zagadnąć, lękali się, aby jej poziomość nie zatarła wspaniałości tamtego obrazu.. Cóż znaczy jeden człowiek, nawet uwięziony bez wysłuchania wszystkich jego racji, gdy chodzi o rzeczywistość najistotniejszą? Cóż znaczy jego nauka - podobno zawierająca błędy - wobec wiary, że Prawda Boża w całym świecie zwycięży?

Nie śmieli mówić, głos im uwiązał w gardle. Poczęło się ściemniać, trzeba było zakończyć przeciągającą się audiencję. Jakby przypomniawszy sobie o rzeczy zapomnianej, mało ważnej, Zawisza bąknął parę słów o Husie.

- Wiem, wiem, przyjacielu - uśmiechnął się łagodnie Zygmunt. - Przyjdzie na to czas. Rozpatrzmy.

Powstał, a oni zegnali się z nim. Król odpowiadał uśmiechnięty, radosny. Dławił jednak w sobie prawdziwą radość. Nie chciał jej okazywać. Przykrył usta maską kłopotliwego półuśmiechu. Czuł się jak zwycięski gracz, gdy wstaje od stolika i patrzy z zażenowaniem na pokonanych partnerów, nie chcąc budzić ich gniewu niebaczną radością, i tylko bawi się lekceważąco wygranymi pieniędzmi, mówiąc melancholijnie: „Dziś ja, jutro ty”. Ale duma i zadowolenie rozpieprzyły mu piersi. Wewnętrznie rozprężył ramiona, przeciągnął się, ogarnięty przemożnym poczuciem osiągniętego zwycięstwa. Spojrzał w twarze partnerów.

Oblicze arcybiskupa prześwietlone było jakimś nadludzkim pragnieniem. Oczy marzyły, usta wymawiały bezgłośnie słowa wyrzeczenia. Ofiarowywał w tej chwili najpiękniejsze swoje rojenia, ofiarowywał czekający go - niewątpliwie - tron papieski na ołtarzu idei zbudzonej przemową króla.

Zawiszy drżały usta, a ostre białe zęby chwytały niecierpliwie i przygryzały zwisłe wąsy. Rzekłbyś, przyciąga ostatni raz wszystkie rzemienie pancerza, zanim uderzy na wroga. Balicki zacisnął szczęki i twardo przełykał ślinę. Nawet ponura twarz Bolesty rozjaśniła się nadzieją i pragnieniem walki. Uderzyć! Skruszyć kopie na pancerzach nieprzyjaciół, a potem rąbać ich pełnym obrotem mocnego rycerskiego ramienia. Wszystko można dla tego zwidu poświęcić, o wszystkim można zapomnieć. O żonie, o dziecku. O myślach, które trapią i dziwne wątpliwości budzą.

Zygmunt poczuł, że zwyciężył. Przemożnej fali radości nie mógł już ukryć. Zapaliła mu ona w oczach iskrzący się płomień. Zatarł ręce.

Lecz nagle wzrok jego napotkał czyjeś oczy. Twarde, nieugięte, zimne i stanowcze, błękitne jak klinga damasceńskiego miecza. Patrzyły na niego nieulekłe. Zygmunta przebiegł dreszcz. Człowiek, który nań patrzył w tej chwili, był graczem nie gorszym niż on. Miał pełną świadomość, że w tej chwili przegrał, ale wiedział też, równie dobrze jak i Zygmunt - że

szczęście w grze bywa zmienne. Nie dał się upoić podźwięciem pustych słów. Niedostrzegalnym gestem zbierał karty. Gromadził atuty. Dążył uporczywie ku swoim celom. Umiał spoić marzenie z rzeczywistością tak ściśle, że marzenie już nie było marzeniem, ale postulatem i elementem rzeczywistości.

Radość Zygmunta zgasła, pozostał tylko na wargach zdawkowy uśmiech. Poczł zniechęcenie i gniew. I pełen z trudem tajonej niechęci wydusił z siebie kilka miłych słów dla wychodzącego Zbigniewa z Oleśnicy.

Zresztą, nie tylko dzięki zręcznej dyplomacji Zygmunta sprawa Husa została - przynajmniej na pewien czas - zapomniana. Szły wielkie wypadki. Pod naciskiem Gersona sobór przystąpił do rozpatrywania sprawy Jana. Ponieważ grupa narodów „niemieckich”, a więc Rzesza, Polska, Czechy i Węgry nie broniły „swego” papieża, ale bez oporu zgodziły się na postawienie go w stan oskarżenia - Jan, czując się opuszczony i zdradzony, uciekł pewnej nocy z Konstancji. Tajemna ucieczka pogrzebała jego sprawę do reszty. Setki gońców przebiegało wszystkie gościńce po tej i po tamtej stronie jeziora, pragnąc wykryć, gdzie uciekł Baltazar Cossa da Troia, znany obecnie jako antypapież Jan XXIII. Wreszcie po nikłych śladach zapędzono się aż do ziem księcia Ferdynanda austriackiego, który z niewiadomych zupełnie pobudek ukrył Jana w Szafuzie. Zbiega tryumfalnie sprowadzono do Konstancji i tu po krótkim procesie zdeponowano. Równocześnie prawie legat Grzegorza XXII - Malatesta - złożył w imieniu biskupa rzymskiego akt zrzeczenia się tiary papieskiej. Na placu pozostał więc tylko jeden pretendent, ale ten w ogóle nie chciał pertraktować z soborem. I nie można z nim było załatwiać sprawy równie prosto, jak z Janem, gdyż Benedykt miał zbyt wielu zwolenników w grupach „francuskiej”, „hiszpańskiej” i „angielskiej”.

Wtedy Zygmunt postanowił odegrać rolę mediatora sporu i zbawcy Kościoła. Sam pojechał do Terpignan, aby się spotkać z awiniońskim papieżem. Przed wyjazdem jednak zabrał Husa od Dominikanów i kazał go zamknąć w swoim więzieniu w Gottliebe, położonym nad samym brzegiem jeziora.

Tymczasem stało się już rzeczą pewną, że sobór przystąpi do wyboru nowego papieża. Kandydata szukano wśród obecnych, przy tym coraz częściej powtarzane było wśród członków soboru dziwnie brzmiące nazwisko arcybiskupa gnieźnieńskiego. Poselstwo polskie rosło z tego powodu w pychę i tylko jeden Trąba zdawał się nie okazywać żadnego zainteresowania dla powtarzanych plotek. Zamknął się w sobie, ścichł. Zwykle hałaśliwy i lubiący dużo mówić, arbitralny w najwyższym stopniu i prędki w narzucaniu innym swego

zdania, teraz nie odzywał się prawie wcale, przetrawiając w sercu jakąś głęboką ideę. Myślał, planował, układał, zdradzając się ze swymi tajemnicami jedynie Zbigniewowi z Oleśnicy. Kiedyś podczas dyskusji nad tym, czy przyszedł papież powróci do Rzymu, czy też założy swą stolicę gdzie indziej, powiedział nagle Mikołaj:

- Chrześcijaństwo musi iść na wschód, a miejsce papieża jest w pobliżu pola walki. Czy będzie mógł walką kierować, siedząc w dalekim Rzymie? Czy nie powinien właśnie stanąć na czele krucjat?

Słowa arcybiskupa były przez dłuższy czas komentowane przez obecnych. Jedni przyznawali Mikołajowi rację, inni jednak mówili: „Zaczęła się jedna schizma, od czasu, gdy papież osiadł w Avignon; czy chcecie drugiej, zezwalając na przeniesienie stolicy apostolskiej do Gniezna”? Do wyboru jednak nie przystępowano, czekając na powrót Zygmunta.

Król zjechał do Konstancji, zgębiony niepowodzeniem misji, której się podjął. Benedykt nawet z nim nie chciał rozmawiać. Sądząc, że to może lepiej mu się uda z królem francuskim, pojechał do Paryża. Z Karolem jednak długo nie mógł się w ogóle porozumieć, gdyż rzadko nachodziły na niego chwile przytomności, a gdy szalał, niebezpieczną było rzeczą nawet wchodzić do niego. Najczęściej przytomność wracała mu dopiero wieczorem, ale wtedy to znowu Zygmunt bywał pijany, ponieważ dzień za dniem pił do utraty przytomności. Rankiem, odwrotnie, na Karola nachodziła furia. Wreszcie udało się znaleźć dzień, gdy obaj potrafili się rozmówić. Karol zgodził się nie popierać Benedykta, a nawet polecił go uwięzić. Ale nawet wysłanie pod Avignon Boucicaulta nie zdołało zmusić papieża do uległości. Tymczasem czas uciekał, zima dawno minęła, wiosna się już kończyła, a prace soboru nie doprowadziły jeszcze do niczego konkretnego.

W zniechęceniu powrócono do sprawy Husa. Ponownie zainteresowano się nią na skutek wpłynięcia pisemnego protestu przeciwko uwięzieniu magistra. Protest podpisała świecka legacja czeska i polska. Autorzy protestu domagali się, aby Husa niezwłocznie wypuścić i pozwolić mu w publicznej dyskusji oczyścić się z zarzutu kacerstwa.

Sobór - nie podburzany przeciwko Husowi przez Jana - postanowił zgodzić się połowicznie na prośbę obu legacji. Husa nie wypuszczać, ale pozwolić mu na obronę. Równocześnie ustalono datę i ofiarowano byłemu rektorowi trzy dni na przeprowadzenie dowodu jego niewinności.

Wioząc tę nowinę, pojechał pewnego dnia Zawisza z Bolestą do więzienia, w którym przebywał Hus. Zygmunt zgodził się na te odwiedziny, bo obaj rycerze płonęli chęcią poznania wielkiego reformatora, w którego obronie stawali.

Husa zastali w półciemnej celi stojącego przy pulpicie, na którym coś pisał. W pierwszej chwili nie poznali go. Podczas dyskusji na posiedzeniu soboru widzieli człowieka niezmiernie wysokiego, szczupłego, o wielkich, ciemnych oczach i zwichrzonej czuprynie; teraz stał przed nimi starzec zgarbiony, niemal złamany. Włosy posiwiały, skołtuniona broda zwisała aż do pasa. Tylko oczy wydawały się jeszcze większe i w półmroku celi płonęły niepokojącym ogniem.

Witał ich niezmiernie serdecznie, prosił, by siedli na prostych zydlach. Dziękował za to, że nie opuścili go w tej ciężkiej chwili. Właśnie oni, Polacy, podczas gdy tyłu Czechów, którzy w kraju zapewniali go, iż gotowi są dla jego nauki zginąć, nawet nie napisało do niego ani słowa. Ucieszył się przywiezioną nowiną.

- Nie jestem przecież kacerzem - zapewniał. - Czczę Kościół, sobór, papieża. W mojej nauce nie kryje się żaden błąd. Pragnę tylko jednego, aby chrześcijanie zaczęli wreszcie żyć tak, jak to im kazał w Piśmie Chrystus.

Pytali go, czy to prawda, że zakazuje swoim wyznawcom walki z niewiernymi. Ożywił się jeszcze bardziej.

- Chrześcijaninowi nie wolno walczyć. Nie wolno innemu człowiekowi odbierać życia. Chrystus powiedział: kto mieczem wojuje, od miecza ginie. To znaczy, że zwycięstwo osiągnięte mieczem równa się naszej kłęsce. Życie, które człowiek otrzymał ma zbyt wielką wartość, zaś wojny, które się toczą, służą tylko dumie i ambicji rozmaitych władców...

Poculi się tym zaskoczeni. Jak to, więc oni, rycerze, zasłaniający własną pierś wiarę i ojczyznę, byłiby grzesznikami? Czyż Hus wyobraża sobie, że można zatrzymać pochód Bajazeta inaczej, jak mieczem?

Były rektor wzruszył ramionami. Nie rozumiał tych wątpliwości. Wojny na dalekich łądach są błędem i nikt ich naprawdę nie pragnie, chyba ci, którzy liczą na zdobycie sławy i łupów. Ludzkość chce pokoju - nie wojny.

- Żadnej wojny - podkreślał swoje słowa stanowczym ruchem ręki - żadnej. Od chwili, gdy poznaliśmy chrześcijaństwo...

Teraz rycerze nie mogli już całkiem pojąć jego słów.

- Ludzkość odbiegła od ideału Chrystusowego - tłumaczył im Hus - uległa skażeniu przez to, że władzę i bogactwo zdobyli grzesznicy. Jeżeli przywrócimy światu prostotę ewangeliczną, nikt nie będzie pragnął ani się nad drugiego wynosić, ani z drugim walczyć. Zło przyszło stąd, że jedni ludzie zapragnęli rządzić drugimi. Chrystus zaś im tego surowo zabronił. Rządzić ludźmi może tylko Bóg lub święty. Kto nie jest święty, kto grzeszy, temu nie wolno innym wydawać rozkazów i nikt nie ma obowiązku uzurpatora słuchać.

Zapalił się. Począł uderzać niecierpliwie ręką w pulpit.

- Grzeszną nierówność między ludźmi uczyniła władza sprawowana przez grzeszników. Aby wrócić do ewangelicznej równości, trzeba się wyrzec władzy... obalić ją... Powiedziałem, że chrześcijaninowi nie wolno walczyć. Ale w jednym jedynym wypadku wojna byłaby błogosławiona i święta: gdyby ją ludzie rozpoczęli w imię zagrożonej wolności. Trzeba by wtedy obalić tych, którzy bezprawnie i grzesznie sprawują władzę, przywrócić równość powszechną. Tylko w powrocie do wzoru Chrystusa leży nadzieja zwycięstwa. Wprawdzie ludzie są źli. Wprawdzie myślą tylko o tym, aby jeść i pić, żenić się, płodzić potomstwo. Ale innymi być nie potrafią, i Chrystus zbawił ich takimi, jacy są. Wymaga tylko, aby strzegli bezcennego daru wolności i nie dali się niczym wiązać...

Mówił długo, gorączkowo. O tym, że trzeba, aby ludzie ciemieni i unieszczęśliwieni przez grzesznych władców porwali się raz ostatni do walki. Aby obalili i potargali więzy, które ich pętają. Wtedy - bez wysiłku ze strony człowieka, zniknie wszystko zło. Nie będzie królestw, nie będzie wojen, nie będzie własności. Kapłani będą mówić o Bogu i nie wolno im będzie w skrytości konfesjonałów wiązać sumień ludzkich postrachem wiecznych kar. Wszystkie więzy opadną.

Bolesta słuchał tych słów i dawał się porywać ich gorącemu potokowi. On, w którym dramat rodzinny wyłobił jakby szerokie koryto, oczekujące na przyjęcie w siebie strumienia buntu, czuł, że nauka prażanina wyzwała w nim właśnie stłumiony we wnętrzu potok ognia. Ciemna, głucho szumiąca fala, której ruch czuł niejednokrotnie zaleknionym sercem, szukała teraz ujścia. Miotły nim ognie, a błyskawice myśli zapalały się na horyzoncie świadomości. Obalić więzy! Te więzy, którymi spętała ludzi niewątpliwie wola jednostek złych i grzesznych. Odebrać prawo stanowienia o sobie tym, którzy nie są tego godni! Zmienić oblicze świata, przywrócić idealną równość wszystkim ludziom...

Hus zaś mówił i przekonywał. Słuchali go obaj jak zahipnotyzowani. Dawali się ponieść fali słów, rozgrzani zapałem, którym ich były rektor zaraził. Nie rozumieli subtelności dialektyki, ani błędów teologicznych. Zwyciężała ich indywidualność mówcy.

- Czechy... - rzekł Zawisza.

Mistrz Jan przytaknął mu ruchem głowy.

- Rewolucja ducha musi wybuchnąć naprzód w granicach jednego kraju. Nie sposób jej zapalić jednocześnie wszędzie. Jak naród żydowski, który przechowywał przez długie tysiące lat skarb prawdziwej wiary, tak samo dziś naród czeski musi podjąć się trudu walki z błędami rzymskimi. Dlatego wołałem, aby usunięto z Pragi Niemców, bo oni w obroży papieskiej chodzą.

Zawisza wstał, przeszedł się tam i z powrotem po przekątnej małej celi.

- Wierzycie w siłę Czech? - zapytał. - W ich moc?

Hus upewniał go gorącymi słowami. Wierzy w siłę Czech. Zresztą, nie o same Czechy tu chodzi, ale o jedność słowiańską, o „linguagium sclavonicum”. O wielki ruch, który się rozpocznie na Wschodzie. Wszak cesarstwo greckie opuszczone i bezradne. Turcy otoczyli je ze wszystkich stron... Ostatnia ostoja myśli niezależnej od Rzymu.

- Czemu występujecie przeciwko Rzymowi? - próbował argumentować Zawisza.

- Chrystus nie kazał zakładać królestwa ziemskiego w Rzymie, ani gdziekolwiek indziej. Wszak powiedział: „Syn Człowieczy nie ma gdzie głowy schronić...”

Bolesta czuł jakby zawrót głowy. Mąciły mu się myśli. Czuł tylko, że ten szalony czy też może święty ksiądz przekonał go i porwał. Będzie walczyć o „jego” rzeczywistość, która nie zna granic państwowych ani żadnych innych, która nie wie, co to przymus i gwałt, która władzę i bogactwo jednostek traktuje jak grzech.

Zapytał:

- Czy to co „rzymscy” związali ważne jest?

Hus popatrzył nań swym roziskrzonym wzrokiem:

- Ważne są tylko sakramenty udzielane przez ludzi, nie skalanych grzechem.

Niedługo potem obaj rycerze opuścili więzienie. Zawisza był zaciekawiony usłyszaną nauką, toteż zamiast na swoją kwaterę udał się do Oleśnickiego i zaczął mu opowiadać swoją rozmowę z Husem. Młody kanonik okazał wielkie zainteresowanie dla poglądów byłego rektora. Więcej jednak słuchał, niż mówił. Coś sobie układał w myśli, wazył, kalkulował.

Bolesta, wróciwszy, rzucił się na wymoszczone miękko pośłanie i zaraz zasnął. Śniło mu się tej nocy, że Hus wzywa go do walki.

A w parę dni potem Hus wystąpił publicznie na soborze. Przez trzy dni - 5, 6 i 7 czerwca bronił uparcie swojej nauki, dowodząc, iż nie jest heretykiem, ale przeciwnie, walczy o zachowanie czystości myśli Chrystusa. Znowu zapalił się i ciskał zarzuty na tych i na tamtych. Słuchano go jednak cierpliwie, nie przerywając mu ani jednym słowem; jakby całe zgromadzenie zamarło na skutek dławiącego upału. Na czwarty dzień trybunał inkwizycyjny przedłożył soborowi akt oskarżenia, zestawiony według szeregu punktów. Zażądano od Husa, aby dokonał aktu odrzucenia swych błędów. Magister z Pragi sprzeciwił się temu, twierdząc jednak, że on nie to powiedział, o co oskarża go inkwizycja. Spory trwały więc jeszcze do końca czerwca, lecz stanowisko sędziów i oskarżycieli było od początku zgodne i nie uległo zmianie. Uważali oni Husa za heretyka, a jego naukę za wezwanie do rewolucji powszechnej. „Nie za to go potępiamy - mówił d'Sailly - co tu lub tam powiedział, ale za to, jak myśli”. A

Mikołaj Trąba dodał: „Hus niewątpliwie ma rację, oskarżając duchowieństwo i zakony; zjechaliśmy się po to, aby tę sprawę uregulować i uregulujemy ją, gdyż byłoby błędem nie do darowania potępiwszy człowieka za jego grzechy, nie potępić jednocześnie przyczyny tych grzechów; ale chodzi o to, że nauka jego, sprzeciwiając się każdej władzy i każdemu posiadaniu, rozbudza nienawiść i prowadzi do wojen znacznie gorszych niż te, które się obecnie toczą, a na które on rzuca przekleństwa”.

Wyrok zapadł jednomyślnie w letni pogodny wieczór. Słońce stało nisko, rzucając zza drzew czerwone blaski. Z dała płomieniały krwawą czerwienią góry. Tegoż wieczoru trybunał inkwizycyjny wydał Husa strażnikom królewskim.

A w dwa dni potem zapłonął stos. Wyszły chrust strzelał i trzaskał w ogniu. Lekki wiaterek rzucał czarnym dymem w stronę przykutego do słupa rektora, zasłaniając mu twarz jakby miłosierną chustką. Patrzący stracili go szybko z oczu i tylko zza czerwonej ściany ognia długo słyszeli:

*Boże zemsty, Panie,
Boże zemsty, objaw się!
Powstań, sędzio ziemi,
oddaj zapłatę pysznym!
Dokąd bezbożni, o Panie,
dokąd bezbożni chęć się będą?*

Bolesta gryzł wargi w niemej wściekłości.

3.

Obrady soboru ciągnęły się dalej swoim powolnym trybem. Gorący spór wywołała sprawa krzyżacka, wniesiona na obrady soboru przez Pawła Włodkowica, rektora Akademii Krakowskiej. Znakomity traktat Włodkowica nie przypadł - co łatwo było zgadnąć - do smaku Krzyżakom, którzy starali się nań odpowiedzieć pismami Jana z Bambergii. W ten sposób delegacja polska była wciąż ośrodkiem zainteresowania całego zgromadzenia.

Bolesta jednak siedział w domu, a na obrady nie chciał chodzić. W bezradnej wściekłości zaciskał pięści i miotał przekleństwa. Początkowo, gdy odszedł od dymiących resztek stosu, które pacholcy wrzucali na taczki i wieźli na brzeg rzeki, by zgodnie z

wyrokiem zsypać je do wody, miał wrażenie, że został ostatecznie złamany, zniszczony. Jedyna nadzieja wydobyć się z otchłani rozpacz, w jaką wtrąciło go dotychczasowe życie, zgasła. Rzekłbyś, zamknęły się jedyne i ostatnie drzwi wiodące z mroku w światłość. Ale potem miejsce rozpacz zaczął zajmować gniew. Wpłynęły na to rozmowy z rycerzami z Chlumu i z Duby. Członkowie poselstwa czeskiego nie mieli zamiaru zrezygnować ze swych nadziei, związanych z nauką Husa, tylko dlatego, że ich mistrz poniósł śmierć męczeńską. Przeciwnie - byli zdania, że przelana krew stanie się zawiązkiem nowej wiary i wielkiego przewrotu, w który wierzył Hus. Gońcy wysłani do Pragi powrócili śpiesznie, donosząc o wielkim podnieceniu wśród ludności. Ubrania przyjeżdżających nasiąkły klątwami i złorzeczeniami, od których trząsał się gród nadwełtawski. Zwolennicy nowej nauki przebiegali kraj, niosąc wszędzie zarzewie buntu.

Legacja czeska zebrała się pewnego dnia na naradę, w której wyniku zdecydowano się niezwłocznie wracać do kraju. Miał to być protest przeciwko niesprawiedliwemu wyrokowi. W naradzie brał także udział Bolesta, bo od wykonania wyroku na Husie zbliżył się bardzo do Czechów i więcej z nimi przebywał niż ze swoimi. Miał zresztą do Polaków żal za to, że dopuścili do skazania Husa. Taki Zawisza - nie mógł to zażądać od króla, aby wziął byłego rektora pod swoją opiekę? Albo arcybiskup, o którym wszyscy dziś już głośno mówią, iż będzie wybrany papieżem? Albo i Zbigniew z Oleśnicy, który choć młody wiekiem, cieszy się powszechnym uznaniem?

Podniecony sprawą Husa Bolesta zapomniał zupełnie o synu. Tymczasem Paweł przyłgnał do Zawiszy i dzięki niemu miał prawo stałego wstępu na dwór królewski. Dla młodego człowieka była to prawdziwa okazja, gdyż w nudnym mieście, napelnionym tłumem poważnych postaci dostojników kościelnych, dwór Zygmunta był prawdziwą oazą życia i radości. Luksemburczyk, o ile rankami na posiedzeniach w katedrze lub na rozmowach z poszczególnymi członkami soboru umiał być rzeczowy i poważny oraz starał się o zyskanie opinii, że chodzi mu jedynie o dobro Kościoła, o tyle wieczorem urządzał wesołe i huczne uczty dla rycerstwa, panów Rzeszy, a także niektórych elektorów, chcąc ich sobie zjednać hojnością i serdecznością. Wtedy mówiło się tylko o wielkich potrzebach Rzeszy, o interesach Rzeszy, o bogactwie Rzeszy, a czerwone i ciężkie wino reńskie lało się naprzemian ze złotym tokajem węgierskim.

Wśród orszaku królowej Barbary pełno było dwórek młodych i pięknych, więc też rycerzom i tej pokusy nie brakło. Urządzano zabawy, popisywano się siłą, zręcznością, dowcipem lub śpiewem, by zdobyć uznanie i miłość u wybranej. Atmosfera nie była zbyt surowa, a Pawłowi, który nic nigdy poza domem nie widział, wydawała się nawet trochę

dziwna. Wśród dziewczek wyjątkowym wdziękiem wyróżniała się Róża, córka Arnolda z Hamerlau. Blondynka, wysoka, zgrabna, dość pełna na twarzy, na której robiły się wciąż śmieszne dołeczki, w zabawie nie dawała się zwyciężyć żadnej towarzysze, toteż zawsze otaczał ją rój wielbicieli. Ale myliliby się ci, którzy by posądzali Różę o miłostki. Nie brakło jej wprawdzie okazji, ale właśnie ten nadmiar mężczyzn, którzy chcieli ją zdobyć, sprawiał, że nie uległa żadnemu. Będąc córką rycerza mocno zbiedniałego i wdowca, wychowywała się od maleńkości na dworze królewskim, wcześniej więc mogła poznać wszystkie zasadki, jakie czyhają na dziewczynę w życiu dworskim, przetykanym wciąż jak barwną nitką - nie kończącym się pasmem uczt i zabaw. Prędko spostrzegła, że niektóre dwórki początkowo cieszą się wielkim powodzeniem, które jednak szybko mija; dziewczyny brzydą, poczynają się kryć, tracą łaski, a nierzadko muszą całkiem zniknąć z dworu. Wiedziała o takich, które z płaczem wyjeżdżały, wywożąc w żywocie ciężki owoc owych chwil radości i powodzenia, jedna zaś z jej najdroższych przyjaciółek, starsza o parę lat Berta, zmarła po tajemniczej wizycie u pewnej wiedźmy, mieszkającej w waradyńskim lesie. Natomiast inne dziewczyny mniej może błyszczały wśród zabaw i uczt dworskich, ale za to potem umiały wyjść za mąż i zdobyć sobie własny dwór. Młodzieży męskiej bogatej i dorodnej było przecież dosyć. To była przyszłość. Kręcili się tu także przedstawiciele ogromnie licznej rodziny luksemburskiej; ci wprawdzie nic nie mieli prócz jednego kuzyna, który był królem niemieckim i węgierskim, i drugiego, który był królem czeskim, ale właśnie dzięki temu cennemu pokrewieństwu mogli zawsze liczyć, że nie zostaną pominięci przy najbliższym podziale ziemi i bogactw. Niektórzy z nich pretendowali do niektórych ziem francuskich, które liczyli uzyskać przy pomocy księcia Burgundii. Inni zgłaszali swoje roszczenia do jakichś tam obszarów w Italii, jeszcze inni wysługiwali się na dworze młodego króla Henryka angielskiego, a byli i tacy, którzy liczyli, że przed rokiem zasiadła na tronie neapolitańskim Joanna, księżniczka Durazzo, odda swoje królestwo Zygmuntovi, on zaś będzie mógł je powierzyć jednemu ze swych kuzynów.

Róża rozpatrzyła to wszystko z całą stanowczością i doszła do przekonania, że nie wolno jej lekceważyć przyszłości. Utraciwszy cnotę w byle awanturce miłosnej, mogła się tylko spodziewać zabrania do domu przez ojca i tam wydania za mąż za któregoś z sąsiadów, równie jak ojciec ubogiego, prawdopodobnie starego i nie ciekawego. Ze wstrętem myślała o tym, że wówczas musiałaby już na zawsze zakopać się w małym dworze na odludziu i tam pędzić życie na płodzeniu bez końca dzieci, zawsze posłuszna gospodarskim i niezbyt gorącym porywom mężowskim, wtłoczona między dziewczki dworskie, stajnię, oborę, spiżarnię...

To nie było życie. Przynajmniej życie, jakie sobie lubiła wyobrażać. Marzyła o dobrobycie, hołdach, uznaniu... Przed rokiem trafiła się dość dobra okazja, gdy młody książę Jan Luksemburski, wasal Jana bez Trwogi, księcia Burgundii, począł jej dość obcesowo asystować. Przyjmowała jego hołdy chętnie, zachowując jednak znaczny odstęp między tym, czego on od niej oczekiwał, a tym, co ona mu dawała. W ogóle dawała mało, prawie że nic, tyle tylko, aby nie stracić zalotnika. Lecz mimo starań straciła go. Zresztą nie weszła jej w drogę żadna kobieta, ale sam Jan doszedłszy do przekonania, że będzie mógł prawdopodobnie po ciotce otrzymać Ligne i Saint-Pol, uznał jednocześnie za rzecz niewłaściwą kochanie się w dwórcie ubogiego rodu. Prychnęła tylko w jego stronę jak rozgniewana kotka. Nie ten, to inny! Już ona potrafi sobie zdobyć lepszego. A Jan wcale nie był piękny: miał długi nos, włosy zaś to mu się całkiem przecierały na czaszce.

Od tego jednak czasu nikt się Róży dostatecznie godny trudu nie nasunął. Byli urodziwi mężczyźni - i owszem. Przybył także kiedyś na dwór sam książę Bedford, brat króla Anglii, człowiek jeszcze dość młody, a poza tym przystojny, miły; wreszcie bogaty i znaczny. Wódz armii, prawa ręka króla. Akurat niedawno owdowiał, więc jakby z utęsknieniem patrzył po okrągłych kształtach każdej kobiety. Róża myślała, że Bedfordowi opłaciłoby się dać dużo w formie zaliczki. Ale książę pojechał i nawet jej nie powiedział jednego miłego słowa.

Był także rycerz La Garaciere ze szlacheckiego rodu francuskiego, który przybył na dwór Zygmunta szukać tu dla siebie sławy. Tego charakteryzowała szczodrość w słowach i każdej niemal dwórcie coś obiecywał, a że był i ładny, i postawny, kobiety wrywały go sobie po prostu z rąk. Tylko że się często mylił i czasami, gdy wieczorem spotkał się na skąpanym w mroku krużganku z którąś z dwórek i otwierał jej ramiona mówiąc: „Nadobna Małgorzato” lub „Bogini Venus podobna Ireno”, okazywało się, że tam akurat czekała na niego Berta lub Klara... Był on jednak dla kobiet mocno niebezpieczny, toteż Róża musiała się dobrze pilnować, aby jej ze sobą nie pociągnął. Udało się jej to.

Przyjemniej było na dworze od czasu gdy zjechał do Konstancji. Dużo ludzi przewijało się codziennie przed tronem, toteż dziewczęta miały i z kim rozmawiać i kogo czarować.

W sierpniu dni były suche, gorące. Błękitne, nasiąkłe aż granatem niebo nie miało ani jednej plamki. Od gór wiatr przynosił odrobinę chłodu razem z upajającym zapachem świeżego igliwia i rozgrzanej żywicy. Obielone śniegiem dalekie szczyty przeglądały się w przepaścistej i czarniawej tafli jeziora.

Na dworze postanowiono zrobić wycieczkę wzdłuż brzegów jeziora. Wczesnym świtem służba podprowadziła konie, na które siadały dwórki i rycerze. Dla kilku dam bardziej leciwych lub o wydatniejszej tuszy przygotowano kolaski.

Młodzież rozmawiała wesoło i krzykliwie jak stado kłócących się wróbli. Konie przysiadły na zadach, szły bokiem, parskały lub wyrzucały łbami z fantazją. Miała również jechać z nimi królowa, ale w ostatniej chwili pozostała, tłumacząc się, że jest słaba.

Biała droga wiła się wśród morza czarniawej zieloności, raz zsuwając się niemal nad samą powierzchnię jeziora, innym znów razem dźwigając się na szczyt dość wysokiego żebra, z którego roztaczał się wspaniały widok na panoramę Alp. Jadący rozsypali się długim łańcuchem, który się składał z niewielkich grup zajętych rozmową. Tylko po bokach galopowali najmłodszy, których drażniła powolna jazda i wymagająca sprytu, dowcipu oraz specyficznego kunsztu rozmowa.

Zawiszę otaczało specjalnie liczne grono. Ogromny rycerz jechał pośrodku, opowiadając coś z humorem, o czym świadczyły rozlegające się raz po raz w jego otoczeniu wybuchy śmiechu. Dziewczeta żądały, aby im pokazał swoją siłę, więc schylał się z konia i nie zsiadając chwycił w dłoń leżące na drodze kamyczki. Potem wkładał je między zęby i kruszył jednym ściśnięciem potężnych szczęk. Dziewczyny klaskały z zachwytu w ręce, mężczyźni kręcili głowami. Rycerz, który lubił budzić wokół siebie podziw, wciąż wyszukiwał sobie jakieś nowe przedmioty doświadczałne, a wreszcie zademonstrował największą ze swoich sztuk: gdy przejeżdżali pod drzewem, chwycił się oburącz ogromnego konaru i dźwignął do góry, ścisnąwszy jednocześnie konia łydkami. Jadący ujrzeli rzecz nieprawdopodobną - jak wielki bachmat utracił naraz styczność z ziemią i przez chwilę zawisnął w powietrzu, przebijając nogami. Nie chcieli wierzyć własnym oczom.

- Ojej! - jęknęła Berta ze Schwarzwaldy i nie mogąc się pohamować dotknęła z podziwem dłonią twardego jak dąb uda rycerza. On zaś śmiał się wesoło, przywykły już do tego, że przy nim kobiety zapominały często o obowiązującej je obyczajności, i tylko poklepał dziewczynę po ramionach swą ogromną dłonią.

- Czy to prawda - pytała Irma Juge - że was podobno wielki mistrz Zakonu błagał, abyście z jego rycerstwem nie walczyli?

Zawisza potrząsnął głową i odpowiedział wciąż tym samym wesołym głosem, który zmuszał całe otoczenie do śmiechu:

- A prosił, prosił. I mnie i innych. Pchła także prosi człowieka, by jej nie bił, ale ten okrutnik wciąż tylko na nią poluje. Jakby mu szkodziło, że go trochę ugryzie.

Dziewczyny ze śmiechu aż się kładły czołami na grzywy końskie. Młodzi rycerze wtórowali im, ale ich śmiech stał się nieco sztuczny i zimny.

- Mówił mi stryj - wtrącił niedbale Otto Rotterheim, młody, jasnowłosy rycerz - że król Jagiełło pogan sobie do pomocy sprowadził, ci zaś zaklęciami i czarami przyczynili się do klęski rycerzy zakonnych. Stryjowi nagle ręka tak osłabła, że dźwignąć jej nie mógł.

Zawisza uśmiechnął się złośliwie, ale nie odpowiedział od razu, chcąc tym silniej skupić na swych słowach uwagę towarzyszy. Potem rzekł łagodnie, naśladując słodkawy głos niektórych księży:

- Powiada Pismo święte, że szatan poznawszy Pana Jezusa chciał zaraz przed Nim uciekać. Widać zląkł się świętości Syna Bożego. Dziwne więc się mi zdaje, dlaczego tylu relikwiami zbrojni rycerze zakonni uciekali przed poganem, w którym diabeł mieszka.

Róża jechała na samym końcu długiego szeregu jeźdźców. Otaczało ją tylko dwóch rycerzy: z jednej strony wysoki wzrostem i szeroki w barkach Maks Weinrode, z drugiej dziecinny jeszcze, jasnowłosy Paweł Napor. Syn Bolesty od pierwszego dnia, gdy pojawił się na dworze królewskim, począł kręcić się koło Róży. Początkowo nie zwracała na niego żadnej uwagi. Był bardzo młody, liczył tylko tyle lat, co i ona, nie był więc poważnym kandydatem na męża, a tylko tacy interesowali dziewczynę. Inaczej jednak spojrzała na młodego Polaka, gdy się dowiedziała, że należy do jednego z najznakomitszych rodów w Polsce. Jeden z Jastrzębców był przecież kanclerzem Jagiełły, a o bogactwie rodzin rycerskich w dalekiej Polsce opowiadano i w Niemczech i na Węgrzech prawdziwe cuda. Wprawdzie mówiono także, że Polska jest krajem pogańskim, odkąd zaprosiła na tron swój półdziki wódz litewski, lecz to bynajmniej nie psuło Róży apetytu. Wobec samej siebie gotowa była szczerze się przyznać, że zgodziłaby się wyjść za mąż nawet za Turka, byle tylko ten Turek miał odpowiednie uznanie wśród swoich. Zresztą w Polsce nie mogło być znów tak źle, skoro arcybiskup polski zostanie lada dzień wybranym papieżem...

Paweł był dzieckiem, a o subtelnej grze miłosnej, którą ona miała możliwość poznać w czasie swego pobytu na dworze, nie miał pojęcia. Tym lepiej - będzie go mogła owinąć sobie wokół palca. Z talentem okazała młodziutkiemu rycerzowi pewną przychylność, nie za dużą jednak - tyle akurat, aby w nim obudzić jednocześnie nadzieję i niepewność. Pozwalała towarzyszyć sobie przy ucztach i na wycieczkach, ale zawsze dbała o to, aby i inny jeszcze konkurent nie odstępował od jej boku. Jeżeli wsparła się wsiadając na konia na ramieniu Pawła, to zsiadając na pewno prosiła o pomoc innego rycerza, gdy zaś udała, że traci

równowagę i pozwoliła, aby przez chwilę chłopak poczuł w ramionach jej powabne ciało, to tego już dnia trzymała się odeń z dala i z całą świadomością unikała jego towarzystwa.

A Paweł tracił coraz więcej głowy. Matka upewniała go zawsze, że z jego urodą i rycerskimi zaletami zdobędzie sobie żonę, jaką tylko zechce. Tę pewnośc zachwiało w nim zetknięcie się z takimi bohaterami jak Zawisza - z ludźmi, za którymi, czuło się, poszłaby od razu każda kobieta zameżna czy panna. Ale dawną pewnośc odzyskiwał, odkąd Róża ofiarowała mu kilka drobnych łask. W jego oczach dziewczynę - jako dwórkę królowej rzymskiej - otaczała aureola niezwykłości. Takiej żony zazdrościłby mu w Polsce każdy, a jeżeli ją zdobędzie, jaką sławą okryje swoje imię! Miał chwilami wrażenie, że już mówią o nim tak samo jak o Zawiszy i o Balickim. Ojciec? Nie, ojciec nie potrafił nigdy błysnąć sławą. Matka słusznie nazywała go niedołęgą. Być może, zechce mu utrudniać to małżeństwo. Ale dlaczego? Paweł czuł to dobrze, że ojciec go nie lubi. Nie byłby go zabrał do Konstancji, gdyby nie matka i wuj kanonik, którzy wspólnie uradzili, że chłopiec musi się w świecie otrzeć. Uległ ich dowodzeniu, ale uczynił to wbrew sobie.

Droga w tym miejscu niespodziewanie się zwięzała i kolano Pawła otarło się nagle o kolana Róży. Przeszedł go rozkoszny dreszcz. Umilkł. Nie mógł zdobyć się na obojętną rozmowę, jaką prowadził jeszcze przed chwilą.

Róża, przechylona ku Maksowi, nieznacznie spod spuszczonej rzęs obserwowała Pawła. Rysujący się ostro na tle błękitnego nieba i nie mniej błękitnego jeziora profil młodego rycerza miał w sobie równie dużo siły i słodyczy. Coraz mocniej uświadamiała sobie, że ten chłopak podoba się jej. Nie był wprawdzie partią o jakiej marzyła. Nie mógł się równać ani z księciem Janem Luksemburskim, ani z księciem Bedfordem, ani nawet z rycerzem de la Garaciere. Lecz był pierwszą osobą, która się nią poważnie zainteresowała, marzenia zaś Róży co rok po trochu traciły ze swej górnolotności. W dziecinnych jeszcze rysach Napory odnajdowała krytycznym wzrokiem groźny mars, z którego słynełi rycerze polscy, a także miękka słodycz, której tak brakło twardym, jak z kamienia wykutym twarzom otaczającym ją Niemców.

Byстрыm spojrzeniem dostrzegła, jak zmieniała się ta twarz, gdy noga mężczyzny trąciła o jej nogę. Paweł zbladł, a jasno szare, błękitem osnute oczy ściemniały i rozblęły. Usta rozchyliły się szerzej, wargi napełniły się krwią i stały się ciężkie.

Czy należy zmusić go do działania, czy też jeszcze przeciągnąć grę? Obawa przed jakimś zawodem nakazywała przeć szybko do celu, rozsądek jednak ostrzegał. Był jeszcze ojciec Pawła - ponury, nigdy nie uśmiechający się rycerz - o którym wiedziała, że stanąć gotów na drodze syna. Może należało najprzód jego ułagodzić, zjednać dla siebie. Potem

przyszło jej na myśl, że tym doskonale zajmie się Zawisza. Wszyscy Polacy liczą się z nim, a on to przecież przyprowadził Pawła na dwór królewski, więc też nie opuści chłopca w potrzebie. Poprosi go zresztą, a on jej nie odmówi. Trzeba więc kuć żelazo, póki gorące.

- Czyście kiedy kochali, rycerzu? - spytała Maksa.

Niemiec przewrócił parę razy oczami wzorem minnesangerów, a potem teatralnym gestem położył dłoń na sercu.

- Zapomniałem już, kiedym był wolny od więzów miłości!

Kącikiem oka spojrzała na Pawła. Wiedziała, że weźmie tę dworską odpowiedź na serio. I rzeczywiście ujrzała, jak zacisnęły się mocno młodzieńcze usta.

- I jakąż jest ta wasza ukochana? - pytała dalej Maksa.

Wyciągnął rękę ku pałającym w słońcu szczytom.

- Piękniejsza niż ten śnieg...

Na poły obojętnie, na poły zalotnie zwróciła się do Pawła:

- Nie mówicie nic? Chyba was bożek miłości nigdy nie zranił swoją strzałą?

Twardo zająkując się, wyznał, że i on od dawna już kocha. W jego słowach dyszał nie dający się ukryć niepokój.

- Mówicie o miłości, jakby to nie była rozkosz - żartowała - ale trud i męka...

Gdy ona w ten sposób mówiła, Paweł tracił się i mieszał. Nie mógł jej dorównać w szermierce słownej, wstydził się swej nieumiejętności, wołał więc milczeć.

Ciągnący się długą linią wąż jeźdźców począł się zbijać przed gospodą mistrza Hymanusa, która stanowiła cel dzisiejszej wycieczki. Sam właściciel w otoczeniu sług witał przyjeżdżających niskimi ukłonami. Izby były przybrane kwiatami i zielonością, służba roznosiła kielichy, kubki, dzbanki i gąsiorki.

Ale Zawisza stanąwszy w progu zmarszczył nos i skrzywił się, robiąc minę, jakby poczuł jakiś niemiły odór.

- Zabieraj to wino! - rzucił krótko, wskazując na ustawione na kozłach beczki.

Gospodarz starał się wytłumaczyć, ale rycerz pokręcił tylko stanowczo głową. Cóż on sobie myśli? Może mu się wydaje, że Zawisza Czarny z Garbowa, starosta spiski, pić będzie te paskudne, słodkie cienkusze, które dla łyków i pospólstwa robią w zmarnowanej ciągłymi wojnami Francji? „Dać lepszego” - uderzył dłonią w stół. „Ja zapłacę” - dodał łaskawie.

Hymanus wraz z pachołkami skoczył do lochu. Goście tymczasem siadali wesoło na ławach. Śmiech perlił się i wybuchał nie krępowany niczym. Kobiety gwałtownie się wachlowały, mężczyźni pomagali im w tym gorliwie.

Paweł stał na uboczu, gryząc wargi ze złości. Róża zsiadła z konia korzystając z pomocy Maksa i w jego towarzystwie weszła do izby. Należało prawdopodobnie odpowiedzieć na to ostentacyjnym zajęciem się inną kobietą, ale Paweł nie mógł się na to zdobyć. Zbyt głęboko ugrzązł mu w sercu haczyk zręcznie zarzucony przez dziewczynę.

- Nie odpowiedzieliście na moje pytanie... - posłyszał za sobą. Odwrócił się. Stała przed nim Róża uśmiechnięta, trzymając w rękach dwa kielichy. Podała mu jeden.

- Pijmy - rzekła nie czekając na odpowiedź - za zdrowie... Za zdrowie waszej miłości...

Podniosła kielich w dwóch palcach, a potem przytknęła go do drobnych warg, nie przestając patrzeć na rycerza znad złotawego płynu. On zaś przełknął prędko podany sobie kielich. Poczuł, jak ciepło ogarnia go całego od wewnątrz i bije rumieńcem na twarz.

Stanęli w szerokim oknie, otwartym obecnie na rozcież. U ich stóp, poza wąskim parapetem drogi, leżało jezioro skąpane w słońcu. Zieleń brzegów odbijając się w wodzie, nadawała jej dziwnego uroku i złudzenia głębokości. Z dala brzeg dźwigał się ku górze niezliczonymi tarasami zieloności, która robiła z tej oddali wrażenie gęstego mchu. W głębi przetkane blaskiem i lekkie jak sen leżały góry, połyskując srebrem śniegu.

- Czy u was w Polsce jest tak ładnie? - zapytała Róża.

W pierwszej chwili potrząsnął przecząco głową. Ale potem po chwili dorzucił:

- Jest ładnie. Ale inaczej...

Wsunęli się w okno, oddalając się w ten sposób od rozgwaru sali, krzyków i śmiechów. Róża miała poczucie swego zwycięstwa. Ale jeszcze odwlekała z ostateczną rozgrywką. Wieloletnie doświadczenie wyrobiło w niej nie tylko umiejętność gry miłosnej, ale także nauczyło ją tę grę kochać. Żal jej było zniszczyć wyraz niepokoju, który malował się na twarzy Pawła. Potem - myślała - przychodzi moment, gdy znika z twarzy mężczyzny to trwożne uwielbienie pierwszych chwil zbliżenia. Mąż grzebie kochankę, a pożądanie jest grobem miłości. Gdyby można grę przedłużyć w nieskończoność i zatrzymać się na zawsze na skraju między pragnieniem a realizacją pragnienia! Ale na próżno! Mąż, zyskawszy raz do niej prawo, przestanie być lęklwym wielbicielem; ona, znalazłszy się w jego ramionach, nie zazna już nigdy rozkosznego dreszczu przed wielką tajemnicą.

Na progu ostatecznej decyzji poczuła coś jakby żal za tym, od czego odchodziła. Potem nie będzie mogła już do nikogo tęsknić, do nikogo wdychać. Wprawdzie ślub nie wiąże tak silnie, aby nie można było za plecami męża znaleźć sobie kochankę, ale to już nie jest ta pierwsza miłość. Pierwsza miłość! Czy jest ona tylko złudzeniem? A może znaleźć ją

można - tę pierwszą, jedyną i wieczną miłość - tylko w wyrzeczeniu? Może spotykamy ją na drodze wówczas, gdy o niej nie myślimy, a nie potrafimy odnaleźć szukając?

Czykolwiek ona jest, nie czas już do niej wracać. Za daleko zaszła na swojej drodze i nie może się już cofnąć. Trzeba więc konsekwentnie sprowokować mężczyznę do ostatecznych słów.

- Gdy patrzę na jezioro, chce mi się płakać - zaczęła - tak mi smutno... Może się dziwicie, panie, dlaczego wam to mówię? - zapytała tym stereotypowym i sakramentalnym pytaniem wszystkich kobiet przystępujących do wyznań, które mają z kolei wywołać wyznanie mężczyzny. - Ale wydało mi się, że patrzycie na mnie jakoś bardziej życzliwie niż inni, bardziej serdecznie...

Mówiła nadając głosowi ton miękki, ciepły. Starła się włożyć w swoje słowa uczucia, których nie doświadczała, ból, który był jej obcy. Samotność... Brak zrozumienia. Brak człowieka, który by pocieszył... Powtarzała te rzeczy jak wyuczoną lekcję. Nie była wynalazczynią, mówiła tylko to, co powtarzały i powtarzać będą zawsze inne kobiety, ale rolę, do której się przygotowała, odgrywała z talentem. Przystudiowała ją przedtem dobrze i była pewna każdego akcentu. Wiedziała, co teraz nastąpi. W odpowiednim momencie, ani za prędko, ani za wolno, twarda i ciemna dłoń mężczyzny ujęła jej wypielegnowaną dłoń.

Teraz on ją zapewniał. I jego rola nie była jej obca, choć słyszała ją wygłoszoną po raz pierwszy. Obojętnie zauważyła w duchu, że popis mężczyzny mógł wypaść lepiej. Ale trzeba mieć wyrozumiałość dla młodego wieku rycerza.

Schylił się i dotknął z szacunkiem ustami jej ręki. Nieśmiałość z wolna wyparowywała z Pawła. Mówił dużo, obiecywał, roztaczał radosne obrazy, pojawiające się tylko w wyobraźni zakochanego.

- Wasz ojciec... - podkreśliła swoje obawy.

Ale on potrząsnął tylko lekceważąco głową.

- Matka... - rzekł.

Uśmiechnęła się. Ale tylko ustami. Prawdziwe obawy pojawiły się dopiero teraz. Więc była gdzieś kobieta, którą ten chłopak przeciwstawiał z taką pochopnością ojcu. Ojciec - ten ponury rycerz, którego widziała raz z oddalenia - nie myślała o nim naprawdę z obawą. Ale matka... Kim jest? Czy wielka indywidualność tamtej kobiety nie zaważy na jej życiu, nie pokrzyżuje misternie splecionych planów?

Ale usta uśmiechały się, a w oczach zapalił się błysk radości. Podała Pawłowi obie dłonie i tak stali przez chwilę w szerokiej framudze okna, skąpani w różowych blaskach zachodzącego za szczyty gór słońca.

Kobiety uprosiły Zawiszę, aby im zaśpiewał, choć wielu mężczyzn, szczególnie młodych - oburzało się na to w duchu. Ten starzejący się już rycerz powinien ustąpić im wreszcie pola. Cóż z tego, że śpiewa pięknie, jeżeli włos na skroniach wysrebrzyła już siwizna? Stary - powtarzały bezgłośnie zaciśnięte gniewem usta.

Ale Zawisza nie czuł się wcale stary. Rozparty wygodnie w wielkim fotelu, jedną ręką wsparł się pod bok, drugą objął w pól siedzącą obok Bertę i śpiewał pełnym, głębokim głosem, w którego brzmieniu nie odnalazłby nikt ani jednego tonu zdradzającego zmęczenie. Biesiadnicy zamilkli, zrobiła się cisza i tylko kilkanaście par oczu wparło się w śpiewaka. Ten zaś powiódł wzrokiem po twarzach kobiet, nigdy dosyć niesyty oglądania ich pełnych zachwyty oczu. Gdyby tylko zechciał... - była to świadomość zbyt mocno kusząca dla słabego człowieka. Zaglądał w szare, błękitne czy czarne oczy i nie znajdował w nich nic poza uwielbieniem i oddaniem. Zadowolenie wewnętrzne przesączało się w głos, który coraz śmielej, coraz mocniej wznosił się, cichł, znów wybuchał, wiązał ze sobą setki fraz, spływał w gorący szept, by znowu, jakby pod ostrogą nagłej decyzji - wystrzelić dźwięcznym piorunem słowa. Między śpiewem rycerza a milczącym podziwem otaczających Zawiszę kobiet zawiązała się tajemna nić wzajemnej współzależności: im więcej ślepego oddania znajdował starosta spiski w twarzach kobiet, tym więcej nowych bogactw nabierał jego głos, a bogacąc się, wznosił wokół podziw i zachwyty. Zdawać by się mogło, że w tym nie kończącym się crescendo sztuki i zachwyty nad nią nie będzie nigdy końca. Albo raczej musi nastąpić koniec, bo ucho ludzkie nie zniesie już dalej tego piękna, zachwyty zaś nie da się zataić w ramach milczenia, ale wybuchnie krzykiem pożądania, krzykiem istoty, która chce i domaga się ze wszystkich sił połączenia.

Lecz nagle wzrok Zawiszy zatrzymał się na jednej z twarzy. Ta kobieta siedziała obojętnie, rzekłbyś, głucha na namiętne wołanie miłosnej canzony. Spuściła oczy i niedbale bawiła się małym nożykiem. Gęste brwi rycerza zbiegły się nagle. Błyskawicą wzroku zażądał od dziecięcej prawie jeszcze twarzy, aby spojrzała na niego. Głos zastygł w jakimś przejmującym wołaniu i wisiał w powietrzu oczekując odpowiedzi. Słuchacze nie mogli zrozumieć, dlaczego rycerz przedłużył tak uparcie ten wysoki tryl. On zaś, oburzony obojętnością kobiety, przeciągał głos aż do ostatnich granic. Nie chodziło mu przecież o tę kobietę. Nie chodziło mu w ogóle o żadną z kobiet, które siedziały razem z nim w sali gospody. Ale nie mógł znieść świadomości, że znalazła się zuchwała, która na jego wołanie odpowiedziała obojętnością. Był człowiekiem świadomym swych zalet. Wiedział, że potrafi uczynić uległą zarówno naiwną jak i doświadczoną, panią i mniszkę. Znał podstęp kobiet - i

umiał im odbierać broń. Ale tutaj nie było podstępu, była natomiast całkowita obojętność wobec największego z miłośników tej doby.

Głos zbyt przetrzymany, zabrzmiał nagle chrapliwie. Zgasł jego głęboki ton. Wydał się dziwnie obcy i nienaturalny. Jakby... jakby był głosem starego człowieka.

Zawisza wybuchnął śmiechem i nagłym ruchem wychylił kielich do dna, kielich wina. Ten śmiech miał zatuszować odniesioną porażkę. Z talentem wytrawnego artysty wołał się do niej przyznać niż pozwolić- aby mu ją kto wytknął.

- Starzeję się... Głos mnie zawodzi...

Odpowiedziały mu liczne protesty.

Słońce zanurzać się zaczęło między kolumnadę szczytów. Szary mrok spływał w dolinę, niosąc ze sobą pierwsze podmuchy chłodu. Wychodzono z gospody i siadano na konie. Po chwili rozczłapały się końskie kopyta po kamienistej drodze.

Zawisza nieznacznie tak kierował koniem, aby znaleźć się koło młodziutkiej Jadwigi Hoholdówny, córki jednego z najznakomitszych rycerzy węgierskich. To ona okazała niezrozumiałą obojętność dla jego śpiewu. Dziewczyna jechała milcząca, otulona w płaszcz. Rycerz pochylił się ku niej.

- Widziałem, że się wam, pani, nie podobał mój śpiew - postawił sprawę od razu jasno.

Nie odpowiedziała nic. Nawet nie podniosła głowy.

- Może i mnie niechętnie widzicie?

Tym razem potrząsnęła przecząco głową. Zawisza pochylił się, oparł rękę na łęku siodła jej konia, ten zaś, czując żelazny ciężar tej dłoni, począł niespokojnie prychać. Jadwiga spuściła oczy, nie patrzyła na pochyloną nad sobą w półmroku twarz rycerza. On zaś począł mówić szybkimi, urywanymi zdaniami, które mu dyktowała urażona duma. Obraziła go. Jego, za którym każda kobieta gotowa biec niepomna na to, co pozostawia. Powinien był odpowiedzieć obelgą za obelgę, obojętnością zapłacić za obojętność. Ale on tego nie chce. Nie może...

Jego głos zmiękł, nabrał głębokich, gorących tonów. Gdyby nie okazała mu lekceważenia, gdyby nań patrzyła z podziwem i miłością, nie zwróciłby nawet na tę zbyt chudą i niezbyt piękną dziewczynę najmniejszej uwagi. Ale podrażniony oporem postanowił ją zdobyć. Musi mu ulec, musi patrzeć mu w oczy jak tamte - ze ślepym oddaniem.

Podnosząca się z jeziora noc niosła od winnic i od gajów ciężkie aromaty. Owinęła głowy jadących woalem cienia, zdusiła krzyki i głośne rozmowy. Spychała konie ku koniom, aż poczęły się ocierać bokami. Pod jej opiekuńczym skrzydłem dłonie wysuwały się ku

dłoniom, ręce dotykały ramion, a ramiona opasywały biodra. Mniej czujnie prowadzone konie potykały się raz po raz. Rozmowę zastąpiły zduszone szepty. Usta zbliżyły się do ust...

Paweł jechał sam obok Róży, gdyż dziewczyna pozbyła się z ręcznie Maksa, którego już nie potrzebowała. Oczekiwała. Nieomal odetchnęła z ulgą, gdy poczuła skradającą się dłoń na plecach. Ale to dotknięcie nie sprawiło jej żadnej radości. Biernie poddała się nieśmiałoemu uściskowi, oczekując dreszczu, którego zbliżanie tyle razy czuła. Ale noc, która obok niej rozgadała się namiętymi szeptami, o niej - rzecz by można - zapomniała. Nie czuła nic. Trzeba się przecież raz zdecydować - powiedziała sobie. Paweł pochylił się nad nią. Słyszała w ciemnościach jego nierówny, jakby zdyszany oddech. Odwróciła ku niemu twarz. Lecz usta, które dotknęły mocno, choć niewprawnie jej warg, nie obudziły także jej śpiącego serca. Czyżbym się przeczekala? - przebiegło jej nagle przez głowę. I chcąc powetować towarzysowi swoją obojętność, uchwyciła jego rękę i wpiła się w nią ostrymi paznokciami.

Ostrożnie Zawisza oderwał rękę od siodła Jadwigi. Niby bawiąc się, gładził dłonią wysokie oparcie, zahaczając jednak za każdym razem palcami o płaszcz kobiety. Jednocześnie mówił. Cicho, ale wyraźnie. Że dawno już na nią patrzy, że zawsze był wielbicielem jej urody. Będzie mnie kiedyś błagać o takie słowa - dodawał dla siebie w duchu. Chęć złamania uporczywej kobiety opanowała go całego. Wciąż ostrożnie, ruchem niemal obojętnym otaczał ją ręką w pasie, Ale zaledwie dziewczyna poczuła na sobie rękę mężczyzny, wyślizgnęła mu się z objęcia zręcznym zwrotem tułowia. Był tym tak zaskoczony, że sięgnął po raz drugi. I znowu ciało Jadwigi wysunęło się z jego objęcia.

Tym razem nie mógł wątpić. Wyprostował się na siodle, głos jego zabrzmiał lodowato:

- Znudziście się pewno, pani, jadąc z takim jak ja niemłodym już człowiekiem. Jeżeli chcecie, zawołam wam którego z młodszych...

Nie odpowiedziała nic. Jeszcze tylko niżej spuściła głowę. Zawisza podjął znowu:

- Żaden z młodszych, którzy się przy dworze kręcą, nie towarzyszył wam dzisiaj. A przecież chyba zgadnę, gdy powiem, że ktoś skradł wam serce.

Milczała. Zawiszy przez chwilę przeszła przez głowę myśl, że niepotrzebnie zajmuje się tą głupią dziewczyną. Mówić nie potrafi - czy co? A może zadurzyła się w jakimś chłopie z gminu i nie chce się do tego przyznać. Ale nie lubił ustępować z placu.

- Kochacie? - pytał.

- Tak - odpowiedziała cicho i bardzo prędko.

- Kogo? Kto jest tym szczęśliwym? Jestem waszym przyjacielem, zechciejcie mi ufać. Posłuchajcie: na dowód przyjaźni ofiaruję waszemu wybranemu swą przyjaźń i tarczę... Przyjaźń Zawiszy...

Przebiegło mu przez głowę, że jeżeli to rzeczywiście jakiś prostak, to niepotrzebnie rzucił na szalę swe imię. Ale Zawisza nie cofał nigdy danego słowa.

- Przyjaźń Zawiszy... - powtórzył.

Pokręciła głową.

- Dziękuję wam, rycerzu. Ale nie powiem.

Wzgardziła tym, co ofiarował! Gniew zawrzał w sercu rycerza z Garbowa, toteż powziął w sercu ciche postanowienie, że tego głupca, którego ona ośmiela się wyżej od niego stawiać, znajdzie, a znalazłszy zmierzy się z nim. Niech przyzna wówczas, kto więcej wart kochania, gdy staną obok siebie. Ale wtedy jej nie oszczędzi. Tamten musi się okryć śmiesznością. Musi zejść z placu. A on, Zawisza, usłyszy, jak Jadwiga będzie się dopraszać jego miłości.

Błysnęły światła, wjeżdżali do miasta. W bramie stali ludzie z pochodniami, a także grupka rycerzy, żywo nad czymś rozprawiająca. Zawisza podjechał ku nim. Byli to rycerze czescy, a wśród nich starszy Napora. Zapytał:

- Co się stało? O czym tak rozprawiacie?

Bolesta podszedł do jego konia z błyszczącymi oczami. Na jego ponurej twarzy malowało się coś jakby radość:

- W Pradze walka - rzekł.

4.

Zima upłynęła dość szybko, nie przynosząc jednak żadnych zasadniczych posunięć w pracach soboru, poza układem w Narbonne, który ostatecznie zdecydował o upadku Benedykta. Kraje, uznające dotychczas stolicę apostolską w Avignon, wyrzekły się ostatecznie obediencji Benedykta, co pozwoliło soborowi zdetronizować ostatniego pretendenta do tiary papieskiej. Schizma upadła, można było przystąpić do nowych wyborów, nie obawiając się, że przyszły papież znajdzie się w położeniu trzeciego między dwoma istniejącymi, tak jak to miało miejsce po soborze pizańskim.

Lecz wyrosło w międzyczasie tyle pilnych spraw, że nie można było po prostu znaleźć spokojnej chwili dla dokonania wyboru. Poza tym głosy były rozbite, obawiano się poważnie,

że żaden z kandydatów nie uzyska zdecydowanej większości. Za Mikołajem Wieniarskim wypowiedziała się cała prawie grupa „niemiecka” i „francuska”, natomiast grupa „włoska” wysuwała swego kandydata kardynała Odoną Colonnę. Stałą dywersję robili Krzyżacy, sprzeciwiając się kategorycznie zarówno wyborowi Wieniarskiego jak i Colonna; czuli się zaś mocni mając za swymi plecami swego wielkiego protektora, Henryka V.

Z kolei więc sprawa krzyżacka wypływać zaczęła na pierwszy plan i zajmować wszystkie umysły. Znakomita praca Pawła Włodkowica zatrzęsała poważnie ideowymi podstawami rycerskiego zakonu. Dyskutowano na jej temat zawzięcie, choć stronnicy Krzyżaków starali się od niej odwrócić uwagę wszystkich i nie wahali się twierdzić, iż między dziełami rektora Akademii Krakowskiej a nauką Husa istnieje dużo podobieństw i zbieżności.

Niewątpliwie w pismach Włodkowica nie brakło tych samych akcentów, które, rozpalone do białości w ogniu dialektyki Husa, doprowadziły nieszczęsnego rektora aż do stosu. Szermowanie zasadą konsyliaryzmu oraz atak na grzeszną postawę ludzi ubranych w szatę pobożności mogły się wydawać niejednemu także buntowniczym podważaniem wszelkiej hierarchii. Ale na Zachodzie - z drugiej strony - mało kto wiedział, jakimi to metodami prowadzą swoje „nawracanie” Krzyżacy, i mało kto zdawał sobie sprawę z tego, że protest uczonych polskich jest protestem przede wszystkim przeciwko duchowi niemczyzny. Krucjaty skończyły się, brak było ludzi, aby się porwać na wielki zryw ducha, ale podziw dla krucjat jeszcze nie zaginął, jeszcze go nie zadławiła fala sceptycyzmu. Dlatego dla Zachodu Krzyżacy, siedzący w samym sercu pogaństwa, byli jakby ostatnimi pogrobowcami tej podziwu godnej epoki. Przeciętny Niemiec, Włoch czy Francuz nie widział zupełnie różnicy między spokojnym z natury poganinem nadbałtyckim a Turkiem czy Arabem, nie mógł sobie wyobrazić, że więcej można osiągnąć z Prusakiem, Jadźwingiem, Żmudzinem czy Litwinem dobrocią, niż postrachem miecza. Ludzkość w epoce karlenia szuka sobie ułatwień i uproszczeń mających w pierwszym rzędzie na celu uniknięcie wysiłku. Zamiast obrócić broń na Turków, którzy z wciąż rosnącą siłą wpierali się w ziemie dawnego Bizancjum i okrążywszy Konstantynopol, zbierali tylko siły, aby zawrzeć straszliwe cęgi wokół opuszczonego przez wszystkich grodu cesarów, lub szarpali kawałkami królestwo węgierskie, Europa wolała się łudzić, że prowadzi wojnę krzyżową na północy, wspierając Krzyżaków w ich napadach na spokojną ludność żmudzińską. Nikt - poza Węgrami, lękającymi się zresztą o swoją skórę - nie myślał o pomszczeniu klęski pod Nikopolis. Na tę sprawę zamykano chętnie oczy, gloryfikując - z drugiej strony - niezmiernie pożyteczną i czcigodną pracę Zakonu. Tą zdawkową pochwałą Europa starała się zrzucić z serca świadomość wzrastającej

odpowiedzialności. Nikt zresztą nigdy tylu komplementami dla cudzej pracy nie szafował, co właśnie ludzie, którzy sami unikali pracy i wysiłku. Miernota nie ceni nigdy prawdziwej wielkości, bo brak jej poczucia proporcji. Dla niej ideałem stanie się spryciarz i kombinator strojący się w pióra bohatera z talentem kokoty. Każda ostatecznie wielkość znajduje naśladowców, ale czym więcej wzorowań się, tym dalsze egzemplarze zbliżają się więcej wyglądem do karykatur rzeczywistości.

Może jeden Gerson zrozumiał prawdziwą myśl Włodkowica. Ten człowiek odczuwał również rozbieżność między rzeczywistością a ideałem, który stał im przed oczami. I on wiozł ze sobą na sobór podobną sprawę i przygotowywał się do rozprawy z tezami Jana Petita, gloryfikatora morderców Karola Orleańskiego. Mord - w imię czego? Najazdy na ziemię polskie czy litewskie - w czyim interesie? Czy nie należało raczej potępić miecza, jeżeli ręka, która go dźwiga, jest tylko ręką grzesznego człowieka? Michel Kuchmeister nie jest przecież Godfrydem z Bouillonu, ale po Godfrydzie przychodzili tacy jak Guy L'Usignan, a po Ludwiku - Filip Piękny. Takie jest życie, że piękność trwa tylko chwilę, podłość zaś i małość nigdy nie ustępują z placu, najwyżej kryją się na moment, by potem tym mocniej przerażać swą ohydą. Jaki to straszny dramat, że budować trzeba na trzcinie wiatrem kołysanej, jaką jest człowiek! Cóż warte są najpiękniejsze marzenia, jeżeli w dłoniach wykonawców muszą się zmienić w karykaturę? Bo człowiek umie tylko karykaturować dzieła swoich myśli. Myślą wprawdzie wsiąkł w życie, ale jego ręce i nogi i biodra tkwią wciąż w bagnie codziennych spraw. Nie ma wyjścia! Nie ma wyjścia!

A raczej jest jedno wyjście. Gdy wieczorem pustoszała katedra i mroki śmieiej wynurzały się z kątów, zaś w głębi migotliwym, drżącym płomykiem palił się kaganek przed Najświętszym Sakramentem, przychodzili obaj rektorzy i klękawszy w załomie murów modlili się szczerze i gorąco. Cisza kościoła otaczała ich jak woda. Zanurzali się w nią, zstępowali aż na samo dno pustki, aż na samo dno własnej niemocy. Ich człowieczeństwo łkało z bólu i kładło się w prochu przed Stworzycielem. Wyznawało własną nicość. Modliło się o zmiłowanie.

Mrok, zaścielający posadzkę i wspinający się po ścianach jak mech, rzucał na nich pajęczynowe nitki spokoju. Osnuwał ich, koił ból. Podnosili pewniej głowę, bili się w piersi, żegnali, dotykali czołem zimnej posadzki. Zdawać by się mogło, że miłosierna Dłoń schyla się ku ich czołom i dotyka delikatnie włosów. Radośnie poddawali się tej pieszczocie. Otucha wstępowała w ich serca. Podnosili się z kolan.

A potem wychodzili, by znowu łamać dłonie i rzucać mdłe gromy. Zaznawszy miłosierdzia, wierzyli, że znaleźli radę. Wyznawszy swoją słabość, byli pewni, że ją w ten

sposób uleczyli. Potępiali swoje człowieczeństwo i stanęli niejako poza nim. Rzucili ten łachman przed ołtarz i powiedzieli: „Oto, Chryste, tacy jesteśmy. Działaj za nas, bo inaczej zginiemy”.

Burza wyła i gwizdała koło nich. Wściekłe bałwany waliły się z łoskotem na łódkę, którą płynęli. Rozleciał się strzaskany ster, zwałił się przełamany jak krucha trzcina maszt. A Mistrz spał. „Panie, ratuj, giniemy!” Wyciągnął do nich rękę, dotknął przerażonych twarzy. Ochłonęli, opamiętali się, usiedli. Ale steru potrzaskanego, ale złamanego masztu nikt nie naprawił. Zabrakło ręki kobiety, której sam Chrystus przed niewielu laty powiedział: „La mia naturae fuoco”.

Paweł zaraz następnego dnia po wycieczce, na której wyznał Róży swoją miłość, postanowił rozmówić się z ojcem. Bolesta ostatnimi czasy był tak ponury i zły, że w ogóle nie zamieniali ze sobą ani jednego słowa. Starszy Napora nie chodził na posiedzenia soboru, ale całymi dniami włóczył się gdzieś zupełnie samotnie. Nikt nie wiedział, gdzie jeździ i co robi, bo nawet pacholka nie brał ze sobą. Wracał wieczorami, połykał strawę, którą przed nim stawiano, i nic nikomu nie mówiąc, rzucał się na posłanie. Spał tak mocno, że rano nawet hałaśliwa krzątanka po sąsiednich izbach nie mogła go zbudzić. Wychodził zaś dopiero gdy oni pojechali już na obrady. Wołał wtedy pacholka, kazał sobie dawać jeść i przygotować konia. Zaraz też potem wyjeżdżał.

Chłopiec postanowił porozumieć się z nim rano. Siadł i cierpliwie czekał, kiedy wreszcie ojciec wyjdzie od siebie. Drzwi skrzypnęły, stanął w nich Bolesta, prosto ze snu, bosy, ze skołtunioną głową, w pomiętej bieliźnie. Na widok syna skrzywił się z niechęcią. Był pewien, że go, jak co dzień, wcale nie zobaczy.

Paweł stał przed Bolestą pełen fałszywego szacunku. W rzeczywistości dawno już o szacunku dla ojca zapomniał. Patrzył zawsze na Bolestę z wyrazem pewnego politowania i wzgardy. Człowiek, który niczego nie zdobył w życiu - ani mienia, ani imienia - czyż warto go czcić i szanować.

Ale tutaj nie było matki, trzeba więc było prosić tego niedołęgę o pozwolenie starania się o Różę. Paweł przełknął to poniżenie i postanowił starać się pozyskać ojca. Trochę niepewnie, bo rozbudzone uczucie wprawiało w drżenie jego głos - wyłożył całą sprawę. Dodał, że składa swój los w ręce „drogiego rodzica”.

Bolesta spojrział na syna wzrokiem dziwnie błędnym. Robił wrażenie jakby nie rozumiał tego, co do niego mówi Paweł. Potem trochę się opanował, usiadł i jedząc słuchał

wywodów chłopca. Nie przerywał mu ani jednym słowem. Gdy tamten skończył, wzruszył ramionami.

- Chcesz się żenić? - Ależ tyś jeszcze dzieciak! Aniś pasowany, ani nic. Kotowi chyba ogon utniesz i pod nos przylepisz, bo i na wąsy musisz jeszcze czekać.

Paweł zatrzęsł się gniewnie, ale opanował się. Tłumaczył, że jest wprawdzie młody, ale i młodszy od niego wzięli się węzłem małżeńskim, pasowanie zaś trudno dostać, gdy nie ma żadnej wojny. Niech jednak ojciec poczeka do pierwszego starcia, a zobaczy, czy nie będzie wśród tych, którzy pas i ostrogi otrzymają.

Napora przerwał ten potok wymowy krótkim ruchem ręki.

- Cóż to za dziewczyna? - pytał.

- Róża z Hemerlau. Córka rycerza Arnolda, dwórka królowej. - I począł szeroko się rozwodzić nad pięknnością i mądrością swej wybranej. Mówił prędko i składnie, niepokój i niepewność, które odczuwał, dodawały mu swady.

Bolesta zamyślił się nad tym, co ma począć. Właściwie to go nic nie obchodziło małżeństwo syna, a nawet powinien być zadowolony z tego, że się raz skończy ta wieczna nagonka żony i syna na niego, bo Paweł będzie musiał zająć się swoim domem. Mógłby mu zbudować osobny dwór i wtedy w ogóle nie patrzyłby na niemiłą twarz chłopca. Dość ma samej Katarzyny. A może i matka zechce zamieszkać przy młodych?

Wszystko więc przemawiało za tym, aby się na to małżeństwo zgodzić. Wszystko - oprócz tego jednego, że Bolesta nie mógł znieść myśli, że sprawi swoją zgodą radość synowi. Brr! Ten wstrętny młokos będzie mu okazywać swoją obmierzłą wdzięczność, albo, co gorzej, zacznie może przypuszczać, że ustąpił, aby się matce jego nie narazić. Myśl, że mógłby ujrzeć rozjaśnioną twarz chłopca, sprawiała mu obrzydzenie. Znacznie milej mieć świadomość sprawianego bólu. Niech go prosi, niech skomli. Tyle razy Katarzyna zmuszała go do próśb i błagań, tyle razy przeciwstawiała swoje zwycięskie „nie” jego dążeniom, że zapragnął nagle, aby syn - wierny sojusznik Katarzyny - poczuł również gorycz zawodu. Ustąpić tak łatwo! Przyjąć gotowe, usłużnie podsunięte plany, nie zmieniając w nich ani przecinka? Nie, nie! To się po nim nie pokaże. On sam tu decyduje i nie nadaje się na obojętnego zwierzchnika, podpisującego wprost automatycznie swoim imieniem pracę kogoś z podwładnych.

Były zresztą inne jeszcze powody. Bolesta - nie mówiąc nikomu z towarzyszków - miał zamiar z Konstancji wyjechać. Z poselstwem był związany dość luźno, gdyż nie posiadał żadnych specjalnych poleceń i był tylko członkiem reprezentacyjnego orszaku. Mógł wyjechać i nikt by nie miał o to do niego żadnej pretensji.

Nie śpieszyło mu się wprawdzie do domu, ale chciał po drodze zatrzymać się w Czechach. Nauka spalonego Husa wciąż go jeszcze pasjonowała. Rycerze z Chlumu i z Duby wracali, miał możliwość jechać razem z nimi. Wieści o zaburzeniach w Pradze budziły w jego sercu dziwne echa.

Gdyby na ślub się zgodził, jego wyjazd odwłókłby się na pewno na długie miesiące. Trzeba by pojawić się na dworze, prosić króla i królową o rękę ich dwórki dla syna, szukać spotkania z ojcem dziewczyny, omawiać warunki... Bolesta myślał o tym z nie tajoną niechęcią. Tyle kłopotu - i to wszystko dla tego zuchwałego i głupiego smarkacza!

Co mu odpowiedzieć? Czuł zwrócone na siebie oczy syna. Nie podniósł głowy. Walczyła w nim wyzwalająca się niechęć i złość z wrodzoną łagodnością i nieumiejętnością czynienia przykrości drugim. Przygryzł usta i przyciął zębami wargi.

- Twój projekt jest głupi - rzekł wreszcie.

Chłopak odrzucił prędko, gwałtownie:

- Dlaczego?!

Powinien był odpowiedzieć: „Jestem twoim ojcem i nie mam potrzeby tłumaczyć ci się z tego, co robię” - ale zmilczał. Tyle razy w domu starał się argumentować, tłumaczyć. Nie mogąc konfliktu rozstrzygnąć powagą swego słowa, uciekał się do przekonywań i perswazyj. Do słów, które zresztą żadnego rezultatu nie przyniosły, a które tylko podrywały jego autorytet. Rzekł natomiast:

- Jesteś młody. Jesteś dzieciak. Trzeba ci najprzód zdobyć sobie imię i przyjaźń u ludzi. Poczekaj. Za rok, dwa - zgodzę się.

- Za rok, dwa! Za rok czy dwa nie będzie nas w Konstancji. Gdzie ja będę wówczas szukać Róży i czy ona zechce za mnie wtedy wyjść? Rok czy dwa - głos chłopca przybrał na sile - łatwo ojcu o tym mówić! Bez waszej pomocy znalazłem sobie tę dziewczynę. Mówicie, że jestem za młody, a tymczasem zdobyłem dziś więcej, niż wy, gdyście byli w moim wieku. Sam król rzymski ze mną rozmawiał. Zawisza jest mi przyjacielem. Najpiękniejsza z dwórek mnie sobie wybrała.

Mówił z coraz większą gwałtownością. Od razu nieświadomie dla siebie przeszedł do oskarżeń. Co mu ojciec zostawia? Ani bogactwa, ani imienia. Wszystkiego dochodzić musi sam, jakby nie był synem rycerza, ale chłopca, a kiedy chce przez zręczne małżeństwo zdobyć sobie poparcie u dworu królewskiego, ojciec staje mu na drodze. I dlaczego? Tylko dlatego, że go nie lubi, i chce mu zrobić na złość, korzystając z nieobecności matki. Matka by nigdy nie zezwoliła na takie łamanie przyszłości syna. Matka...

Bolesta wstał, odepchnął od siebie miskę z nie dojedzonym śniadaniem. Głos Katarzyny, który usłyszał nagle w słowach syna, ubódł go do żywego. Z porywcznością, charakterystyczną dla ludzi nieśmiałych z przyrodzenia, krzyknął:

- Milcz!

Ale Pawła poniósł już gniew tym większy, że przedtem musiał nad sobą panować.

- Nie ustąpię od swego! - warczał. - Nie ustąpię! Musicie się zgodzić!

Ojciec nie próbował się z nim spierać. Życie nauczyło go, że najpewniejszymi zwycięstwami były zwycięstwa milczenia. Bez słowa wyszedł z izby. Zawołał na pachółka i kazał sobie siodłać konia. Gdy mu go podprowadzili, wskoczył lekko na siodło i wyjechał za bramę zajazdu, w którym mieszkali.

Zwolennicy spalonego Husa zbierali się zwykle za miastem w ustronnej karczmie. W mieście obawiano się podejrzanych spojrzeń księży i zakonników. Tu zaś było zupełnie bezpiecznie, daleko od czujnego nadzoru dominikanów, stanowiących straż Inkwizycji.

Zjeżdżali się pojedynczo i pojedynczo odjeżdżali. Karczmarz był człowiekiem, któremu można było ufać. Im zaś zależało na tym, aby karmić się nauką Husa, o której na ogół wiedzieli bardzo mało. Czytali księgi, dyskutowali. Właściwie czytaniem i dyskusją zajmowali się tylko duchowni, których było kilku ich gronie. Natomiast rycerze połykali tylko formułki wyłapane z ksiąg Husa i podane im przez nauczycieli. O tym, że istnieje tylko Kościół niewidzialny, zaś widzialny jest „synagogą szatana”, że grzech pozbawia władzy, że nie ma własności, bo wszystko należy do wszystkich, że ludzie są równi, że należy stworzyć społeczność, gdzie nie będzie między ludźmi żadnych różnic, że drogą do tego jest zorganizowanie na nowych podstawach społeczeństwa, które swą wolę narzuci innym...

- Dobra ziemskie trzeba odrzucić - mówił z zapalem brat Piotr, franciszkanin. - Gdy wszystko odrzucimy, ludzie od razu staną się sobie braćmi i królestwo Chrystusa przybliży się do nas...

Nie wszyscy się jednak zgadzali z Piotrem. To nie dobra materialne są złe, ale zły jest ich podział. Zły zaś podział opiera się na tym, że Kościół wprowadza przymus i obowiązek posłuszeństwa w stosunku do innych ludzi. Dlaczego nie ogranicza się do prac nauczycielskich? Dlaczego popiera swoją sankcją władzę świecką? Nikt nie ma prawa stanowić o duszy człowieka, ani o jego życiu. Nikt nie może nakazywać żyć tak albo inaczej. Byle tylko nie szkodził innym ludziom i byle tylko nie sprzeciwiał się ogólnej wolności...

Przekrzykiwali się wzajemnie, opinie ich zaś były tak rozstrzelone, a chwilami nawet sprzeczne, że nikt by nie potrafił z nich wyłapać całokształtu nauki. Nie o to zresztą chodziło. Ludzi, którzy się tu zebraли, łączył głęboki stosunek do współczesnej im rzeczywistości, o

którą obwiniali zgodnie Kościół. To był jedyny punkt wspólny. Poza nim istniała cała gama poglądów i opinii. Większość, choć nie uznawała wojny jako zasady, uważała, że wojna o zwycięstwo haseł i nauki Husa jest rzeczą konieczną. Zgadzano się na ogół z tym, że władza deprawuje człowieka, ale jednocześnie przyjmowano konieczność władzy w chwili wojny. Między rzeczywistością, ku której zdążali, a godnym pogardy stanem obecnym leżał jakby pomost. I ten to pomost miał zdecydować o przyszłym zwycięstwie, lecz sama walka musiała się rozstrzygnąć wedle kanonów dawnej epoki. Było to rzeczą konieczną, ponieważ na innej drodze nie wyładowaliby nigdy wezbranej fali nienawiści, która ich dusiła. A ten ładunek istniał i domagał się wybuchu. Jednocześnie miał tę właściwość, że skupiał wszystkie nienawiści, z jakiego bądź wypływały źródła. Było to rzeczą zrozumiałą, nienawiści łączą się chętnie, gdyż wspólne mają podłoże. Nienawiść do człowieka stanie się zawsze, w logicznym następstwie wypadków, nienawiścią do społeczeństwa, nienawiść do społeczeństwa obraca się zawsze przeciwko Kościołowi, oskarżając go - zresztą zupełnie słusznie - że jest prototypem wszystkich zorganizowanych społeczeństw.

Wielkie plany kreślone były i przedzierane w ciasnej izbie gospody. Przy dźwięku kubków, kielichów i dzbanów potępiano politykę papieżstwa. Na ogół jednak potrafiono zachować o tyle umiar, że zdecydowano się nie występować jako odrębna sekta, która zrywała łączność z Kościołem, a jedynie domagać się zatwierdzenia i uznania swoich poczynań. Także do wojny, którą szafowano chętnie w słowach, nikt się w rzeczywistości nie palił. Ograniczono się do deklaracji, że gdyby ich ruch chciano siłą stłumić, będą musieli sięgnąć po miecz.

Wcześniej zapadał zmrok. Szła ulewa. Ogromna ruda chmura, wpadająca miejscami w fiolet, zawisła nad horyzontem. Szczyty górskie dawno już znikły w szarej ćmie.

Bolesta liczył, że uda mu się przed deszczem dojechać do Konstancji, wyprowadził więc konia z szopy i wskoczył na siodło. Wyjechał za ogrodzenie. Uderzył go w twarz suchy, porywisty wiatr i o mało nie zepchnął w pierwszej chwili razem z koniem do rowu. Odzyskawszy równowagę, otulił się szczelniej płaszczem i niecierpliwym kolniewiczem ostróg zmusił konia, oglądającego się żałośnie za stajnię, do kłusa.

Jechał już parę minut, gdy nagle posłyszał obok siebie klekot kopyt obcego konia, a po chwili samotny jeździec zrównał się z nim. Był tak samo jak Bolesta owinięty w płaszcz, niemiecki kapelusz podróżny skrywał mu czoło, tylko duże czarne i płonące oczy połyskiwały w gęstniejącym mroku. Podniósł rękę do kapelusza i pozdrowił Naporę.

- Witajcie - rzekł po polsku, ale z akcentem zdradzającym obce pochodzenie.

Wiatr uderzył z nową siłą tak, że konie musiały przejść do stępa. Bolesta odpowiedział na ukłon, patrząc pilnie na jadącego obok człowieka. Miał wrażenie, że widział te oczy tam, na sali w gospodzie.

- Burza... - zaczął nieznajomy i urwał.

- Aha... - odparł Bolesta. Rozmowa się nie kleiła.

Przed nimi w mroku zahurkotał nagle grzmot. Toczył się jak głaz po skałach, spadał z piętra na piętro, to cichszym to znów głośniejszym odzywał się postękiwaniem, wreszcie wystrzelił wysokim tonem ostatniej eksplozji. Powiało ku nim świeżością - rzekłbyś, ktoś przed nimi otworzył okno.

- Spierają się, kłócą jak dzieciaki - zaczął nagle bez żadnych wstępów nieznajomy. - To chcą, to znów nie chcą. Postąpią naprzód trzy kroki, a cofają się o dziesięć. Serca im śmiałego widać brak...

Bolesta przytaknął:

- Czas upływa na jałowych sporach. A mistrz spalony. Lada dzień czeka ten sam los Hieronima.

Znowu rozdundnił się w dali grzmot. Błyskawica rozdarła chmury i ciemność. Przez chwilę wzrok Bolesty zachował pod powiekami obraz pustej drogi, smaganej wiatrem, który przyginał do ziemi przydrożne drzewa.

- Czas - mówił tamten - czas... dobrze mówicie... Czas płynie, ucieka. Dużo już czasu przeszło. Zasnęliście. Zasnęliśmy - poprawił się - trzeba się wreszcie zbudzić.

Zapaliła się błyskawica, a zaraz po niej buchnął nagły grzmot - jak strzał z armat. Konie zastrzygły uszami.

- Dobra chwila - mówił jakby sam do siebie nieznajomy - dobra... Nieprędko trafi się taka druga. Idą wielkie zmiany... Ptak wylatuje z gniazda, kwiat rozrywa pączek i prostuje swoje płatki. Ta - wskazał ręką w ciemność - ta ciężka, powolna machina nie widzi zmian, które się obok niej dokonują. Umie iść tylko swoim starym, dawno wydeptanym śladem.

Dwa grzmoty nastąpiły po sobie w tak krótkim odstępie czasu, że nieomal zlały się w jeden. Burza nadciągała. Wiatr świszczwał w gałęziach drzew. Bolesta nie mógł zrozumieć słów towarzysza.

- Były już chwile - snuł tamten głośno swą przedzę - kiedy wystarczyło sięgnąć ręką, a zdawało się - już łup gotów! I nic! On nie dawał. Nasyłał ludzi. Głupców, łzawych bałwanów, szaleńców, co w morze leźli, bo tak im było śpieszno do wroga, dziewczki, które krzyczały, że są ogniem, i chciały rozkazywać władcom... Plątała się pod nogami ta gęstwa. Przeszkadzali.

W ostatniej chwili w najgłupszy pod słońcem sposób tworzyli nie dające się usunąć przeciwności. Ach, jak drażnili!

Chmura zawisła nad nimi jak dach. Powietrze sprężyło się, zrobiło się nagle gęste, nieprzydatne dla płuc, które z trudem tylko zdobywały dla siebie odrobinę pokarmu. Wiatr niemal ustał - toteż nie czuli go, ale za to słyszeli, jak jęczał w pobliskich zaroślach. Wyglądało to jakby ogromna łapa nakryła ich i przyciskała do ziemi. W chmurze mruczał nigdy nie cichnący grzmot. Czasami któryś z piorunów wyrwał się z powicia chmur i zbiegał ku ziemi potokiem rozszczepionym na szereg drobnych strumieni, dziwnie przypominających krew, która spływa z otwartej rany. Łoskot wybuchu wstrząsał powietrzem, a nawet mieli wrażenie, że i ziemia drży pod ich stopami. Niebo było jak napięty materiał, poza którym ktoś się szarpie i uderza weń niecierpliwą dłonią.

Konie stanęły, zaparłszy się mocno nogami i położywszy płasko uszy. Każda błyskawica zapalała jakiś szaleńczy wyraz w ich wypukłych oczach. Chwilami zbierały się do biegu i odzyskiwały dopiero przytomność, gdy ręka ludzka klepała je po szyi. Po ich delikatnej skórze przebiegały dreszcze.

Otoczył ich pomruk nie dających się odróżnić głosów. Powietrze wyło, piszczało, jęczało. Tysiące głosów gdzieś z oddali wołało - zda się - o litość. Po czarnych ścianach nocy płynęły strumienie blasku. Zapalały się, to gasły, a w tym upiornym oświetleniu najbliższe otoczenie wydawało się skąpane w sino-zielonkawym płynie. Jakby wszystko zalewała woda, a te zgięte w rozpaczliwej walce z burzą drzewa były jakimiś wodorostami dna morskiego. Piorun uderzył w drzewo o kilkadziesiąt kroków od nich. Zapłonęło na chwilę niebieskawym płomieniem i zgasło. Znikło w mroku.

Każdy grzmot powtarzał echa. Huk długo szarpał się między ścianami skał, zanim zdołał się wyrwać z objęcia krzesanic. Bawiły się nim, jak dorośli dzieckiem, które odpychają ku sobie, drwiąc z jego niemocy.

Trwali tak nie wiedząc nic o czasie. Może minął tak dzień, a może tylko kilka minut. Burza uwolniła ich z oków czasu, zmusiwszy do uwagi wszystkie ich zmysły.

A potem zrobiła się cisza. Niepostrzeżenie wszystkie wybuchy cichły, schodziły ku niższym tonom, aż nagle ucho uczuło dręczącą świadomość pustki. Nie było w powietrzu nic, absolutnie nic. Pustka stała się męczarnią dla serca, które przerażone biło coraz mocniej. Człowiek miał wrażenie, że nie wytrzyma tego napięcia.

Lecz stan ten nie mógł trwać długo. Najprzód doszedł do ich uszu szum pędzących potoków. Szum wzrastał, rósł w miarę jak potoki nabrzmiałe spływającą obficie z gór wodą nabierały siły i mocy. Potem ogarnął ich inny szum, coraz bliższy, coraz wyraźniejszy.

Zawisnął nad nimi falą dżdżu. Wreszcie rozplynał się w ulewnym deszczu, którego pojawienie się zniszczyło dręczącą pustkę ciszy.

Mogli jechać dalej, choć ogłuszała ich bijąca z gór ulewa. Sierść koni pociemniała, nasiąknąwszy wodą. Trzeba było jechać wolno, bo konie ślizgały się po zmytej nagle i pozbawionej chropowatości drodze.

Po pewnym czasie deszcz osłabł. Zrobiło się chłodno. Dygotali w zmoczonych ubraniach. Nieznajomy powrócił do przerwane go monologu.

- Wciąż się odradza stare głupstwo i to dzięki głupcom. Teraz trzeba z nim zrobić koniec. A wiecie jak? - pochylił się ku Boleście i oparł rękę na karku jego konia. - Wiecie jak? Niech się samo pożre! - zaśmiał się. - Niech się samo zagryzie. Niech samo siebie wyniesie na stos i spali.

Bolesta miał wrażenie, że zaczyna rozumieć zagadkowe słowa niespodziewanego towarzysza. Ale nagle, niepojęta groza, która nim wstrząsnęła, nie pozwoliła mu nic powiedzieć.

- Stos - śmiał się tamten - dobra śmierć. Ogień strawi ciało, a dym zdusi krzyk. Nie zostanie nic. On nie przyśle już więcej cudownych obrońców, a gdyby ich nawet przysłał, tamci postawią ich również na stosie. Bo teraz świętość stała się zaprzeczeniem życia i protestem... Dobry ogień, dobry, ciepły ogień. Z równym smakiem pożera zimnych i gorących. Równie dobrze służy wytracaniu wrogów i zbawców. A pozostawia tylko samą mierzwę, samą elitę: w miarę głupią, w miarę pyszną i bardzo, bardzo na wszystko obojętną...

Wybuchnął radosnym, hałaśliwym śmiechem.

Bolesta podniósł głowę. Usta mu drżały, gdy nagle ściągnął wodze wierzchowca i zatrzymał go wśród drogi. Jego towarzysz zatrzymał się również.

- I cóż? - zapytał - boisz się?

A potem nagle:

- Przecież nienawidzisz ich?

Otulała ich ciemność. Gwiazd nie było widać. Daleko za nimi charkotała z cicha burza. Błyskawice zapalały się gdzieś w dole, jak lampy ogromnej sceny, oświetlając nagłym blaskiem kotarę z chmur. Deszcz przestał padać, ale wilgoć świeża wisiła jeszcze w powietrzu.

- Mali człowieczkowie - rzekł nieznajomy - boicie się każdej wielkości. Ale bądźcie spokojni. Nikt was nie wyrwie z waszej ciepłej i cuchnącej obojętności. Nie pojęlibyście nawet, co znaczy cierpieć - głos jego zabrzmiał jak jęk. - Śpijcie spokojnie i marzcie...

Bolesta szarpnął się rozpaczliwie, jakby go trzymały jakieś dłonie. Ale jednocześnie spojrzął w siebie. Zdawało mu się, że widzi czarne, błotniste jezioro, na którym fale rozchodzą się kręgami kół. Nic, tylko ta woda i te koła. Przebiegł go dreszcz i miał wrażenie, że ohyda chwyta go za gardło. Pragnął oderwać wzrok, ale nie mógł. Potem wyjrzały ku niemu z ciemnego tła wody twarze Katarzyny i Pawła; były jakieś drżące, boleściwie skrzywione. Zdawały się błagać o litość. Ale on poczuł, jak znowu zalewa mu serce gryząca fala gniewu i nienawiści.

Towarzysz nie mówił do niego nic. Zdawało się tylko w mroku, że patrzy ciekawie w twarz rycerza.

- Uwolnię cię... - szepnął, jakby odpowiadając na milczącą prośbę Bolesty.

Ruszyli znowu wolno naprzód. Konie szły obok siebie spokojnie, człapiąc kopytami w grząskiej, rozmokłej ziemi.

- Jednego tylko nie chcę - mówił kuszący głos - nie chcę pokory. Miej dumę, a będziesz sam sobie Bogiem... Czego zapagniesz...

Bolesta nie rozumiał tego wszystkiego. W głowie miał szum, przed oczami wirowały mu złote iskierki. Wiedział, że tamten mówi słowa znane, powtarzane wiele razy, ale teraz właśnie te stare, wyświechtane komunały skierowane ku niemu nabierały innego jakby znaczenia. Odkrywał w nich nową zupełnie treść. Rozkoszował się nią. Upajał.

Potem zatrzymali się. Podali sobie dłonie. W mroku migały już światełka miasta. Na niebie, w szparach między rozerwanymi chmurami poczęły ukazywać się gwiazdy.

- Uwolnię cię - rzucił raz jeszcze na pożegnanie nieznajomy.

Pchnął konia ostrogami i zanurzył się w mrok. Bolesta słyszał jeszcze przez chwilę stukot kopyt, które jednak szybko zostały zagłuszone szumem nowej fali zbliżającego się deszczu.

Zajechał do gospody, starając się zachować możliwie cicho. Lecz syna ani Balickiego, z którym mieszkał, nie było jeszcze. Bawili na zamku. Zawołał więc pachołków i kazał im nieznacznie szykować wszystko do drogi. Zapowiedział tylko, aby się nie ośmielili o wyjeździe rozgłaszać. Zwijali się tedy w głuchej ciszy, nie chcąc krzątaniem się zwracać uwagi służby Balickiego. Sam Bolesta rzucił się na posłanie, chcąc się przespać przed podróżą. Ale sen nie przychodził, dziwne tylko majaki obsiadły go, sprawiając, że budził się oblany zimnym potem.

A w tym samym czasie na zamku bawiono się wesoło. Kilku wędrownych minnesangerów popisywało się naprzemian swoją sztuką, śpiewając na cześć zebranych kobiet. Potem szły jedna za drugą wesołe gry, wywołujące huragany śmiechu. Służba

roznosiła wino i słodycze, goście zaś pili i na nowo rzucali się w wir zabawy. Ręce mężczyzn zaczynały coraz więcej drżeć, a oczy ich stawały się błyszczące. Przeciwnie kobiety, były coraz mniej ruchliwe, coraz ociężalej poddawały się dotknięciom towarzyszy, coraz mgliściej patrzyły na otoczenie.

Paweł nie odstępował Róży. Mówił coś do niej, obiecywał. Słuchała go niby uważnie, lecz w rzeczywistości nie słyszała nic. Nie chciała słyszeć. Od tamtego wieczora zadawała sobie wciąż pytanie, czy słusznie zrobiła biorąc sobie tego chłopca. Był jakiś dziwnie dla niej obojętny. Miał w swojej twarzy coś nieprzyjemnie dziecinnego. A jednak, jeżeli nie on, powtarzała sobie, to kto? Nikt więcej nie przyjedzie, ją zaś każdy dzień oddala od zwycięskiej młodości. Przed zimą mają wracać na Węgry. A wtedy wiedziała, że pozostanie jej tylko jedno: albo rzucić się w ramiona pierwszego z brzegu rycerza węgierskiego, albo wracać do ojca.

Biernie, niemal martwo, pozwalała dłoniom Pawła pieścić jej dłonie. Lecz nie poddawała się nastrojowi chwili, nie obsuwała się w ramiona mężczyzny. Zdawało się jej, że na coś jeszcze czeka. Na coś czy na kogoś.

Pochyliła głowę. Z tyłu gorący zdyszany oddech młodego Napory łaskotał jej drobne włoski na karku. Zbierała myśli i znowu je roztrącała z niecierpliwością. Czym będzie dla niej ten niedorostek? Zdawało jej się, że już czuje na ramionach i na plecach niepewne, niezgrabne dotknięcie jego rąk. Co ich wiąże ze sobą? Nic - zupełnie nic. Ona wychowana na dworze, w przepychu i wśród wyrafinowanej etykiety dworskiej, on, wprawdzie syn znakomitego rycerza, ale zupełnie w świecie nie otarty. Takie małżeństwo będzie nonsensem. Po cóż więc narażać się na niebezpieczeństwo?

Przeszedł koło nich Zawisza w towarzystwie jakiejś kobiety. Aha - to ta nudna Jadwiga. Róża odęła wargi. Ma za kim wielki rycerz gonić! Tamtej by i na małżeństwo nie namówił, a cóż dopiero na przelotną miłośćkę. Obserwowała ich spod oka. Mówił ciągle rycerz, kobieta zaś milczała albo odpowiadała krótko. Wyglądało, że on stara się ją o czymś przekonać; może nawet o coś prosi. Złożył ręce i przewracał oczami. Teraz położył rękę na sercu. Różę ogarnia złość. Chyba oszalał. Ta najbrzydsza dziewczyna na dworze, taka chuderlawa i bezbarwna, a potrafiła go pociągnąć. I wcale nie minkami albo słodkim wyrazem oczu. Przeciwnie, patrzy chmurnie, można by myśleć, że ją gniewa, iż pierwszy rycerz na świecie wyznaje jej swoją miłość. Podniosła dłoń z palcem, jakby groziła. Coś mówiła z niezwykłą u siebie elokwencją. Róża jej nienawidzi w tym momencie. Po prostu chciałaby, aby Zawisza zdołał ją nakłonić do jakiegoś szaleństwa, a potem porzucił. Zhańbił i odepchnął. Niech wlecze się za dworem przez wszystkich wyszydzone, niech ją pokazuje

palcem, niech śledzą jej figurę ze złośliwą radością. Niech zazdrości każdej z towarzyszek, która wyszła za męża. Choćby wyszła najgorzej, najniezszczęśliwiej. Ale wyszła. Ma męża. Niech ten mąż będzie idiotą lub smarkaczem, niech go nikt nie szanuje - ale niech będzie mężem. A ona - porzuconą kochanicą. Z dzieckiem. Koniecznie z dzieckiem, aby już nikt nie chciał się z nią ożenić.

Lecz te myśli, zamiast ją uspokoić, tylko ją jeszcze więcej podrażniły. Nie mogła oderwać oczu od tamtej pary. Wydało jej się, że śni. Jadwiga mówiła coś do Zawiszy z niesłychaną powagą i stanowczością, rycerz zaś spuścił głowę. Potem nagle odeszła. Pan z Garbowa podniósł wzrok, w którym odbiło się zdumienie. Rozejrzał się wokół. Ale Jadwiga była już daleko. Zrobił ruch, jakby chciał za nią biec. Wstrzymał się jednak.

W tej chwili Róża poczuła usta Pawła na szyi. Całował ją po dziecinnemu wysuniętymi wargami. W pierwszej chwili miała ochotę wyszarpnąć się z jego rąk i uciec. Ale została.

Sale rozbrzmiewały śmiechem i hałaśliwymi krzykami. W ciemnych korytarzach i zakamarkach przytulały się do siebie liczne pary.

5.

I ostatecznie Paweł Napora nie mógł się tego roku ożenić, pomimo że dwór pozostał na całą zimę w Konstancji. Nagły wyjazd ojca pokrzyżował plany młodego człowieka; zresztą i królowa była przeciwna nagłemu małżeństwu, które miało by się odbyć bez zgody jednego, a bez wiedzy drugiego ojca. Stało więc na tym, że Paweł z wiosną pojedzie do Hemerlau, aby poznać starego Arnolda, i prosić go o rękę córki, natomiast Zawisza, który miał wracać do Polski, starać się będzie o uzyskanie zgody Bolesty na to małżeństwo.

Wczesną wiosną liczne grono uczestników soboru wyjechało z Konstancji. Arcybiskup gnieźnieński udał się do Paryża dla załatwienia zatargu między królem Karolem a księciem Burgundii Janem, w którym to zatargu powołany został arbitrem. Zawisza pojechał do kraju, gdzie go wzywał król, gdyż bez rady rycerza nie mógł się obyć. Balicki z Zygmuntem i całym dworem podążył na Węgry. Pawłowi nie pozostawało nic innego, jak szukać owego Hemerlau.

Nie dałby sobie na pewno sam rady w obcym kraju, gdyby nie to, że udało mu się połączyć z orszakiem księcia Jana Luksemburskiego, który podążał właśnie do Burgundii, ale po drodze miał zamiar odwiedzić szereg zamków nadreńskich. Księżę przyjął Pawła chętnie.

Był to człowiek jeszcze młody, ale już nieco przeżyty. Karcił się wciąż szerokimi planami, które kreślił zawsze zresztą bez najmniejszej nadziei na ich realizację. Wielu go za to nie lubiło, podejrzewając w nim pyszałka. Ale on pyszałkiem nie był, raczej bezsilnym marzycielem i próżnym poszukiwaczem własnej wielkości.

Życie obeszło się z nim dość nielitościwie. Choć członek rodu książąt Luksemburskich, nie posiadał - poza tytułem - absolutnie nic, ani ziemi, ani poddanych. Gdy był młody, radzono mu, aby poświęcił się stanowi duchownemu. Byłby to niewątpliwie sposób na wydobywanie się z kłopotów, tym bardziej, że przy poparciu królewskich kuzynów mógł prędko zostać biskupem, może nawet kardynałem. Ale Jan nie chciał, uważając, że zbyt wiele oczekuje jeszcze od świata. Próżno mu tłumaczyli - ci i owi - że ksiądz takim samym jest człowiekiem i nikt od niego niemożliwości wymagać nie będzie... Niech spojrzysz na księży i biskupów; żyją jak każdy inny pan. Dobrze jedzą, pieniądze i daniny skrupulatnie wybierają - niczego im nie brak.

Ale mimo te słowa, Jan nie chciał iść na drogę duchowną. Myślał, że jednak raz złożony przysięgę w kościele, musiałby odtąd ograniczyć swe marzenia do wąskiej tylko sfery życia kapłańskiego. A właśnie to była rzecz, z którą nie mógł się pogodzić; to przyjęcie określonej z góry przyszłości. Zawsze chciał mieć przed sobą przyszłość nieznaną i nieograniczoną. Zawsze wierzył, że wielki los będzie mu jeszcze przeznaczony, a szczęście niepojęte wpadnie samo w jego ręce. Marzył najchętniej o tym, co stało daleko od jego możliwości. Czemu się tu zresztą dziwić? Miał dwadzieścia sześć lat i nigdy jeszcze w życiu niczym nie był.

Przenosił się nieustannie z miejsca na miejsce, żyjąc między dworem Zygmunta a dworem księcia Burgundii. Jeden i drugi wspierali go czym mogli: Zygmunt przeciwko niektórym elektorom Rzeszy, książę Burgundii przeciwko księciu Orleanu lub Karolowi. Spiskował więc, jednając powierzonym sobie złotem wspólników - adherentów cudzej sprawy, układał wielkie plany, w których jednak brakło dla niego miejsca, tracił lata... Nie, nie była to żadna przyszłość - o tym Jan wiedział. Ale nie mógł też nic na to poradzić.

Pawłem zajął się serdecznie, dał mu miejsce w swym niewielkim poczcie, rozmawiał z nim i pocieszał, bo chłopiec był nieco zgnębiony niepowodzeniem swoich poczynań.

Rozstali się wreszcie i Paweł już sam, z kilku zaledwie pacholikami, pojechał na poszukiwanie rycerza Arnolda. Znalazł go wreszcie w małym zameczku, uczeplonym jak gniazdo drapieżnego ptaka na zboczu urwiska. Ojciec Róży przyjął go zimno, niemal wrogo, dopiero nieco się rozchmurzył, gdy mu przeczytano list królowej rekomendujący młodego Naporę. Ale o małżeństwie mówił i nadal niechętnie, był zaś zdania, że Paweł może jeszcze

poczekać, Róża także. Nie widział jej już od kilku lat, więc sądził, że jest wciąż jeszcze ledwo wyrosniętą dziewczyną o zbyt długich nogach, na której najwspanialsze suknie wisały jak na kołku. Poza tym były tam jeszcze inne przyczyny, których Paweł początkowo nie mógł zupełnie zrozumieć, a dopiero potem począł się ich domyślać. Arnold krył się przed światem ze swoją miłością do prostej dziewczyny, którą zrobił u siebie na zamku panią. Wprawdzie Paweł jej nie widział podczas swego pobytu w Hemerlau, ale zmroziła go jej ukryta obecność. Stary rycerz przywiązał się do kochanki mocnym uczuciem, któremu nieraz ulegają starzejący się już mężczyźni. I w tym uczuciu cały utonął.

W końcu jednak, przyciśnięty do muru, a może chcąc się po prostu pozbyć natręta, dał swoje pozwolenie. Paweł dostawszy je, nie czekał dłużej, ale zaraz następnego dnia zamek opuścił. Udał się wprost do Konstancji.

Tu jednak dworu królewskiego już nie zastał. Zygmunt pociągnął razem z otoczeniem na Węgry, gdzie gotowano się do nowej wojny z Turkami. Miasto opustoszało, obrady były nudne, a odbywały się w małym tylko komplecie osób.

Młodemu Naporze zaczęło nagle braknąć pieniędzy, nie mógł więc myśleć o wyjeździe na Węgry. Miał przed sobą tylko jedną drogę: szybki powrót do kraju. Wyruszał więc z całym pośpiechem, obawiając się, że odwołując podróż - będzie zmuszony do spieniężenia wszystkiego, co posiada.

Lato było tego roku dżdżyste i ponure. Słońca prawie się nie widziało. Drogi rozmokły, podróż stawała się prawdziwą męczarnią. Niedostrzegalnie rozplakane lato przechodziło w jesień; coraz szybciej zapadały wieczory, coraz większym chłodem mroziły jadących ranki.

Szary, ciężko wiszący nad linią dalekich lasów horyzont nie mógł radością napawać serca, ale przytłaczał je ponurością i goryczą. Paweł kołysał się na siodle i drząc w przemokniętym ubraniu, w szarych barwach widział cały świat. Serce rozdzierało się w nim na myśl, że nie wiadomo kiedy zobaczy Różę, a jednocześnie ogarniał go gniew, gdy myślał o ojcu. Opanowany całkiem przez te dwa uczucia, dawał się to jednemu, to drugiemu coraz mocniej opanowywać, aż w końcu odkrył, że myśl o zemście, którą wyrze na Boleście, przytłumia tęsknotę i ból, spowodowaną niewidzeniem z Różą. Coraz częściej więc szukał w tym pragnieniu lekarstwa na ranę oddalenia. Zaciskał pięści, zgrzytał zębami. Usłużna wyobraźnia podsuwała mu obrazy, w których oglądaniu mógł ukoić swoje pełne nienawiści chęci.

Było to tak, jakby w lesie jego duszy zachodził mrok. Między drzewami poczynały majaczyć bezcielesne, szaro-czarne kłaki cienia. Ale na pozór nic jeszcze nie ulegało zmianie,

tylko gdzieś znikał żywy koloryt pni i młoda zieleń igieł sosnowych, na wszystko zaś opadał woal nocy. I człowiek, sam nie wiedząc kiedy, nie odróżniał już otoczenia. Ginał, roztapiał się, ukołysany i uspokojony niedostrzegalnością zachodzących zmian. Grzech spływa zawsze na duszę, jak mrok. Ogarnia ją z wolna i skrycie, niedostrzegalnie wyłamuje wewnętrzne ramy i kraty, urabia swoje sądy, uspokaja... Odsuwa jak najdalej wątpliwości i skrupuły. Grzech także napełnia serce spokojem tak długo, aż wtrąci człowieka w otchłań rozpacz.

Paweł myślał dawniej o ojcu z niechęcią i z lekceważeniem. Potem uczucia te poczęły się przeradzać w pogardę, aż wreszcie pogarda przeszła - wprost niedostrzegalnie w nienawiść. Wystarczyło historii z Różą, aby przez głowę młodego rycerza poczęły przebiegać - szybkie jak błyskawice - myśli o usunięciu z drogi tego nienawistnego człowieka.

Bolestę zastał w domu. Rycerz był jeszcze bardziej ponury niż zwykle, w oczach palił mu się błędny ogień. Do żony i do syna nie odzywał się wcale - po raz pierwszy robił wrażenie, jakby czar Katarzyny przestał na niego działać. Żona była gniewna na tę odmianę. Starła się Bolestę podrażnić. Lecz te jej starania nie osiągały - rzecz dziwna - żadnego skutku.

Rycerz wrócił z Czech zmęczony, zły i nieco zgorzkniały. Ferment wywołany wieścią o skazaniu Husa przygasł, grożąc całkowitym wygaśnięciem. Rycerstwo czeskie poszło na lep zapewnień i obietnic Waclawa, który w przelotnej chwili dobrego humoru obiecał, że ujmie się za nauką spalonego rektora. Twierdził jedynie, że póty nie będzie się mógł tym zająć, póki nie nastąpi wybór nowego papieża.

Bolesta nie miał więc co robić w Czechach. Powrócił do siebie. Lecz choć zgryziony i zniechęcony, pielęgnował w sercu iskierkę nadziei zapaloną od czasu rozmów z pewnymi ludźmi. Spotkał mianowicie i takich, którzy twierdzili, że sprawa nie jest ostatecznie przegrana, trzeba tylko porwać za sobą mieszczan i chłopów. Ludzie ci oburzali się na rycerstwo za to, że tylko dużo mówi, a nie potrafi się zdobyć na jedno mocne wystąpienie. Istniała więc nadzieja, że coś się jednak robi. Nadzieja nikła jak nocny kaganek.

Przybity swymi myślami Bolesta brał kuszę, oszczep i szedł w las. W poszukiwaniu za zwierzyną włóczył się całymi dniami zupełnie sam, albo w towarzystwie dwóch oddanych sobie pacholców. Towarzyszyła mu także zawsze „Dobra”, duża, silna suka, niesłuchanie do niego przywiązana. Lubił słyszeć koło siebie jej elastyczne stapania i szelest suchych liści, rozgniatanych potężnymi łapami.

Czasami, kiedy dzień był suchszy, a on znużył się już pogonią za zwierzyną, siadał na ziemi pod drzewem i poczynął rozmyślać. Wtedy przychodziła doń „Dobra”, opierała łapy o jego kolana, albo nań patrzyła swymi dużymi, mądrymi oczami, przekręciwszy głowę tak, że

jedno ucho leżało zwyczajnie, a drugie stało z wyrazem dziwnej filuterności. Machinalnie, nie patrząc na nią gładził ją po potężnym grzbiecie.

Często wracał myślą do rozmowy na drodze. Wspomnienie to budziło w nim lęk zmieszany z pewną jakby chępliwością. Wyrosło w nim nagle poczucie wielkiej pewności siebie. Bez trwogi myślał teraz o żonie i miał wrażenie, że rzeczywiście coś się w nim przepaliło, tak iż może już odpowiedzieć na jej zaczepki zimną obojętnością. Spozrzegł naraz to, czego dawniej nie widział, że jego obojętność doprowadza kobietę do paroksyzmów wściekłości. Wprawdzie i dawniej zdarzyło mu się podrażnić ją obojętnością, ale była to tylko obojętność udana. Występując przeciwko Katarzynie drżał na myśl, że słowem czy gestem odkryje swoją słabość. Teraz nie - teraz nie czuł się zupełnie słaby. Nabierał siły, nieświadomie dla siebie samego podejmował grę przeciwko Katarzynie. Lecz jeżeli mógł teraz patrzeć obojętnym wzrokiem na żonę, nie znaczy to, aby równocześnie znikły w nim wszystkie uczucia dla niej. Spłynęła tylko miłość, a właściwie to uczucie, które zwał miłością, a które było mieszaniną pożądania, przywiązania, miłości, natomiast spod spodu wyjrzała, jak mielizna z łoża wysychającej rzeki, twarda płyta innego uczucia. Było to uczucie nawarstwiająca się latami pod zwierzchnim kłębowiskiem rozszalałych namiętności. Osadzało się i tworzyło w nim zbity, mocny, nieprzenikniony gład, który jak coś obcego tkwił w duszy rycerza. Dawniej skrywały go fale kłębiących się namiętności, obecnie, gdy one spłynęły, wysunął się na światło swą bezpłodną martwotą kamienia. Odkąd wrócił Paweł, Bolesta odnalazł w oczach tamtego gotowość do walki. Czuł po prostu, że syn tylko czeka, aby się z nim zetrzeć. Ale on ani myślał o udzieleniu mu tej satysfakcji. Wolał milczeć. Milczenie i obojętność - te dwie rzeczy, które wytrącały z równowagi Katarzynę - były także skutecznym środkiem pogięcia zuchwałego smarkacza.

Jesień zajaśniała w końcu złotą czerwienią i słabym już, ale jeszcze pełnym ciepła słońcem. Pod drzewami na suchych krzakach zakwitł wrzos. Cała natura robiła wrażenie ociężałej, pozbawionej sił i energii jak człowiek, odpoczywający po obfitej uczcie.

Bolesta w lesie spędzał teraz całe niemal dni. Polował, ale jeszcze więcej przesiadywał na trawie rozmyślając. Czekał. Sam wprawdzie nie wiedział, na co, ale w jego duszy narodziło się uczucie - mocne, nie do wydarcia - że ktoś mu kazał czekać. Poddawał się więc tej świadomości i leżąc twarzą obróconą w niebo ku sunącym wolno obłoczkom, liczył leniwie płynące dni.

Raz zapędził się za jeleniem. Zwierz dostał strzałę, ale od niej nie padł. Uciekł. Bolesta nie byłby go ścigał, lecz poczuł doświadczonego okiem myśliwego, że rogacz ledwo idzie. Gałęzie były dziwnie przygięte, nie tak jak wówczas, gdy zwierz je sprężystym

skokiem roztrąci, ale tak, jakby przeciskał się między nimi z trudem. „Dobra” odkryła także ślady krwi na liściach i szczekaniem wabiła w las.

Szli więc we dwoje: pies z czujnie podniesionym nosem i Bolesta z napiętą kuszą w ręku. Zagłębili się dość daleko w gąszcz. Wreszcie znaleźli jelenia. Leżał w strumyku, którego nie miał już sił przeskoczyć. Wielki, rogami obarczony łeb wystawał nad wodą, a w okrągłych, łzawych oczach malował się nie tyle strach, ile żałość i ból.

Bolesta dobił wielkie zwierzę pchnięciem noża i wyciągnął je z wody na brzeg.

Suka obchodziła jelenia wokoło, z nosem przy skórze, lub zlizywała krople wyciekłej krwi. Oboje byli zmęczeni pogonią i przedzieraniem się przez gąszcze.

Cisza była i tylko las szumiał, kiwając wierzchołkami drzew. Bolesta, patrząc z głową zadartą do tyłu, widział, jak sosny trą się o siebie zielonymi gałęziami. Od takiego trzymania głowy rycerz odczuwał w niej lekki zawrót. Świat cały bujał się jak na huśtawce do góry i na dół, do góry i na dół; drzewa to się pochylały ku leżącemu człowiekowi, drżącym, sprężystym ciałem złotoczerwonych pni, to znowu odchyłały się niby grożąc upadkiem. Jakies ptaki krzyczały daleko w gąszczu.

Bolesta zamknął oczy i wtedy nagle poczuł dziwnie sobie znajomy zapach. W pierwszej chwili nie wiedział, co to może być. Trawiasta cierpka woń to się uwydatniała, to znowu rozmazywała w zapachu innego zielska. Ale równocześnie z tym zapachem jakies wspomnienia zaczęły napływać Boleście pod czaszkę. Zrobił ruch ręką, jakby się chciał od nich opędzić, ale potem przestał się sprzeciwiać, a nawet zaczął sam kojarzyć niewyraźnie rysujące się obrazy w jedną całość. Z wolna, chaotycznie wypływające na powierzchnię pamięci fragmenty dały się łączyć i szepiać w jeden długi łańcuch. Bolesta poczuł, że nie ma w nim żadnych luk, więc szybko raz jeszcze, ale teraz już trzymając się chronologicznego porządku, przewędrował wzdłuż sznura zdarzeń od początku do końca.

Przypomniał sobie wszystko dobrze. To było w czasie, gdy jego walka z Katarzyną znajdowała się w fazie najostrzejszej. Zdawało się, że się rzucą na siebie i poczną wzajemnie dławić. Próżno szukał jakiegoś wyjścia, próżno oczekiwał, że to wyjście samo ku niemu przyjdzie. Na próżno. Ani ono nie przyszło, ani też on niczego nie znalazł. Aż wreszcie, opanowany rozpaczą, sięgnął ku ostateczności...

Pewnej nocy spotkał się ze starą Jewką, ukrywającą się starannie przed okiem księży i mnichów w lesie. Miała tam małą chatkę zrobioną z drzewa i z chrustu, z wierzchu zaś przysypaną ziemią. Bolesta znał Jewkę dobrze - dawniej, gdy była młodsza, przychodziła do dworu w Łazankach wróżyć i pleść dziwne opowieści.

Z tej wizyty u wiedźmy Bolesta przyniósł sobie małą, płócienną torebkę z wysuszonym na proch zielskiem. Torebka wydzieliała z siebie ostry, charakterystyczny zapach. Przez czas dłuższy nosił ją przy sobie, ale nie miał odwagi spróbować skutku otrzymanego leku. Wprawdzie Jewka twierdziła, że złość kobieca na pewno zginie, gdy złościcy dać raz do wypicia wywar z ziół, jednak Bolesta zląkł się, bo mu przyszło do głowy, że szalona baba mogła mu podsunąć jakąś truciznę. Tak się dziwnie uśmiechała, gdy mu ofiarowywała torebkę.

Zresztą kryzys mijał. Bolesta zdołał już wówczas zamknąć się w sobie ze swoim zacięciem. Wynagradzał sobie doznawane krzywdy odpowiadając na nie w myślach okrutnymi poniżeniami zadawanymi żonie. Zdawać by się mogło, że ta nieszkodliwa, duchowa zemsta przemieni się w dziecinną zabawę pozbawioną głębszej treści. To dzieci odgrają się zwykle tym, którzy je skrzywdzili, ale zwykle - i to bardzo szybko - zapominają o swoich groźbach. Jest to zadośćuczynienie łatwe, a jednak przerażające w swych skutkach. Uczynki pragnienia nie są w swej materii moralnej niczym innym niż uczynki rzeczywiste. Grzech dokonany samą intencją ma ten sam ciężar gatunkowy, co grzech spełniony ciałem. A jeden grzech popełniony w jednej, jedynej materii wywiera wpływ ogólny na całe życie człowieka, tak jak wydoskonalenie się w jednej cnotce podnosi ogólny poziom życia i zbliża człowieka do ideału świętości.

Bolesta zapomniał o otrzymanych ziołach, a płócienna torebka z taktem rzeczy niepotrzebnych usunęła się z pola widzenia. Zginęła i nie pozostało po niej nic prócz pamięci zapachu, jaki wydzieliała. Tego samego zapachu, który w tej chwili poczuł Bolesta leżąc na trawie.

Przewróciwszy się na bok, odnalazł szukaną roślinkę. Łodyżki jej były szarawe i pokryte delikatnymi włoskami. Nie myśląc nawet, po co to robi, zerwał garść trawek i zawinął w jakąś szmatę. Powróciwszy do domu, ukrył ten węzełek w skrzyni.

Z wolna ustępowało w nim napięcie wywołane reakcją na śmierć Husa. Wraz z płynącymi w dal dniami urastało w nim poczucie jakiejś pełni i jakiegoś dojrzewania. Przestał się już niepokoić i niecierpliwie zbyt wolno następującymi zmianami. Oczekiwał, oczekiwał z niepojętym spokojem czegoś, co miało przyjść. Czegoś - co musi przyjść.

Sprawy małżeństwa Pawła nikt w domu nie poruszał, ponieważ nikt nie chciał poruszyć jej pierwszy. Poprzednio - zwykłą kolejną wypadków - to Bolesta, przyciśnięty do muru uporczywym dąsem żony, stawiał się sam w roli tego, który musi całą rzecz wyłożyć.

Było to, rzecz prosta, stanowisko wysoce niekorzystne. Nie miał jednak wyboru. Katarzyna zwyciężała go zawsze uporem i wytrwałością.

Ale dziś sytuacja zmieniła się. Obłędne pożądanie tej kobiety, które dawniej odczuwał, ostygło i przygasło. Nad łóżem zaś małżonków zawisła groza obojętności. Nic nie zmuszało Bolesty do mówienia; wołał więc milczeć.

Któregoś jednak dnia, późno zimą, już po Bożym Narodzeniu, gdy Bolesta z żoną i synem siedzieli przy kolacji, rozpoczął nagle mówić o swym małżeństwie Paweł. Katarzyna groźnie błysnęła ku niemu kącikami oczu, żądając, aby zamilkł. Ale on nie usłuchał matki. Tłumiona miłość, rozkrwawiona przez oddalenie, domagała się uzewnętrznienia w słowach gwałtownych i gorących. Mówił prędko, ledwie hamowany gniew wisiał mu na wargach. Dlaczego ojciec sprzeciwia się jego małżeństwu? To przecież nie ma sensu. Biorąc sobie Różę za żonę, wiązał się z dworem królewskim, a tam czekały go sława, bogactwa, zaszczyty. Przekonał Arnolda, zjednał sobie królową. Popiera go Zawisza, który także jest zdania, że powinien pobrać się z Różą. Cóż więc stoi na przeszkodzie? Tylko upór ojca.

Bolesta milcząco słuchał słów syna. Oto pierwszy triumf! Proszą go - nareszcie to oni go proszą. Ale gdy Paweł skończył, potrząsnął głową.

- Powiedziałem, abyś poczekał.

Twarz Pawła skurczyła się nagle jak pysk żbika, szykującego się do skoku na swą ofiarę.

- Nie będę dłużej czekać! - krzyknął niemal groźnie i zerwał się z ławy. Ale ojciec patrzył na niego spokojnie.

- Zapominasz się... Pamiętaj, abyś tego nie żałował.

Paweł pienił się z gniewu. Nie panując nad sobą warknął:

- Jeśli się nie zgodzisz, uczynię tak, jak sam uważam. Chciałbyś mnie spętać, przygiąć. Ale ci się to nie uda. Ja wiem...

I począł mówić o tym, o czym wywiedział się od pachołków. Że Bolesta ze współnikami spalonych heretyków się sprzymierzył i razem z nimi jakieś szatańskie praktyki odprawiał. Wystarczy, aby wspomniał o tym proboszczowi, albo pojechał z tą wieścią do biskupa. Są ludzie, którzy przysięgną i przed biskupem i przed inkwizytorem. A wszyscy pachołcy, którzy byli w Konstancji, mogliby poświadczyć, że koń Bolesty, ten, którego dosiadał w ostatnią noc przed ucieczką z miasta, stał się od tego dnia postrachem dla innych koni. Gdyby się nie był nabił przypadkowo na kopię, mieliby z nim wieczny kłopot, bo żaden inny koń nie chciał przy nim stać w stoisku...

Bolesta przyjął słowa syna pogardliwym milczeniem. Nie dał się zastraszyć groźbom. Przede wszystkim: kto mu tu czego dowiedzie? Zwykle pachołki mają świadczyć przeciwko niemu, pasowanemu rycerzowi? Zresztą stronnicy Husa nie są heretykami, wielu księży i biskupów polskich sprzyja po cichu nauce spalonego rektora. Nie wiadomo jeszcze, co powie o całej tej sprawie nowy papież. Tam w Konstancji rzecz wyglądała inaczej - tam oskarżenie Pawła mogłoby przyprawić Bolestę o utratę życia. Ale Konstancja to nie Polska.

- Skarż - rzucił drwiąco w stronę syna - ale pamiętaj: jeżeli uczynisz cokolwiek wbrew mej woli, wydziedziczę cię. I do królowej napiszę, że ci zgody odmówiłem. Krzykiem nic nie osiągniesz - dodał widząc, że twarz chłopca sinieje i Paweł nabiera powietrza w płuca, jakby chciał krzykiem zagłuszyć słowa ojca. - Proś. Pokorą zdobywać trzeba to, czego się chce.

- Prosić? Nie jestem tobą, ojcze!

Doskoczyli do siebie w szale gniewu. Jeszcze chwila, a chwyciliby się wzajem za gardła. Nagle otrzeźwił ich suchy, z lekka chrapliwy głos Katarzyny:

- Pawle, wyjdź!

Paweł wyszedł, rzucając na odchodnym gniewny wzrok na ojca. Zbyt jednak ufał matce i jej talentom, aby przez chwilę się chociaż opierać, gdy chciała wziąć inicjatywę w swoje ręce. Zamknął za sobą drzwi i oparł się o nie. Zaciskał pięści w bezsilnym gniewie. Za drzwiami było dłuższy czas cicho, potem dopiero doleciał go stłumiony szmer głosów.

Katarzyna pozwoliła mężowi wyparskać gniew. Potem zaczęła tonem spokojnym i takim, jakby nic nigdy nie zaszło.

- Zmieniłeś się...

Bolesta bez słowa skinął głową. Popatrzyła mu w oczy długo, uważnie.

- Chcę wiedzieć kto. Rozumiesz?

Przez chwilę miał ochotę parsknąć jej w nos śmiechem. Ale się wstrzymał. Posądza go o niewierność? To dobrze, niech tak sądzi. Będzie się dręczyć, że wyslizgnął jej się z rąk.

- A jeśli nie odpowiem? - zapytał.

- Wtedy będę wiedziała, że jesteś tchórz. Albo pomyślę, żeś stracił na tych swoich heretyckich praktykach męskość i dlatego ode mnie odszedłeś.

Wzruszył ramionami.

- A jeżeli i wówczas nie odpowiem?

- Tyś naprawdę opętany! - krzyknęła.

Bolesta siedział nieporuszony, obojętny, niemal znudzony przeciągającą się rozmową. Wtedy nagle pochyliła się nad nim. Próżno dawniej oczekiwał takiej pieśczo-ty. Poczł jej

piersi na plecach, ramię kobiety otoczyło jego ramiona. Były lata, gdy był gotów na kolanach błagać o taką łaskę, przyznaną mu dobrowolnie, nie okupioną jakimś hańbiącym ustępstwem.

- Zrozumiałam ciebie - słyszał namiętny szept. - Dopiero teraz ciebie zrozumiałam. Poprzednie lata - to była pomyłka. Lekceważyłam ciebie. Myślałam, że jesteś słaby i dajesz się giąć jak trzcina. Aleś ty silny...

Spojrzał na dłoń kobiety. Była sucha, spracowana i zniszczona pracą przy gospodarstwie. Skóra fałdowała się na niej, żyły już nie potrafiły kryć się bez śladu międy mięśniami. Dłoń nosiła stygmat przeżytych lat. I pomyślał, że takie samo jest całe ciało kobiety, mocne wprawdzie i zwarte, ale już pozbawione świeżości i sprężystości. Szarawe włosy nie pachniały już trawą, usta nie miały twardości dojrzałego owocu.

Lekko odsunął Katarzynę. Wstał i bez słowa wyszedł z izby.

Wiedział, że teraz oboje nienawidzą go szaleńczą nienawiścią, która nie zna żadnych granic. I rzecz dziwna - jemu, który tak długo znosił jarzmo Katarzyny, przede wszystkim dlatego, że nie umiał się gniewać i nie był człowiekiem bezwzględny, świadomość żywionej nienawiści nie sprawiała żadnej przykrości, a nawet tak, jakby go cieszyła. W rzeczywistości czuł dziwny lęk przed miłością, z którejkolwiek strony miała na niego spłynąć. Po prostu sądził, że wyprowadziłoby go to z równowagi, gdyby Katarzyna w odpowiedzi na zniewagę i obojętność dała mu nie gniew, ale miłość. W atmosferze nienawiści, która go otaczała, odnajdował jakieś dziwne zadowolenie.

Przestał obecnie znosić Dobrą. Złościło go to, że suka łąsi się do niego i wciąż mu patrzy wiernie w oczy, choć nie szczędził jej teraz często nie zasłużonych uderzeń. Za to wziął sobie małego szczeniaka, który odznaczał się tym, że był zawsze gotów rzucać się z zębami na podsunętą rękę, i z tym drapieżnym zwierzęciem wciąż się drażnił.

Gdzieś na świętego Wojciecha zjawił się w Łazankach goniec obco ubrany. Bolesta poznał od razu, że przybywa z Czech, i nagle fala obudzonej nadziei szarpnęła jego sercem. Ledwie mógł doczekać się chwili, gdy wreszcie przybyły - zjadłszy i wypiwszy - przystąpił do wyłożenia swej misji.

Przywiezione wieści mogły rzeczywiście Bolestę uradować. W Czechach znowu wrzało. Obecne podniecenie wywołane było faktem, że nowo obrany papież Marcin w pierwszym swoim przemówieniu zwrócił się z apelem do króla Wacława, aby surowo ścigał zwolenników Husa. W ten sposób stanowisko papieża zostało uzgodnione ze stanowiskiem soboru - nie można było stamtąd oczekiwać pomocy.

Bolesta zdziwił się, dowiedziawszy się, że papieżem został kardynał Colonna, a nie arcybiskup Wienerki. Ostatni rok przeżył w domu, nie wysuwając nosa na szerszy świat, sąsiedzi go nie odwiedzali, nikt nie mógł mu powiedzieć o wyborze, tym bardziej, że nastąpił on dopiero przed kilku miesiącami. Ale poseł nic o powodach takiego wyboru nie wiedział.

Po odjeździe gońca życie potoczyło się dalej tym samym trybem. Lato stało się gorące, duszne, burze przechodziły często, próżno starając się ochłodzić potokami deszczu zgorączkowaną ziemię, która pękała, kruszyła się i rozsypywała w gorący popiół niezdolny wydać z siebie żadnego życia. Trawa poschła, konie nie chciały jej jeść, chudły więc i słabły.

Przypadkowo pewnego dnia Bolesta dowiedział się o synu. Paweł bawił podobno w Garbowie i wybierał się razem z Zawiszą na dwór królewski do Budy. Równocześnie zaczęto przebąkiwać między ludźmi o zbliżającej się wojnie z Krzyżakami. Zainteresowany tą wieścią wybrał się Napora do Krakowa.

W stolicy króla nie zastał, gdyż Jagiełłę skwar wypędził w niepołomickie lasy. Z ludzi też kto mógł chronił się w cień drzew. Wisła prawie wyschła, z jej dna wynurzyły się żółte łysiny łach i przedzielały wąski strumień ciekącej - jakby ostatkiem sił - rzeki. Wieczorami brzegi oblepione były przez tłumy żądnych kąpieli mieszczan. Zresztą doszło do tego, że i w ciągu dnia nagusy obojga płci chlapały się ku powszechnej zgrozie w rzece. Zgorszenie było stąd okropne, księża grzmieli przeciwko niemu na ambonach, przekupki zaś na rynku wydziwiała aż pod niebo, żądając przykładnej kary, szczególnie dla dziewczuch, które kąpiąc się rozkładały swoje odkryte wdzięki ku uciesze gawiedzi, zebranej na wysokim brzegu rzeki. Straż grodzka schodziła nad wodę, ale jakoś nikogo dostać nie mogła. Raz tylko znaleziono w krzakach nadbrzeżnych Zośkę Janczanek, piekarszównę, śpiącą bez żadnego odzienia, i przyprowadzono ją na ratusz, wójt zaś ukarał ją ku rozpaczyci rodziców piętnastu plagami starannie wymierzonymi w nagie siedzenie. Kara bądź co bądź pomogła, gdyż w dzień mniej się potem afiszowano z własną nagością, ale za to wieczorem, aż woda występowała z brzegów, tyle w nią jednocześnie ludzi wchodziło. Straż już wówczas nikogo nie prześladowała, bo wiadano, że w cieniach mroku i sam wójt i rajcy i profesorowie akademii moczą swe wygrzane ciała - a trudno jest odróżnić na goło kanonika od byle urwipołcia. Wzywano jedynie, aby się kobiety kąpały osobno, a mężczyźni osobno, bogobojniejsze zaś mieszczki włożyły do wody okręcone w lniane prześcieradła, lub też kąpały się za zasłonami rozpostartymi i trzymanymi przez pachołków. Woda po tych wieczornych kąpielach była nieprawdopodobnie brudna i cuchnąca rozpaczliwie, czemu się zresztą trudno dziwić, jeżeli się zważy, iż wielu z mieszczan dokonywało całkowitych ablucji po raz pierwszy od zeszłego lata. Ale wszystko unosiły cierpliwe fale.

W kościołach za to modlono się pobożnie, prosząc o zesłanie deszczu. Obawiano się bowiem powszechnie, że przy takim skwarze byle płomień może zamienić całe miasto w jedno wielkie rumowisko. Z tego też powodu straż grodzka chodziła po ulicach i pilnowała, by nikt żadnych kaganków czy świec wieczorem nie palił, a mieszczanie szli bogobojnie spać razem z kurami.

Rzeczywiście wytrzymać było trudno wśród murów. Boleście zdawało się, że mu tchu nagle zabrakło w piersiach. W wąskich uliczkach do skwaru dołączała się jeszcze duchota i tylko w sklepionych suterrenach, gdzie mieściły się piwiarnie i winiarnie, można było swobodniej odetchnąć.

Bolesta, coś na trzeci dzień po swym przybyciu do Krakowa, idąc skąpany w pocie poprzez rynek, nagle kogoś dość gwałtownie potrącił. Posłyszał nagły krzyk, trzask jakby rozbijanego glinianego naczynia, a potem rzewny płacz dziecięcy. Odwrócił się. Mała dziewczynka zanosila się od płaczu, stojąc nad ruinami garnka, a biała struga rozlanego mleka wsiąkała w brudną, pokrytą różnymi odpadkami ziemię. Bolesta nie był człowiekiem złym, i w każdym innym wypadku byłby wynagrodził sownie uczynioną szkodę. Ale dziś upał wypił zeń wszystkie siły, wprowadzając go jednocześnie w stan podniecenia. Wydało mu się, że dziewczyna naumyślnie nawinęła mu się pod rękę, aby skorzystać na rozbitym garnku. Cóż wart jest garnek? Parę groszy. On zaś rzuciłby jej na pewno znacznie więcej. Ale udawaniem niczego nie osiągnie. Udaje - nawet to widać po jej krzykliwym płaczu.

Wzruszył ramionami i poszedł dalej. Mała pobiegła za nim, ale gdy zrównawszy się z nim spotkała wzrokiem jego ponurą twarz, zatrzymała się spłoszona. Słowa prośby zastygły na jej ustach.

W tej chwili ktoś go wziął z drugiej strony delikatnie za rękaw. Odwrócił głowę gniewny. Zobaczył przed sobą młodego księdza o suchej, nieładnej, ale dziwnie pociągającej twarzy.

- Czego chcecie? - zapytał zniecierpliwiony, bo mu się zdało, że ludzie, którzy ich nagle otoczyli, jeszcze zwiększają i tak już dokuczliwy upał.

Ksiądz pochylił głowę z wyrazem głębokiej pokory i bez słowa wskazał na rozbity garnek. Rycerz wzruszył ramionami i ruszył naprzód, ale znów zobaczył przed sobą szare, chłopskie oczy proszącego księdza, który mu zabiegł drogę.

- Sama naumyślnie stanęła na mej drodze - rzucił prawie już z gniewem.

- To dziecko - mówił ksiądz - znamy ją tu wszyscy... Sierota. Służy ot tam, w gospodzie - wskazał ręką. - Życie ma ciężkie. Gospodyni bije ją o byle co.

Bolesta machnął niecierpliwie dłonią.

- Nie zatrzymujcie. Nie mam czasu...

- Bądźcie litościwi. Co dajemy cudzemu dziecku, czasem może się okazać potrzebne własnemu.

Ludzie szli za nimi, patrząc trochę zdziwieni na bogatego rycerza, który odmawia wsparcia biedaczce. Był to wypadek rzadki. Przywykli byli raczej do czegoś zupełnie innego, do nadmiernej hojności, która często aż demoralizowała obdarowanych. Bolesta zapragnął nagle wyrwać się za wszelką cenę z koła otaczających go. Sięgnął ręką do sakiewki i nie patrząc co daje, rzucił kilka monet w dłoń księdza. Połyszał:

- Niech wam Bóg zapłaci.

Mógł teraz iść spokojnie. Nie uszedł jednak daleko, gdyłyszał za sobą szybkie kroki biegnącego człowieka, a po chwili dogonił go nieznamy ksiądz. Wyciągnął dłoń z pieniędzmi i podał je Boleście. Rycerz nie mógł tego wszystkiego zrozumieć.

- Dlaczego mi oddajecie?

Zdyszany i mocno strapiony ksiądz wyjaśnił, co się stało. Wydawało mu się, że dziewczynie wystarczy odkupić garnek i mleko. Tymczasem pieniądze nic tu nie pomogą, bo garnek miał specjalne znaki na powierzchni dla wykazania, że przależy do inwentarza gospody „Pod Piejącym Kurem”. Takiego garnka odkupić nie można i nie ma sposobu, aby ocalić dziecko przed biciem.

Bolesta spojrział na niego zdziwiony. Ten ksiądz mówił o krzywdzie dziewczynki, jakby to było nie wiadomo jak wielkie nieszczęście. Cała twarz mu zszarzała, oczy ściemniały i rzec by można, zapadły w głąb. Malowało się na niej tyle litości i miłosierdzia, tyle głębokiej, nie dającej się ukryć tkliwości, że Bolesta nagle poczuł jakby jakiś niepokój w sercu. Pojął, że człowiek, który potrafi aż do tego stopnia wyczuć małą tragedię dziecka, nie jest tylko zwykłym człowiekiem z tłumu. Kimże więc był? Wyszarzała sutanna zdradzała jakiegoś niepozornego księżyka, gruba księga, którą ścisnął pod pachą, mówiła, że musi mieć coś wspólnego z zawodem nauczyciela. Gdy tak zastanawiał się nad tymi szczegółami, nagle uświadomił sobie, że nieznamy ksiądz patrzy na niego. Jasny i dziwnie czysty - jak oczy dziecka - wzrok szukał, zdawał się czegoś szukać na twarzy Bolesty. Rycerz cofnął się o krok w tył. W oczach tamtego była jakaś przejmująca, dogłębna spostrzegawczość. Umiały patrzeć i wślizgiwać się do głębi serca, zdawać by się mogło, że potrafią odkryć każdą skazę, każdą tajemnicę. Bolesta zatrzęsł się wewnętrznie od lęku, który nim szarpnął; miał wrażenie, że oczy tamtego człowieka dotarły aż do najstraszniejszej z jego tajemnic, aż do owej umowy na gościńcu pod Konstancją...

Odsunął rękę z pieniędzmi:

- Weźcie, proszę, dla waszych biednych.

- Niech wam Bóg zapłaci - powiedział, jak przed chwilą, ksiądz.

Nie zdawali sobie obaj sprawy, że idą obok siebie w stronę bramy grodzkiej. W małym oddaleniu od nich szła dziewczynka, niosąc w sukience szczątki rozbitego garnka i pociągając płaczliwie nosem. Nie mówili nic.

Nagle ksiądz zatrzymał się. Wyglądał w tej chwili jak człowiek, przygnieciony bólem nad siły: usta mu drżały lekko. Bolesta, sam nie wiedząc dlaczego, także się zatrzymał.

Zaułek, w którym się znajdowali, był pusty i skąpany w blasku słońca. Ludzie uciekali stąd, bo słońce prażyło tu rzeczywiście nieznośnie, a najbliższy skrawek cienia znajdował się dopiero o dobrych kilkadziesiąt kroków. W tej chwili nie było wokół nikogo. Boleście zdawało się, że ksiądz coś mówi - ale choć natężył słuch, nie usłyszał ani słowa.

Chciał iść dalej, ale coś go wciąż jakby przykuwało do miejsca, w którym stał. Bezwiednie wziął z sukienki małej jeden z czerepów. Wyglądem nie różniły się one niczym od resztek innych rozbitych garnków. Z obu stron pokrywała skorupkę lśniąca polewa, środek był jasny, miękki i kruszył się pod naciskiem palca.

- Glina... - rzekł.

- Glina - powtórzył ksiądz - jak i my. Człowiek też jest glinianym garnkiem. Wypuścić go z ręki - a upadnie i rozbije się.

- I nikt go nie skleji - dokończył Bolesta.

Skinął ręką księdzu i poszedł dalej. Tamten został obok dziecka. Oboje stali przygnieceni cierpieniem. Małej płynęły po twarzy bezgłośnie łzy. Ksiądz robił wrażenie, jakby się przed czymś bronił, jakby jakąś pokusę od siebie odsuwał. Nie chciał czegoś - a może właśnie chciał, lecz chwycił go lęk, że rzecz, która się nagle pojawiła w jego sercu, jest tylko bolesnym doświadczeniem jego sił. Błagał o wyjaśnienie, błagał o pewność, wyciągał dłoń, a potem znowu ją cofał, zapytywał sam siebie bez końca. Lecz odpowiedź nie nadchodziła. Człowiek pokorny walczył z mocą, która go nagle ogarnęła, jak Jakub z Aniołem, nad brzegiem rzeki...

A potem niespodziewanie pochylił się nad dziewczynką. Bolesta usłyszał za sobą nagle radosny okrzyk, tak radosny, że aż zmusił go do odwrócenia się. Zobaczył księdza idącego szybko - niemal biegnącego - w głąb pustej uliczki. W opuszczonym zaułku stała samotna, ogarnięta radością dziewczynka. Boleście wydało się, że widzi w jej dłoniach cały garnek.

6.

Wieści o wojnie z Krzyżakami zdawały się nieco przedwczesne, ale bynajmniej nie brakło im podstaw. Bolesta przez długi czas błąkał się po Krakowie, zanim mógł się wreszcie wszystkiego wywiedzieć. Dopiero coś bowiem w trzecim tygodniu, gdy już miał opuszczać wyschłe na wiór od wciąż trwającego upału miasto, natknął się przypadkiem na jadącego z niewielkim orszakiem Jędrzeja Balickiego. Rycerze padli sobie w objęcia; chcąc ze sobą porozmawiać, czym prędzej ukryli się w chłodnej, umieszczonej w podziemiach winiarni Włocha Barteolo.

Balicki jechał wprost z Konstancji i zaraz miał zamiar, na chwilę tylko wpadłszy do Niepołomic - dążyć dalej na Węgry. Twierdził, że król Zygmunt mimo spóźnionej pory na pewno wyruszy jeszcze w tym roku przeciwko Turkom, wypada więc, aby każdy rycerz chrześcijański za miecz chwycił i pod królewską chorągiew stawał. Balickiego znali wszyscy z tego, że wciąż tylko nasłuchuje, gdzie słychać szczęk oręża, aby tam biec. Byłby nieszczęśliwy, gdyby jakaś wojna obyła się bez jego udziału. Przeważnie mało go obchodziło, z kim i o co się bije - pod tym względem stał bez porównania niżej od Zawiszy, który, choć chciwy sukcesów wojennych, nie z każdym się sprzymierzał i nie z każdym zgodziłby się walczyć.

Bolesta ciekaw był ogromnie, co słychać z ruchem wytworzonym przez Husa, ale o tym mało mu umiał Balicki powiedzieć. Powtórzył tylko nowinę o tym, że kardynał Otto Colonna, a obecnie Ojciec Święty Marcin V, zagroził Czechom krucjatą, jeżeli niezwłocznie nie wyprą się błędnej nauki Husa.

Znacznie za to więcej mógł Balicki powiedzieć o ostatnim zatargu z Krzyżakami, który sprawił, że ludzie poczęli się zbroić i z niecierpliwością wyczekiwać gońców z wićmi. Pokazało się, że bawiącemu w Paryżu Wieniarskiemu podczas wyprawianej przez niego uczytły dla profesorów akademii paryskiej i duchowieństwa francuskiego, podrzuciono ohydny paszkwil, napisany przez niejakiego Falkenberga, dominikanina, a zawierający niebywałe wprost napaści na króla Władysława, księcia Witołda i Polaków. Ów Falkenberg, jak się okazało, przebywał niegdyś w Krakowie, u Trójcy świętej i gdy obaj rycerze zaczęli sobie przypominać, to nawet uprzytomnili sobie, że go pamiętają. Był to wysoki, rudy mnich, słabo mówiący po polsku. Stał zwykle na rusztowaniu i pomagał przy budowie kościoła, który wciąż dominikanie wykańczali i nigdy go jakoś wykończyć nie mogli.

- Wiadomo, że sam mnich tych wszystkich bezeceństw nie napisał - twierdził Balicki, uderzając ręką w stół aż się wino zakoleysało w kubkach. - Musiał mieć dobrych nauczycieli,

którzy za nim stali. Krzyżacy są na Polskę wściekli, bo po zeszłorocznych wywodach Pawła z Brudzewa wszyscy patrzą na nich jak na raroga i nie tak już łatwo wierzą w ich bajania o wojnie z polskimi Saracenami. Rozmawiałem z różnymi - wiecie, że znam wielu ludzi. Jeden sławny rycerz burgundzki, Gilbert de Lanno, z mojej porady przyjechał do Polski. Był poprzednio pod Grunwaldem z Krzyżakami i sądził, że walcząc z nami walczy z pogaństwem. Tak go malboreczycy omamili! Ale jak posiedział w Konstancji i posłuchał, co się mówi, zapragnął tu do nas przyjechać. I nie on jeden. Więc też Krzyżacy gniewu nie umieją ukryć, że każdy teraz wie, jakimi są to oni obrońcami Kościoła. Nie mogli gadać na soborze - bo Włodkowica nie przegadają - zapłacili Falkenbergowi, aby czekał.

- I co?

- Falkenberg świństwa powypisywał, a Krzyżacy przez swoich ludzi pismo jego różnym biskupom i kardynałom popodrzucali. Nie pamiętam już wszystkiego, co tam było, bom zresztą z gniewu nawet do końca szmaty tej nie wysłuchał. Powiada na początku, że Polacy nie są wcale chrześcijanami, bo się ochrzcili podstępnie, aby tylko chrześcijan udawać, ale w rzeczywistości gorsi są jeszcze od Saracenów, gdyż czczą jakąś jagłę...

- Co za jagłę?

- Licho wie. Pewno tak przekręcają imię królewskie. No i pisze ten Falkenberg, że trzeba Polaków zabijać i tępić, a ich wodzom nie szczędzić nawet i tortur, bo w ten tylko sposób można uratować chrześcijaństwo i przed Bogiem się zasłużyć.

- Witold musiał być wściekły, jak się o tym dowiedział. Dziwne aż, że od razu na wojnę nie pociągnął.

- Kazano mówić Włodkowicowi. Miał mowę - bardzo ciekawą, tylko trochę za długą - nie lubię tych długich mów; niby ciekawa, a przecież człowieka senność morzy. Mówił o krucjatach i o Krzyżakach. Posłuchajcie tylko: powiedział im, że są heretykami. Wielki mistrz aż zsiniał ze złości. Pytał ich, Włodkowic, gdzie mają dokument, na którego mocy wolno im działać, i kto im pozwolił odrzucać śluby ubóstwa. Mistrz krzyczał, że to nikogo nie obchodzi, bo oni mają regułę przez papieża zatwierdzoną. A Włodkowic ciągle swoje: gdzie i kiedy? Potem jeszcze długo mówił, ale końca to już zupełnie nie pamiętam.

- Nikt więcej nie mówił?

- Co nikt! Wielu mówiło. Po Włodkowicu gadał Rwacka z Pragi, a potem i sam Gerson...

- Gerson przeciwko Krzyżakom?

- Niezupełnie. Opowiadał o jakimś Peticie, który nauczał, że wolno zabijać niesprawiedliwych królów. No a niby Krzyżacy, gdy mówią, że trzeba zabijać Polaków, to są tacy sami jak ten Petit...

Więcej się Bolesta już nie dowiedział od Balickiego. Rycerze posiedzieli w winiarni do wieczora i wypili kilka dobrych dzbanków wina. Potem rozstali się. Balicki pojechał do Niepołomic. Bolesta wrócił do gospody, w której mieszkał, z tą myślą, że następnego dnia powróci do siebie.

Jednak tak się nie stało.

Tej nocy obudziły rycerza dzikie wrzaski w mieście, a gospodarz nagłym pukaniem we drzwi wyciągnął go z pościeli. Pożar - to słowo poderwało wszystkich. W kościołach biły dzwony, od rynku dochodził krzyk, płacz i lament ludzki.

Bolesta żywo ubrawszy się pobiegł na rynek. Tłoczyli się tu ludzie wystraszeni, ciągnący za sobą wózki i taczki, na które załadował każdy, ile tylko mógł ze swych bogactw. Od strony Wiślniej strzelały płomienie, kilka domów paliło się z trzaskiem, jak stóg słomy. Żar bił okropny, nie sposób było dostąpić.

- Wody! - krzyczeli jedni.

- Uciekać! - nawoływali drudzy.

- Panno święta, ratuj! - błagały kobiety.

Wiatru nie było, ale płonący dom strzelał naokół snopami iskier. Zanim się zorientowano, błękitne drzazgi ognia uczepiły się dachu sąsiedniego domu. Na dachu wprawdzie siedzieli ludzie i starali się zdusić ogień mokrymi szmatami, ale wody nie było, szmaty wysychały w mgnieniu oka i zamiast chronić od ognia, groziły zapaleniem się w rękach.

Było coś okropnego w tej nieustępliwej sile ognia, której nic nie mogło złamać. Ciężkie, malowane belki, zda się - na oko - odporne chwytności przez ogień, nagle zaczynały się żarzyć i to od razu w kilku miejscach. W żarze sprawianym przez palący się dom każda iskierka nabierała niepojętej mocy - choćby padła na gładką całością ścianę, uczepiała się jej i zaczynała swe dzieło zniszczenia.

Dzwony biły rozpaczliwą skargą. Krzyki ludzi tworzyły jakąś przejmującą wrzawę, którą usłyszawszy z dala, nikt by nie poznał, co ma wyrażać: rozpacz, strach, czy może jakąś dziką radość.

Radość! Bolesta sam nie wiedział, dlaczego wobec grozy pożaru i nieszczęścia ogarnęło go uczucie, które ze współczuciem i miłosierdziem nie miało nic wspólnego. Tańczące po dachu płomyki miały w sobie moc budzenia dzikiej uciechy. Było w nich coś

rozkosznego, coś kuszącego... Rycerz miał wrażenie, że jakaś siła pcha go ku płonącemu stosowi, każe wyciągnąć rękę ku płomieniom. Zatrząsł się, przerażony myślami, które rodziło jego własne serce.

Nowy, potężniejszy krzyk uderzył w niebo. Płomienie zwyciężały. Podczas gdy ludzie biegali jak szaleni po dachu, gasząc każde tlejące miejsce, ogień wżarł się w ścianę domu i ogarnął ich od spodu. Krwawo-czerwony jezior wytrysnął niespodziewanie z dymnika, a równocześnie dach otoczył wieniec niebieskawych płomieni. Tamci na dachu, odcięci od schodów, mogli tylko ratować się po drabinie. Było ich jednak kilku, toteż zanim trzech zdołało osiągnąć szczebli, ogień objął szczyt drabiny. Na dachu pozostało jeszcze dwóch - nie, dwoje ludzi.

Tłum na dole cofnął się w niemej grozie i zastygł w nagłym milczeniu. Tylko dzwony biły na alarm i jakieś dziecko płakało na rękach matki. Bolesta pchnięty ku tyłowi oparł się ręką o cembrowinę studni. Prawie automatycznie zajrzał do wnętrza, ale woda była wybrana do dna; w świetle pożaru połyskiwała tylko na dole tafla kałuży, przebita tu i ówdzie mieliznami wystającego spod niej błota. Uwagę jego przykuła znowu para na dachu.

Kobieta biegła niespokojnie tam i z powrotem po skraju. Widział na tle nieba jej sylwetkę oświetloną - jak na okropnej scenie - blaskiem palącego się od spodu ognia. Mężczyzna stał nieruchomo, zakrywając twarz rękoma. Trzask pożaru wzmógł się - widać było, że ogień dotarł do nowego pokarmu.

Nagle kobieta przeraźliwie wrzasnęła i skoczyła w dół. Jej krzykowi odpowiedział głuchy okrzyk tłumu. Bolesta widział przez chwilę jej ciało jakby zawieszone w powietrzu, ciągnięte ku ziemi długimi, białymi nogami, unoszone ku górze rozdętą banią sukien... Potem otoczyli ją ludzie. Równocześnie płomienie strzeliły wyżej i wśród straszliwego huku, cały dach runął do środka płonącego domu. Ogień zwycięsko strzelił w górę snopem iskiei. Człowiek stojący na dachu znikł. Boleście pojawiło się nagle przed oczami wspomnienie: stos nad brzegiem rzeki, otoczony dymem i ogniem, i słup stojący pośrodku, a teraz nagle zapadający się w rumowisko żaru... Jego serce ścisnął nagły skurcz. Ale to nie był ten sam skurcz, co wówczas nad brzegiem Renu. Rycerz znowu z przerażeniem poczuł, że był to skurcz hamowanej radości. Miał wrażenie, że jego ciało cieszy się z tego, co widzą oczy. Cieszy się wbrew jego woli. Cieszy się, jakby ulegając innej woli...

Teraz ogień wyraźnie przeskoczył na sąsiednie dwa domy. Ludzie, którzy stali tam na dachu, pośpiesznie zbiegali na dół, bojąc się losu, jaki spotkał ich sąsiadów. Odchodzili przedwcześnie, ogień zaś, nie gaszony, z przerażającą łapczywością ogarniał budynek. Teraz było jasne, że nic nie stanie na drodze szalejącemu żywiołowi.

Nagle z tłumu wyskoczył człowiek. Bolesta poznał go od razu: był to ów spotkany przed paroma dniami ksiądz. Coś wołał, krzyczał, wskazywał na pożar. Widać, że nawołuje do ratowania. Ale tłum stał oporny, przerażony śmiercią, którą przed chwilą ujrzał. Wreszcie kilka osób skoczyło za księdzem. Bolesta szarpnął się - i sam nie wiedząc, dlaczego to robi - pobiął za nimi.

Pożar rozrywał już coś szósty dom z kolei. Stanęli przy sąsiednim, jeszcze nie ogarniętym przez płomienie. Część ich przyczała się na dachu, część uczepliła się ścian i okien. Uderzyła w nich fala żaru unosząca na swoich skrzydłach tysiące iskier. W odpowiedzi chlusnęli na ogień wodą.

- Wody! Prędeej! - krzyknęli, rzucając ku stojącym beczynnemu na rynku puste wiadra.

- Nie ma wody - odpowiadano.

- Studnie wyczerpane!

- Wszystko wyschło!

- Z rzeki nikt nie naniesie!

- Wody! Wody! - wołał ksiądz, stojąc na dachu. - Macie przecież studnię pod bokiem!

- Ale tam nic nie ma! - odkrzyknął ten i tamten.

Nagle jakaś baba zajrzała poprzez cembrowinę.

- Ludzie! Ludzie! Woda nadpłynęła!

Rzucili się tak gwałtownie, że mało kobiety nie przerzucili poza ocembrowanie. Studnia była pełna aż po brzegi. Wystarczyło tylko zanurzyć rękę z wiadrem.

- Wody! Wody! - wołano z dachu.

Rzucono się z wiadrami. Jakaś otucha wstąpiła w serca tłumu. Z kościoła Mariackiego wyszła procesja z Najświętszym Sakramentem. Kto nie biegł z wodą, ten padał na kolana przed Chrystusem, który sam oto przychodził w pomoc swoim wyznawcom.

- Nie zginiemy! - szeptały kobiety.

- Pan powiedział, aby wierzyć. Dlaczego nie wierzycie?

- Chryste, litości!

- Chryste, miłosierdzia!

- Wody!

Zaparli się na dachu i nie chcieli ustąpić. Ogień, który tymczasem wypalił aż do dołu poprzednio zdobyte domy, jakby bojąc się, że tu zabraknie żeru, ze wściekłością uderzył teraz na nich. Iskry skakały wokół. Żar bił tak okropny, że odbierał oddech płucom. Mieli wrażenie, że wygryzie im oczy. Ubrania piekły, jakby były żywym płomieniem. A jednak nie

ustępowali. Lali wodę i lali. I wciąż słyszeli obok siebie głos księdza, który ich zachęcał do walki.

Bolesta zwątpił w to, że wytrzymają, ale mimo to nie ustawał w walce. W pewnej chwili zachwiał się, stojąc na brzegu dachu, i byłby runął w dół, gdyby go ksiądz nie był schwytał za rękę. Niebezpieczeństwo, o które się otarł, otrzeźwiło go, ale jednocześnie coś, jakby gniew zbudził się w jego sercu. Czuł wstyd i oburzenie, że zawdzięcza ocalenie życia temu księdzu. Właśnie jemu.

Kłęb szaro-błękitnego dymu buchnął w górę, a jednocześnie rozległ się krzyk radości. Ależ tak! Płomień, nie mając się czego chwycić, począł zamierać pod rumowiskiem popiołu. Teraz wszyscy rzucili się na pogorzelnisko. Wolno pełzające płomyki zasypywano piaskiem, zadeptywano nogami. Człowiek zwyciężył żywioł i pełen zadowolenia ze swego tryumfu, dawał znać o tym światu radosnym krzykiem.

Bolesta teraz dopiero poczuł, że jest okropnie zmęczony. Po prostu ugięły się pod nim nogi, a do warg zapiekłych i spalonych przywarł ohydny smak spalenizny. Potykając się, podszedł do ocembrowania studni i siadł na nim. Nie miał sił, aby wyciągnąć sobie wiadro z wodą i napić się, więc tylko spuścił dłonie i trzymał je zanurzone w chłodnym płynie. Tłum odszedł od studni, jedynie obok stali dwaj poważni mieszczanie i coś ze sobą rozmawiali. Do uszu Bolesty doszły strzępy rozmowy:

- ...nigdy w tej studni nie było wody głębiej niż na łokieć.

- Albo konwi i wiader! Głowę daję, że każdy kto przyniósł jedno, będzie mógł powrócić z dwoma...

Rycerz nie rozumiał o czym mówili, zresztą nie miał czasu zastanawiać się nad usłyszczanymi słowami, bo w tej chwili poczuł czyjąś rękę na swym ramieniu. Podniósł głowę i zobaczył znanego już sobie młodego księdza. Tamten miał twarz brudną, pokrytą potem i sadzą, ubranie popalone i pełne plam, oczy zaś zaczerwienione jak królik. Wskazał ruchem głowy kierunek i spytał:

- Czy możecie, panie, pójść ze mną?

Bolesta wstał. Bez słowa opuścili rynek i zeszli w boczny zaułek. Szary świt spłynął niepostrzeżenie. Ich kroki rozlegały się głośno w pustej uliczce. Otaczała ich cisza wczesnego poranka i tylko z dala, jednostajnie jak brzęk roju, dochodził gwar pełnego ludzi rynku. Ksiądz zatrzymał się nagle.

- Wybaczcie, rycerzu, zem chciałem, abyście mi towarzyszyli... Sam nie wiem, dlaczego to uczyniłem. Ale wydało mi się, że mam wam coś powiedzieć...

- Ocaliliście mi życie. Jestem wam wdzięczny - rzekł Bolesta.

Tamten wzruszył lekceważąco ramionami.

- Każdy by to chciał na moim miejscu. Ale - wiercie mi - nie o tym chciałem mówić...

- A ja o tym. Powiedzcie mi, jak się nazywacie, abym wiedział, komu ocalenie zawdzięczam.

Ksiądz spojrział boleśnie na rycerza. Widać było, że chciał uniknąć słów wdzięczności z jego strony, a jednocześnie gryzł się wewnątrz, nie mogąc sobie przypomnieć, dlaczego rozpoczął tę rozmowę.

- Nazywam się Jan Wacęga. Jestem nauczycielem. Nie pochodzę z rodu rycerskiego - dodał prędko tonem wyjaśniającym.

Bolesta skinął głową.

- Czytacie pewno wiele?

- O, chciałbym dużo czytać. Ale tyle zajęć, że mi czasu do czytania brak. Nauczyłem się, niestety, próżnować, więc żeby siebie ukarać, przepisuję pisma mądrych i pobożnych ludzi...

- Przepisujecie?

- Tak. Niech przynajmniej z mego próżniactwa mają ludzie pożytek. Mało mamy ksiąg pobożnych, ludzie zaś muszą czytać, bo skąd by brali naukę dobrych uczynków?

- Uważajcie, by was nie osądzono za wasze przepisywanie.

Ksiądz spojrział ze zdumieniem na Bolestę:

- Osądzić? Dlaczego?

Rycerz spojrział w oczy księdza. Wyczytał w nich tak głęboką wiarę i ufność, że go to aż do żywego ubodło. Ci głupcy - przebiegło mu przez głowę - siedzą w księgach, szperają, ale że nie mają dość odwagi, aby o tym, co przeczytali, powiedzieć wszystkim, cieszą się opieką duchownych protektorów. Niech się jednak znajdzie jeden odważny, niech tylko krzyknie ludziom prawdę prosto w oczy - to go spalą. Och, czas już najwyższy, aby przysła wojna, która zetrze z powierzchni ziemi całe to kłamstwo. I nagle jakby cała niechęć, którą czuł, zestrzeliła się w postaci stojącego przed nim księdza, zapragnął, aby temu naiwnemu bakałarzowi złamać jego wiarę, zniszczyć jego ufność.

- Nie takich jak wy sądzili i palili w Konstancji - rzucił.

- Wiem. Ale to nie dlatego, że przepisywali pobożne księgi.

- Nie. Dlatego, że mówili prawdę i o niej pisali w pobożnych księgach. Dlatego, że widzieli zło i wskazywali na nie palcem. Że wykrywali kłamstwa. Że nie lękali się nikogo.

Ksiądz schylił głowę i patrzył na czuby swych starych, mocno już zniszczonych butów.

- Człowiek zagniewany rzadko mówi prawdę... - szepnął.

- Zagniewany! A jaki ma być człowiek, który widzi wokół siebie fałsz, brud i podłość?! Wy wszyscy albo się łudzicie, że Kościół rzymski nie jest chciwy władzy, albo sami jej pożądacie i dlatego siedzicie cicho. Ale dla waszych zwierzchników, dla waszych kardynałów i biskupów nie ma nic droższego nad władzę. Zapomnieli o tym, że winni tylko Bogu służyć! Trzech papieży mieliśmy przecież jednocześnie...

Ksiądz stał wciąż z opuszczoną głową, jakby przybity słowami Bolesty. Tak, Napora czuł, a prawie miał wrażenie, że widział jak każde oskarżenie, z którym występował, przygniatało niżej barki Wacęgi. Kiedy wreszcie skończył, posłyszał cichy głos księdza, mówiącego łagodnie:

- Czy pamiętacie, rycerzu, jakimi byli apostołowie Pana Jezusa? Piotr zaparł się swego Mistrza i był dlań zgorszeniem, a Filip i Tomasz wątpili w Jego moc, Jan i Jakub prosili, aby ich nad innych wywyższył... Kłócili się i spierali o byle co, a gdy Chrystusa prowadzono na Krzyż, rozbiegli się i ukryli. Czy jednak innych ludzi szukał Jezus, gdy zmartwychwstał? Czy też znowu tym słabym i niegodnym uczniom dał swój Testament? Im. Nie pamiętał nawet, że byli tacy słabi i źli. I wcale to innych ludzi nie gorszyło, choć wiedzieli, jak wielki skarb został powierzony słabym rękóm i ułomnym sercom. Dlaczego więc dziś tak łatwo się gorszymy? Skarb pozostał przecie skarbem. My zaś tymczasem, zamiast zań Bogu dziękować, buntujemy się, oskarżamy i odchodzimy? Żydzi także odchodzili, mówiąc: „Twarda jest ta mowa...”, bo nie rozumieli słów Chrystusa. Oburzali się faryzeusze na to, że Chrystus z celnikami jada, bo nie umieli pojąć miłosierdzia Bożego. A my uważamy, że wszystko rozumiemy, że wolno nam sądzić...

- Cóż stąd?

- Musimy mieć wyrozumiałość dla człowieka, bo i my jesteśmy ludźmi. Chrystus nie chciał, aby rzucali kamieniem na jawno grzesznicę, ludzie sami od niej nie lepsi.

- Mówisz, księżę, uczonymi słowami i widać, że w książkach siedzisz, ale świata nie znasz. Powiadasz: miejmy wyrozumiałość dla człowieka! Ależ to wy jej właśnie nie macie! Rzym rad by pchnąć cały świat ku niepodobieństwu. Wszystkich zmusza do nieposłuszeństwa. Jest najgorszym tyranem. Uczy, aby się człowiek nie wynosił nad innych, a sam go gnębi i każe swoich rozkazów ślepo słuchać. Gdzież ta wyrozumiałość?! Dlaczego zmusza, aby małżeństwa się ze sobą trzymały, i nie daje się rozejść ludziom, których ciała

dawno się już ze sobą rozeszły? A jednocześnie pozwala, aby księża i biskupi trzymali sobie kochance!

Ksiądz Jan cofnął się o krok i zakrył twarz dłońmi. Jego szczupłe ramiona drżały tak, jakby płakał. Ale gdy wreszcie odkrył twarz zszarzałą i skrzywioną boleśnie, nie widać było na niej ani śladu łez.

- Czy nie umiecie, rycerzu - zapytał głosem drżącym - ujrzeć poprzez ludzi Boga?

- Przez ludzi, jakimi Rzym włada, widzę tylko szatana.

Zamilkli. Bolesta oddychał prędko, porwany zapałem dyskusji i radością, że zmusza tamtego do milczenia. Ksiądz znowu spuścił głowę. Jego wargi poruszały się bezgłośnie. Trwali tak naprzeciwko siebie w pustej, cichej uliczce. Szary woal przedświt topniał. Wyżej na niebie, ponad wąwozem ulicy, zapalało się słońce. Niebo wzbierało błękitem.

- Nic mi nie odpowiesz, księżu?

W głosie Bolesty słychać było triumf. Tamten milczał.

- Widzisz sam, jak słaba jest wasza wiara. Pomyśl tylko: i tacy jak wy skazują na śmierć człowieka, który głosi nowy porządek, wykluczający wszelkie cierpienie, zło, niesprawiedliwość. Hus chciał wszystkim otworzyć oczy. Ale biskupi i kanonicy nie chcą, aby im - i innym ludziom - otwierano oczy. Choćby sam Chrystus z nieba zstąpił, posłaliby Go na stos.

Ksiądz podniósł głowę i spojrzał gdzieś w głąb ulicy, jakby tam coś ciekawego zobaczył.

- Człowiek znowu by Chrystusa skazał na śmierć, gdyby On zstąpił na ziemię - rzekł. - Zabijamy Go codziennie...

- Masz rację, księżu - dowodził Bolesta. - To Rzym jest mordercą Boga, mordując miłosierdzie Boże. To nie do nich należy Jezus. On żył pośród cierpiących i nędzarzy, i współczuł im. Nie kazał siebie czcić jako Pana. Ale biskupi rzymscy zrobili zeń sobie tarczę, którą się zasłaniają, by czynić zło. Ukradli Go ludziom. A tych, którzy chcą Boga cierpiącym przywrócić, tych palą!

- Ogień pali, ale i oczyszcza. Ogień trawi, ale i przetwarza.

- Nie rozumiem.

- Bóg jest sam ogniem... Ogniem, który zawsze płonie i zawsze przetapia brzydką rdzę w srebrzystą stal. Gdyby więc człowiek zechciał przynieść zło ziemskie na stos i w pokorze samemu nań wstąpić...

- Śmieszny jesteś! Nikt ochotnie na stos nie wstępuje.

Ale ksiądz mówił, wpatrzony gdzieś w mury domów, nie jakby przemawiał do Bolesty, ale do samego siebie lub do kogoś, kto miał do niego z głębi ulicy nadejść.

- Na wadze tylko cierpienia się liczą... Człowiek leży, a powstaje - był nieczysty, a oczyszcza się... Zwycięstwa, triumfy, wielkie wiktorie... Nie okupimy ich wielkim pragnieniem woli, nie zdobędziemy ich siłą ręki...

- Ty, księżu, wierzysz w cierpienie?

- Wierzę w cierpiącego człowieka...

Bolesta uświadomił sobie, że go drażni ten młody ksiądz. Złościły go jasne oczy tamtego, twarz brudna, zakopcona, uwydatniająca się jeszcze bardziej dzięki roztartym na niej sadzom, chudość wpadniętych policzków. Czuł, że coraz mocniej ogarnia go chęć powiedzenia księdzu czegoś takiego, co by tamtego wtrąciło w otchłań rozpacz i żalu.

- Człowiek musi walczyć z cierpieniem - rzucił wyzywająco. - Musi je przezwyciężyć, wygnać z tego świata.

- A cóż przez to uzyska?

Prawie automatycznie poczuli znowu iść obok siebie. Wąska uliczka rozprostowywała przed nimi swoje skręty. Nie spotykali prawie nikogo, całe miasto było na rynku. Minęli bramę, przy której drzemał cechowy strażnik, i zeszli na łąki.

- Cóż przez to człowiek zyska? - zapytał znowu ksiądz.

Bolesta szedł z rękami założonymi w tyle.

- Sądzisz więc, księżu, że tylko ból okupuje zwycięstwa? Że trzeba, aby wódz zginął na stosie za pomyślność swoich żołnierzy? Że Hus...

Wacęga zrobił beznadziejny ruch rękami, jak ktoś, kto na próżno usiłuje ubrać swoją myśl w szatę słów. Jąkał się:

- Stos oczyszcza... człowiek czasem najlepszy... ale... jego dzieło musi być oczyszczone... przez inny stos, który trwa... Życie jak stos...

Przed nimi ukazała się Wisła. Lśniła w słońcu porannym. Jej poważne fale zdawały się coś szeptać, uderzając delikatnie o kamyki przybrzeżne i o piaszczysty brzeg, wygładzony, śliski, przypominający ciało ludzkie, na którym nie chce się utrzymać woda, ale zbiega małymi strużkami i ucieka. Na drugim brzegu czernił się las i płonęły w słońcu białe skały wapienne, wysuwające się spomiędzy mchów. Był spokój, tylko rybitwa krzycząc krążyła nad wodą, nagle zleciała w dół, uderzyła się prawie o powierzchnię rzeki, by potem szybko odlecieć ze zdobyczą w dziobie.

Zatrzymali się nad samym brzegiem. Nad nimi z tyłu, na górze, wisiały mury zamku.

- Nie - rzekł Bolesta - nie wierzę. Cierpienie jest karą, od której trzeba świat uwolnić. Człowiek zbuduje życie wolne od cierpienia. Będzie wolny i niepodległy żadnej ludzkiej władzy.

- A Bogu, jak sądzicie, czy Bogu ma ulegać?

- Co za pytanie! Naturalnie!

- Ale czy Bogu potrafi być uległy, gdy nie nauczył się uznawać nad sobą żadnej ludzkiej władzy? Gdy umie tylko protestować krzykiem i biciem pięścią w stół?

- Dlaczego nie miałby być uległy?

- Mówiono mi, że w dalekim Paryżu książę pewien swych grodzian zwolnił od posłuszeństwa. A wtedy oni rzucili się, aby mordować rycerzy, biskupów, księży. Po ulicach płynęła krew, a ciała zabitych nikt nie chciał dla ich liczby grzebać...

- Książę ów postąpił nierozważnie. Trzeba było ludowi dać sposób, jak żyć powinien.

- Przecież ksiąg Bożych jemu nie zabrał. I chciał, aby nie znali cierpienia.

- To mało!

- Jutro, być może, przyjdzie reformator, który da ludziom wolność. I nauczy ich posługiwania się takim narzędziem, które sprawi, że się czuć będą wolni... Albo znowu inny oczyści ich krew, która - jak uczą lekarze - zagrzewa się, czernieje i budzi humory. I powie, że krew oczyszczona uczyni ich wolnymi. Lecz powiedzcie, rycerzu, czy cierpienie dzięki temu zniknie?

Bolesta nic nie odpowiedział. Ten dziwny ksiądz w miarę posuwającej się rozmowy stawał się coraz wymowniejszy. Początkowo czuć było, że się biedzi, że szuka słów, cierpi - nie mogąc przeciwnikowi odpowiedzieć na jego zarzuty. Ale teraz, rzec by można, przemógł się. Nabierał pewności siebie.

- Wolny nie jest człowiek, który nie cierpi - mówił Wacęga. - Wolności nie nabywa się też przez cierpienie, ale przez przyjęcie cierpienia.

Spojrzał na Bolestę. Ich oczy spotkały się. Lecz nagle coś szarpnęło sercem rycerza. Wydało mu się, że Wacęga zdołał wdrzeć się w tajemnice jego życia, a poznawszy je, grozi mu teraz. Wszak to chyba do niego mówi, aby się poddał cierpieniu. Szaleniec! Cały sens - to walczyć i zwyciężać. I nawet tamten - nieznany przyjaciel, którego Bolesta spotkał nocą na drodze pod Konstancją - mówił, aby się wyzwolił.

Wpił gniewne spojrzenie w twarz księdza i rzucił głosem, który od wielkiego przejęcia stał się zduszony, świszczący, obcy:

- Cierpienie nic nie stworzyło. Nic i nigdy! Wyrzecz się swej wiary, a poznasz prawdziwą wolność.

Lecz Wacęga nie spuścił wzroku pod naporem spojrzenia rycerza. Przeciwnie, skupił się, zebrał w sobie. Błyskawice gniewu strzeliły mu z oczu. Niepozorny młody ksiądz zdawał się rósć i rósć, aż wreszcie wydał się Bolesćcie olbrzymem. Krzyknął krótko, a w okrzyku tym była moc wybuchu:

- Kusicielu! Odejdź!

Bolesta cofnął się, jakby go ktoś pięścią uderzył w pierś. Zdumienie i złość odebrały mu na chwilę zdolność mówienia. Ale piorun gniewu księdza już spłonął. Pałająca twarz zgasła. Ramiona opadły w dół gestem zmęczenia, ciało zgarbiło się, zmałało.

- To pokusa, rycerzu - rzekł swoim zwykłym, cichym głosem. - Boże, strzeż nas od niej!

Chwilę milczeli. Bolesta zuł swój gniew. Ksiądz poruszył się niespokojnie.

- Czas mi już iść. Nie wypada, aby wierni zeszli się na mszę, a mnie w kościele nie było. Żegnajcie, rycerzu! Wybaczcie, jeśli wam powiedziałem co przykrego.

Skłonił się Bolesćcie, ten jednak nawet nie kiwnął głową. Wydał pogardliwie wargi i patrzył złośliwie na księdza, który nie wiedział, jak się ma zachować wobec obraźliwego zachowania rycerza. Wreszcie widząc, że się żadnego słowa nie doczeka, ruszył w stronę miasta. Uszedłszy kilka kroków obejrzał się, jakby coś sobie przypominał.

- Będę się modlił - rzekł - aby wam Bóg pozwolił zrozumieć cierpienie.

I poszedł dalej. Idąc garbił się, a długie jego ręce w zbyt krótkich rękawach kiwały się dziwnie bezwładnie. Wyglądał jak człowiek uginający się pod brzemieniem bólu, który przekracza jego siły.

7.

Po upałach nadeszły nie kończące się deszcze i ciągnęły się przez całą jesień, aż dopiero sucha i ostra zima zrobiła z nimi koniec. Mrozy uderzyły wielkie, jakich dawno starzy nawet ludzie nie pamiętali. Gruby kożuch śniegu leżał, nie topniejąc od pierwszych dni grudnia aż do świętego Aleksandra rycerza, w lutym.

Paweł wciąż nie dawał o sobie znaku życia. Między Katarzyną i Bolestą wisała, jak chmura, milcząca złość. Całymi tygodniami nie mówili do siebie ani słowa. Żadne z nich nie chciało ustąpić. Zresztą ustąpić mógł tylko Bolesta, a jego właśnie opanowała dziwna zawziętość, która nie pozwalała mu spostrzec, że wiele się zmian dokonało w trudnym usposobieniu Katarzyny.

Kobieta wyraźnie pokorniała i cichła. Myliłby się, kto by sądził, że nie kochała wcale męża. Przeciwnie - kochała go nawet bardziej, niż sobie mogła zdać z tego sprawę, ale przywykłszy do traktowania go z góry, urobiła sobie przekonanie o jego małej wartości. Podobnie jak większość kobiet, odczuwała potrzebę oparcia się o mocnego mężczyznę, nie bardzo jednak wiedziała, na czym ta moc ma polegać. Na ogół kobieta pragnie ulegać zdaniu mężczyzny, więc nie dobroć, ale stanowczość i zimna konsekwencja ją podbija. Tymczasem stanowczość i konsekwencja nie zawsze jest świadectwem siły, lecz często kryje w sobie wyrachowanie, które zaprzecza prawdziwej mocy, wyrażającej się zawsze w ofierze i zaparciu się, lecz nigdy w pożądaniu. Dla Katarzyny Bolesta tak długo nie istniał, jak długo jej ślepo ulegał i wszystko był gotów uczynić dla ich miłości. Ona wychodząc za niego wmawiała sobie, że zrobiła wielką ofiarę, i ta sugestia tym bardziej pomniejszała męża w jej oczach. I nawet zdarzało jej się drażnić miłość mężowską przez okazywanie sympatii innym mężczyznom. Nie robiła tego z prostej przekory lub pod naciskiem wezwania zmysłów, ale było to w niej narzuconą jej samej zabawą, pozą czy też nakazem rozbrykanej ambicji.

Nagle nastąpiła zmiana. Mężczyzna zaciął się w sobie, rzecz by można, zatonął w świecie własnych myśli. Węszyła początkowo zdradę. Aby wykryć prawdę, narzuciła swemu postępowaniu hamulec łagodności. Ale on ją zranił swą obojętnością. Wtedy i ona usiłowała na pewien czas zamknąć się w zaciętości. Niedługo jednak wytrzymała. Teraz dopiero poczęła cenić mężczyznę, który był jej mężem. Gotowa była mu ustąpić. Lecz on się nie śpieszył do zgody.

W miarę jak milczące i chmurne dni następowały za dniami, Katarzyna odnajdowała w sobie porywy, które przez wiele lat w sobie tłumiła lub wiążąc je, przeznaczając dla jakiegoś wymarzonego, nie istniejącego człowieka. Nadeszła chwila, że mogły być ofiarowane Boleście. Ale Bolesta ich nie widział, a nawet gdyby je ujrzał, starałby się w tamtą stronę nie patrzeć.

Był to więc zamknięty krąg nieporozumień. Bo gdyby Bolesta nagle obudził się ze swego zamroczenia, musiałyby znowu stać się sobą, a wtedy napięcie uczuć Katarzyny zelżałoby niewątpliwie. Znowu zaczęłyby sobie wmawiać, że on nie jest tym, którego ona kocha, zaś więź fizyczna - rozbijana świadomie przez kobietę - zerwałaby się na nowo. Bolesta pociągał Katarzynę tylko przez swą obojętność. Z drugiej strony - mężczyzna zanadto był mężczyzną, aby miał udawać obojętność. Obojętność całkowita nastąpiłaby u niego tylko ze śmiercią miłości. I zdawać by się mogło, że związek między tymi ludźmi nigdy już nie zdoła powstać, a ów wielki sakrament, który w jedno wiąże dwa ciała, ulegnie tym razem

sprzeczności charakterów, poddany zostanie - on, dawca łask - przemożnej burzy splątanych w swej dumie natur.

Z wiosną Bolesta opuścił znowu dwór w Łazankach. Chciał skorzystać jeszcze z wieści ze świata, więc skorzystał z okazji, że właśnie w Lublinie miało się zebrać liczne grono znajomego mu rycerstwa w związku ze sporem granicznym, który powstał między radnymi grodu a Januszem z Uniszowic, dalekim Bolesty krewniakiem. Naturalnie więcej niż spór ciekawiło go, co słyhać w Czechach, skąd żadnych listów od dawna nie otrzymał.

Drogi były rozmiękle do najwyższego stopnia i z trudem tylko potrafił się rycerz posuwać naprzód. Mało kto zresztą miał odwagę wyjeżdżać z domu o tej porze. Konie grzęzły i ślizgały się, po paru zaś godzinach jazdy były tak zgrzane i zgonione, że trzeba było na gwałt szukać postoju, aby nie padły. Kto wyruszył karocą, ten przeważnie tracił koła na rozmytych przez wodę groblach, a nierzadko zdarzało się, że koń z jeźdźcem, zjechawszy o zmroku z traktu, tonął w grząskim bagnie.

Mimo te wszystkie niebezpieczeństwa i niewygody, rycerz nie chciał dłużej siedzieć w domu. Pragnienie nowin pędziło go jak biczem.

Jechał więc przezuwając w sercu swój gniew. Coraz mocniej uświadamiał sobie, że się zmieniał. Jeszcze przed kilku laty był człowiekiem dobrym, łagodnym, chętnie wyręczającym żonę w tysiącu drobnych prac. Nigdy nie traktował Katarzyny tylko jako kobiety, która winna mu być we wszystkim posłuszna. Chciał być dla niej przyjacielem. Potem - chyba od czasu, gdy Katarzyna łaskawym wzrokiem patrzyła na młodego Nałęcza - począł się w nim nawarstwiać osad gniewu i urazy. Osad rósł, przygniatał serce. Lecz w miarę jak Bolesta czuł, że Katarzyna od niego się oddala, tym bardziej jej pożądał gniewnym, może nawet nienawistnym pożądaniem. Nie umiał być w tej chwili cierpliwym kochankiem wyczekującym łaski serdeczniejszego spojrzenia. Żądał - żądał wbrew sobie, wbrew wrodzonej delikatności. A żądając łamał się wewnątrz, bo narzucone więzy przymusu i nienaturalności odkształtowały mu duszę.

I gdy dziś, po latach walk i szarpaniny, patrzył sam na siebie, nie umiał odnaleźć swego dawnego oblicza. Zatarło się ono, a na jego miejscu pojawiały się niewyraźne, rozmazane rysy innego, obcego człowieka. Ostatnimi czasy rysy nabrały jakby pewnej wyrazistości, lecz jednocześnie raziły aż swą obecnością. Złośliwy błysk oczu przerażał, namiętny wykrój warg podsuwał myśl o czającej się zmysłowości. Gdzieś daleko, w jakimś tajnym zakamarku duszy otworzyła się zapadnia, a z głębokiego lochu wyskoczyły zamknięte tam psy. Były wściekłe, złe i głodne. Dotychczas więził je łańcuch i krata, ale Bolesta sam

kratę wyłamał, a łańcuch zerwał. Nie myślał wtedy o psach. Dziś zaś to one myślały o nim, lecz gnały szczekając tym groźnym krótkim szczekaniem, w którym odkrywają się ostre zęby, a wargi marszczą się, wyrażając tym ruchem wewnętrzny gniew...

A jednocześnie poczęło się w sercu rycerza budzić coś jakby fala uczuć lub pragnienie tkliwości. Jadąc zapewniał sam siebie bez końca, że przecież Katarzyna nigdy go nie kochała. Czy okazała mu kiedy, że jej na nim zależy? Były wprawdzie chwile, w których okazywała mu tkliwość, ale stanowiły one albo następstwo jakiejś wymuszonej na nim zgody albo też preludium do nowego przeciwko niemu ataku. Zdawało się Boleście, że odkrył obecnie wszystkie tajne i ukryte nici przebiegłej kobiecej polityki. Szczerość? Ależ ona nigdy mu jej nie okazała! Zawsze umiała być komediantką, żonglującą swymi wdziękami i jego uczuciem dla swych ukrytych celów. Czy inaczej postąpiła z nim wówczas, wtedy spotkała na swej drodze Nałęcza? Młody chłopak dał się porwać w sidła starszej od siebie, przebiegłej, a jednocześnie pięknej kobiety. Ona zaś trzymała go w potrzasku, nie dlatego, aby jej na młodziku zależało, ale chciała widzieć rozżaloną twarz Bolesty i jego niemą wściekłość, której nawet nie mógł dać wyrazu. Rycerz żądał, aby chłopaka od siebie odgoniła, Katarzyna odpowiadała mu słowami oburzenia, twierdząc, że się przyczepia bez powodu do Nałęcza, a sam swoim ponurym usposobieniem sprawił, że ona musi szukać u innych należytą jej rozrywki.

Dawniej te wszystkie rzeczy bolały Bolestę ogromnie. Były chwile, w których miał wrażenie, że śmierć lub szaleństwo staną się dlań jedynym wyjściem z sytuacji. Nadchodziły takie dni, gdy sama dłoń wyciągała się po krótką mizerykordię i ostrzem jej szukała tętniących krwią miejsc na gardle. Wreszcie - przemógł się.

Pomogły mu do tego wypadki ostatniego roku. Dziś Katarzyna była już w jego sercu surowo osądzona i nie odczuwał żadnej chęci powrotu do niej. Natomiast z coraz większą siłą poczęło pukać do jego serca uczucie jeszcze nie ucieleśnione, jeszcze niejako wiszące w próżni, ale już szarpiące się burzliwą falą w pucharze serca, groźne, gorące, niepohamowane, przemożne. On, który przez tyle lat umiał swoje namiętności trzymać w ryzach, dziś czuł, że te sztucznie stworzone bariery nie potrafią powstrzymać burzy, która się mogła u ich stóp rozpętać. Namiętność przewyciężyła go - już dziś - zanim jeszcze znalazł istotę, ku której miała go pociągnąć. Ogarnęła go tysiącem dreszczy, bezsennością i nie skryształizowanymi porywami. Zapanowała nad nim.

Nie umiał jej niczego przeciwstawić. Wręcz przeciwnie - karmiąc się wciąż marzeniami o krzywdach, których doznał od Katarzyny - uważał się za całkowicie rozgrzeszonego z tych pragnień. A fala rosła. Jeszcze przed rokiem, może jeszcze na jesieni,

mógł starać się o zbudowanie przeciwko niej tamy. Obecnie było już za późno. Dziś potok zmienił się w szalejącą i niszczącą wszystko rzekę, której żadna zapora nie potrafiłaby się przeciwstawić. Czy żadna? Tak przynajmniej sądził.

Otaczały jadącego rycerza wciąż lasy i lasy. Ciemna ściana boru zamykała mu horyzont ze wszystkich stron. Od czasu do czasu las cofał się, a przy drodze wyrastało większe lub mniejsze sioło. Domy były biedne, drewniane, zgarbione pod kapticami dachów. Czasami obok nich wyrastał większy kasztel, zresztą tak samo drewniany, różniący się od otaczających go domów jedynie większą okazałością kształtów i obronnością.

Przy drodze stała zawsze gospoda, w której mógł znaleźć schronienie podróżujący. Były to budynki duże, przestronne, mogące pomieścić nie tylko samotnych wędrowców, ale i cały dwór możnowładczy lub książęcy. O tej jednak porze gospody świeciły pustkami.

W ten sposób Bolesta zawędrował do Kraśnika. Maleńka osada w głębokim parowie wydawała się jakby wymarła. Wszystko tonęło w błocie; na domiar złego począł padać deszcz, pogarszając jeszcze i tak już fatalny stan dróg.

Dojechawszy do gospody, Bolesta zmęczony zsiadł z konia i rzuciwszy wodze pacholkom, wszedł do izby. Było tu ciepło, bo wielki ogień buzował na kominku. Wbrew oczekiwaniu zastał tutaj kilka osób.

Przy ogniu siedziała grzejąc się młoda kobieta. Dwie inne kobiety - widać z wyglądu panny służące - przysiadły na ławie za stołem. Z drugiej strony na zydlu siedział braciszek zakonny i coś wesoło, wcale nie po zakonnemu, opowiadał, czego tamte słuchając, zaśmiewały się w głos. Na widok Bolesty wszyscy podnieśli głowy i spojrzeli ku niemu, braciszek zaś zaraz spoważniawszy przybrał obojętny i zrezygnowany wyraz twarzy, by rzec:

- Pochwalony...

Rycerz nic nie odpowiedział, skinął tylko głową i siadł przy stole. Zaraz też gdzieś z kąta wyszedł gospodarz i począł się pytać, czym mógłby go ugościć.

Rzuciwszy mu krótkie polecenie Bolesty, niby się bawiąc trzymanym w rękę nożem, nieznacznie począł obserwować towarzyszy. Kobieta przy ogniu była naprawdę piękna. Chwilami miał wrażenie, że już gdzieś tę twarz widział, lecz mogło to być tylko złudzenie, sprawiane przez drżący i chwiejący się płomień. Ciemne włosy i ciemne oczy uzupełniały się wzajem. Płeć twarzy była blada, nieomal biała jak marmur. Wysoka pierś poruszała się pod pięknym, czarnym kaftanem podróżnym.

- Wy z daleka, rycerzu? - posłyszał skierowane do siebie pytanie mnicha.

Poruszył ręką w sposób nieokreślony na znak, że nie wie, co znaczy według pytającego „daleko”, a co „blisko”.

- Ale jedziecie do Lublina? - pytał tamten, widać chcąc za wszelką cenę wciągnąć Bolestę do rozmowy.

- Tak, do Lublina.

- Widzicie... - braciszek rzucił znacząco oczami w stronę siedzącej pod kominkiem kobiety - ta szlachetna dama przybyła do Polski prosto z dworu cesarskiego. Nawet po naszymu mówić nie umie. Tyle, że ma dwórki, które porozumiec się potrafią. Szuka tu podobno jakiegoś rycerza. Spotkała mnie i prosiła, abym jej w podróży towarzyszył. To i jadę, ale moja droga kończy się w Lublinie. Nie wiem, jak później da sobie radę. Myślałem więc, że może wy...

Kobieta siedząca przy kominku spojrzała uważniej na rozmawiających, jakby odgadła, że o niej mówią. Na chwilę zmarszczyła brwi, ale zaraz się jej twarz rozpozodziła, a usta zgiął miły uśmiech. Bolestę nie pozostawało nic innego, jak tylko podejść i, wyjawivszy jej swe imię, ród oraz wezwanie, zaofiarować opiekę w drodze do Lublina.

- Chętnie - dziękowała - chętnie. Bardzo się cieszę...

Gospodarz przyszedł, a z nim dwie tęgie dziewczyny wniosły jedzenie oraz dzbanki z piwem. Wszyscy już razem zasiedli do stołu.

Bolestę wypadało zabawiać rozmową piękną nieznajomą. Dawno już tego nie robił, więc mu to szło niesporo. Poza tym czuł się dziwnie skrepowany jej pięknnością. Każde spojrzenie młodej kobiety maciło mu jasność spojrzenia oraz bystrość sądu. Spozrzegł, że kobieta ma białe, dziwnie miękkie dłonie, o ileż piękniejsze niż stwardniałe i ciemne dłonie Katarzyny. Od dawna przywykł myśleć o sobie jako o człowieku jeżeli już nie starym, to przynajmniej dobrze dojrzałym, takiemu zaś nie wypadało się kręcić jak byle młodzikowi przy gładkiej młódce. Ale dziś zapomniał o swoich latach. Krew żywiej krążyła w żyłach, dziwne dreszcze przebiegały po skórze. Czuł się jak odmłodzony o kilkanaście lat.

Po wieczerzy mnich zajął się w kącie odmawianiem pacierzy, obie dwórki opowiadały sobie coś wesoło na ucho, siedząc na końcu ławy. Bolesta i nieznajoma pozostali przy ogniu. Rozmowa, która się początkowo nie kleiła, potem się ożywiła, wreszcie na końcu poczęła się rwać. Lecz to nie dlatego, aby rozmawiającym zabrakło tematu. Przeciwnie, mieli go teraz zbyt wiele. Przynajmniej zbyt wiele miał go Bolesta. Ale ten nadmiar tematu wyrażał się w rzadko rzucanych zdaniach, uzupełnianych wiele mówiącymi spojrzeniami. Rycerz uświadomił sobie od razu, że ta kobieta podoba się mu. Gdyby wyczuł w jej zachowaniu jakiś opór, prawdopodobnie nie posunąłby się dalej. Lecz nie tylko, że tego oporu nie było, ale nadto spotykał w niej jakąś niepokojącą, a równocześnie podniecającą bierność. Nie było między nimi sporów, bo każde jego powiedzenie kobieta przyjmowała jako pewnik i nie

próbowała się mu przeciwstawić. Czytał podziw dla siebie w jej oczach, a gdy poprosiła, by jej mówił o Grunwaldzie, a on zaczął opowiadać o najmilszym ze swoich wspomnień, ujrzał w jej oczach błysk zapału.

I nagle poddanie tej młodej i pięknej kobiety poczęło nań działać jak mocne wino. Przyszło mu niespodziewanie do głowy, że widać sam los stawia mu na drodze urodziwą cudzoziemkę. Stary mężczyzna jest równie nieopanowany w swoich uczuciach, jak dziewiętnastoletni młodzik, lecz co u tamtego jest idealizmem i pędem ku czemuś nieokreślonemu, niepojętemu, a tylko przedziwnie pięknemu, u ludzi takich jak Bolesta staje się nagim porywem zmysłów, prączych niepohamowanie do swego celu, niezależnie od przeszkód, trudności czy skrupułów. Napora, kierując swe uczucia ku młodej kobiecie, mniemał niewątpliwie, że czyni jej tym darem najwyższą łaskę. Nie dostrzegał kruchości tej, która z wyrazem poddania podnosiła na niego oczy, i w pogoni za swą żądzą nie chciał widzieć omyłki, którą popełniała kobieta, a której byłaby kiedyś na pewno gorzko żałowała. Gotów był ją złamać, byle tylko osiągnąć to, co zamierzył.

- Jak wam na imię? - zapytał.

Nie od razu odpowiedziała. Przez chwilę coś jakby chmurka pojawiła się na czystym, gładkim czole.

- Zofia... - rzekła. - Czy chcecie także, rycerzu, znać mój ród i zawołanie?

Poruszył obojętnie ręką. Cóż go to obchodziło? Szukał tylko imienia, by nim nazywać kobietę w swoich myślach.

- Zofia - powiedział. - Piękne imię. Zofia...

- Zwyczajne imię. Wiele kobiet przecież je nosi.

Podniósł głowę:

- Dla mnie nie zwyczajne. I dla mnie nosi je tylko jedna.

Spojrzał jej w oczy, a ona spuściła wzrok. Ujrzał, jak jej dłonie drżą, a pierś żywiej faluje.

Chwilę trwało milczenie.

- Sami jedziecie, a żaden młody rycerz wam nie towarzyszy. Chybaście go gdzie zgubili? Ale prawda - mówił mi mnich, że pewnego rycerza poszukujecie. A może małżonka?

Sam zdumiał się posłyszawszy, jak głos jego zadrżał w tym ostatnim pytaniu. Ona jednak pokręciła głową.

- Nie mam małżonka. Wolna jestem.

- Ale rycerza szukacie...

Spojrzała w ogień, po czym nie odwracając ku Boleście głowy odparła:

- I rycerza nie szukam... Powiedziałam tak tylko mnichowi, aby mnie przez nadzieję nagrody lepiej prowadził. Ot - ślubowałam kiedyś Matce Świętej w waszym mieście Lublinie, że przyjadę podziękować Jej za otrzymane dobrodziejstwa. A że wiele dla mnie uczyniła, więc...

Głos się jej załamał, ale Bolesta tego nawet nie spostrzegł.

- Jesteście więc pątniczką? Wielki to zaszczyt dla miasta takiego, jak Lublin, że aż z dworu cesarskiego do niego przyjeżdżają...

Przerwał mu mnich, zwracając uwagę na spóźnioną porę. Także gospodarz szedł już, niosąc świeczniki, wskazywać gościom izby, w których przygotował dla nich posłanie. Bolesta pożegnał się z Zofią na korytarzu, życząc jej przyjemnych marzeń.

Ale sam spać nie mógł. Nocował osobno, ponieważ mnich kazał sobie posłać na ławie w izbie jadalnej. Twierdził, że musi modły od wczesnego ranka odprawiać, a nie chce nimi budzić rycerza. Bolesta więc przewracał się do woli na szerokim łożu, nie potrzebując się krępować, że zbudzi tym hałasem współtowarzysza.

Ciało go paliło żywym ogniem. Chwilami miał wrażenie, że nie wytrzyma dłużej w pościeli. Wtedy siadał wbijając oczy w otaczającą go ciemność. Krew szybko - tak szybko, jak chyba nigdy - krążyła w jego żyłach. Zbuntowane ciało wyprzęgło się niespodziewanie z kagańców rozsądku. Wiedział, że nie zdoła go na nowo okiełznać - nie zechce uczynić tego wysiłku. Nie chce, czy nie może? Mniejsza z tym. Gdzieś na samym dnie świadomości drzemał strzępek przekonania, że jednak na rozgorzałym ciele mógłby dokonać aktu przymusu. Ale on wołał sobie powtarzać, że nic w tej chwili rozpętanych namiętności powstrzymać nie jest w stanie.

Na dworze padał deszcz. Strugi wody płynęły wzdłuż ścian domu, a niesione wiatrem krople uderzały to mocniej i gwałtowniej o okiennice, to znów słabo, wydając tylko dyskretny szum. Gdy napór bijącego deszczu malał, słychać było szklany pobrzęk wody płynącej po kamieniach.

Bolesta nie mógł dłużej wytrzymać na miękkiej pościeli pod puchowym, grodzką modą, piernatem. Wstał. Dla uspokojenia się chodził po izbie. Ale ten nerwowy szybki spacer jeszcze więcej drażnił jego i tak już rozigrane nerwy. Próbował myśleć o czym innym. Były to jednak tylko nędzne próby, którym brakło prawdziwie skoncentrowanej woli. Przez chwilę w pamięci pojawił mu się obraz Katarzyny, ale spłoszył go niecierpliwym, pełnym gniewu ruchem ręki. Cóż go ta kobieta obchodzi? Z jakąż łatwością odnajdował w tej chwili coraz to nowe argumenty przeciwko niej. Nigdy jej przecież nie kochał. Tamte lata były tylko

pomyłką, nonsensem, podnieceniem zmysłów, które zacierało jasność myślenia. Czyż kiedykolwiek drżał do niej, tak jak teraz drży do tamtej, ledwo poznanej kobiety?

Zacisnął mocno szczęki. W tej kobiecie, którą dziś spotkał, było tyle dyskretnego, a przecież dającego się łatwo odkryć zuchwalstwa, tyle namiętności i pobudliwości przebijającej się poprzez słowa i gesty. Nawykły do obojętności Katarzyny, do jej zimnego temperamentu, nie wychodzącego nigdy naprzeciw namiętności mężczyzny, czuł się mile podniecony agresywnością tamtej strony. Usta i oczy Katarzyny były dlań zawsze zagadką. Nie umiałby w nich niczego odkryć - a jakże często ulegał złudzeniom. Tutaj natomiast wiedział wszystko. Mógł czytać z tych ust i z tych oczu, jak z rozwartej księgi. A czyją odkrywał w spojrzeniu spotkanej uległość - on, który nigdy uległości ukochanej kobiety nie widział - poddanie, rozkoszną słabość... Czyż może być coś bardziej kuszącego, jak to powolne obnażanie się duszy kobiecej, budzące zmysłowy dreszcz, jakby nasze palce dotykały już gorącego ciała?

Szum padającego deszczu drażnił nerwy rycerza. Miał wrażenie, że ten deszcz bije pręcikami wody o zasłonę, która z wolna ustępowała przed furią jego uderzeń. A tą zasłoną był jego zamierający opór. Jeżeli on runie, cóż Bolestę zatrzyma na skraju grzechu?

Nagle zdecydował się wyjść z izby. Sam nie wiedział, w jakim celu to robi. Swemu wewnętrznemu „ja”, któremu się zwykle opowiada tysiące kłamstw, powiedział, że idzie się napić wody. Czy miał naprawdę pragnienie? Gotów był twierdzić, że umarłby, gdyby zaraz nie umoczył ust w kubku zimnej wody.

Korytarz tonął w ciemnościach. Bolesta idąc wiodł ręką po ścianie. W pewnej chwili jego palce poczuły powierzchnię drzwi. Wstrząsnął się. Za tymi drzwiami...

Poszedł dalej, aż wreszcie trafił na schody. W jadalni słychać było chrapanie mnicha, śpiącego smacznie na ławie. Podeszedł do cebra, w którym stała woda, zaczerpnął kubkiem i zaczął pić. Lecz woda nie zaspokajała jego pragnienia. Miał poczucie, że pali go nie gardło, lecz wnętrzości.

Ze złością zawrócił. Szedł teraz pewniej, ponieważ oczy przyzwyczyły się do ciemności. W korytarzu, tak jak poprzednio, prowadził dłonią po ścianie. I tak samo, jak przed chwilą, drgnął, gdy palce natrafiły na płytę drzwi, za którymi spała Zofia.

Znalazszy się w swej izbie. próbował zasnąć. Lecz i teraz sen nie chciał nadejść. Coraz mocniej, coraz uporczywiej Bolesta uświadamiał sobie, że dotknięcie tych drzwi na korytarzu skradło mu resztę spokoju.

Nie mógł wyleżeć, więc usiadł na pościeli. Nagle pojawiło się przed jego oczami dawne dziecięce jeszcze wspomnienie: jako dojrzewający chłopiec pobiegł kiedyś wczesnym

rankiem nad rzekę. Chłód poranny walczył z budzącym się upałem. Bolesta zatrzymał się u stóp wielkiego drzewa, zanurzającego w wodzie wyflukane z ziemi korzenie niby czarne, suche palce. Postanowił się wykapać, począł więc z wolna rozpinąć na sobie pas. Niespodziewanie postyszał gdzieś niedaleko w kępie trzciny mocne pluśnięcie. Spojrzał w tamtą stronę.

Jakaś dziewczyna kąpała się nie widząc go. Bolesta po raz pierwszy ujrzał nagość dojrzałej kobiety. Serce zaczęło w nim bić gwałtownie, ale jednocześnie fala gorącego wstydu buchnęła mu czerwienią na twarz. Przez chwilę czuł się zmieszany, przypuszczalnym zmieszaniem kobiety, gdyby spostrzegła, że ktoś ją podgląda. Szybko odwrócił głowę, a potem odwróciwszy się cały, począł biec w stronę domu.

Przez dłuższy czas całe to zdarzenie stało mu żywo w umyśle i w pamięci. Nadeszły dni, kiedy począł żałować swej ucieczki - były to chwile obudzenia się palącej ciekawości. Mógł się przecież ukryć i nie zauważony napatrzeć się na to, co go tak bardzo interesowało. Jednocześnie jednak czuł wyrzuty sumienia z tego powodu. Ksiądz, któremu się z tych pokus wypowiadał, mówił mu o konieczności pokory oczu. Chłopiec więc wyrzucał sobie swe pragnienia i swą ciekawość.

Potem całe to wydarzenie utonęło w morzu niepamięci. Rycerz zetknął się z kobietami, zakosztował smaku i goryczy fizycznych związków. Czasami, gdy pojawiała się w jego pamięci wspomnienie ujranej w kąpielu dziewczyny, myślał o tym jako o czymś miłym - miłym właśnie przez swoją sielankowość i niewinność. Życie zdarło mu brutalnie z oczu młodzieńcze zasłony, a gorycz, której doświadczał, kazała wybiegać myślą ku momentom wolnym od zgrzytów. Czasami zdarzało mu się myśleć o nieznanym już w czasie swego małżeństwa z Katarzyną. Przypominał sobie o niej dziś.

Lecz dziś całe to wspomnienie nabierało całkiem innych barw, a także jakby pewnej plastyki. Między tym pierwszym chłopięcym zetknięciem się z pokusą ciała i dzisiejszym odkryciem legł pomost pokrewieństwa wrażeń. Wtedy wyrzucał sobie, że nie chciał patrzeć na odkryte kształty tamtej dziewczyny i drżał z niepokoju, tak jakby go minęła w ten sposób jedyna w życiu przeogromna możliwość, dziś zaś odnajdował na nowo w sobie ten niepokój. Ostatnia możliwość, ostatni próg, ostatnie wołanie starzejącego się ciała. Czyż miałby być na nie głuchy?

Znowu wstał. Kaganek migał, parskał i palił się nierówno. Łoskot deszczu, rzucanego o ściany przez wiatr, zamienił się w równomierny szum.

Ostatni raz w życiu... - pomyślał Bolesta. Katarzyna, Paweł - dwie istoty całkowicie mu obce nie mogły stanowić dlań hamulca na drodze upadku. W sercu miał niepokój, w

umyśle chaos, w uszach szum deszczu - równomierny, uporczywy, zwyciężający wszystkie przeszkody.

Przyszło mu do głowy, że Zofia powinna była usłyszeć jego kroki na korytarzu. A może czeka? Może zechce wyjść, gdy znowu usłyszy stąpanie? Czyż więc nie powinien jeszcze raz wyjść, aby się o tym przekonać? Wszak widział taką uległość w jej oczach!

Ostatni raz w życiu - znowu powiedział sobie i pchnął drzwi. Szedł ciemnym korytarzem, sunąc po ścianie dłonią. Nie głośzył swoich kroków, a nawet dwa razy lekko zakaszłał. Dochodząc do drzwi kobiecej sypialni, zwolnił kroku. Mijał ją niechętnie.

Zeszedł na dół do jadalni i raz jeszcze napił się wody. Chrapanie mnicha przypominało dźwięki wydawane przez zarzynane zwierzę. Jeżeli się obudziła - myślał Bolesta - to wyjrzy, kiedy będę wracać. Przecież ona musi wiedzieć, że to ja. Musi wiedzieć.

Wracając, szedł jeszcze wolniej niż poprzednio. Chwilami zastygał w bezruchu. Serce w piersi biło niecierpliwie i jakby żałośnie. Przecież to ostatni raz w życiu - powtarzał sobie, jak bolesny refren.

Lecz w domu panowała cisza. Przeszedł koło drzwi sypialni Zofii. Nasłuchiwał. Nic się jednak za nimi nie ruszyło, żaden szmer nie dobiegł jego uszu. Niechętnie począł się zbliżać do swoich drzwi, gotów do powrotu na dźwięk najsłabszego odgłosu.

I wtedy, kiedy się oddalał od miejsca pokus, poczuł coś jakby jakieś siły weń wstępujące. Wcale tych sił nie pożądał - bo czuł, że chcą go one odgradzić od upadku. Występowały przeciwko jego woli, a przecież występowały. Kiedy dotknął się drzwi swej sypialni, zrozumiał, że gdy się za nimi znajdzie, będzie już od niebezpieczeństwa uchroniony...

Zatrzymał się i czekał. Przed nim był próg, a za progiem wybawienie. Lecz on to wybawienie odrzucał.

Stał w ten sposób dłuższy czas. Potem drzwi w korytarzu zaskrzypiały. Bolesta przywarł do ściany bez ruchu. W ciemnościach zafalował biały cień i począł się zbliżać ku rycerzowi.

Kobieta stąpała po chłodnej podłodze boso. Bolesta przypomniał sobie o tym później, gdy dotykał jej chłodnych stóp swymi mocnymi, szerokimi dłońmi.

8.

Dni mijały, a oni nie opuszczali kraśnickiej gospody. Mnich poczuwszy, co się święci, uciekł po kryjomu zaraz następnej nocy, nawet nie żegnając się z nimi. Gospodarz patrzył na kochanków wzrokiem, w którym złączyły się uczucia zawodowej wyrozumiałości dla grzeszących gości ze złośliwą uciechą na widok tak niedobranej wiekiem pary. Dziewki usługujące, chichocząc między sobą, starały się podglądać to spacerujących skrajem lasu, to rozmawiających w izbie przy ogniu, albo śledziły Bolestę, gdy przekradał się wieczorem do izby niemieckiej damy.

Rozpoczęły się właśnie ładne dni. Słońce codziennie wynurzało się zza linii wzgórz i osuszało rozmoknięte, żółtą gliną pokryte pola. Bolesta z Zofią wychodzili wtedy razem i szli między bezlistne drzewa, niebaczni na spojrzenia, które za nimi biegły. Rozmawiali. Opowiadali sobie wzajemnie o swym życiu. Przeważnie zresztą mówił Bolesta, jakby chcąc sobie w ten sposób wynagrodzić długie lata przymusowego milczenia, gdy Katarzyna tylko niechętnym słowem odpowiadała na jego błagalne pytania. Teraz, gdy wspominał o tym, sam roztkliwiał się nad sobą. Nie miał litości dla żony, z taką niechęcią mówił o niej! Obwinał ją o wszystko. Żona w jego słowach wyrastała na potwora niezdolnego do żadnego ludzkiego uczucia.

Kobieta natomiast mówiła mało. Zdawała się być przytłoczona słodyczą rozkoszy doświadczanych codziennie. Jej poddanie - namiętne poddanie kochanki - która choć gniew się w rękach mężczyzny, nie zamiera, lecz gotowa jest zawsze na pieszczotę odpowiedzieć pieszczotą, poczęło się przeradzać jakby w bierność. Ciało było wciąż posłuszne wezwaniu zmysłów, duch, który nim kierował, zdawał się znosić jakiś przymus. Płatała się w swych opowiadaniach, jakby chciała nieudolnym kłamstwem pokryć nieznaną tajemnicę. Odżywała w chwilach szaleństwa, lecz wydawała się skrępowana przez rozmowę.

Stali tak któregoś dnia wśród kępy białych brzoź. Lekki wiatr trząsał cienkimi gałązkami drzew, a pierwsza jaskrawozielona ruń wydzieriała się spod elastycznej przez swą wilgotność ziemi.

- Zofio... - powiedział i poszukał oczami jej oczu.

Ona jednak uciekała ze spojrzeniem przed jego wzrokiem. Spuszczała głowę. Bolesta ogarnął ją ramieniem.

- Zofio, kocham cię - powtórzył z mocą.

Nie próbowała uciekać z jego objęcia. Czuł, że drżała, ale nie poddawała się dziś jego uściskom namiętym skrętem ciała. Po prostu zwisała bezwolnie w jego ramionach.

- Nie nazywaj mnie Zofią - poprosiła nagle.

- Dlaczego?

- Skłamałam ci. Nie nazywam się Zofia. Na imię mi Róża.

- Róża? Więc po co skłamałaś? Róża - to także piękne imię. Może nawet piękniejsze niż Zofia.

Milczała, pochyliwszy głowę.

- Dlaczego skłamałaś? - powtórzył.

W jego głosie zawisł wesoły śmiech. Niczego nie podejrzewał, niczego się nie obawiał. Ta kobieta powiedziała mu nieprawdę i on już poprzednio czuł, że coś przed nim skrywa. Obecnie doskonale rozumiał Katarzynę i te chwile, gdy mu się po prostu zdawało, że żona umie go przejrzeć na wylot. Teraz to on odkrywał bez trudu kłamstwa w oczach tej młodej kobiety.

Zaraz nie odpowiedziała. Ogarnął ją ramieniem i przygarnął do siebie.

- Dzieciaku - rzekł łagodnie - tylko dzieci robią bez celu rzecz, która potem im samym zaczyna zawadzać...

Nie mówili już więcej o tym. Znowu spacerowali wzdłuż skraju lasu, patrząc na coraz mocniej zieleniące się pola, schodzili w głęboki parów, zarośnięty suchymi twardymi badyłami, które się łamały z głuchym trzaskiem, gdy je odgarnęła mocna dłoń Bolesty, aż na samo dno do wąskiego strumyka, płynącego wśród kamieni. Był płytki, przez przezroczystą szybką wodę widać było dno i tylko, gdy które z nich zmaciło wodę, wtedy zabarwiał się złoto-czerwonawą gliną. Wśród krzewów znaleźli małą wydmy żółtego piasku i często siadali na niej. Piasek był zimny, wiosenne słońce nie umiało go jeszcze rozgrzać. W górze, nad ścianami parowu, porośniętymi czarną szczecią lasu, rozpinano się niebo szaro-błękitne, lecz co dzień błękitniejsze i co dzień bardziej wyłoczone nitkami słońca. Ptaki śpiewały w powietrzu i gdyby nie one i nie cichy szmer strumyka, można by pomyśleć, że jest tu głucho jak w grobie.

Tam na piasku powiedział jej pewnego dnia:

- Kocham cię... Jesteś mi do życia potrzebna jak woda...

Przesypywała piasek w dłoniach.

- Nie zapytałeś się nawet, jakie imię rodowe noszę.

Zrobił obojętny ruch ręką.

- Kocham ciebie. Ty mnie kochasz. Cóż może stanąć na przeszkodzie naszej miłości?

Nisko nad nimi przeleciał wielki ptak: ogromny jastrząb lub orzeł. Czarny cień skrzydeł przebiegł szybko po piasku. Bolesta nagle przypomniał sobie dawno usłyszane, jeszcze w więzieniu dominikanów, słowa Husa: „Ważne są tylko sakramenty, udzielane przez

ludzi bezgrzesznych. Słudzy rzymskiego Kościoła nie są bezgrzeszni. Grzech władzy i pychy przeżarł ich aż do wnętrza...”

- Miłość - rzekł - tylko miłość dyktuje człowiekowi swoje prawa. Jesteśmy wolni i tylko Kościół rzymski chce pętać naszą wolność. Lecz nam cóż może stanąć na drodze?

Chwyliła jego rękę w obie dłonie i przycisnęła do ust. Jednocześnie kocim ruchem otarła się ramieniem o jego ramię. Ale w jej oczach był lęk.

- Chodźmy - rzuciła prędko, wstając.

Bolesta podniósł się z ziemi. Stanął naprzeciwko kochanki, położył obie ciężkie dłonie na jej ramionach. Widział, że znowu coś stara się przed nim ukryć, a jednocześnie swoim wzrokiem, gestami, wyrazem twarzy pokazuje mu swą rozpacz z powodu ciężkiej tajemnicy.

- Jak się zowie twój ród, Rózo? - zapytał.

Zadrzała. Spuściła głowę i powiedziała szybko a jednocześnie cicho:

- Hemerlau...

- Hemerlau? Nie jest mi obce to imię. Hemerlau? Hemerlau! Rózo!

Potrząsnął nią z całą siłą.

- Więc to może z nim jechałaś się spotkać w Lublinie?

- Bolesto!

- Nie oddam cię smarkaczowi! Słyszysz? Nie oddam! To szczenię wciąż mi włazi w drogę. Tak jakby nie był moim synem, ale moim wrogiem. Lecz niech nie sądzi, że mu teraz ustąpię. Ma mnie zawsze w pogardzie: on i jego matka. Dziś ja im pokażę, kto kim będzie pogardzać!

Miotła nim wewnętrzna burza. Zapomniał o kobiecie, która stała przed nim, zapomniał o wszystkim co go otaczało. W głuchej pasji zaciskał pięści i chodził szybko po wydnie piaszczystej tam i z powrotem, rad by w walce wyładować swój gniew. Znowu Paweł! Miał wrażenie, że nie ma na całym świecie człowieka, którego by z równą siłą nienawidził. Ani przez chwilę nie uświadomił sobie, że teraz to on przecież zabrał synowi narzeczoną, a nie Paweł uwiódł mu kochankę. Nie czuł wyrzutów sumienia. Szarpał nim tylko gniew.

Dopiero po pewnym czasie począł sobie wyraźnie zdawać sprawę z sytuacji. Przecież Paweł jest zakochany w tej kobiecie. Dla niej rozpoczął otwartą wojnę z Bolestą, dla niej opuścił dom, odchodząc nawet od kochanej i kochającej go matki. Tymczasem kobietę, o której on marzy i dla której gotów jest różne szaleństwa na wzór rycerzy zachodnich czynić, Bolesta ogarnia codziennie swoim uściskiem. Po cóż ma się więc złościć. Ohydna radość

zstąpiła teraz do serca rycerza. Zemsta już została dokonana. Paweł za swą butę poniósł zasłużoną karę.

Tak, teraz prędko chciałby zobaczyć syna i rzucić mu w twarz słowa prawdy. Zuchwały chłopak zzielenieje z rozpaczy. Ugnie się, będzie błagać ojca o litość, o to, aby mu oddał tę kobietę. Ale Bolesta ma już odpowiedź na ustach. Powie wówczas: „Spytaj ją sam, czy chce ciebie.”

Pochylił się nad Różą i nagle żarłocznie wpił się ustami w jej usta. Zaskoczona kobieta nie stawiała oporu, ale także nie odpowiadała namiętnością na namiętność. On zaś pełen nieopanowania gniótł ją w swych ramionach i tak mocno zaciskał palce na przegubach jej rąk, że aż chciała krzyknąć z bólu. Nie widziała go jeszcze takim. Była w tym człowieku moc potoku, który zawalony kamieniami, zasypywany piaskiem, rozrywa wszystkie zapory i tryska niepohamowany w swym zwyczajnym skoku, wyzwając w błyskawicy srebrzystego łuku wody uwięzioną przez dłuższy czas rozpierającą go wewnątrz siłę. I ta siła udzielała się Róży. Porywała ją i ciągnęła za sobą. Tak dobrze pamiętała jeszcze swoje wahania z lat, gdy przebywała na królewskim dworze. Wiedziała wówczas, że są granice, których nie przekroczy. Dziś przekroczyła je od razu, pociągnięta władnym spojrzeniem ponurego rycerza. Nie zdobył jej przecież ani siłą, ani urodą, ani wiedzą, ani imieniem, ani bogactwem. A przecież pociągał ją tak, że nie mogła mu się przeciwstawić. Tkwił w nim zapładniający płomień grzechu, płomień, który nigdy nie wypala się samotnie, ale zawsze żąda współdziałania, zawsze rozszerza się żarłocznie, nigdy niesyty, nigdy nie zaspokojony, radosny, gdy widzi przed sobą nową ofiarę, a nieszczęśliwy, gdy zdołał ją wreszcie pożreć.

W dwa dni później wyruszyli do Lublina. Tego żądał Bolesta, dowiedziawszy się od Róży, że Paweł miał być w mieście w tym czasie. Drogi podczas tego okresu, gdy przebywali w Kraśniku, podeschły i jechało się zupełnie wygodnie w ciepłych promieniach słońca wiosennego. Krzewy zieleniły się i świeża trawa porastała bombiaste, jak wezbrane mlekiem piersi kobiece, wzgórze ciągnące się wzdłuż drogi nieprzerwanym pasmem. Dopiero pod samym Lublinem zjechali w bagnistą dolinę. Za nią na grzbiecie wzgórze leżało miasto.

Lublin był miastem małym i ciasno zwartym w obrębie swych wysokich murów. Za to otaczał go szeroki pierścień wsi, należących zresztą do miasta, razem ze 100 łanami ziemi uprawnej i nieuprawnej, nadanej w swoim czasie mieszkańom lubelskim przez Władysława, wówczas jeszcze księcia krakowskiego i sandomierskiego. Wsie były małe i marnie zabudowane, czemu się zresztą trudno było dziwić, wiedząc, że miasto stale ktoś zdobywał. Sięgali po nie książęta haliCCy, za każdym razem, gdy przelewała się przez kraj fala

tatarskiego najazdu, Lublin padał ofiarą przemocy, dobywał go - zresztą bez powodzenia - sam Mendog, potem inni książęta litewscy w spółce z dziczą pruską i jądźwińską. Za ostatniego Piastowica Tatarzy razem z Rusią otoczyli mury miasta i przez dwa prawie tygodnie szturmowali do nich bez przerwy dniem i nocą, a wreszcie na końcu dali się mu we znaki Litwini pod wodzą Olgierdowiców. Jagiełło czuł widać potem swą winę w stosunku do miasta, które raz wraz otaczał wieńcem płonących osiedli, bo pierwszą rzeczą, jaką uczynił, jeszcze jako pretendent do ręki najmłodszej córki króla Louisa, było nadanie kupcom lubelskim prawa wolnego wstępu na ziemie litewskie. Aktu tego dokonał zresztą w siedem lat dopiero po ostatniej swej wyprawie na Polskę, w której czasie przeszedł jak groźna burza tuż pod murami Lublina, puszczając z dymem leżące w pobliżu wsie: Bronowice, Konopnicę, Radawiec i Palikije.

Przez Konopnicę jechał właśnie Bolesta z Różą, zbliżając się ku miastu. Wieś leżała na zboczu, a choć słońce jeszcze zbyt mocno nie dopiekało, konie pokryły się potem, wciągając ciężką karocę, w której jechała Róża, aż na wierzch wzgórza. Jechali teraz szerokim wyjeżdżonym traktem, mając po prawej stronie rozległe trzęsawisko wytworzone przez wijącą się rzeczkę Bystrycę, zaś po lewej również podmokłe łąki, przecięte jeszcze węższą rzeczką Ciechówką. Za rzeczką teren znów się podnosił, wyrzuszając się pokrytym lasem wzgórzem.

Od ostatnich chat Konopnicy aż po same mury miejskie, ciągnął się łańcuch małych, koślawych lepianek. Były to domy Żydów, którym dekret królewski nakazywał przebywać poza murami miasta. Brudne, czarnowłose i przeraźliwie krzyżące dzieci bawiły się przed drzwiami domostw. Młodzież kręciła się koło gościńca i proponowała jadącym do miasta kupno rozmaitych przedmiotów lub czatowała na chłopów wiozących zboże, mleko, sery i inne produkty spożywcze do miasta, aby ich z wrzaskiem obkoczyć i póty przekonywać, aż chłop w końcu im towar sprzedawał i sprzed bramy miejskiej zawracał do domu. Przyzwyczajeni do rozmawiania z ludźmi rozmaitej narodowości, umieli się z każdym porozumieć, co było sztuką nie lada, bo przez Lublin obecnie, dzięki zjednoczeniu się Korony z Litwą i ziemiami ruskimi, przewalał się cały tłum cudzoziemskich kupców, włoskich, niemieckich, węgierskich, francuskich, szkockich, ormiańskich, moskiewskich, ba! Nawet greckich i arabskich.

Przy bramie miejskiej trzymała wartę straż cechowa. Zgiełk tu był wielki, bo z obu stron bramy stał sznur wozów i karoc, czekając, kiedy na nie przyjdzie kolej przejazdu. Strażnicy przepuszczali tylko po jednym pojeździe, zresztą dwie pewnie by się nie wyminęły w bramie, tak była wąska. Ludzie czekający niecierpliwili się, a z nudów czekania kłócili się

na zabój ze strażnikami i pacholkami miejskimi, którzy towary kupieckie zdejmowali z wozów i odnosili do składów. Od niecierpliwego grzebania kopytami przez konie, od kału końskiego, a także i ludzkiego, bo czekający z samych już nudów spłacali tu hojnie dług naturze, ziemia przed bramą przedstawiała jedno wielkie bagno, ohydne, cuchnące, które mimo pogody nigdy nie wysychało. Były to zresztą jedyne niemal ślady wody w mieście, bo położone na wysokim wzgórzu, zaledwie kilka studzien mieć mogło. Dlatego nie było chyba jeszcze trzechlecia, aby bodaj część zabudowań nie padła pastwą płomieni, co mieszczanie nauczyli się już przyjmować z filozoficznym spokojem.

Nieco w dole, już za murami miasta, ale sam otoczony obronnymi murami, wznosił się klasztor. Kilka mniszek kręciło się przed bramą. Spoza ogrodzenia wyglądał fronton kościoła w kształcie schodkowej piramidy.

Było właśnie południe i w klasztorze dzwoniło na Anioł Pański.

Wreszcie Bolesta i Róża doczekali się, że można było wjechać do miasta. Przejechali przez niską bramę, pod którą każdy wyższy rycerz, gdy miał hełm z pióropuszem na głowie, musiał się nisko schylać, aby z konia nie spaść, przez bramę basztową, stąd tak nazwaną, że pięła się ku górze, nieco przysadzista, ale za to mocna baszta, najeżona blankami i popstrzona otworami strzelnic. Dostali się przez nią w ciasne uliczki miasta, tak ciasne, że z trudem mijaly się tutaj dwa wozy, a gdy błoto większe zaległo i śmieci więcej wywalono z okien na ulicę, wtedy, aby się wzajemnie przepuścić, wozy musiały na siebie czekać w szerszych miejscach.

Niedaleko od bramy gardziel ulic rozszerzała się, tworząc miejski rynek. Wrzask tu i harmider panował wielki, bo cały plac zastawiony był wozami i straganami. Ledwo zdołali dotrzeć do gospody pod „Złotym Okrętem”, mieszczącej się nad znaną winiarnią „Z Małpą”. Nie cnotliwą sławę miała owa, w podziemiach się mieszcząca, winiarnia, a odwiedzało ją tylko wesołe, swej reputacji całkiem nie szanujące bractwo grodowe. Atrakcją winiarni była małpa - a właściwie dwie małpy - jedna żywa, uwiązana na łańcuchu i wykrzywiająca się dziwacznie do gości, druga pięknie wymalowana nad kominkiem przez wędrownego hiszpańskiego malarza.

Jeszcze tego samego dnia Bolesta, rozgościwszy się, poszedł na miasto dowiedzieć się o synu. Róża została sama i po raz pierwszy od dłuższego czasu mogła dać swobodnie folgę swoim myślom. Ostatnie dni upłynęły jak sen, z którego się wyrwać nie sposób. W ciągu dnia i w ciągu nocy był przy niej nieustannie Bolesta, jej zaś wola, tak długo jak Róża znajdowała się w kręgu tego człowieka, była jakby sparaliżowana, niezdolna do przeciwstawienia się fatalnej sile, która ją nieustannie pchała w ramiona mężczyzny. Należała doń, a przecież nie

potrafiłaby zdać sobie sprawy z tego, czy kocha go naprawdę. Pojawił się przed nią tak niespodziewanie! Nie poznał jej - bo raz ją tylko z daleka widział - ale ona od pierwszego spojrzenia wiedziała, że jest to właśnie ten człowiek, który utrudnia jej połączenie się z Pawłem. Zanim go jeszcze poznała, myślała o nim z niechęcią. Toteż w pierwszej chwili, gdy wszedł do izby w zajeździe, miała ochotę uciec, aby nań nie patrzeć. Zatrzymało ją to tylko, że jej nie poznał. Potem pomyślała sobie, że może potrafi zjednać dla siebie i dla swych planów ponurego rycerza, okazując mu sympatię i życzliwość. Spróbowała.

Pierwsze zdawkowe słowa nic jej nie powiedziały. A potem nagle przebiegł ją dreszcz, gdy rycerz pochylił się w rozmowie nad nią i chcąc jej coś wskazać, niespodziewanie dotknął dłonią jej dłoni. Poczwała zbliżające się niebezpieczeństwo i przez chwilę miała ochotę zamknąć się w nieprzystępności, jak ślimak w swojej skorupie. Ale powstrzymało ją zamiłowanie do gry miłosnej. Tak lubiła tę przewlekłą grę, która toczy się między mężczyzną a kobietą. Nie zawsze i nie wszędzie. Mężczyzna często ma naturę zbyt mało skomplikowaną i wyrzeka się gry dla gry - kobieta natomiast, jeśli jej tylko nie krepują zbyt ściśle moralne więzy - rzadko rezygnuje z możliwości walki. Gra miłosna zastępuje jej turniej czy wojnę, księgi czy gęsie pióro, rylec czy pędzel. Poświęca jej więc czas i siły. Dochodzi do perfekcji i jak rycerz, który nie opuści szranków, póki jest jeszcze choć jeden przeciwnik do pokonania, tak kobieta - taka właśnie jak Róża - nie rezygnuje z gry o mężczyznę przed wystrzeleniem bodaj połowy swych argumentów zaczepnych.

Róża doskonale zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, na jakie się naraża. Ale naturalnie nie doceniała go. Poza tym - to tak miło zatrzymać się na samej krawędzi jakiejś możliwości i kusić zuchwałym przegięciem myśli.

A potem było już za późno. Człowiek, upadłszy, chętnie powtarza naiwne tłumaczenie: „to było mocniejsze ode mnie”. Ale jeśli wejrzy z całą szczerością we własne serce, potrafi sobie odpowiedzieć: „nie, to nie było mocniejsze ode mnie, to stało się mocniejsze ode mnie; to uczyniłem mocniejszym ode mnie”.

Lecz co miała teraz robić? Wiedziała, że Bolesta znowu wróci i znowu ona ztraci jasność swego sądu, ogarnięta ramionami tak bardzo górującego nad nią latami kochanka. Powinna odejść, oddalić się, dać myślom oprzytomnieć. Gdzie jednak pójdzie? Gdzie się podzieje w obcym mieście, nie znając nawet języka polskiego? Klasztor - tak, każdy klasztor żeński zgodzi się dać gościnę i roztoczy nad nią opiekę. Klasztor jest niewątpliwie rozwiązaniem. Powinna zabrać rzeczy i zaraz jechać. Gdzież jednak znajdzie ten klasztor? Każdy spotkany na ulicy człowiek na pewno wskaże jej drogę. Słusznie, więc chyba trzeba jechać. Lecz... lecz pierwszy spotkany może nie rozumieć po niemiecku lub węgiersku. Róża

uśmiecha się. W monologu, który sama ze sobą prowadzi, zdaje sobie sprawę, że wyszukuje śmieszne i naiwne trudności. Wszak w mieście każdy niemal mieszczanin umie po niemiecku, a nierzadko wciąż jeszcze włada rodzimą niemczyzną lepiej niż językiem ziemi, w której wzrasta.

Tak, klasztor jest rozwiązaniem. Ale cóż jej z tego przyjdzie? Nie może bez końca tkwić w jego murach. Trzeba zrobić coś, postanowić, na coś się zdecydować. Ale ona zdaje sobie sprawę z tego, że nie ma ochoty brać na siebie jakiegokolwiek decyzji. Niech sam los decyduje, niech mocna fala życia niesie ją na swych barkach, a ona się podda monotonnemu ruchowi i pozwoli się nieść, nieść tak długo, póki tylko ten ruch trwać będzie.

Jej oczy, błędząc po ścianie, zatrzymały się na obrazie Matki Bożej, przed którym płonął kaganek oliwny. Ciemna twarz wybranej Kobiety mieniła się w przygaszającym, to znowu rozpalającym się blasku. Złota szata migąta tysiącem iskier.

I nagle zdjął Różę lęk. Miała wrażenie, że właśnie w tym przygaszaniu i rozpalaniu się płomienia, w cieniach, które przebiegają po twarzy Matki Bożej, w całym tym ruchu tkwi pewna moc i stałość, a właśnie fala, której chce się poddać, nie ma ani mocy, ani stałości, ale lekkomyślnie płasząc zaprasza w podróż niepewności i zawodów. Wprawdzie te oczy patrzą na nią z taką miłością. Ciemna twarz Marii jest zaprzeczeniem wszelkiej surowości. To jakby bezmiar morski, spoglądający ku niebu spośród szumowin piany mroczną, niedosiężną głębią. Głębią, która wzywa i woła, gotowa do czynów łaski, pewna swej niewyczerpalności.

Róża wolno odwraca twarz. Nie chce już szukać argumentów, które kłamią. Tym niemniej nie wyrzeka się swej drogi. Chce nią iść w przeczuciu, że robi źle. Tyle lat trwała konsekwentnie i uparcie przy swoich zasadach. Zmieniła je obecnie wszystkie. Chce trwać przy swoim grzechu.

Dziewka służebna wbiegła do izby, wołając, że rycerz Napora przyszedł, jest na dole i prosi, aby Róża zeszła.

Wyszła z pokoju. Po drodze nie zapomniała jednak spojrzeć do zwierciadła i przyglądzić dłonią zwichrzone włosy. Idąc po schodach, posłyszała na dole głośną rozmowę; wtedy mocno zabiło jej serce, gdyż odróżniła obok głosu Bolesty głos Pawła.

Przed sobą zobaczyła bladą, chłopięcą twarz młodego Napory. Rozdęte nozdrza drżały, usta miał zaciśnięte, a głos mu się łamał, przechodząc od niskich gardłowych akcentów do dziecinnego niemal dyszkanu.

- Różo - wołał porywczo, chwytając ją za rękę - nie wierzę w to, co ojciec mówi. Należysz przecież do mnie i chcesz być moją żoną. Kochasz mnie...

Wysunęła dłoń z jego dłoni. Nigdy nie wydał jej się równie pozbawiony męskiego wdzięku. Gdyby ją był powitał milczeniem, gdyby nic nie mówiąc, spojrzął jej tylko w oczy swymi błękitnymi, chłopięcymi oczyma, może by wybuchnęła płaczem i pobiegnęła z powrotem do swego pokoju. Mimo wszystko jej stosunek do obu mężczyzn nie był dotychczas ściśle określony i jedno posunięcie, jeden przelotny nastrój potrafiłby go zmienić. Paweł mimo wszystko był partią, kandydatem na męża, Bolesta - kochankiem, który ją ku sobie przyciągnął czymś nieokreślonym i niepojętym. W związku z Bolestą nie istniało nic, z czego byłby zadowolony jej praktyczny umysł. Natomiast w związku z Pawłem nie było nic, co by potrafiło zaspokoić jej uczucia i zmysły.

Ujrzawszy jednak wściekłość na twarzy młodego rycerza, nagle doznała wewnętrznego stężenia. Zamarły w niej wszystkie uczucia, chłód ogarnął jej serce. Ona także poczuła gniew.

- Nie jesteś moim mężem - rzekła sucho - abys miał prawo wieźć moją wolę.

Paweł popatrzył na nią błędnie, jakby nie rozumiał jej słów.

- Mówiłaś, że mnie kochasz... tam w Konstancji....

- Mogłam się mylić. Czyś nigdy się nie pomylił w swoich uczuciach?

Coraz wyraźniej zarysowywał się w jej oczach kontrast między zmienioną tysiącem wykrzywień twarzą chłopca, a spokojnym, nieruchomym obliczem Bolesty. Wszystko przemawiało na korzyść opanowanego ojca, a obracało się przeciwko synowi.

- Nie wierzę ci, to niemożliwe - powtarzał błędnie Paweł.

Wzruszyła ramionami.

- Kocham ciebie! - krzyknął.

- Ale ja ciebie nie kocham.

Chłopak skurczył się w sobie, sprężył - Róża przez chwilę obawiała się, że rzuci się na nią, albo na ojca. Ale on tylko wykręcił się na pięcie i począł szybkimi krokami przemierzać tam i z powrotem izbę. Oddychał przy tym prędko, podobny do człowieka, który biegł długo i zmęczony się, dyszy ciężko. Nagle zatrzymał się przy stole i wparł palce w drewniany blat, jakby go chciał poszarpać. Oczy nabiegły mu krwią, a spod ściągniętych warg poczęły się ukazywać zaciśnięte zęby. Zwrócił się do ojca:

- Nienawidzisz mnie - parsknął wściekle. - Ale i ja ciebie nienawidzę. Rozumiesz? Nienawidzę! Ty głupcze!

Na ponurej twarzy rycerza zapaliła się błyskawica gniewu. Groźnie uderzył pięścią w stół i postąpił krokiem ku synowi.

- Milcz! - krzyknął - do ojca mówisz! Obrażałeś mnie nie raz, alem milczał, bom cię miał za niedorostka, który sam nie wie, co szczeka. I teraz mógłbym cię przed sąd biskupi wieść, żeś śmiał ojca słowem znieważyc. Nie mszczę się jednak na niedowarzonych smarkaczach. Sam widzisz, że cię nikt znać nie chce. Chwaliłeś się, że jesteś kochany, a odpędzają cię jak psa. Idź precz! I zapamiętaj to sobie, że cię znać nie chcę. Nie jesteś już moim synem.

Stali tak naprzeciwko siebie, mierząc się roziskrzonym wzrokiem. Nagle jednym rzutem dłoń Pawła spoczęła na rękojeści mizerykordii wiszącej u pasa. Lecz widać zimne żelazo ochłodziło nieco płomień gniewu - bo ręka po chwili opadła, a chłopak tylko syknął przez zaciśnięte zęby:

- Spotkamy się jeszcze!

Płatki gniewu wirowały przed oczyma Bolesty. I nie lęk, ale coś jakby błysk zrozumienia zapalił się na moment w jego umyśle. Miał poczucie, że stoi na progu, poza którym jest już tylko noc i otchłań. I jeżeli pozwoli w tej chwili odejść synowi z gniewem w sercu i z dłonią wciąż skradającą się do rękojeści noża, to stanie się rzecz straszna, nie dająca się już cofnąć. Wtedy przekroczy tajemniczy próg i odepchnie niewidzialną rękę, która tak jakby po raz ostatni dotknęła litościwie jego ramienia. I głusząc w sobie triumfalny śmiech nieznanego spod konstancjeńskiej drogi, wyszeptał:

- Pawle...

Tamten skoczył jakby go dotknięto rozpalonym żelazem. Właśnie ten niepojęcie miłosierny ton głosu napełnił go furją. Odpowiedział krzykiem:

- Boisz się? Ja wiem, że się boisz!

Nastrój prysł. Lodowato zimnym głosem, którego - czuł to - będzie kiedyś żałował - rzekł:

- Nie, nie boję się ciebie. Spotkamy się.

Paweł szybko wybiegł z gospody. Bolesta obejrzał się za Różą, ale jej nie zobaczył. Wróciła do swej izby, nie czekając końca rozmowy.

9.

Wreszcie zdecydowali się rozstać. Prawie dwa miesiące Bolesta przemieszkał z Różą w Lublinie i chwilami zdawało mu się, że jego szczęście jest niczym nie zmaćcone. Miał wreszcie u swego boku kobietę, która nie tylko że go kochała, ale także okazywała mu to

uczucie na każdym kroku. To nie ona była osią, wokół której kręciło się ich życie codzienne, ale to teraz on był otaczany nie kończącymi się objawami serdeczności i uczucia. Promieniał więc i pławił się w swej radości.

Tymczasem napłynęły wieści z Czech. Waclaw - jak się okazało - wcale nie miał zamiaru bronić sprawy husyckiej, a nawet począł zwolenników spalonego rektora prześladować. Zresztą Waclaw był szaleńcem, od którego niczego dobrego nie było się można spodziewać. W Czechach zagotowało się. Tworzyć się poczęły grupy, z których jedna, pod wodzą Franciszka Silnego, głosić poczęła, że czas już nadszedł, aby podjąć zbrojny czyn wieszczony przez Husa. Inne grupy liczyły, że dojdą do porozumienia z papieżem, jeśli im tylko pozwoli na drobne odchylenia w sprawie liturgii i obrządków. Umiarkowane elementy trzymały się Pragi, natomiast stronnicy Silnego założyli wielki obóz wojenny koło Uścia u stóp góry, nazwanej przez nich górą Tabor.

Te wszystkie wiadomości sprawiły, że Bolesta poczuł się zmuszony do przypomnienia sobie o obietnicach, które dał swego czasu w Czechach. W tej chwili wprawdzie nie miał wielkiej ochoty do opuszczenia Róży, ale sama kobieta poczęła mu radzić, aby pojechał. Ostatecznie muszą swoje życie oprzeć na jakichś trwałych podstawach. Ona pojedzie do królowej na Węgry, on też tam przyjedzie i starać się będzie o służbę u Zygmunta. Powinien się także do tego czasu pozbyć Katarzyny, aby mogli się pobrać. Najlepiej będzie, jeśli żonę odeśle do jej rodziny, oskarżając ją o brak płodności. Wtedy można będzie nawet wziąć ślub.

- Jak nie tu, to w Czechach - mówił Bolesta. - Hus uczył, że człowieka nie powinny krępować żadne więzy. Tam ludzie nie uznają rzymskiej niewoli.

Przez parę dni odkładali rozstanie, nie mogąc się zdecydować. Pierwszy wreszcie podjął decyzję Bolesta, który - choć dla niego dni za dniami upływały w rozkoszy - czuł się już trochę zmęczony tym życiem w mieście, życiem pozbawionym ruchu i zredukowanym do długich godzin spędzanych w łóżnicy.

Rozstali się więc. Róża wraz z dwórkami pojechała przez Śląsk na Węgry. Natomiast Bolesta pośpieszył do Łazanek. Przez jakiś czas sądził, że zastanie w domu Pawła i Katarzynę, uprzedzoną już o tym, co się działo w Lublinie. Tymczasem z pewnych zaraz słów wywnioskował, że syn się w domu nie pokazywał, zaś Katarzyna nie podejrzewa go o niewierność. Była jakaś jakby inna, odmieniona, cichsza, a jednocześnie pogodniejsza, nie przeciwstawiała się mężowi na każdym kroku, kilkakrotnie nawet ustępowała mu w sprawach, w których dawniej nigdy by mu nie ustąpiła. Bolesta był trochę tym zaskoczony. Roboty w domu znalazł dużo, więc odwłókł swój wyjazd do Pragi, tym bardziej, że po dniach nieróbstwa dobrze się czuł, doglądając pracy. Biegał po polach, po lesie, patrzył na kośbę,

sam doglądał zwózki zboża. Z Katarzyną spotykał się tylko przy kolacji. Wtedy rozmawiali obojętnie o sprawach gospodarskich, a potem rozchodzili się. Razem nie sypiali, Bolesta po powrocie kazał urządzić sobie łóżnicę w innej izbie.

Złote, sierpniowe słońce mocno dogrzewało, las pachniał żywicą i miodem, jak kiedyś, w pogoni za dzikiem. Bolesta uświadomił sobie, że choć bardzo kocha Różę i jest przywiązany do nauki Husa, wcale mu się nie chce wyjechać z Łazanek. Tego dnia wróciwszy do domu zobaczył żonę. Robiła na podwórzu masło. W skromnym domowym kubraku i spódnicy podwiniętej aż do kolan stała odwrócona do niego tyłem, bijąc tłokiem całym rozmachem ramion w drewnianą dzieżę. Przez chwilę patrzył na nią z przyjemnością. Potem jednak otrząsnął się z tego nastroju. Przestraszył się, że mógłby na nowo wpaść w zależność od tej kobiety.

W kilka dni potem szedł drogą ku strudze, gdy wtem usłyszał naprzeciwko siebie jakieś głosy, a za chwilę zza kępy drzew wyszła Katarzyna w towarzystwie dwóch dziewczyn folwarcznych. Widać kąpały się przed chwilą, bo ich włosy były mokre, zaś suknie niedbale zarzucone na parujące ciała. Mijając żonę zauważył w myśli, że jej twarz ma wciąż w sobie dużo wdzięku. I potem wspomnienie jej zaróżowionej twarzy stało mu długo w pamięci. Sam nie wiedział, skąd się w nim to zainteresowanie żoną bierze. Była mu przecież tak bardzo nienawistna... Właściwie czy nienawidził jej? Znowu pojawiały się w nim jakieś wahania. Ostrze jego gniewu stępiły dni rozkoszy. Wobec samego siebie czuł jakby lekkie skrepowanie, a nawet wstyd, że tak postąpił. Skrzywdził Katarzynę... Och, a ileż razy ona go skrzywdziła! Lecz choć się nieraz na to powoływał, wolałby się czuć jak dawniej: skrzywdzonym, ale niewinnym.

Rozigrane zmysły domagały się zaspokojenia. Katarzyna zaś była wciąż jeszcze piękna... a poza tym widział ją na tle tak bliskiej mu przyrody, podczas gdy tamte dni miłości zatruwał mu pobyt w mieście. Bez przyjemności wspominał tę ciasną, ciemną alkowę, w której zapach olejków Róży, pomieszany z wyziewami gnijących desek, tworzył nieznośny zaduch. Tu zaś było słońce, zapach traw i wrzosów...

Jesień była prześliczna, dni upalne jak w lipcu. Po polach złocących się od szczeci rżyska śmigły małe zajaczki. Służba znosiła z lasu wielkie bierwiona, które potem miały służyć na opał podczas całej zimy.

Bolesta chodził często w las, rozbrzmiewający teraz stukotem siekier. Pierwsza jesienna wilgoć czaiła się już w gąszczu krzewów, zaś u stóp drzew pachniało grzybami. Któregoś tak dnia, gdy siedział na zwałonym pniu, grzejąc się w blasku słońca, wyjechało na niego trzech jezdnych. Byli ubrani po podróznemu, zaś zapadłe końskie boki świadczyły, że

ich wierzchowce są już od dłuższego czasu w drodze. Jeden z nich, ujrawszy Bolestę, podjechał doń i skłoniwszy się grzecznie, zapytał:

- Czy możecie nam, panie, wskazać drogę do dworu rycerza Napory?

Bolesta wstał z pnia, obciągnął na sobie swój kaftan.

- Do dworu dojedziecie tędy, a rycerzem Naporą ja jestem.

Tamten szybko zeskoczył z konia.

- Poznajecie mnie? - pytał.

Bolesta nie mógł sobie w pierwszej chwili przypomnieć, skąd zna młodą twarz przybyłego. Dopiero po chwili uderzył się dłońmi po udach, wołając:

- Jan Rohacz z Duby!

- Tak, to ja - młody rycerz rzucił wodze wierzchowca towarzyszom, a sam siadł obok Bolesty na pniu. - Zgoniliśmy się setnie. Od dwóch tygodni wciąż w podróży. Szukamy was i innych. Pewnie zresztą już wiecie dlaczego.

- Nic nie wiem. Siedzę w domu, a o tym, co się dzieje na świecie, nie mam żadnego pojęcia.

- I o tym, że król Wacław nie żyje?

- Na Boga! Pierwszy raz o tym słyszę!

- Zatchnął się własną złością. - Pewno więc nie wiecie, że ojciec Jan z Zeliwa urządził wielką procesję z kielichem na ulicach Pragi. Cała ludność wzięła w niej udział. Jakies skryby miejskie ośmieliły się procesji urągać, to ich motłoch miejski z okien na ulicę wyrzucił. Wacław naturalnie szalał. Groził każdemu, że go kołem łamać będzie, albo końmi. Tymczasem śmierć nań padła niespodziewanie.

- To i nie macie króla.

- Wolelibyśmy go nie mieć. Ale Zygmunt już rękę po koronę brata wyciągnął.

- Ma przecież Węgry i Rzeszę...

- Jemu wszystko za mało. Gdy wasz Władysław umrze, zobaczycie, że i po Polskę po raz drugi rękę wyciągnie. Z Jagiełłą się w Sączu widział.

- A w Pradze już był?

- Do Pragi nie pójdzie, chyba z wojskiem. Ale los wojny to księga patykiem na wodzie pisana: nie wiadomo komu jeszcze klęskę wywieści. W Pradze królowa-wdowa Zofia i burgrabia Czenk z Wartenburga. Jednak ojciec Jan do nas posłał. My zaś, jak już pewno wiecie, staliśmy obozem przy górze Tabor. Święte i prawdziwe chrześcijaństwo znowu u nas na świat zeszło. Odrzuciliśmy błędy papistów. Nie mamy świętokradzkiej Komunii bez Krwi Chrystusa. Znieśliśmy wykrętną spowiedź, którą każą rzymscy na ucho klesze paplać. Kto

chce z grzechów być oczyszczony, wobec wszystkich je wyznaje. Nie ma u nas panów ani łyków. Wszyscy są równi, wszyscy są braćmi. Wrogiem są tylko ci, którzy nas prześladowali, grosze kazali pchać do kościelnej szkatuły...

- Żyjecie, widzę, tak jak mistrz kazał.

- Tak. Naśladowujemy Husa całym naszym życiem. On kazał rozpocząć ostatnią wojnę i zwalić błędy rzymskie. Widzicie - mówi u nas Mikołaj z Pielgrzymowa - że tak zawsze było: każda nieprawość rodziła wojnę, a przez wojnę świat przechodził do lepszego bytu...

- Ale przecie mistrz uczył, że chrześcijanin nie powinien walczyć?

- Nie powinien walczyć dla błędów rzymskich, ani dla czyjegoś tam dobra. Nie wolno mu też walczyć, by tylko sobie potem króle napychali komory zdobytymi skarbami. Ale są wojny, przez które los ludzki się zamienia.

- I one same przychodzą?

- Same przychodzą. Tak mówił Mikołaj, zresztą nie od siebie, ale z tego, co wyczytał u mistrza, Zaś teraz będzie tylko jedna wojna i jeżeli w niej zwycięży prawdziwa myśl chrześcijańska, to już więcej nikt miecza do ręki nie weźmie. Więc też trzeba ją przyśpieszyć.

- Przyśpieszyć? Nie rozumiem.

- Marcin Hauska też tak mówi, że my nie wiemy, kiedy ta wojna ma nadejść, więc powinniśmy ją zrobić już teraz, bo jak ona wybuchnie, pójdą do nas wszyscy, którym błąd rzymski ciąży...

Młody rycerz zapalał się mówiąc. Może nie wszystko sam dobrze rozumiał, może nie wszystko jasno tłumaczył, ale z jego słów tryskał zapał taki sam, jakim przed laty płonął oskarżony o herezję rektor. Z trudem udało się Boleście przerwać ten potok wymowy i zaprosić młodzieńca do siebie do dworu. Początkowo nie chciał zatrzymać się nawet na chwilę, twierdząc, że się bardzo śpieszy. Dopiero po długich namowach uległ perswazji. Idąc obok Bolesty przez pola, wciąż jeszcze dowodził, żywo gestykulując. Dowiedział się więc Napora, że taboryci złączyli się z grupą praską, która nazwała się od przyjętego za symbol kielicha - utrakwistami, i wspólnie, obrawszy sobie za wodza rycerza Jana Żyżkę, poczęli ścierać do Pragi. Wojna więc wisi w powietrzu, zaś rycerz z Duby po to przyjechał do Polski, aby na nią wezwać wszystkich, którym los nauki Husa leży na sercu.

Młody husyta zatrzymał się jednak do następnego dnia, ponieważ był rzeczywiście bardzo zmęczony. Zaraz więc po uczcie zaprowadził go Bolesta do komnaty, zaś młody rycerz zasnął od razu twardo na posłaniu ze skór, że można go było wołać i trząść nim, a nic by z tych wołań na pewno nie usłyszał.

Bolesta siedział wieczorem nad dzbankiem piwa i dumał. Ostatnie nowiny skłaniały go do jazdy. Powinien był jechać. A przecież... nie chciało mu się. Jakoś ostygł z tego zapału, jakim go napełnił w Konstancji mistrz Jan. Przyznawał rację husytom, chętnie mówił i w myślach obrzucał pogardą „papistów”, ale to nie było to, co przedtem. W ogóle nic mu się nie chciało. Róża roztopiła się w marzeniach, jakby była tylko snem, i wołał o niej myśleć, niż za nią gonić. Wojna go także nie pociągała. Wtedy, tak jak to robił codziennie, dalej z kuszą chodził w las i bił zwierzynę. Poza tym Katarzyna...

Właśnie przechodziła przez izbę. Szła szybkim krokiem, z głową podniesioną, a nawet lekko odchyłoną do tyłu. W ręku niosła kosz jabłek. Znowu uświadomił sobie, że wygląda młodo i jeszcze obudzić może w niejednym miłość. Bez zastanowienia rzekł do niej:

- Słyszałaś, co mówił ten rycerz?

Nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową.

- Sam nie wiem - mówił dalej Bolesta, patrząc w czarzkę, w której musowało piwo - mam jechać, czy też nie. Obiecywałem, że pojedę... Ale nie wiem...

Wyrażał jej swoje wątpliwości jak dawniej, jak wówczas, gdy jeszcze istniała między nimi jaka taka zgoda. Wtedy to on starał się wciągnąć żonę w krąg swoich spraw, pozwalając jej sobie radzić w tej i w tamtej sprawie. Gdy wyrażała swe zdanie uważał to za objaw serdeczności; gdy mówiła: „Co mnie to obchodzi - radź sobie sam”, czuł się boleśnie dotknięty. Potem przestał pytać o radę żony.

- Chyba jedź - powiedziała. - Zobaczysz, co się tam dzieje, i wrócisz.

Podniósł wzrok znad stołu i popatrzył na Katarzynę. Mówiła spokojnie i łagodnie. Brutalna opryskliwość gdzieś znikła.

- Kłopotów będziesz miała wiele... - zaczął, lecz zaraz urwał. Przestraszył się, że żona mu odpowie: „Pozwól wrócić Pawłowi, a on cię wyręczy”. Ale Katarzyna machnęła lekceważąco ręką.

- Dam sobie radę - rzekła - wszystko znajdziesz w porządku. Jedź. Będziesz może zadowolony.

Na drugi dzień rycerz z Duby wyjechał, a Bolesta, choć mu przy pożegnaniu obiecywał, że lada dzień wyruszy do Pragi, bardziej niż kiedykolwiek był zniechęcony do tej podróży. Jesień wciąż była prześliczna. Wprawdzie czasami wieczorem padał deszcz, ale za to co ranka powracała na jasnoniebieskie niebo rozżarzona kula słoneczna i wydawało się, że cały świat powrócił ku zgasłemu już latu. - Pojedę w przyszłym tygodniu - myślał pewnego wieczoru rycerz, stojąc na pagórku obok drogi i patrząc, jak łąciate krowy, porykując i

uderzając się po kościstych bokach kitką ogona, ciągną z pola ku oborze. Powtarzał to już od kilkunastu dni, wciąż oddalając od siebie ten wyjazd.

Żuraw studzienny przy zagrodzie skrzypiał. W spokojnym powietrzu roznosiły się na wszystkie strony głosy kłócącej się wesoło czeladzi. Potem doszedł go głos Katarzyny:

- Jagna! Jeszcześ skopków nie przyniosła? Biegnij! A żywo! Jagna!

Po chwili ujrzał Katarzynę, jak wyszedłszy przed bramę zagrody, patrzy na bydło. Na ramionach miała narzucony kozuch, w rękę trzymała oszczep. Starannie, jak przystało na dobrą gospodynię, oglądała wzrokiem każdą wchodzącą między zabudowania sztukę. Mówiła przy tym do pastucha:

- Powiedz, niech cielaka od czarnej odstawią. Wytrzyjcie dobrze „Łatkę”. Hej, ty głupcze, nie widzisz, jak zgoniłeś „Łysą”? Pewno w nią prałeś kamieniami!

Obejrawszy wchodzące do zagrody bydło sztuka za sztuką, wyszła na drogę. Gdy przechodziła koło miejsca, w którym stał Bolesta, ten zadał jej pytanie:

- Dokąd idziesz?

- Zobaczyć łapki na lisy. Wciąż mi rudzielce kury duszą, aż musiałam postawić żelaza. Może się co dzisiaj złapało.

- Pójdę z tobą. Poczekaj, tylko skoczę do domu po kozuch.

Zatrzymała się i stanęła na środku drogi rozkraczona, jak chłopcy, gdy mają zamiar ciskać kamieniami w ptactwo. Końcem oszczepu rozbijała grudki polepionej ziemi.

Bolesta zdjął tymczasem kozuch z kołka. Przypomniał sobie, że warto także wziąć z sobą szeroki nóż myśliwski. Otworzył więc skrzynię i szukał w niej noża, którego dawniej używał. Wśród licznych przedmiotów znajdujących się w skrzyni ręka jego odnalazła mały woreczek płócienny. Początkowo nie mógł sobie przypomnieć, skąd się on wziął tutaj. Potem, podniósłszy go do góry, poczuł charakterystyczny, ostry zapach zielska, które mu kiedyś dała leśna jędza.

Znowu stanęły mu w pamięci te chwile, gdy niepomny niczego, biegł szukać pomocy czarownicy, wyklętej przez księży. Wtedy sądził, że każda rzecz zdoła mu odmienić żonę. Przerzucał się od jednej do drugiej ostateczności. Próbował perswazji osobistej, nasyłał jej innych ludzi, prosił, groził...

Dziś wiedział, że w ten sposób niczego nie wskóra. „Czas - jeden czas - pracuje na twoją korzyść” - mówił kiedyś stary mnich, któremu wyznał swoją nędzę. Gdy się zastanowił, wiedział, że mnich miał rację, ale czas jest dla człowieka - dla istoty urodzonej w czasie - czymś, co przemija i już nie powraca. Odpływa i wsiąka w ziemię, jak wylany z garnka.

Gdybyśmy umieli patrzeć ponad czas i nie oddalali naszych cierpień w nieskończoność przez chęć przyspieszenia chwil, które i tak muszą przyjść!

Lecz teraz znowu zapukała w serce nadzieja. A jeżeli? Niewątpliwie kochał jeszcze Różę. To znaczy, nie przestał jej przecież kochać. Póki byli obok siebie, nie wyobrażał sobie, że choć na chwilę będzie mógł o niej nie myśleć. Ale odległość robi swoje. Wiek wzywa do innego życia. Musiał sam przed sobą przyznać, że Katarzyna także mu nie jest obojętna. Nie szalał już wprawdzie za nią, a prawdopodobnie wcale już jej nie kochał. Ale coś widać zostało ze starych uczuć. Może dlatego, że kobieta tak bardzo się zmieniła, może to on się zmienił... Zaczęła mu ciążyć ta rozbieżność uczuć, a był zbyt leniwy, aby wybrać drogę dłuższą, cięższą.

Tu był wprawdzie Paweł... Tak, niewątpliwie cios, który zadał synowi, sprawił mu rzetelną radość, ale obecnie uzyskał już zadośćuczynienie i gotów był nawet Pawłowi zapomnieć jego słowa, wypowiedziane w gniewie...

Szybkim ruchem chwycił woreczek z zielskiem i ukrył go na piersi.

Wracali do domu o zmroku. Znad stawów podnosiła się mgła i razem z nią chłód spadł na ziemię. Teraz czuć było jesień w zimnym, obojętnym połysku gwiazd, w żalonym kumkaniu żab.

Bolesta niósł na ramieniu dwa lisy, które się złapały na nastawiony potrzask. Katarzyna więc podpierała się oszczepem. Nie mówili do siebie, ale pewne słowa wisiały po prostu na wargach. Była noc, pogodna, bezwietrzna. Z dala od lasu dochodził ich stłumiony szum drzew. Woda pluskała u stóp idących.

Bolesta podniósł wzrok i powiódł spojrzeniem po wierzchołkach wysokich lip, otaczających staw dokoła. Stały ogromne, wysmukłe, rzekłbyś: krąg milczących taneczników, otaczających polanę, na którą pada srebrnawa poświata gwiezdna. Poczuł, jak krew poczyna mu żywiej krążyć w ciele. Ogarnęły go jakieś dawne wspomnienia, a raczej wspomnienie marzeń, bo w jego wspomnieniach nie było nic realnego. I w nagłym porywie wyciągnął dłoń ku żonie.

Nie broniła się, nie opierała.

Szli teraz przytuleni do siebie. Serce mężczyzny biło mocno. I tak doszli do domu, jak para kochanków, jeszcze rozgrzana ciepłem wzajemnej bliskości, a już przejęta żalem, że muszą się rozstać.

- Przyjdę do ciebie - powiedział do niej, gdy się znaleźli w progach domu.

Bez słowa odeszła, Bolesta zaś chwycił blaszany kubek i zbiegł z nim do piwnicy. Podszedł do beczki czerwonego wina węgierskiego, które kiedyś dostał od Zawiszy. Odetkał czop i naprzód sam pił chciwie, a potem nalał dla Katarzyny. Drżącymi rękami rozwiązał węzełek, w którym znajdowało się otrzymane ziele. Potem wrócił na górę. Katarzyna czekała na niego w mroku. Wyciągnął dłoń z czarką i rzekł:

- Pij.

Wypiła jednym haustem.

Była to noc szaleństwa, noc niezapomniana, pełna radości, jakiej Bolesta nie zaznał dotychczas w swym małżeństwie. Zасыpiając na ramieniu Katarzyny, powiedział sobie w duchu, że jego grzech jest już tylko grzechem przeszłości. Nie wróci doń nigdy.

Obudził go nieludzki krzyk, przypominający skowyt bitego psa. Zerwał się na równe nogi, nie mogąc sobie w pierwszej chwili uprzytomnić, dlaczego się znajduje w łóżnicy żony. Katarzyna siedząc na łożu krzyczała, wczepiwszy palce obu rąk w rozwichrzone włosy. Całe jej ciało trzęsło się w gniewie czy rozpacz, a białe gieźło nocne zsunęło się z ramion, odsłaniając białą szyję, pokrytą czerwonymi plamkami - śladami pocałunków Bolesty.

- Kasiu... co się stało?... - pytał, wciąż jeszcze jakby zamroczony nagłym wytrąceniem ze snu.

W odpowiedzi wybuchnęła nową falą histerycznego krzyku. Wyciągnął ku niej rękę i chciał ją objąć, ale odtrąciła go brutalnie łokciem, nie odrywając ani na chwilę rąk od twarzy. Patrzył na nią ze zdumieniem i przestraciem.

- Katarzyno... - powiedział prawie boleśnie.

Miał wrażenie, że znowu zapada się w otchłań dawnej rozpacz. Lecz obecne doświadczenie było stokroć boleśniejsze. Poprzednio żona oddalała się od niego powoli, dzień za dniem. Cierpiał nad tym, lecz także umiał sobie wyrównać ten brak czym innym. Nasiąkał goryczą - to prawda, ale ta gorycz nie była jeszcze rozpaczą. Stanowiła podkład, na którym mógł się rozwinąć bunt - lecz nie była jeszcze wcieleniem buntu. Obecnie jednym brutalnym uderzeniem został wytrącony z radości, jakiej nigdy jeszcze nie zaznał, na samo dno goryczy. Był tak bliski żony, jak nigdy dotychczas. W cieniach nocy obiecywał sobie, że będzie lepszy, serdeczniejszy, bliższy. I nagle musiał powrócić do swego nieszczęścia.

- Katarzyno - jeszcze raz powtórzył.

Gdyby nie jej dziwne zachowanie, może od razu wyszedłby z izby przekonany, że ta noc była tylko snem, po obudzeniu się z którego człowiek tym przykrzej czuje gniotące go życie. Ale dlaczego krzyczy ta kobieta, która zawsze umiała milczeniem lub paru

oszczędnymi słowami, wypowiedzianymi bez podnoszenia głosu, zadać mu cios najboleśniejszy?

Nagle oderwała dłonie od włosów, odkryła twarz. Bolesta cofnął się przerażony. Twarz miała bladą jak opłatek, a oczy przekrwione w czerwonej obwódce zapuchłych i jakichś ropiejących powiek. Rękami zrobiła w powietrzu szeroki gest.

- Patrz coś zrobił! - krzyknęła. - Ciesz się! Ciesz się! Powinieneś się przecież cieszyć!

Podniosła głowę i utkwiała spojrzenie pełne rozpaczony w kąt izby. Bolesta nie mógł tego wszystkiego zrozumieć.

- Ciesz się! - jeszcze raz zawołała i znowu wybuchnęła rozpaczliwie głośnym jak psi skowyt jękiem. Przy tym zrobiła w stronę, w którą patrzyła, gest pogroźki.

I wtedy nagle Bolesta uświadomił sobie, że ona patrzyła akurat tam, gdzie on stał przed chwilą, gdy mówił do niej. Jej spojrzenie utkwione na pozór bezmyślnie w ścianie, na której nic nie było, szukało tam sprawcy swych cierpień. A jeśli jego tam nie było, a ona mimo to wygrażała pustce, to widocznie jej oczy...

Straszliwa myśl zerwała się jak struna w mózgu rycerza. Nie śmiał jej wypowiedzieć nawet przed sobą samym. Jednym skokiem wybiegł z izby i biegł prosto przed siebie, niepomny, gdzie biegnie. Myśli pod czaszką kłębiły się jak wzburzona woda. A z szalejącego wiru wydobywała się nad wszystkie jedna, przemożna, buntownicza, straszna. Pchała się na usta, paliła wargi swą goryczą. Wypowiedział ją podniósłszy głowę w górę gdy stanął na grobli, w tym samym miejscu, w którym wczoraj objął Katarzynę:

- Dlaczego?!

Zapragnął uciec gdzieś daleko i tam walczyć, aż do upadłego, aż do zapomnienia się w walce. Nie czuł potrzeby pokuty ani skruchy. Nienawidził i choć nie wiedział, na kogo swą nienawiść zepchnie, zdawał sobie jednak sprawę, że go ona zmusi do sięgnięcia po oręż. Mniejsza o to, przeciwko komu! Mniejsza, o co!

Rozumiał w tej chwili doskonale bunt cierpiącego, który dąży do zniszczenia rzeczywistości, myśląc, że w ten sposób ukoji swój ból. I on pragnął zrobić to samo.

Szybkim krokiem wrócił do domu. Nie pożegnał się z Katarzyną, nie chciał słuchać jej rozpaczliwych jęków. Także nie obejrzał się na swój dwór, odjeżdżając pośpiesznie w towarzystwie tylko dwóch pachołków.

Wypadki następowały po sobie szybko. Oleśnicki i Cybulka powrócili z Wrocławia wściekli na Zygmunta za wyrok w sprawie zatargu z Krzyżakami, którym to wyrokiem niedoszły niegdyś król polski przysądzał Krzyżakom ziemię pomorską, chełmińską, michałowską, a także Nieszawę i Żmudź. Król Władysław, słuchając ich relacji, spokojnie wyrzynał coś nożem na poręczy krzesła, ale gdy kończyli, niezwłocznie kazał zwoływać wielką radę królewską. Zaraz też posłowie z tajnymi poleceniami pognali, co koń wyskoczy, na wszystkie strony świata i dziwnym może zbiegiem okoliczności w krótki czas potem graf Czenk z Wartenburga wypowiedział posłuszeństwo Zygmuntowi, uderzając niespodziewanie na Hradczyn i zajmując go bez wysiłku. Jednocześnie zaś rycerz Werner z Rankowa przybył do Krakowa z wyraźnym zaproszeniem Jagiełły do objęcia tronu czeskiego.

Ale Zygmunt nie czekał. Z dwudziestu tysiącami Węgrów i Ślązaków wyruszył z Wrocławia, zdobył pierwszym impetem Karłow Hradec, podszedł pod mury Pragi, wydarł podstępem Hradczyn z rąk Czenka. Nie kusił się jednak o zdobycie stolicy, licząc na to, że panowie czescy, którym nie było sporo siedzieć razem z łykami i prostactwem, przywleczonymi do Pragi przez głoszących powszechną równość taborytów, wejdą na drogę układów i opowiedzą się przy monarchii przeciwko rewolucyjnemu ruchowi. Czekał, czekał, aż wreszcie Żyżka wymknąwszy się z miasta, dopadł wojsko Zygmunta i zadał mu ciężką porażkę pod Witkowem. Sukces moralny, osiągnięty przez króla dzięki pierwszym zwycięstwom, został zachwiany. Aby go ocalić, Zygmunt kazał się ukoronować w Hradczynie. Nie myślał, że równocześnie rycerz Hynek z Kolsztyna wyjechał z Pragi, niosąc powtórne zaproszenie dla Jagiełły na tron Wacława.

W Pradze wprawdzie powstały spory, bo grupa arystokratyczna dążyła oczywiście do układów z Zygmuntem. Taboryci, zachęceni głównie przez Mikołaja Husa, nie chcieli w ogóle mówić o żadnym królu, zaś utrakwistom wciąż się marzył Jagiełło. Sytuacja stała się niemożliwa, tak że w końcu Żyżka zabrał swoich z miasta, odmawiając prażanom pomocy. Wraz z taborytami odjechał także i Napora, który związał się blisko ze stronnikami Żyżki.

Ledwo opuścili mury Złotej Pragi, gdy dognała ich wieść o zdobyciu przez prażan Wyszehradu, a zaraz potem o klęsce, którą zadali utrakwiści armii śpieszącej Zygmuntowi na pomoc. Bolesta dowiedział się przy tym, że wśród zabitych znaleziono Jędrzeja Balickiego. Chciwy sławy wojennej rycerz znalazł w końcu śmierć, goniąc za sławą i szukając jej pod sztandarami króla, od którego sława wojenna uciekała, jak ludzie od zarazy. Pod ciosami tyłu klęsk Zygmunt załamał się i uciekł z Czech, tu zaś z nową siłą rozgorzały spory. Wreszcie przywódcy stronnictw postanowili zwołać wielki wiec do Pragi i na nim uzgodnić niesłychanie rozbieżne żądania wszystkich grup. Około więc Bożego Narodzenia zjechali się

wodzowie utrakwistów i taborytów oraz przedstawiciele rycerstwa niechętnego Zygmunтови. W grupie utrakwistów rej wodzili: Prokop z Pilzna, rektor Akademii, Jakub z Mios i Piotr Mladenowic, taborytom przewodzili: Mikołaj z Pielgrzymowa, Marcin Hauska, zwany także Lognis, Markold ze Zbrasławic, Żyżka i Jan Rohacz z Duby, delegatami zaś rycerstwa byli: Ulbryk Wawak, bracia z Janowic i Piotr Zmrzlik ze Swojszczyna. Wbrew intencjom inicjatorów zjazd odbywał się w atmosferze sporów i kłótni.

- Zrozumieście - mówił Mikołaj Hus głosem słabym, bo go ciężka choroba opanowała, a mimo to nie chciał się położyć, ani się wyrzec udziału w dyskusji - nie potrzebujemy żadnego króla. Ani Zygmunta, ani Jagiełły. Każda władza królewska jest godna potępienia - bo i gdzież znajdzie się król bez grzechu? A po co mamy państwo i władzę, i straże? Po to, by nas trzymały, jak obręcz trzyma klepki w antańku, my zaś sami nie utrzymalibyśmy się razem, bo nas dziela kłótnie, walki i niesprawiedliwość. Ale gdy raz sprawiedliwość zapanuje, a ci, którzy byli dotychczas gnębieni, zwyciężą swoich gnębieli, nie będzie potrzebna żadna obręcz. Mamy walczyć - to walczymy o sprawiedliwość, a nie o inną niewolę!

Po Husie mówił Mladenowic:

- Nie rozumiem tego, co przed chwilą usłyszałem. Dlaczego nie mamy mieć króla? Każdy naród ma swego władcę, któremu wiernie służy. A Jagiełło - dobrym jest królem i mądrym królem. Kto może mu pogaństwo zarzucać, gdy się ochrzcił? Zaś najważniejsze, że Niemców nie cierpi jak i my. Gdy jego wezwiemy na tron, znowu się zblizną do siebie dwa słowiańskie narody...

- Polacy będą nas łupić i ze skóry obdzierać! - ktoś krzyknął.

- Wolisz, aby cię Niemcy łupili! - odwrznięto z drugiego końca.

Mladenowic starał się zapanować nad wybuchającym co chwila zgietkiem:

- Nikomu się łupić nie damy. Choć weźmiemy sobie króla polskiego, Czechy nie staną się przez to ziemią polską. Popatrzcie na Litwę, na jaką potęgę wyrosła przez zjednoczenie z Koroną.

- Nie będziemy wylewać krwi dla Jagiełły! - krzyknięto w kole taborytów.

Wśród utrakwistów zawrzało.

- Zdrada - krzyczeli ci i tamci - Luksemburczyk ich przekupił! Walczyć z Niemcami nie chcą!

Uciszył ich Burkhard z Janowic, prosząc o głos:

- Nie ma tu zdrady na pewno. Uspokójdzie się. Chodzi nam przecież o to, aby uradzić, kto ma nami rządzić. Mówicie: Jagiełło. Dobry król. Ale dlaczego go jeszcze tu nie ma?

Dlaczego, gdy Zygmunt stał pod Pragę, nie uderzył nań ze swoim wojskiem? Myśmy walczyli przy nim pod Grunwaldem. Myśmy mu pomagali...

- Słusznie, słusznie - potakiwano - dlaczego go tu nie było?

- Nie wiecie dlaczego - kończył pan z Janowic - to ja wam powiem. Bośmy heretykami...

Na sali wybuchł nieludzki wrzask.

- Kto jest heretykiem?!

- Panowie-możnowładcy są heretykami, nie my!

- Rycerstwo, herezji rzymskiej posłuszne!

- Kto mistrza spalił, choć mu winy dowieść nie było można?

- Może punkty praskie są herezją?!

Lecz Burkhard nie dał się zastraszyć.

- Nie jesteśmy heretykami? To posłuchajcie, co mówią taboryci. Cztery punkty uchwalili, a żądają wiele więcej. Nie chcą płacić podatków.

- Pieniądz kazi władzę! - krzyczano wśród taborytów.

- A wojnę z Niemcami jak prowadzić będziecie? Dziesięć palców wam wystarczy?

- Każdy odda, co posiada! Własność jest grzechem najgorszym, który trzeba publicznie karać!

Chrapliwy głos Husa doleciał z ciżby:

- Chrystus rzekł: oddajcie, co macie!

- Nie! - wołał Prokop. - Chrystus powiedział: dajcie dziesięcinę z tego, co wam zbywa! A także kazał oddać cesarskie cesarzowi!

- Cesarzowi - miecz! Cesarzowi - miecz! - darł się jakiś mnich. - Bo kto mieczem wojuje...

Znowu dorwał się do głosu Burkhard:

- Własność chcecie zabierać? Toście zwyczajni rabusie...

Żyżka wściekły porwał się na nogi i palnął mieczem o ławę:

- Zamilczcie, bo mam już tego dosyć!

Burkhard wyciągnął do niego szyję, jak podrażniony indyk:

- To mi powiedzcie, jak się nazywa człowiek, który cudzą własność zabiera.

Żyżka chciał odpowiedzieć, ale się wstrzymał:

- Niech Mikołaj mówi...

Wszyscy się uciszeli, bo Husa prawie że nie było słyhać.

- Nie ma rzeczy, która by do kogoś należała - charczał chory. - Kto posiada, ten jest rabusiem, bo zabrał rzecz innym... Kto mu ją zabierze sam dla siebie, ten jest także rabusiem... Ale gdy zabierają wszyscy, wtedy nie ma rabunku. Bo tak być musi... Pokrzywdzeni muszą odebrać swoje...

Głos Husowi się załamał. Z trudem łapał powietrze w płuca.

- Słyszeliście?! - zagrział Żyżka.

Lecz tamtym słowa umierającego nie trafiały do przekonania, więc spory ciągnęły się dalej bez nadziei zakończenia. Dni płynęły za dniami. Śmierć zabrała wreszcie Husa i wtedy taboryci ustąpili nieco ze swego nieustępliwego stanowiska. W pierwszym dniu Świąt wyjechało z Pragi tym razem już oficjalne poselstwo do Jagiełły, wioząc doń wezwanie od całego narodu czeskiego, aby zechciał objąć osierocony tron.

Wiosną dopiero wróciła część poselstwa w towarzystwie rycerza polskiego Wyszka Raczyńskiego. Bolesta był ogromnie ciekawy dowiedzieć się nowin z kraju. Ale to co przywieźli posłowie było ważniejsze niż wszystkie nowiny.

Jagiełło korony nie przyjął, za to poradził posłom, aby zanieśli ją do Witołda. Kiejstutowic - naturalnie - koronę przyjął i obiecał przysłać niezwłocznie do Pragi swego namiestnika, Zygmunta, syna Dymitra Korybuta, księcia nowogrodzkiego, brata Jagiełły. Jednocześnie przez Wyszka Witołd nadesłał pismo do prażan, w którym uzależnia swoją ostateczną decyzję od pogodzenia się Czechów z papieżem i Kościołem.

Odmowę Jagiełły zasadniczo przyjęto z żalem - trzeba się było jednak cieszyć i z tego, co uzyskano, tym bardziej, że na kraj waliła się znowu wszechniemiecka krucjata pod wodzą Zygmunta i nuncjusza Branda. Szykowano się więc do wojny całe lato, Jagiełło zaś słał posłów i do Zygmunta, aby zrezygnował z korony czeskiej - bo przecież i tak już dwie posiada - i do papieża, prosząc go, aby zdjął klątwę z Czech, a wówczas Polska postara się nawrócić Czechów bez pomocy oręża. Poselstwa niczego jednak nie załatwiły, groziła więc wojna. Na szczęście elektorowie zbierali się tak wolno, że dopiero późną jesienią olbrzymia, stutysięczna armia wyruszyła z Wrocławia.

Bolesta wciąż był przy Żyżce i brał czynny udział w pracach przy organizowaniu obrony. W ten sposób, znajdując się w zamęcie tylu spraw, spisków, sporów i kłopotów, zapomniał o myślach, które początkowo po ucieczce z kraju gnębiły go i snu pozbawiały. Jak wyrzut sumienia przez długie miesiące stała mu w pamięci oślepiąca Katarzyna, a świadomość, że gdyby nie czarci wywar, którym napoił żonę, mogła się w jego życiu dokonać naprawdę szczęśliwa odmiana, kazała mu gryźć pięści w gniewie i rzucać straszliwe przekleństwa. Coś się załamało w jego sercu. Przez długi czas odchodził od Kościoła,

oskarżając go o rozmaite rzeczy, ale zasadniczo wiary nie porzucał. Bóg był dla niego rzeczywistością niezaprzeczoną. Toteż rycerz czuł się zawsze winny umowy, jaką zawarł niegdyś na gościńcu pod Konstancją. Ale teraz poczucie winy zacierało się wobec poczucia, że nie ma przed nim innej drogi poza drogą grzechu, ponieważ życie doświadczyło go ponad siły. Któż to wytrzyma? - pytał się sam siebie i nie czekając, aż mu sumienie da odpowiedź, sam sobie powiadał: nikt. Nikomu tak się źle całe życie nie układało, jak właśnie jemu. Dlaczego? Dlaczego? Czy był gorszy niż inni? Czy nie pragnął postępować uczciwie? A może właśnie postępował za uczciwie, może trwając z uporczywą wiernością przez tyle lat przy kobiecie, która go dręczyła, obraził Istotę, rozdzielającą szczęście i nieszczęście wśród śmiertelnych?

Walczyły w nim jakby dwie różne fale: gorycz i gniew - z jednej, a beznadziejny smutek - z drugiej strony. Czasami zwyciężała fala buntu i wtedy bluźnił, a bluźniąc siadał na koń i z żołnierzami Żyżki najeżdżał klasztory oskarżone o sprzyjanie „rzymskim”, palił kościoły, których pasterze nie chcieli się zastosować do czterech punktów praskich, uderzał na dwory rycerzy sprzyjających Zygmunтови. A znowu gdy nadchodziła fala smutku, odsuwał się od pracy i walki, pragnąc pokutować, bił się w piersi, sam przed sobą wyznawał winy, które nie były przecież winami w pojęciu taborytów. Żyżka i inni wodzowie taboryccy mieli go w wielkim poważaniu, toteż starali się nie widzieć tych napadów depresji, które z dzielnego rycerza i zdolnego wodza czyniły rozpląkaną babę. On zaś, przerzucając się z jednej do drugiej krańcowości, schudł, zwiędł, zestarzał się. Włosy miał już całkiem białe, ręce mu się czasami trzęsły, a kopia nie zebrałby już teraz na pewno pierścieni podczas gry rycerskiej.

Był jak dąb, którego poczyna toczyć skryty robak. Dla patrzących z boku, dla nieuważnych obserwatorów nic się jeszcze nie zmieniło, ale kto by się przyjrzał drzewu uważnie, ten by poznał, że siły dębu topnieją. Bolesta wyraźnie marniał, sechł, chylił się ku upadkowi.

Czasami chciał zapomnieć o Katarzynie i o Pawle. Zanurzał się z głową w rozpuście, ale i syn i żona ciągle mu stali przed oczami. Spokój, którym go obdarzył nieznajomy na drodze pod Konstancją - nagle prysł. A właściwie Bolesta odkrył, że nigdy tego spokoju nie było. Przedtem otaczała go tylko złuda spokoju, śmieszny miraż, fantasmagoria uśpionych pożądań.

Za to o Róży od razu przestał myśleć, a gdy sobie o niej przypomniał, czuł na ustach niesmak, w sercu zaś gniew. Oskarżał ją częściowo o swoje nieszczęście. O to, że przez nią stracił Katarzynę, wtedy gdy mógł ją odnaleźć. O tysiące innych rzeczy. Oskarżał ją tak, jak

oskarża całe swoje otoczenie człowiek nieszczęśliwy, lecz nie umiejący się pogodzić z własnym nieszczęściem.

Obronę przeciwko nadciągającej krucjacie przygotowywali przede wszystkim taboryci. Ale w łonie tej grupy zarysowały się poważne nieporozumienia. Bogusław Szwamberg zarzucał Żyżce, że zgodził się na poselstwo do króla polskiego, przez co zdradził ideę Husa. Podtrzymywali go w tym Prokop Łysy i Jan Rokiczana, szczególnie zaś ten ostatni, gdyż zajmował się bez końca sprawdzaniem, czy aby który z przywódców rewolucji nie odchyła się w swych poglądach od nauki spalonego mistrza. Na ten temat powstawały nie kończące się swary, bo każdy Husa rozumiał na swój sposób i każdy uważał się za jedyne nieomylnego egzegetę słów nauczyciela. W Pradze przewagę nad utrakwistami osiągnęła grupa złożona z mężów miejskich pod wodzą eks-mnicha Jana z Żeliwa i Bzdynki, która w swych potępieniach szła tak daleko, że głosiła śmierć całemu rycerstwu, jako rzekomo zarażonemu błędami rzymskimi. Tylko mieszczanin i chłop - dowodzili zwolennicy Jana - zdolni są zrozumieć wzniosłą naukę Husa. Swoje hasła Jan z Żeliwa wprowadzał zaraz w czyn, skazując na ścięcie rycerza Jana Sadło ze Smitkowa. Gdy więc wokół utrakwistów gromadziło się rycerstwo, zaś Jan i Bzdynka rządili motłochem praskim, taboryci w oparciu o element żołnierski głosili hasła wspólnej własności oraz wykonując ściśle punkt trzeci z czterech punktów praskich, który mówił o pozbawieniu duchowieństwa dóbr materialnych, palili kościoły i klasztory, mordowali księży i mnichów, zdierali złoto z ołtarzy, a wota z obrazów. Odrębne grupy taboryckie, mikołajci czy adamici, szerzyli powszechny terror, mordując już nie tylko przeciwstawiających się nauce Husa, ale wszystkich, których spotkali na swej drodze.

Kraj ociekał krwią, bo na domiar złego poszczególne grupy wciąż nie tylko polowały na stronników Rzymu i Zygmunta, ale także ze sobą walczyły. Pod wpływem powszechnego chaosu nie było widać końca, bo i Witold wciąż nie przysyłał obiecane go namiestnika, możniejsze rycerstwo zwróciło się z powrotem do Zygmunta. To zaś sprawiło, że król nie czekając na resztę spodziewanych posiłków i mimo zimy wyruszył na Czechy.

Zima była zresztą lekka. Po paru dniach silnego mrozu, które się wydarzyły już w początkach grudnia, w końcu miesiąca przysłała odwilż i ciepłe, choć szare i bezsłoneczne dni. Żyżka, zebrawszy swoje siły, pośpieszał z wojskiem pod Kutnahorę, do której z drugiej strony zbliżał się Zygmunt. Armia królewska była cztery razy liczniejsza niż czeska, ale składała się z tylu samodzielnych i uważających się za zupełnie niezależne oddziałów, że o jednolitym dowództwie nie mogło być mowy. Natomiast niewielkie siły Żyżki były ślepo posłuszne swemu wodzowi, bo gdy tylko Niemcy wkroczyli do Czech, nagle - jak mieczem

uciał - wszystkie swary ucichły i nikt nie śmiał się przeciwstawić woli zwycięzcy spod Witkowa. Sława wodza taborytów wzrosła od czasu, gdy jednooki wódz, nie mając właściwie jazdy, a tylko uderzając klinem spiętych łańcuchami wozów, rozbił po raz pierwszy armię Zygmunta. Straszliwy Żyżka, ten, który swego czasu na czele motłochu praskiego wyrzucał w Pradze z okien urzędników królewskich za to, że obrazili procesję utrakwistów, teraz dopiero pokazał lwi pazur wodza, gdy mu przyszło toczyć regularną wojnę. Uczestnik zaś starć z Krzyżakami, z Turkami i Francuzami, niegdyś ulubieniec króla Wacława, raz przejąwszy się nauką Husa, postanowił wszystkie swe siły poświęcić jej ugruntowaniu. Miał wielu przeciwników, ale żaden z tych przeciwników, gdy wojsko znalazło się w polu, nie śmiał pisnąć jednego słowa przeciwko Żyżce. Tu wierzono bezgranicznie talentowi pana z Trocnowa, zaś ruchomy fort, złożony ze szczepionych ze sobą wozów, entuzjasmował wszystkich, niczym owa słynna macedońska falanga Filipa.

Toteż ciężka żałoba padła na taborytów, gdy podczas zdobywania Raby Żyżka utracił drugie oko. Tymczasem okazało się, że zacięty rycerz gotów jest i dalej, mimo ślepoty, prowadzić wojnę. Wożono go więc na dwukółce, on zaś wydawał rozkazy, orientując się świetnie w sytuacji, wsłuchany w odgłosy walki i objaśnienia, które mu dawali otaczający go rycerze.

Pod Kutnahorę pierwszy nadszedł Zygmunt i zręcznym rozstawieniem swoich wojsk wpędził Czechów w pułapkę. Lecz Żyżka nawet w tak ciężkiej sytuacji nie ustępował bez walki. Nie było w nim zresztą nic ze stratega, który naprzód długo opracowuje plany, zanim zdecyduje się uderzyć. Jego uderzenia miały charakter nieoczekiwanej improwizacji i furiacko-bohaterskiego natarcia. Runął więc i teraz wprost na Zygmunta i wczepił się w jego armię z zaciekłością brytana, który skacze na niedźwiedzia wywabionego ze swego legowiska. Ciężkie szyki niemieckie były tym zaskoczone. Na równinie, mając wroga przed sobą, jazda niemiecka uważała się za niezwycięzoną. Gdy jednak wódz czeski pozbawił ją możliwości nabrania rozpędu i kazał walczyć od razu w zgiełku i zamieszaniu z wynurzającymi się ze wszystkich stron naraz przeciwnikami, ukrywającymi się nadto za zasłoną z wozów, straciła głowę i podała tył. Zanim się Zygmunt zorientował, został porwany i przymuszony do ucieczki przez zmykające w popłochu oddziały elektorów. Jak zwykle Węgrzy i Ślązacy musieli zasłaniać tyły armii niemieckiej.

Ale Żyżce nie wystarczyło to zwycięstwo. Rozerwawszy pierścień wroga, przeszedł sam do akcji zaczepnej i korzystając z paniki, nie dając przeciwnikowi ochłonąć, pognął za nim, porzuciwszy część sił, które nie miały wprost szybkości pogoni. Z nielicznym tylko wojskiem rycerz z Trocnowa sunął uciepiony karku uciekających, nie dając im się oprzeć ani

w Czasławie, ani w Janikowie. Krucjata pozbawiona żywności, nie mogąc spokojnie zasnąć, bo noc w noc uderzał na jej obóz straszliwy Żyżka, ledwo już szła, ostatecznie zdemoralizowana i wystraszona. Próżno dowodzono, że Czesi są cztery razy mniej liczni niż Niemcy. W oczach ogarniętych paniką Niemców, taboryci zdawali się mnożyć i rosnąć w nieskończoność.

Wreszcie dociągnięto do Sazawy pod Niemieckim Brodem. Na szerokim błoni, oparty plecami o rzekę, mając na skrzydłach las, Zygmunt postanowił się zmierzyć z przeciwnikiem. Domagał się tego zresztą Pipon z Ozora, właściwy wódz krucjaty, którego duma nie mogła znieść bezładnej ucieczki.

Kiedy więc Czesi rankiem dnia 18 stycznia wynurzyli się z lasu, ujrzeli Niemców stojących już w rozwiniętym szyku. Żyżka, patrząc nie widzącymi nic oczyma w pole, przysłuchiwał się objaśnieniom otoczenia. Aha - więc mamy naprzeciwko siebie, w samym środku pola, wydnię piaszczystą. Ta wydma jest kluczem pozycji, który decyduje o tym, kto ma w swoich rękach przeprawę przez rzekę. Wydmy będą bronić. Nie pójdziemy tamtędy. A tu kto stoi?

Wysuwał rękę przed siebie, wskazując kierunek zawsze tak dobrze, że byli i tacy, którzy nie chcieli uwierzyć w jego ślepotę.

- Wojska elektorskie. Widać po znakach.

Uśmiechnął się okrutnie.

- Tu bijcie - rzekł - tu uderzcie taborem. Jazda niech wiąże tych na wydmie. A resztą nieznacznie od prawego skrzydła zejść na tyły...

I rzeczywiście uderzyli tak, jak kazał. Gdy z lasu wytoczył się przeciwko Niemcom najeżony włóczniami, ale mały tabor, wydało się wszystkim, że to natarcie jest prawdziwym szaleństwem. Ale Żyżka znał dobrze Niemców. Wiedział, że są zwycięzcami tylko wówczas, gdy widzą przeciwnika zastraszonego ich krzykiem. Jak dawni Germanie, tak i Niemcy upijali się przed bitwą miotanymi na wrogów wyzwiskami i straszliwymi pogroźkami. Gdy widzieli, że to wywołuje strach, wtedy rzucali się naprzód i zwyciężali. Ale czuli się niepewnie, gdy nie widzieli przed sobą pobladłych z trwogi twarzy, i w rezultacie dawali się bić bezkarnie, reagując jedynie rozpaczliwym krzykiem.

- Gott mit uns! - krzyknięto w szeregach niemieckich, a piechury zaczęli się wzajemnie potrącać łokciami dla dodania sobie animuszu.

- Hus i Żyżka! - odwrzasnęli taboryci i wbili się klinem wozów w szeregi elektorskie.

W ogromnej masie niemieckiej ruchoma forteca husytów zda się zginęła. Ale to było tylko złudzenie. Jak grot strzały, który choć zniknie w ciele człowieka, potrafi, sięgnąwszy

serca, obalić go na ziemię, tak samo taboryci, choć otoczeni ze wszystkich stron przez chmurę Niemców, byli dla nich straszniejsi niż Niemcy dla nich. Z ciżby dochodził wrzask walczących, straszliwe razy mieczów i toporów, dźwięk rozbijanych tarcz, hełmów i pancerzy. I nagle cała ta masa niemiecka zatrzęsła się w posadach. Pojedynczy żołnierze zawracali ku miastu, inni kierowali się w stronę rzeki. Kłęb walczących zbliżał się nad sam brzeg Sazawy. Konie, czując tuż obok siebie lodowatą wodę, zawracały, stawały dęba, starały się zrzucić jeźdźców. Ten i tamten chyłkiem począł zawracać ku miastu, ale Czesi nie chcieli pozwolić na ucieczkę i zagarniali uciekających, wpychając ich na powrót w rzekę, w której po nocnym mrozie płynęła lodowa kasza.

Wtedy Żyżka dał rozkaz i jazda czeska runęła spod lasu na rycerstwo stłoczone na wydmię piaszczystej. Konie biły mocno kopytami o zamarzlą ziemię, a proporczyki przy kopiach furkotały groźnie. Zaraz w pierwszym szeregu cwałował Bolesta, upojony bitwą; pochylił się, przycisnął drzewce kopii do boku i tylko wzrokiem szukał przeciwnika, w którego uderzy.

Lecz nagle ogarnęło go zdumienie. Wśród rycerstwa węgierskiego, które zasłaniało, stojąc na wydmię, haniebną ucieczką wojsk elektorskich, zobaczył człowieka, którego mimo zapuszczonej przyłbicy poznał od razu. Na czarno kowana zbroja znana była powszechnie, szerokie ramiona, olbrzymia postać, zda się rozsadzająca pancerz, budziły wspomnienie tylu sławnych turniejów. Ależ tak - to był Zawisza.

Skąd się tu wziął? Nie czas było na zastanawianie się nad tym, bo nagle nacierający uderzyli z całym impetem na stojących na wydmię. Uderzyli - i odpryśli jak kamień ciśnięty w ścianę domu. Odskoczyli pełni zdumienia i wściekłości. To im się zdarzyło po raz pierwszy w walkach z armią Zygmunta. Poprzednio zawsze, gdy wódz kazał im nacierać, nie spotykali już oporu, ale trafiali na zdeorientowaną i zdemoralizowaną masę, myślącą tylko o ucieczce.

Zawrócili i znowu uderzyli. Bolesta w tym nawrocie objął spojrzeniem pole bitwy. Armia Zygmunta w popłochu uciekała - częściowo przez most, częściowo przechodząc rzekę w bród. Można było teraz sięgnąć jej na karku i gnać aż do zadania ostatecznej klęski. Ale najpierw trzeba było złamać opór tej garstki stojących tu na wydmię.

- Naprzód! Naprzód! - krzyknął, wysforowawszy się przed innymi.

Lecz i teraz nic nie osiągnęli. Gorzej - bo cofnęli się z bolesnymi stratami. Tam gdzie stał Zawisza, leżało kilku postrąconych z koni husytów. Czesi, niezwyknięci w walce z Niemcami, zrozumieli, że nie potrafią zmierzyć się z polskim i węgierskim rycerzem.

W starciu Bolesta stracił hełm od uderzenia mieczem. Nie szukał jednak innego. Ogarnęła go gorączka walki, toteż obejmując nagłą inicjatywą dowództwo nad jazdą czeską, powiódł ją po raz trzeci do szarży.

Teraz gnał na dobrych parę kroków przed resztą. Wiatr rozwiął mu włosy i odrzucił do tyłu. Naprzeciwko niego wyjechał właśnie jakiś rycerz w pięknej zbroi. Z okrzykiem „Napora!” Bolesta skierował konia przeciwko niemu, składając się kopią do pchnięcia. Tamten także rozpuścił konia, tak, że spotkali się w połowie drogi i mknęli na siebie niczym dwa koguty, bijące się wzajem dziobami i pazurami w walce o kwokę.

Bolesta, licząc na podbicie kopii, skierował ją nisko, w sam brzuch przeciwnika; tamten, zamiast odparować uderzenie Bolesty, podniósł nagle kopię do góry. Rzekłby ktoś, że w chwili, gdy ujrzał tuż przy sobie twarz Napory, zrezygnował z dalszej walki. Ale Bolesta nie mógł się już pohamować; nie zdążyłby nawet podnieść kopii ani schwycić konia. Toteż grot jego kopii wparł się z całą siłą w brzuch nieprzyjaciela, zaś przeciwnik został po prostu wyrwany z siodła i rzucony na ziemię. Kopia złamała się pod ciężarem podźwigniętego ciała. Bolesta chwycił za miecz.

W tej chwili wyrosła przed nim postać Zawiszy. Bolesta wspiał konia i rzucił się na starostę spiskiego, ale ten odparował jego cios tak strasznym ciosem, że aż miecz Bolesty złamał się tuż przy rękojeści. Jednocześnie Napora usłyszał zza krat przyłbicy głos pana z Garbowa:

- Bolesto!

Otaczał ich wir walki, a oni stali przez chwilę na wprost siebie beczynnie. Zaraz jednak Zawiszę obskoczyli ze wszystkich stron husyci. Odegnął ich młynkiem miecza, ale oni znowu pchali się ku niemu. Już wiedziano, kogo mają przed sobą, więc każdy chciał, aby wielki rycerz stał się jego jeńcem.

Tym razem natarcie czeskie złamało opór broniących się na wydmie. Zawisza rzuciwszy okiem wokoło widział, że bitwa jest już właściwie zakończona. Może udało by mu się jeszcze przerwać przez pierścień nieprzyjaciół, ale tego nie uczynił. Podniósł rękę do góry i wepchnął miecz do pochwy na znak, że się poddaje. Zdjął hełm z uznojonego czoła, zsiadł z konia. Skinął ręką Boleście, aby zsiadł również.

Nogi ich grzęzły w miękkim piasku. Otaczający ich Czesi patrzyli na nich ze zdumieniem, nie rozumiejąc dobrze, co obaj rycerze chcą robić. A Zawisza prowadził Bolestę ku leżącemu na ziemi rycerzowi, którego Napora przed chwilą zwałił z konia. Leżący pławił się we własnej krwi, która płynęła z przebitego brzucha. Nie ruszał się - pewno już nie żył.

Zawisza ukląkł przy głowie tamtego i począł mu odpinać paski od hełmu. Bolesta zmarszczył brwi - nie mógł pojąć, po co to robi wielki rycerz. Wreszcie hełm można było usunąć.

Bolesta pochylił się nad leżącym pełen zaciekawienia. Ale zaledwie spojrzawszy, rzucił się do tyłu. Miał wrażenie, jakby otrzymał bolesny cios prosto w serce.

Na ziemi leżał Paweł. Usta chłopca zastygły w grymasie bolesnej agonii, pasmo krwi skrzepło na policzku.

W niedługi czas potem zjawił się w Czechach namiestnik Witołda, Zygmunt Korybutowic. Wiódł on 50 tysięcy doborowego wojska polskiego, którego samo zjawienie zmusiło Zygmunta do ucieczki spod obleganego Ostroga. Korybutowic zdobył Uniczów, po czym, przejęty swoją misją, zaprzysiął tam cztery artykuły praskie, przez co złamał otrzymaną od Witołda instrukcję, aby dążyć do pogodzenia husytów z Rzymem.

Król Zygmunt, mszcząc się za udzieloną Czechom pomoc, spowodował napad Krzyżaków na Polskę. Ale wojna z Krzyżakami zakończona została pokojem nad jeziorem Mielnem i przegraną Zakonu.

Korzystając jednak, że Polska zajęta była na północy, wyruszyła do Czech druga krucjata pod wodzą Fryderyka Hohenzollerna, księcia Brandenburskiego, którego syn, żonaty z córką Jagiełły Jadwigą, był głównym kandydatem na następcę tronu polskiego. Krucjata, przeprowadzona sprężysto, zmusiła daremnie starającego się o pogodzenie skłóconych stronniectw czeskich Korybutowica do układów. To poderwało autorytet namiestnika Witołdowego. Armii polskiej kazano wrócić do kraju. W jakiś czas potem powracał także odwołany Korybutowic.

Ale sercu wnuka Olgierda zbyt bliska była sprawa czeska, a zresztą zostawił w Czechach zbyt wielu przyjaciół i zwolenników. Po roku więc znowu udaje się do Pragi, tym razem bez zgody Witołda i Jagiełły. Nawiązuje kontakt z Żyżką i wspólnie odnoszą szereg zwycięstw. Potem wyruszają razem na Morawy; nieoczekiwanie jednak na granicy, pod Przybysławem, Żyżka umiera.

Bolesta pozostał w Czechach mimo odwołania do kraju wojsk polskich. Pozostał i dłużej, aż wreszcie doczekał się edyktu wieluńskiego, skazującego na infamię jego i wszystkich polskich rycerzy, którzy nie chcieli odstąpić sprawy husyckiej.

Lecz i Czesi poczęli nań patrzeć krzywo. Po śmierci Żyżki do głosu doszli Szemberg i Prokop Łysy, obaj bardzo nieprzyjaźni Polakom. Bolestę wciąż oskarżano o błędną interpretację myśli Husa.

Zbiedzonego i zgorzkniałego rycerza przygarnął do Garbowa wykupiony z niewoli Zawisza. Bolesta pojechał tam w przeczuciu, że jednej już tylko rzeczy oczekuje z niecierpliwością - śmierci. Do Łazanek nawet nie zajął, nawet się nie starał dowiedzieć, czy Katarzyna żyje.

Część druga - Joanna

11.

W początkach lutego, zgodnie z ogólnym planem ofensywy podjętej przez Bedforda, armia angielsko-burgundzka stanęła pod Orleanem. Filip ze swoimi, Talbot i Suffolk otoczyli miasto od północy w ten sposób, że Filip siadł okrakiem na starej drodze rzymskiej wiodącej z Autun do Paryża, umacniając się wokół kościółka St. Loup, i czuwał nad przeprawą poprzez wyspę tej samej nazwy oraz nad Białą Wieżą i Bramą Burgundzką, natomiast obaj wodzowie angielscy utworzyli wspólnie cztery obozy oblężnicze, skierowane przeciwko zachodniej i północno_zachodniej bramie miasta. Na drugiej stronie rzeki stał Salisbury i Glasdale, którzy, zajmąwszy i zamieniwszy na obóz warowny klasztor augustianów, czekali tylko sposobnej chwili, aby się wdrzeć do „Wieżyczek”, a tym samym odciąć miasto od południa.

Orlean był miastem dobrze umocnionym i nie tak znów bardzo obawiał się oblężenia. Leżał na prawym brzegu Loary, łączył się zaś z przeciwnym brzegiem kamiennym mostem, wspartym w połowie swej długości na wysepce św. Antoniego, a zakończonym małym, ale obronnym fortem - tzw. „Wieżyczkami”. Opasane murem miasto, umocnione trzydziestoma wieżami i strzeżone przez pięć obronnych bram, mogło sobie kpić z oblężenia, tym bardziej, gdy załogą dowodził sam książę Dunois, bękart orleański, oraz Raul de Goucourt, wstawiony odwagą jeszcze pod Nikopolis. Obrona liczyła około półtora tysiąca żołnierzy, przy tym w razie potrzeby można było jeszcze uzbroić do dwóch tysięcy mieszkańców. Napastnicy niewiele przewyższali obrońców liczbą. Salisbury miał zaledwie ośmset - cała zaś armia rozłożona na północnym brzegu rzeki nie liczyła czterech tysięcy. Do tego obleganym brakło żywności.

Zrozumiał to wszystko Bolesta, gdy przyszło mu rozmawiać z wodzami angielskimi. Ci prędko poznali, że Napora jest znakomitym rycerzem, zapraszali go więc stale na radę razem z ks. Janem.

Zima była lekka; Boleście, nawykłemu do mrozów i śniegów, wydawała się spóźnioną jesienią. Deszcze zacięły, wiatr wiał, drogi rozmiękały. Walki wokół miasta toczyły się bez żadnego rezultatu. Rycerz często, stojąc nad brzegiem mętnej, spienionej rzeki i patrząc na ciężkie, leżące przed nim mury miasta, zadawał sobie pytanie: czy zdołają się kiedy na nie wdrzeć? I zaraz zadawał sobie inne pytanie: Po co tu przybył? Uległ wezwaniu Róży nie

dlatego, aby liczył, że wojna z pretendentem do tronu francuskiego, z tym wykpionym „królikiem z Bourges”, przyniesie mu jeszcze jakiś zysk. Na co miał jeszcze liczyć? Włos mu osiwił, nie ciągnęło go już życie. Za późno przyszła wolność! A może, gdyby wcześniej potrafił ją sobie zdobyć w taki sposób, jak to uczynił - straciłaby dla niego wszelki smak? Wokół Bolesty załamało się wszystko: wypędzony z kraju, pozbawiony ziemi, odtrącony wreszcie od ludzi, którym ofiarował oręż i serce, zdradzony przez kochankę... Każda klęska, w miarę jak ją wspominał, uderzała go jak młotem w pierś. Potem przypomniał sobie Niemiecki Bród i ciało syna w kałuży krwi. Tam, klęcząc na piasku skopanym kopytami końskimi, utracił nienawiść, którą przedtem karmił swą duszę. Ani miłość, ani nienawiść, tylko straszliwa żałość i zmęczenie. Zapomnieć! Odpocząć! Na próżno. Jeśli nie skrwawiona twarz syna, to spoglądały ku niemu nie widzące oczy żony. Uciekał od tego obrazu, wciskał pięści w twarz, aby nie widzieć straszliwego spojrzenia ślepoty. O, nie zawiódł go ten, któremu podał dłoń na gościńcu pod Konstancją. Dał mu wszystko - pozwolił mieć wszystko. A przecież Bolesta wszystko, co otrzymał - stracił. Był w tej chwili większym nędzarzem, niż wówczas, gdy żył syn i gdy nie miał Róży.

Uciekł aż tutaj, do dalekiej Francji, przed dręczącą go grozą, lecz ona szła za nim w ślad. Stała mu się towarzyszką nieodłączną. Zatracał ją chwilowo w zamęcie walki, lecz powracała na nowo, gdy obejmował go szary, toczący się jak leniwa rzeka tok dni i nocy. Czysta chwila, gdy nic się nie dzieje, napełniała go lękiem. Wówczas czegoś oczekiwał i miał to uczucie, że słyszy bezgłośnie, a przecież wyraźne kroki. Ktoś szedł i był coraz bliżej, bliżej. Kto? Tego nie wiedział. Może on sam? Może to on sam szedł ku czemuś, co wyciągało ku niemu zachłanne dłonie i już z oddali przyciskało go do siebie gestem stęsknionej kochanki. Ale to nie była miłość, która go oczekiwała. Dłonie, których dotknięcie czuł na sobie, drżały od okrutnego pożądania. Były to dłonie istoty zawsze głodnej i zawsze lękającej się, by zdobycz jej się nie wymknęła. Były to dłonie zachłanne, groźne, podstępne, umięjące omamiać pieszczotą i przyniewalać gwałtem, lecz zawsze niepewne, bo zdobycz tyle już razy wabiona, tyle już razy przyciągana, zawsze mogła w ostatniej chwili wymknąć się i uciec. Na każdej drodze duszy trafia się wreszcie chwila jasnowidzenia. Czasem to jest chwila ostatnia. Ale zawsze jest to chwila ostateczna.

Róża napisała doń wówczas. Gdy miał wrażenie, że każdy dzień, każda godzina doprowadzi go do szaleństwa. Myśl nie miała się o co zaczepić w próżni. Nie posiadał już miłości, nie posiadał już wiary, nie posiadał nadziei. Śmierć tylko mogła go od tej martwoty wyzwolić. Ale śmierć nie przychodziła. Zresztą - lękał się, czy śmierć naprawdę zdolna będzie go wyzwolić.

Obojętnie przyjął to, co napisała kobieta. Nie obchodziło go już, że kochanka pocieszyła się tak szybko w ramionach księcia. Koślawy podpis, postawiony jej ręką, nie mówił mu nic o chwilach rozkoszy i szczęścia. Krył w sobie tylko pustkę - jak wszystko, co Bolestę otaczało.

Cóż go mogło obchodzić, że Róża dobiła wreszcie do portu, poślubiając Luksemburczyka? Między nią - taką jaką ją pamiętał, wyciągniętą na łożu w gospodzie „Pod Okrętem” - a tą księżną bez ziemi i mienia - nie było nic wspólnego. Były to dwie obce sobie osoby. Róża-kochanka zbladła w oddali wspomnień. Pozostał tylko nikły cień rozplywający się w pustce, wspomnienie raczej snu niż rzeczywistości. Do niego zaś przyszedł list od obcej zupełnie istoty, która litością zdjęta, proponowała mu przyjazd do Francji, aby się zasłużył u potężnego księcia Filipa.

- „Przyjedź - pisała. - Walka z bękartem Izabeli zbliża się ku końcowi. Miłościwy książę Bedford postanowił wyzwać zuchwałego i już stoczonego przez niecną młodzieńca na decydujący bój. Książę Filip Burgundzki wspiera szlachetnego Regenta, zaś mój mąż staje u boku władcy Burgundii. Dla rycerza takiego jak ty otwiera się droga do zaszczytów i bogactw, bo ks. Bedford umie cenić męstwo i w imieniu nieletniego króla hojnie nagradza tych, którzy jego sprawie służą...”

W pierwszej chwili, gdy mu list przeczytał kapelan Zawiszy, zrobił ręką gest wyrażający zniecierpliwienie. Czy nie za późno dochodzić do zaszczytów i bogactw, jemu, który wszystko stracił i nic nie posiada, prócz lat i steranych sił? Obojętnie słuchał, jak pisała Róża, że jej mąż przypominał sobie młodego Pawła Naporę i wspominał go jako niezmiernie sympatycznego towarzysza podróży przez Nadrenię. Bez goryczy wysłuchał tłumaczeń kobiety, która upewniała go, że mąż nic nie wie o tym, co ją z Bolestą łączyło, i pragnie tylko wyświadczyć przysługę ojcu swego dawnego towarzysza. Prawie że nie słuchał słów serdecznej troskliwości, które kończyły list, choć coś jakby chęć do śmiechu załaskotała mu w gardle, gdy kapelan przeczytał: „...myślę, że będziesz chciał mnie zobaczyć. Chybaś mnie jeszcze nie zapomniał?”

Potem znowu wrócił do listu. Poprzez równe łańcuszki liter wyjrzała ku niemu jedyna rzeczywistość, zdolna wyrwać go z martwoty, w której obecnie żył: wojna. Wojna, w którą nie musiał wkładać duszy i serca, beztreściwy hazard, zdolny skradać zbyt leniwie wlokący się czas. Tam nie stanie naprzeciwko swego syna, nie będzie w pierś jego godzić mieczem. Z obcymi ludźmi pójdzie przeciwko obcym i nic - poza ryzykiem walki - nie będzie go obchodzić. Czy zwycięży król angielski, francuski, czy też jakiś pretendent do tronu francuskiego.

Zawisza dał mu kilku ludzi, konie, pieniądze. Serdecznie pożegnał wielkiego rycerza. „Przyjeżdżaj do mnie, gdy ci będzie źle u Luksemburczyka” - wołał na pożegnanie starosta spiski. „Bądźcie zdrowi” - wykrztusił Bolesta. I rozjechali się w dwie strony, bo i Zawisza opuszczał Garbów, by ciągnąć na Węgry i iść razem z Zygmuntem przeciwko Turkom.

Jan przyjął go łaskawie, niemal serdecznie. Róży Bolesta prawie nie poznał: ubrana we wspaniałą szatę, z głową przykrytą wielkim na łokieć, stożkowatym kapturem, poruszała się z godnością i powagą. Dała mu rękę do pocałowania, przy uczcie zaś zwracała się do niego kilka razy łaskawie, dopytując się, co słychać w Polsce. Starła się jednak wyraźnie zachować przedział między sobą a dawnym kochankiem. Bolesta był jej za to niemal wdzięczny. Toteż wstrząsnął się z niesmakiem, gdy nagle w tłoku chwyciła nieznacznie jego rękę i mocno ścisnęła.

Na szczęście dla Bolesty, w kilka dni po przybyciu na zamek do Beaurevoir, Jan z rycerstwem, wśród którego jechał także i Napora, wyruszył pod Orlean.

Oblężenie przeciągało się, gdy nagle jak grom spadła na obóz wieść o zbliżaniu się od Paryża Falstoffa z posiłkami i zapasami żywności. Wieść ta jednak równie szybko dotarła do oblężonych, bo nagle nocą 10 lutego ks. Dunois przedarł się z jazdą przez oddziały Talbota, a połączywszy się z księciem Clermont, prowadzącym cztery tysiące najemnych Szkotów i Lombardów, oraz z gaskońskim korpusem La Hire'a i Potona de Xaintrilles, liczącym bez mała dwa tysiące ludzi, pognął na spotkanie Anglików. W obozie oblegających zwołano naradę wodzów, na której zapadła decyzja porzucenia oblężenia i wycofania się na północ. Na Falstoffa nikt już nie liczył - jego klęska zdawała się przesądzona.

Jakież było jednak zdumienie Anglików, gdy wieczorem 1 lutego zjawił się w obozie Falstoff ze swoim oddziałem, niemal zupełnie nietkniętym. Stary wódz sam nie rozumiał, jak się to stało. Pod Rouvray zaatakował go trzy razy przewyższający liczbą jego oddział nieprzyjaciel, który jednak, zamiast uderzyć od razu i znieść całkowicie jego oddział, póty zwłóczył, grupował się i przegrupowywał, aż wreszcie Falstoff stworzył z wozów szaniec, a ukrywszy za nim łuczników, zdziętkował strzałami jazdę nieprzyjacielską. Dunois cofnął się do miasta. Clermont, La Hire i Poton de Xaintrilles uciekli za Loarę. Pole bitwy było pokryte trupami ludzi i śledziami, które wypadły z poszarpanych przez kule armatnie beczek. Oddział Falstoffa, poza tymi śledziami, niemal żadnej szkody nie odniósł.

Wobec tak szczęśliwego obrotu spraw, wodzowie odrzucili przyjęte projekty i z nową energią rozpoczęli szturm. Salisbury wdarł się do „Wieżyczek”, ale przez most nie mógł się przedostać, wobec zerwania dwóch arkad mostu. Lecz już samo osadzenie się Anglików na

drugim brzegu sprawiło, że przerwany został kontakt miasta z Karolem, siedzącym beczynnie i bez grosza w skarbie - w Chinon. Dunois został zmuszony do pertraktacji.

Był to jednak stary lis, który dobrze wie, co ma robić, aby zyskać na czasie. 15 lutego poseł wodza obrony przybył do Filipa i zawiadomił go w słowach pełnych czci i szacunku, że miasto składa klucze swoich bram w jego ręce, prosząc, aby objął nad nim opiekę.

Filip nie był w rzeczywistości złym człowiekiem, a zresztą spory z ks. Gloucester zraziły go trochę do Anglików. Gotów był zgodzić się na ofertę mieszczan. Ale to nie szło po myśli wodzów angielskich, walczących ze wszystkich sił o uchwycenie przeprawy na Loarze.

Narada zapowiadała się gorąca. Talbot małowówny, chudy i wysoki, siwy Suffolk i przysadzisty, czerwony na twarzy, często ordynarny w słowach Falstoff przybyli razem do namiotu księcia i zajęli miejsca obok siebie, spoglądając po sobie znacząco. Salisbury nie przybył, bo mu tegoż ranka kula armatnia rozbiła głowę i leżał konający w swoim namiocie. Zastępował go Glasdale, młody i krzykliwy rycerz, obecny wódz „Wieżyczek”.

Książę powitał wodzów krótko i uprzejmie. W jego otoczeniu był Jan Luksemburski i Bolesta. Rozmowa po wymienieniu kilku nic nie znaczących frazesów stanęła na sprawie poselstwa orleańskiego. Gdy Filip zawiadomił, że jest w zasadzie gotów wziąć miasto pod swoją opiekę, pierwszy rzucił się Falstoff:

- To nie podobna, Wasza Miłość! Miasto musi paść, a my wszyscy chcemy dobrać się już raz do brzuchów mieszczan. Tylko po trupie bękart z Orleanu dojdziemy do bękart z Chinon!

- Szlachetny Falstoff ma rację - stanowczo zauważył Suffolk. - Pozwolę sobie zauważyć, Wasza Miłość, że Miłościwy Pan, ks. Bedford, postawił nam za wyraźny obowiązek zdobycie miasta. Nie wolno się nam cofać. Sądzymy zresztą, że Wasza Miłość uzgodnił swoje plany z planami dostojnego regenta.

Filip spojrział z kolei na Talbota. Ten jednak rzucił krótko i twardo:

- Miasto nasze.

Po twarzy Filipa przebiegła błyskawica gniewu.

- Zapominacie, szlachetni wodzowie, że miasto samo chce uznać mnie swoim panem. Chce uznać, choć jego mury jeszcze nie padły i żaden z waszych rycerzy nie stał jeszcze za jego wałami.

- Ale stać będzie! - krzyknął Falstoff.

Spokojny i zawsze grzeczny Suffolk innymi słowami wypowiedział myśl towarzysza:

- Wasza Miłość, miasto w takim położeniu jak Orlean jest już jakby zdobyte. Postoimy tu jeszcze z miesiąc, ale każdy wie, że po tym czasie jabłko samo wpadnie w nasze

ręce. Nie trzeba nawet będzie po nie sięgać. Wojsko Karola jest rozbite i zdemoralizowane. Po zwycięstwie, które odniósł szlachetny Falstoff, nikt tam nie wierzy w swoich wodzów. Zresztą ktoś mógłby stanąć na czele? Clermont? Ależ kpią z niego wszyscy, że stracił armię w walce ze śledziami. La Hire i Poton? Są chciwi i pragną zysku, a za darmo nastawiać karku nie będą. D'Salencon wypuszczony za okupem, a póki go nie zapłaci, miecza przeciwko nam nie podniesie. Zresztą - a wiem to z zupełnie pewnych źródeł, Karol nie ma ani grosza w swym skarbcu. Szkoci i Lombardowie bić się dłużej bez żołdu nie będą, bo i nie mają co... rabować. Kraj zrujnowany, Wasza Miłość. Zdobycie Orleanu, to przegrana Karola. Czy chcecie, książę, przedłużyć tę bezcelową walkę?

- Zdławił Orlean z moją pomocą.

- Umiemy to ocenić, Wasza Miłość. I dlatego do miasta wejdziemy razem. Każdy ma tu swoje rachunki do załatwienia. My zwyciężamy zuchwałych buntowników, którzy nie chcą uznać Najjaśniejszego Pana, wy, książę, zmywacie krwawą zniewagę, jaką waszemu rodowi uczynili Armaniacy na moście Montereau...

- Tak! - podkreślił te słowa Talbot.

- Mam prawo decydować o ziemi orleańskiej! Słuchajcie, dostojni wodzowie. Jestem - a widzę, żeście o tym zapomnieli - przedstawicielem rodu królewskiego. W imieniu kuzynów ja przede wszystkim biorę pod opiekę ich ziemię.

Falstoff parsknął gniewnie:

- Przez rozbitą czaszkę Ludwika weszliśmy do Francji i nie opuścimy jej dla sympatyj rodzinnych!

- Zapominacie się - rzekł z godnością Filip.

Zamilkli.

- Uważacie więc, że miasto musi paść?

- Tak - odpowiedzieli czterej wodzowie jednym głosem.

- Dobrze - cedził z coraz większym spokojem Filip - jutro wycofuję się z oblężenia.

Zobaczymy, czy jabłko samo spadnie w nastawioną rękę.

Skinął im głową na znak, że uważa zebranie za skończone.

Tejże nocy armia burgundzka zaczęła się przygotowywać do odmarszu. Bolesta, którego wcale taki obrót sprawy nie zachwycał, powiedział o swoich zawiedzionych nadziejach Janowi. Tłumaczył mu, że liczył na walkę, a nie na spokojne siedzenie w jakimś zamku. Jan powtórzył te słowa Filipowi, książę zaś zawołał rycerza:

- Słyszałem, iż nie jesteś zadowolony z tego, że odstępujemy od oblężenia. Wiem także, żeś rycerz dzielny, który za walką goni, nie za pokojem. Rozumiem to. Wobec tego

zostań tu. Patrz pilnie, jak postępuje oblężenie, a w każdej sprawie godnej uwagi będziesz mnie zawiadamiać. Zostawię ci gońców i konie.

Bolesta więc został przy forcie St. Loup razem z rycerstwem Falstoffa, z czego bardzo się cieszyli wodzowie angielscy, bo im przypadł do serca ten zawsze ponury, ale dzielny i roztropny w radzie rycerz. Dni płynęły jednostajnie. Marzec nadszedł i otulił łąki nadbrzeżne puchem ciepłych mgieł. Słońce dogrzewać poczyniło coraz lepiej - było cieplej niż w Polsce w kwietniu, a czasami i w maju.

Codziennie ponawiano szturm, ale bez energii i stanowczości. Oblegający, umniejszeni poważnie w liczbie odejściem sił burgundzkich, nie ryzykowali rozpoczęcia otwartej walki. Zresztą Suffolk radził czekać, wiedząc dobrze, że miasto musi w końcu ustąpić, pozbawione żywności i pomocy. Biły tylko w mury tarasnice i foglerze angielskie, zaś odpowiadały mu z rzadka, ale celnie bombarde orleańskie. Anglicy wylegiwali się na wałach lub bryzgali ohydnyymi wymysłami na obrońców, ci zaś nie zostawiali im dłużni, więc najplugawsze słowa krzyżowały się od rana do wieczora w powietrzu.

Potem zaczął się kwiecień i łąki zakwitły złotymi i białymi kwiatami. Pewnego wieczora, gdy wodzowie angielscy zebrali się w namiocie Falstoffa dla wypicia dzbanka wina i zagrania w kości, pojawił się także Glasdale, który przyплыł łodzią przez rzekę, aby podzielić się z towarzyszami świeżo otrzymaną wieścią. Młody rycerz był nią szczerze ubawiony, toteż wesołym śmiechem powitał towarzyszy:

- Czy wiecie, szlachetni wodzowie, co się stało u królika z Bourges?

Nie wiedzieli, ale radzi byli posłuchać, gdyż wesoła mina młodego Glasdale zdradzała, że nowina, którą przyniósł, zdolna jest ubawić każdego.

- Idzie odsiecz pod Orlean - podniecał ich ciekawość wódz „Wieżyczek”.

Podnieśli głowy. To nie było zabawne.

- A zgadnijcie, kto ją prowadzi?

- La Hire?

- Poton de Xaintrilles?

- Sam Karol?

- D'Salencon?

- Nie. Nie. Wyobraźcie sobie, Karol znalazł wodza. Przyjechała do niego jakaś wariatka, prosta dziewczyna z Lotaryngii, szalona lub opętana, i zażądała dowództwa.

- A cóż Karol?

- Karol początkowo nie wierzył, kazał dziewczkę egzorcyzmować, księżmi ją obstawiał, którzy mieli ją zbadać, babom polecił sprawdzić, czy aby jest jeszcze dziewicą. A potem dał jej konia, zbroję i postawił na czele armii.

- Pierwszy raz słyszę, aby dziewczka prowadziła żołnierzy - śmiał się Falstoff. - Znajac naszych Gaskończyków sądzę, że oni jej większą krzywdę uczynią niż my.

- La Hire nie przepuścił jeszcze nigdy żadnej kobiecie!

- Taka armia nie dojdzie w ogóle do Loary.

- Szlachetni wodzowie! Wypijmy zdrowie naszych przeciwników i ich cnotliwego wodza. Myślę, że nasi żołnierze chętnie go zobaczą pod murami Orleanu.

Pili do późna, żartując wesoło z wieści przywiezionej przez Glasdale.

W dwa dni później Suffolk wezwał towarzyszków do swego namiotu. Poważny zwykle wódz uśmiechał się tym razem ironicznie, a zarazem groźnie.

- Żart, który nam opowiadał Glasdale, okazuje się szczerą prawdą. Karol rzeczywiście oddał dowództwo jakiejś zbzikowanej dziewczce, a ta zaczyna nam grozić. Przed chwilą otrzymałem list - zechciejcie go posłuchać.

Wodzowie siedli wygodnie, oczekując na wesołą zabawę. Nawet coś jakby uśmiech przebiegł po twarzy Bolesty. Cała ta sprawa wydawała mu się absurdem: jakaś pasterka pisze list do zwierzchników sił zbrojnych. Ależ ten Karol jest rzeczywiście pozbawiony rozumu! I on myśli, że ktoś uwierzy w jego prawa do tronu?

- Co pisze?

- Zaraz. Aha: „Do Księcia Bedford, który się sam bezprawnie nazywa regentem Francji, lub jego wodzów, stojących pod murami Orleanu”. Dobrze zaczyna, co? Który się sam nazywa! Pyszna pasterka - daję słowo.

- Widać nie brak jej języka w gębie.

- Czytajcie! Czytajcie!

- „W Imię Jezusa i Marii. Słuchajcie, Książę Bedfordzie, i Ty Wilhelmie Suffolku, i Ty Talbocie, i Ty Glasdale’u. Macie natychmiast wracać do Anglii. Bóg, który mnie posłał, nakazuje wam wyjść z Francji. Dlatego piszę do Was. Idźcie precz. Jeżeli nie posłuchacie, przyjdę i zmuszę Was do odejścia. Nie sprzeciwiajcie się mej woli, bo inaczej wytracę Was, ale tylko wówczas, gdy sami się nie oddacie w moje ręce...”

- Bezczelna dziewczka!

- „Bóg mi kazał wrócić tron Delfinowi, a ja to zrobię. Nie myślcie, że jestem słaba. Bóg dał mi siłę. Tysiąc lat minie, a jeszcze ludzie opowiadać będą o Waszej klęsce. Pamiętajcie o tym. To pisze Dziewica. We wtorek, w tygodniu świętym.”

(Treść listu autentyczna, nieco skrócona.)

- Dziewica? Dziewka brudna, nie dziewica! Hej! - Glasdale'a ogarnęła furia - straż do mnie! Gdzie są ci, którzy ten list przynieśli? Zakuć ich w kajdany! Spalimy ich na stosie jako wysłańców rozpustnej czarownicy!

Ledwo udało się Suffolkowi pohamować rozszalałego młodzieńca, bo niewiele brakowało, aby rzucił się sam z mieczem na gońców. Postanowiono obu heroldów uwięzić, sprawę ich przekazać inkwizycji, a uzyskawszy wyrok, spalić publicznie. Na list nikt nie miał zamiaru odpowiadać. Wodzowie, zamiast się śmiać, rozeszli się do siebie wściekli.

Następnego poniedziałku Glasdale przysłał gońca z wieścią: armia Karola gotowa do walki w Blois. Nie minęły zaś trzy dni, gdy Bolesta, siedząc w forcie St. Loup, wezwał do siebie Suffolka i Talbota, aby im pokazać na drugim brzegu Loary armię francuską maszerującą pośpiesznie w górę rzeki. Oddziały Glasdale'a zamknięte w warowni św. Jana Białego, u augustianów i w „Wieżyczkach”, siedziały cicho jak mysz pod miotłą, bo przybyli mieli nad nimi wyraźną przewagę liczebną. Mimo wysokiego stanu wody Anglicy widzieli, jak ks. Dunois przeprowił się na drugi brzeg dla porozumienia się z odsieczą.

Lecz co będą robić Francuzi? Bolesta z kilku konnymi pognął równolegle do maszerującej armii drugim brzegiem Loary. Zdziwiło go, gdy słyszał, że tamci cały czas śpiewają - i to nie jakieś wesołe, żołnierskie piosenki, ale psalmy i modlitwy kościelne.

Szybko zorientował się w sytuacji. Pod Crecy oczekiwały już armię galary orleańskie, na które z wielką szybkością poczęto przeladowywać zawartość ogromnego taboru. Chciano więc zaprowiantować miasto. Równocześnie przez bród koło wyspy Bourdoris przeprowiać się poczęła armia francuska. Bolesta zrozumiał, że Francuzi chcą wziąć fort St. Loup z dwóch stron jak w kleszcze.

Z daleka zobaczył nieprzyjacielskiego wodza. Wysoka, tęga dziewczyna stała na koniu na wyspie i kierowała osobiście przeprową. Otaczał ją mały poczet zbrojnych, nad którym powiewała chorągiew i dwa małe proporczyki. Kobieta krzyczała i tylko głos zresztą zdradzał jej płeć, bo ubrana w ciężki pancerz nie różniła się niczym w tym stroju od mężczyzn. Hełmu nie miała na głowie, a porywisty wiatr, sprzyjający odbijającym od brzegu barkom, rozrzucał jej krótkie, po chłopięcemu przycięte włosy.

Bolesta wrócił wieczorem do obozu. Tu już wiedziano, co się święci, i bezskutecznie starano się czymś zaszkodzić płynącym barkom. Ciepła, wiosenna noc spłynęła na ziemię. Nieliczne gwiazdy zapalały się nad horyzontem. W mieście jednak nikt nie myślał o spaniu. Bolesta widział wyraźnie blask niezliczonych pochodni, zaś krzyki ludzkie czyniły zgiełk,

który się unosił jak opar nad miastem. Jakoś o ósmej zaczęły bić dzwony w kościołach. Jednocześnie wybuchnęły nie kończące się krzyki. Śpiewano.

Rycerz słuchał zdumiony tych odgłosów. To było coś, czego nie mógł zrozumieć. Widział już tyle wojen, oglądał nieraz entuzjazm, wiedział, że są wodzowie, których samo pojawienie się dodaje sił wojsku. Taki był Witołd, taki był Żyżka, taki - choć już na mniejszą skalę - Zawisza. Ale nadzieja, której budzicielką była ta kobieta, nie miała sobie równej. Nie widziano jej jeszcze w boju, a przecież wystarczyło spojrzeć na jej energiczną postać, aby doznać jakiegoś wrażenia. Bolesta wciąż ją widział na białym koniu, w zbroi, kierującą przeprawą. Nie mógł tego obrazu zapomnieć.

Miasto drżało od krzyków. Dzwony biły i biły. Bolesta, wsłuchany w ten daleki gwar, uświadomił sobie nagle, że po raz chyba pierwszy od dłuższego czasu zapomniał o swym tragicznym życiu. Paweł, Róża, Katarzyna - odsunięci zostali na plan dalszy. Ich miejsce zajęła pasterka, stojąca na czele armii. Ona zakryła mu wszystko, choć jej ani nie znał ani jej nawet z bliska nie widział. Dzień dzisiejszy wstrząsnął nim, jak ów dzień, gdy zobaczył po raz pierwszy Husa.

Siadł ciężko na załomie wałów, oparł głowę na rękach. Z mroku wspomnień wyłoniło się przed nim pole bitwy pod Niemieckim Brodem. Piasek - wielka wydma żółtego piasku - i leżące twarzą do ziemi, szczupłe ciało. Pancierz był potrzaskany i pogięty, kirys wbity do środka, może zgnieciony kopytem, pióropusz zerwany, krew zastygła na zasłonie hełmu. Blachy fartuchowe, rozgięte, otaczały krwawą dziurę przebitego brzucha. Dłonie trzymały się jeszcze rozpaczliwym gestem za obojczyk hełmu, chcąc może uwolnić gardło od ucisku żelaza...

To był jego syn. Syn, którego nienawdził, a nad którego trupem wylał strumienie łez. Wiedział, że Pawła skrzywdził okropnie, odpłacając z nawiązką wszystkie przykrości, jakich mu tamten nie żałował. Lecz kielich zła musiał się w końcu przepełnić i przelać. Zło nie zna granic - ale żąda całkowitego wypełnienia. A takie zło rodzi zło. Jest to posiew, który daje zbiór setny i tysięczny i póty się będzie plenić, aż na drodze stanie jakaś inna siła - z gruntu inna - i wydrze z ziemi zatrute ziarno.

Bolesta nagle wstrząsnął się zdumiony. Miał wrażenie, że sylwetka kobiety w pancerzu łudząco przypomina sylwetkę Pawła.

Następnego dnia wodzowie angielscy dostali znowu list od pasterki. Był krótki i stanowczy: „Idźcie precz, bo inaczej gorzko swego uporu pożałujecie. Joanna.” Odpowiedziano nań wyzwiskami. Nawet małomówny Talbot rzekł:

- Czarownica.

Suffolk nazywał ją rozpustnicą. Glasdale'a nie było, gdyż lękał się opuszczać fort i przepływać rzekę, ale wiedziano, jaką wściekłością pała do Joanny. Inni, pośledniejsi wodzowie też nie żalowali jej obelg. Do listu pasterki był jednak dołączony krótki list od ks. Dunois, ostrzegający, że uwięzienie gońca, który list przyniósł, równa się wyrokowi śmierci na dziesięciu jeńców angielskich. Puszczono go więc wolno, a razem z nim jednego z tych, którzy przynieśli pierwszy list.

2 maja Joanna wyjechała z miasta na koniu w otoczeniu mieszczan, mężczyzn, kobiet i dzieci, by w ich towarzystwie przyjrzeć się fortom angielskim. Nikt jednak do nich nie strzelał, do tego stopnia oszołomiła wszystkich zuchwałość Joanny.

A w dwa dni później wczesnym rankiem tłum mieszczan razem z żołnierzami uderzył na fort w St. Loup. Bolestę zbudzono nagle, żądając, aby stanął na czele obrony. Okazało się, że dowodzący Tomasz Guerrard pojechał w nocy do Suffolka, a teraz został odcięty. Napora skoczył więc na wały. Załoga fortu składała się tylko z trzystu ludzi, ale byli to wybrani żołnierze angielscy. W mgnieniu oka odrzucili oni pierwsze natarcie orleańczyków, a wyszedłszy za bramy gnali ich aż do murów miasta; dopiero zatrzymał ich Napora, bojąc się zbyt daleko oddalać od fortu. Natarcie powtórzyło się - tym razem Bolesta zobaczył wśród nacierających Joannę. Siedziała na koniu i wydawała rozkazy, galopując to tu, to tam. W rękę trzymała sztandar, w drugim miecz, a jednocześnie doskonale dawała sobie radę ze swoim rumakiem, z ogromnym czarnym źrebem, który choć uszy stulał i rozdymał chrapy, okazywał jej całkowite posłuszeństwo. Natarcie szło teraz daleko sprawniej. Rozrywano palisadę od razu w kilku miejscach, wdzierano się na wały z dziką odwagą, choć trup gęsto słał pole. Nikt nie żałował życia. Była chwila, że Bolesta przestał ufać w zwycięstwo. Wtedy nagle zobaczył przeciwniczkę pod samą palisadą. Wskazywała na wyłom mieczem i wołała: „Naprzód! Naprzód! Już ich macie!” Orleańczycy dobywali z siebie wszystkich sił.

Znowu jednak natarcie zostało złamane. To Talbot wyszedł z dużym oddziałem z fortu, zwanego „Paryżem”, i od tyłu uderzył na mieszczan. O niebo uderzył krzyk lęku, ludzie poczęli panicznie uciekać. Bolesta skinał na swoich i skoczywszy wbił się jak klin w zmieszanych napastników. Rąbano się straszliwie w tłoku, przy tym orleańczycy ginęli liczniej, jako nie nawykli do walki w terenie otwartym.

Rycerz zobaczył przez chwilę Joannę. Zbierała rozproszonych, formowała ich, umacniała krzykiem. Jej głos rozbrzmiewał po całym polu. Ciągle upewniała swoich, że dzień dzisiejszy jest dniem zwycięstwa. Jednocześnie zbierała wokół siebie jezdnych, a gdy ich miała około setki, nagle runęła z nimi na Talbota.

Twardousty wódz zwarł szyki. Pawęż zetknęła się z pawężą, wzniosły się do cięcia halabardy i berdysze, wysunęły do klucia gizariny, partyzany, runki. Joanna, cwałując na czele swoich, schowała nagle szybkim gestem miecz, a podniosła chorągiew. Jezdni zawisli już prawie nad angielską piechotą. Jeszcze chwila, a konie kwicząc boleśnie nadzieją się na ostrze włóczni, jeźdźcy zaś konać będą pod ciosami berdyszów. Lecz kobieta, prowadząca ich na pozór na ślepo, zatoczyła nagle sztandarem nad głowę. Drąg od chorągwi uderzył w nastawioną linię gizarin i na chwilę roztrącił je w dwie strony. Cios z ręki kobiecej, a przecież miał taką siłę, że rozerwał linię nastawionych do klucia ostrzy. Na moment wprawdzie, ale moment wystarczył. Jazda zwała się w tę przerwę, rozszerzyła wyłom, poczęła tratować ludzi. Już biały sztandar Joanny powiewa w środku oddziału angielskiego. Talbot, wódz doświadczony, dał sygnał do zbiórki. Nic nie jest stracone, póki wszystko karne i posłuszne.

Lecz niebacznie wódz podprowadził swoich pod same mury miasta. Zanim się opamiętał, poleciały na nich kule armatnie i podarły w strzepy dopiero co stworzoną kolumnę. Spłoszeni Anglicy rzucili się do ucieczki w stronę „Paryża”.

Teraz Joanna zawróciła i znowu pchnęła swoich na obrońców fortu St. Loup. Bolesta odpowiedział na atak atakiem, zadając znowu bolesne straty mieszczanom, ale ci okazali się nieugięci. Skąpani we krwi, w poszarpanych ubraniach i porwanych zbrojach wparli się na palisadę. Do licha! Takiego zapamiętania Bolesta nie pamiętał. Chyba tylko pod Grunwaldem walczone w ten sposób, o każdy załom, o każdy pęk faszyny, o każdy niemal kamień.

Siły jego ludzi poczęły topnieć, przeciwnicy zaś zdawali się mnożyć. A jednocześnie rycerz ujrzał, że jego żołnierzy ogarnia zabobonny strach. A mieli się zresztą czego lękać. Armaty nie chciały strzelać, a gdy wreszcie wylatywał z nich pocisk, to przeważnie omijał nieprzyjaciół. Trzaskały bełty w kuszach, kruszyły się drzewce berdyszów, jakby je kto łamał w niewidzialnych palcach. Zaś nieprzyjaciel wydawał się nieśmiertelny. Tyle razy trafili już tego i tamtego, a ci rzekomo zabici wracali znowu do walki.

Coraz częściej Bolesta słyszał koło siebie powtarzane słowo „czarownica”, a jednocześnie straszliwa przeciwniczka, wciąż nie opuszczając pierwszych szeregów natarcia, wzywała swoich do nowego wysiłku, zapewniając ich, że zwyciężą.

Rozjęczała się palisada, posypały się z taką starannością układane wały. Bolesta przestał już liczyć swoich, ale czuł, że ich ma coraz mniej. Ten i tamten Anglik zwrócili się do nieprzyjaciela z prośbą o litość, zaś atakujący coraz dalej śpieszyli w głąb urządzeń fortecznych.

Koło siebie Bolesta ujrzał jakiegoś księdza. To część żołnierzy poprzebierała się w znalezione sutanny, licząc, że w ten sposób zyskają dla siebie łaskę zwycięzców. Na wałach

zabrzmiął okrzyk radości. Orleańczycy stali się panami fortecy. Bolesta przestał widzieć wokół siebie swoich.

Błagać o litość? - Nigdy! Rycerz rzucił się z determinacją naprzód, obalił dwóch mieszczan, którzy chcieli mu zagrozić drogę. Potężny, ogromny wzrostem wśród tych małych zwycięzców, wyrwał się z ich koła. Ale gdzie pobiegnie? Do „Paryża” - niedobrze, tam stoi na drodze cały tłum, pijany z radości ze zwycięstwa.

Przed nim Loara, za rzeką święty Jan Biały. Nie ma chwili do stracenia, bo go już gonią. Bolesta rzucił się do rzeki. Chłodna woda ogarnęła go rozkosznie, zmyła zeń pot, krew i kurz walki. Prąd porwał go na środek, a Bolesta poddał się fali. Po chwili był już na wyspie.

Obejrzał się. Nad rzeką tłum ludzi otoczył zniszczony fort, z którego wynoszono zabitych i rannych. Pierwszy szary zmrok spłynął właśnie z wysoka. Potem z koła zwycięzców wybuchnęły czerwonym słupem płomienie. Coraz wyżej i wyżej. Ich czerwień udzieliła się fali i nagle cała rzeka zdaje się płynąć krwią.

Od strony miasta zadźwięczały dzwonki i rozległa się radosna pieśń kościelna - pieśń zmartwychwstania. Miasto cieszyło się hałaśliwie z pierwszego swego zwycięstwa i wprowadzało triumfalnie zwyciężczynię w swoje mury.

Bolesta wyciągnął się na piasku. Z jednej strony miał rozradowane miasto, tonące w dźwięku dzwonów, w blaskach pochodni i pożaru, ogarnięte radosną modlitwą. Z drugiej strony ciemne kontury fortu św. Jana i „Wieżyczek”. Ponure, groźne, nieradosne. I nagle Bolesta, który całe życie gardził radością, poczuł, że byłby może odrobinę szczęśliwszy, gdyby mógł być nie na brzegu Glasdale’a, ale na brzegu Joanny.

12.

Stojąc na tarasie „Wieżyczek”, Bolesta patrzył na leniwie płynące fale Loary. Był wczesny bardzo ranek, a świeżość chłodu powietrza dziwnie czyniła człowieka lekkim. Słońce wytoczyło się na niebo i gdzieś zza klasztoru św. Jana Białego słało swoje pierwsze promienie, jeszcze na pozór niewinne, ale kryjące już w sobie zapowiedź gotującego się upału. Szedł upał - Bolesta czuł go, oddychając głęboko. Nitki słońca wiązały się na niebie w lśniącą pajęczynę. Wiatru nie było. Cała przyroda tężała w niemym oczekiwaniu tego, co miało przyjść. Nawet rzeka zastygała chwilami w ołowiany pancerz, tylko iskry skaczących blasków mówiły o tym, że srebrzysta klinga, leżąca między obu fortami, żyje i płynie.

Uwagę rycerza przykuwały barki, wciąż i wciąż przepływające się przez rzekę. Wraz z nadchodzącym upałem zbliżał się szturm. Obleżenie przechodzi do ataku. Ludzie, którzy się wysypywali z łodzi, zbierali się w czarny rój, pełen dalekich krzyków i gwarów, najeżony włóczyniami, połyskujący pancierzami i tarczami. Skupiali się, szykowali, ustawiali.

Obok Bolesty stanął Glasdale. Młody wódz bez niepokoju patrzył na zbierających się nieprzyjaciół. Jego orla twarz - piękny, lekko napięty nos o delikatnych nozdrzach, wąskie usta i czarne włosy wysuwające się w kędziorach spod hełmu - zdradzały wewnętrzną zaciętość. Glasdale zawział się niewątpliwie. Cały poprzedni dzień słuchał słów Bolesty, który mu opowiadał o zdobyciu fortu St. Loup, a w miarę słuchania mocniej zaciskał pięści i prosta zmarszczka silniej rozkrawała mu czoło. Ta kobieta - Glasdale nie mógł o niej myśleć bez wściekłości - ta czarownica walczy z nimi i zwycięża. Jej triumf jest policzkiem dla rycerzy takich jak on. Jeżeli Glasdale razem z Salisburym byli dumni, gdy po trzech tygodniach obleżenia wdarli się wreszcie do „Wieżyczek”, to piorunujący triumf tamtej dziewczyny zakrawał na bajkę. Wprawdzie fort St. Loup nie był „Wieżyczkami”, a obronnością stał nawet niżej niż klasztor augustianów, ale wiadome było powszechnie, że obleżenie opiera się na technice i taktyce oblegającego, te zaś wymagają czasu, czasu i jeszcze raz czasu. Obleżenie to nie tyle walka mięśni, ile walka nerwów. Zgnębić wroga, odciąć od świata, napastować błyskawicznymi szturmami i uporczywym obstrzałem - to były zasady kardynalne, od których nie można było odstępować. Wejść po prostu na mury ufortyfikowanej pozycji równe było pieszemu natarciu od czoła na linię jazdy.

Glasdale nie był rutynistą. Wiek strzegł go od tego. Ale rycerz wierzył w niezłomne prawa strategii, których nie można lekceważyć. Wojna oparta na szaleństwie nie była wojną prawdziwą - jak życie oparte na szaleństwach przestawało w końcu być życiem, a zamieniało się w sen lub bajkę.

Glasdale wierzył nie tylko w niezłomne prawa strategii, lecz także w niezłomne prawa życia. Życiem włada miłość i pragnienie władzy - to był kanon, któremu święcie ufał. O trzecim dogmacie, w który wierzyli, wierzą i wierzyć będą inni podobni doń racjonalisci - o dogmacie głodu nigdy nie myślał. Nie potrzebował myśleć.

Glasdale był młody, miał twarz piękną, dłoń silną i dostatni zamek nad Severn. Mimo młodego wieku był zastępcą Salisbury'ego, a obecnie wodzem jego wojsk. Kiedy zaś myślał o miłości, stawała mu zaraz w pamięci ściągła twarz i rozchylone zachęcająco usta Małgorzaty z Conway. Tyle kobiet trzymał w objęciach, a jednak Małgorzata była tą jedną, której nie mógł zapomnieć. Łatwość, z jaką odnosił sukcesy miłosne, pozbawiła go szacunku dla kobiet. Małgorzaty też nie szanował, ale Małgorzaty wciąż pożywał. Tym silniej czuł

zniewagę wyrządzoną armii ks. Bedforda przez pasterkę z Domremy. Kobiętę oceniał tylko miarą rozkoszy, którą mu zdolna była dać. Stąd myślał z przyjemnością o Małgorzacie. Stąd wściekał się na samo wspomnienie Joanny.

W cichości oskarżał towarzyszków o niedołęstwo. Talbot - myślał - pewno nie wyszedł do walki na czas, bo mu akurat balwierz goił policzki. Suffolk był zbyt delikatny i zbyt dbał o rycerskość walki. Ten Polak bić się umie niewątpliwie na koniu i z kopią lub mieczem w rękę, ale widać nie ma pojęcia o obronie fortu.

Dać się zwyciężyć kobiecie! Ze wściekłością uderzał się w rękę trzymaną witką po łydkach. Należał do ludzi, w których wyjątkowo mocno tkwił instynkt walki między obiema płciami. Kobieta była dlań wrogiem, a jej uległość musiała być wynikiem zwycięstwa nad nią. Jeżeli myślał z zadowoleniem o Małgorzacie, to dlatego, że dawała mu się stale zwyciężać, lecz w ten sposób, że nigdy nie zwyciężył jej całkowicie. Kochał się w gwałcie, nienawidził słabości, która pojawia się jeszcze przed walką. Szczególnie słabości kobiecej. Zwycięstwo kobiety było czymś, co go mogło wyprowadzić z równowagi.

Glasdale pogardzał Joanną, jak pogardza w rzeczywistości kobietą każdy, komu donżuanizm ogarnął serce i wdarł się w duszę. Objawienie kobiecości w historii legendarnego uwodziciela musiało się - w sposób mistyczny - wiązać z objawieniem miłości Bożej. Owe Inezy czy Anny to istoty, w konflikcie z którymi, poprzez płomienny wir przyciągań i odpychań uzupełniających się płci, przebijając się poczyna inne, tajemnicze i dla człowieka całkiem niepojęte misterium walki o duszę. I zwycięstwo płci nad płcią, mężczyzny nad kobietą, lub kobiety nad mężczyzną może być czasami nie zwycięstwem gwałtu, ale dobrodziejstwem łaski...

Konflikt płci! Ileż o nim pisano i mówiono! Na szalach delikatnej wagi dokonuje się ciągle tajemnicza wymiana ciosów. Lecz każdy cios zostaje odparowany. Mężczyzna oddany kobiecie-matce żąda oddania od kobiety-żony. Kobieta mści krzywdę swego rodu i kobieta wywdzięcza się za wszystkie inne. Matka-ziemia w swej płodnej kobiecości karmi nas, ale i grzebie; lecz jeżeli odnajdujemy szczęście, to zawsze pod skrzydłami płaszcza Matki, będącej Matką wszystkich ludzi, Mater misericordiae...

Pot występował rycerzowi na czoło perlistą rosą. Lecz ten skwar, który już się im mimo wczesnej pory dawał we znaki, miał działać na ich korzyść. O tym wiedzieli dobrze, rozkoszując się dobrodziejstwem skrawków cienia, rzucanego przez mury fortu. Bolesta przypomniawszy sobie Grunwald i spiekotę tamtego ranka. Cień lasu i rozgorzała w słońcu wydmy piasku, na której stali rycerze krzyżowi. I chrzęst przyciąganych pasów i szczęk mieczów, w które uderzały niecierpliwe dłonie.

Francuzi rozwinęli się w linię, otaczając szerokim łukiem klasztor św. Jana Białego. Lecz fort, jakby w odpowiedzi na ich zakusy, odpowiedział kłębam dymu i językami ognia. Glasdale i Bolesta kiwnęli ku sobie porozumiewawczo głowami: już poprzedniego dnia młody wódz angielski postanowił spalić mały obronny klasztor, aby nie rozzuchwalać przeciwników tym, że mogliby go zdobyć. Zamknięci w murach augustianów i „Wieżyczek”, kpili z wroga. Takie forty zdobywa się tylko po dłuższym oblężeniu.

Fala francuska minęła płonący klasztor i zakreśliła ku augustianom. Wyraźnie widzieli teraz Joannę. Jechała na białym koniu, w pancerzu, płaszczu i hełmie. W jednym ręku trzymała swój biały sztandar, w drugim prosty miecz. Otaczał ją niewielki poczet. Po jej prawej ręce jechał ogromny rycerz, w prześlicznej, bogatej zbroi, na koniu zdobnym w cenny rząd.

- La Hire! - wskazał ręką Glasdale.

Bolesta spojrział ciekawie na znanego kondotiera gaskońskiego. Oryginalny był to człowiek: rycerz wyśmienity, odważny do szaleństwa, opój i dziewkarz zawołany, znany powszechnie z nie pohamowanego niczym języka, gotów zaprzedać się z duszą i ciałem każdemu, co lepiej płaci, a jednocześnie po gaskońsku rzewny i gorąco pobożny. Dla La Hire'a Bóg był seniorem, któremu on, rycerz zawołany, z własnej, nieprzymuszonej woli złożył hołd lenny. Ale hołd jest pieczęcią układu, zaś każdy układ angażuje obie strony. Inaczej nie umiał tego pojąć przebiegły, interesowny Gaskończyk. La Hire nie rozumiał, że można coś komuś dać za darmo. Chyba, że ma się do czynienia z żebrakiem. Wprawdzie Bóg jest panem potężniejszym i bogatszym od La Hire'a, ale La Hire, póki zdolny jest utrzymać miecz w garści, zna tylko jednego pana - tego, któremu ofiarował się być wasalem, z którym ułożył się jak wolny z wolnym.

La Hire miał zamek na stromym urwisku górskim z widokiem na surowy mur Pirenejów. Wyrastali tak na wprost siebie on i te olbrzymie górskie, śniegiem pokryte, naznaczone zmarszczkami piargów, porysowane kominkami. Wkorzeniał się z wolna w ich moc i nieugiętość. Tak jak one poczynął patrzeć w niebo hardo, nieugięcie. Góry! Trzeba poczuć raz - raz bodaj jeden ich powiew, trzeba posłyszeć w sercu ten sam bijący rytm, którym oddycha ich wielkość, aby zrozumieć prawdziwą wolność. A La Hire wychował się wśród chłodnych powiewów wystrzelających z wąskich zasypanych śniegiem „cyrków” pirenejskich i odnalazł od dzieciństwa sercem takt serca gór. Znał więc wolność prawdziwą. A raczej umiał ją przeczuć.

Ten gazda cenił w Bogu innego, bogatszego od siebie gazdę. Cenił, ale daleki był od uniżoności. „Uczyń mi, Boże, to a to - powiadał - a ja ci w zamian uczynię tamto!” A gdy

szedł do walki, modlił się: „Wspieraj mnie, Boże, i daj mi sławę i zwycięstwo. Uczyń mi tak, jakbym Ci uczynił, gdybyś Ty był La Hire a ja Bogiem.”

Natarcie francuskie nagle się zatrzymało przed samymi murami. Była to chwila, często zdarzająca się w walce, gdy atakujący zbiera wszystkie siły i nabiera tchu przed ostatecznym skokiem. Szeregi gaskońskie i zbrojni mieszczanie orleańscy zawisli nagle jakby stado jastrzębi, gotujących się do spadnięcia na zdobycz. Glasdale uśmiechnął się z pogardą, widząc już ich, jak odpadną od murów fortu. Potem z ciżby podniosła się biała chorągiew i postłyszeli wyraźnie:

- W imię Boga, naprzód!

Wrzask atakujących zmieszał się z hukiem dział, kwikiem kłapiących zębami koni i tupotem nóg. Francuzi runęli na fort, jak fala, podnosząc nad sobą tuman kurzu. Przez chwilę nic nie było widać, można się tylko było domyślić, że oblegający dopadli wałów. Z tłumy podniosły się drabiny, ostrewki, drągi.

Ale nie bez powodu Glasdale ufał tak swoim fortom. Fala natarcia uderzyła o mury, spieniła się, zagotowała, wystrzeliła ku górze tysiącem rąk, dzid i mieczów, przez dłuższy czas kłębiła się pod wałami jakby starając się je wyrwać z ziemi, aż nareszcie cofnęła się, odpłynęła.

Glasdale wychylił się aż poprzez parapet, śledząc roziskrzonym wzrokiem walkę. Mieszczanie wyraźnie uciekali, Gaskończycy mniej może wyraźnie, ale robili to samo.

Gdzie jest Joanna? Zobaczył ją pieszo, bez konia, jak zatrzymywała mieczem uciekających. Kulafa, ale podnosząc sztandar, wołaniem wzywała wciąż do walki. Wskazywała na mury augustianów:

- Jezus! - rozległo się.

To Tearle, wódz fortu augustianów, wyprowadził niespodziewanie swoich ludzi na cofających się orleańczyków. Błyskawicznie Anglicy rzucili się naprzód, przecinając drogę odwrotu garstce nie chcących się cofnąć rycerzy. Zepchnęli ich pod mury i przyparli do wałów.

Bolesta widział, jak Glasdale uśmiechnął się triumfująco. Młody wódz miał powód do dumy. Owa niezwyciężona, rzekomo przez Boga posłana pasterka była w tej chwili otoczona - a może już ujęta - przez jego żołnierzy. Na nic czary i zaklęcia! Zwycięża młodość i męskość. Zwycięża silne ramię.

I w tej chwili Glasdale zapragnął, aby kobieta, która miecz ku niemu podniosła, znalazła się w jego rękach. Zapragnął złamać jej opór - nie mieczem, jak się łamie opór

innego mężczyzny - ale prostą przewagą płci. Tylko to mogło w tej chwili uczynić jego triumf pełnym.

Biały sztandar wciąż chwieje się nad głowami walczących. Otoczeni napastnicy bronią się z niezwykłą zaciętością. Żaden z nich nie ustąpił jeszcze ani kroku, a jeśli który padnie, to w pierw otoczy się wieńcem trupów angielskich. Straszliwy La Hire szerzy wokół siebie zagładę. Ujął ogromny miecz w obie ręce i zwała nim głowy z karków, łupie hełmy, odwała ramiona. Próbowali go zmóc pojedynczy, ale nikt mu się nie oparł. Uderzyli kupą, lecz on ich rozproszył, jakby byli stadem wróbli.

Joanna nie uderza mieczem, choć go nie wypuszcza z dłoni. Odparowuje ciosy, ale ich nie zadaje. Za to woła, zagrzewa do walki, porywa. Rzecz dziwna, Anglicy cofają się przed nią, nie mogąc pohamować zabobonnego lęku, który ich gnębi.

- Brać ją! - krzyczy z murów Glasdale. - Kto mi ją dostarczy żywcem, sowicie nagrodzę.

Znowu rzucili się na Joannę, lecz ona odtrąciła ich natarcie młyńcem miecza. Pasterka włada nim, jakby była pasowanym rycerzem. Cofają się, a ona idzie ku nim niepomna na przewagę wroga, niepomna na to, że jej ludzie uciekają do łodzi.

- Naprzód! Naprzód! - wciąż powtarza swoje.

- Orleańczycy wracają! - wybucha krzyk.

Rzeczywiście wracają. Wolno po jednym bieżą, wiążą się w walkę z Anglikami. Ogarnął ich wstyd, że tak łatwo opuścili swoją wybawicielkę. Nie ma w nich obecnie szaleństwa pierwszego natarcia, ale za to ogarnięci są uporczywą wolą zwycięstwa. Sypią się coraz gęściej od łodzi, ku którym zbiegli. Prą naprzód. Już rozerwali pierścień, który otaczał Joannę i jej towarzyszy. Tearle wzywa swoich do odwrotu. Uderzyli ostatni raz, by móc się wycofać do fortu.

Ale Francuzi drą się na wały. Jakaś nowa siła wstąpiła w tych ludzi. Dawno już minęło południe, skwar męczy, kurz dławi, zbroja i ciężki miecz doprowadza do omdlenia. Lecz mimo to nie chcą czekać. I znowu biały sztandar miga gdzieś w pierwszym szeregu nacierających.

Glasdale cofnął się pełen złości. Ohydne uczucie zawiedzionych męskich pragnień pali mu wargi goryczą niesmaku. Gdyby mógł dostać teraz tę kobietę w swoje ręce! Nie ma bólu, nie ma poniżenia, którego by jej nie zadał! Rozgorączkowana wyobraźnia podsuwała mu tyle różnych możliwości, a wśród nich chyba najbardziej pociągający był obraz kobiety deptanej ciężkimi, obitymi blachą butami i kłutej ostrogą.

Bolesta rozumiał jego uczucia doskonale. I on kiedyś nie mógł znieść straszliwej przewagi tamtej płci. Ale w końcu stępał i tylko w uczuciach pieścił pragnienie zemsty.

Za to dziś miał przeświadczenie, że to, czego jest świadkiem, ma dziwny związek właśnie z jego życiem. Dokonuje się tu jakieś wielkie wyrównanie rachunków. Pasterka odpłaca się za nie widzące oczy Katarzyny i za krzywdę Pawła. Lecz to wyrównanie nie ma w sobie charakteru kary. Boleście zdawało się, że raczej bliski jest doznania ulgi. Jakby wielki gład, co mu legł na sercu, zaczął chwiać się i zsuwać. Jakby na płomienne i wyczerpujące światło dnia zasuwawała się dobroczynna płachta nocy...

Znowu odparto ludzi Joanny od murów, natarcie spłynęło po wałach jak woda. Ale upór atakujących nie był wyczerpany. Odskoczyli, by połknąć po kilka łyków wody, ochlapać nią sobie głowę oraz pierś. Twarze szerniały, a spod zapiekłych i spękanych warg coraz groźniej połyskiwały zaciśnięte zęby. Przed szeregiem chodziła Joanna swoim zwykłym, niecierpliwym, wciąż śpieszącym się krokiem. Ciągłe kulała, lecz widać było, że chce zdusić w sobie ból. Porwana zaciekłą myślą walki i zwycięstwa, myślą, która ją opanowała i zaprzątnąwszy całą uwagę zmuszała serce do prędszego bicia, żyła jakby w nieustannej gorączce, opanowana własnym lękiem, że w tym rozpaczliwym wyścigu ze śmiercią zostanie zdystansowana, zanim potrafi powierzoną sobie pracę wykonać, i że ten jeden, biedny rok - zbiegnie zbyt szybko, pozbawiając jej trud należytego triumfu. Życie ludzi takich jak ona jest zawsze walką z życiem i wyścigiem ze śmiercią. I zawsze są bici przez życie i zawsze śmierć dogania ich w pół drogi, by mogły się sprawdzić słowa o ziarnie, które daje pęk kłosów dopiero wówczas, gdy w ziemi obumrze.

- Naprzód! Naprzód! Na mury! Bóg oddał Anglików w wasze ręce! - Joanna ma głos po chłopięcemu niski i mocny. Słychać ją wszędzie. Zaciskając zęby, by nie jęczeć - tak bardzo boli ją noga przychwycona w pułapkę, znowu rzuca się na czele swoich do walki. Jednocześnie wydaje komendy działom, które na łodziach przewieziono przez rzekę i które patrzą czernią swych paszcz na bramę fortu. Doskoczyła do nich, sama je kieruje gestem zdradzającym nie doświadczenie, ale tę cudowną intuicję, która zawsze jej służy. Strzelono. Kłęby dymu i języki ognia rozpierają przestrzeń. Ah! Głasdale gryzie do krwi własne kułaki. Brama po pierwszym strzale wisi w strzępach, zaś fala nacierających wwała się nagle w jej ciemną otchłań. Kłęb splecionych ciał miota się pod sklepieniem wieży bramowej. Z głębi bije w powietrze nie ludzki wrzask. Zaczyna się od niskiego tonu, potem wystrzela w górę straszliwą - nieomal kobiecą - skargą. Teraz biały sztandar znika w bramie. Krzyk urasta do ryku, który nagle rozpada się na dwa odmienne głosy: jeden triumfalny, wieszczący zwycięstwo, drugi - błagalny, wzywający litości. Co się tam dzieje? Obaj rycerze pochyleni

poprzez blanki wieży patrzą wzrokiem, w którym splątało się zdumienie z lękiem. Zwycięstwo! Zwycięstwo! Kto to woła? W zamęcie nie można nic zrozumieć poza tą tragicznie radosną nutą. Lecz oto biały sztandar wynurza się znowu z czarnej niszy bramy. Joanna jedzie otoczona rycerstwem i jeńcami. Jedzie zwycięska, zapatrzona gdzieś przed siebie, zadumana, oderwana zupełnie myślą od ludzi, którzy w szale radości całują jej nogi i rzucają się pod kopyta żrebca. Obca im, obca światu, obca więzom czasu, który spowił ją, stojąca już jakby na progu wieczności.

Noc spowiła mury „Wieżyczek”. Pogodna noc, wysrebrzona poświatą gwiazd, dysząca żarem, który teraz dopiero ucieka z rozpalonych murów i gorejącego do niedawna piasku. W dole rzeka szumi i pluszcze, za rzeką światła miasta migają, jak oczy wilcze. Bolesta nie może oderwać od nich wzroku. Ona tam jest...

Odjechała łodzią po uzyskanym zwycięstwie. Jej żołnierze leżą tu pod murami i czekają świtu, aby rozpocząć szturm. W mieście nie dadzą jej pewnie spać. Pytają o radę, proszą, by mówiła o dzisiejszej walce. Jak ona wygląda bez zbroi, siedząc za stołem, za górą jadła, z kielichem w dłoni?

Cisza nocy aż dławi. W dole obóz oblegających zasnął i tylko strażę chodzą, plamiąc czernią swych sylwetek szarość nocy. Fort augustianów leży ciężko w ciemnościach, jak zabity zwierz. Życiem nie pulsują jego wały. Tylko mroczne splątane kształty przypominają z dala kłębowisko poskręcanych korzeni, wskazują na miejsce, gdzie najzaciętsza wrzała walka. Teraz panuje tam cisza i spokój. Trupy nie wiodą ze sobą rozmów.

„Wieżyczki” nie śpią, lecz zachowują ciszę snu. Ludzie przywarli do postai, czekając walki, która ich czeka. Tylko czasami głos kobiecy bolesnym jękiem rozlegnie się we wnętrzu. To Irena, kochanka Glasdale’a, z którą zamknął się wódz angielski w swojej komnacie i którą pewno katuje w tej chwili wściekły, że to tylko ona.

Cóż to jest życie człowieka? - myśli w tej chwili Bolesta. Szaleniectwo tylko może sądzić, że jest to prosta, nieskomplikowana zabawa, w której każdemu dane było wziąć udział. Nic podobnego! Życie to dziwny splot wzajem obejmujących się wypadków. Wielka studnia, do której ciśnięto nas jak ślepe szczenięta, nie mogące się wydobyć o własnych siłach. Sprzęgły się nasze życia, zmieszały jak chrust w stosie...

Jak chrust w stosie! Kto o tym mówił? Kto nie lękał się ognia, ale go chwalił, patrząc weń prosto nieugiętym wzrokiem? Bolesta wraca myślą do pożaru Krakowa i do spotkania z tym dziwnym księdzem. Pamięta, jak tamten ujął go za ramię i mówił:

- Ogień parzy, ale i oczyszcza. Ogień trawi i pożera, ale także potrafi przemienić...

Więc w życiu musi być zawsze ogień? Ogień jest symbolem naszego bytu. A może... a może to Bóg jest ogniem? My Go pochłaniamy, a On urasta w naszych sercach i nas pochłania. Zebrani zostaliśmy na stos - jak suche drwa - a Boża Ręka przyłożyła do tego stosu płonąca żagiew. Płoniemy - czy chcemy czy nie chcemy. Płoniemy, by spopielić nasze namiętności i żądze, nasze nie pohamowane niczym pragnienia. Popiół jest cenniejszy niż próchno, bo w jego ciepłym objęciu śpi iskra, a zmieszany z ziemią pozwala, by dźwigało się ku górze słabe ziarno.

Bolesta teraz dopiero zaczyna rozumieć, że przez całe swoje życie starał się w sobie ten ogień zagasić. Gołymi dłońmi przyduszać żarzące się polana. Gdy walczył z Katarzyną - to tłumił wewnętrzne ognisko, gdy nienawidził syna - to chciał wodą zalać pożar, który go dręczył. Aż wreszcie przysła burza tam nad jeziorem. Potoki wody płynęły z chmur na pustą drogę wiodącą do Konstancji i one to zagasiły ostatecznie ogień. Przez chwilę tylko miotały się kłęby gęstego, burego dymu. Ale i one się rozeszły.

A potem? Potem sięgnął dna. Może to tego dna życzył mu właśnie ksiądz. Otworzyła się pod nim pustka i pochłaniała go coraz żarłoczniej. Najprzód ujrzał spory w Pradze, a potem dowiedział się o odwołaniu Zygmunta do Polski, a potem już spadały nań ciosy jedne za drugimi: infamia, konfiskata dóbr, śmierć syna, małżeństwo Róży, ślepotą Katarzyny... Cierpiał, ale przecież ogień wewnętrzny nie mógł już w nim na nowo zapłonąć. Popioły mokły w kałuży wody, którą przyniósł deszcz szwajcarski. Była to otchłan pustki i zimna. Zimna tak bolesnego, aż zdawało się parzyć.

Zdawało mu się, że musi wyruszyć w świat w poszukiwaniu za ogniem. Prometeusz wykradł boski żywioł nieśmiertelnym i za to spotkała go kara. Ale Prometeusz żył w świecie ludzkich bogów, kryjących z zazdrością skąpcą tylko dla siebie posiadane skarby. Chrystus ogień ten przyniósł na ziemię dlatego, że chciał uświęcić ludzkość. Z nieba sprowadził Ducha Bożego zaklętego w ogniu. I dziś, kto szuka ognia, ten szuka boskości. Kto rzuca się w płomienie, ten powierza się Bożemu objęciu.

Więc mam szukać Boga? - kilkakrotnie musiał zadać sobie sam to pytanie, zanim uświadomił sobie, co ono naprawdę oznacza. Stał na drodze, która go wiodła od otchłani zimna i mroku ku morzu światła i płomieni. Nie miał wyboru. To znaczy, że mógł się jednak cofnąć w cień zgaszonego stosu, ale ta droga napawała go lękiem. Niech się coś dzieje! Życie jego zaczynało stawać się światem, w którym nic się nie działo.

Rozumiał teraz ómy rzucające się na oślep w płomienie świecy. Gdy nas ogarnia noc, nieuchronnie dążymy ku światłu. A przecież w ciągu ostatnich lat zaznał tchnienia nocy niecodziennej - nocy okrutnej - kryjącej w sobie bezwład i pustkę. Ciemności graniczyły z

otchłania, a otchłań zdawała się być samą śmiercią. Nie, nie śmiercią! Śmierć jest stawaniem się, a tamta noc była tylko trwaniem straszliwym trwaniem nie znającym końca.

Niebo zszarzało, od rzeki powiało chłodem, zaś z drugiego brzegu doleciało chrapliwe pianie kogutów. Wstawał dzień ciężki, gorący, znojny.

Skąd przychodzą do mnie te myśli? - zapytuje sam siebie Bolesta i próżno stara się znaleźć na to pytanie odpowiedź. Wszystko zastygło w ciszy zbliżającego się dnia. Jest to godzina, kiedy ziemia wydaje się zamarła. Głos brzmi obco, stąpnięcia huczą jak grom, a wszystko są to odgłosy jakby nie z tego świata.

Gdzieś nad horyzontem lasów strzeliły promienie słoneczne, które przerwały rozmazaną na niebie czarną linię oparów nocnych. Życie obudziło się nagle; w furcie zabrzmiały okrzyki; zerwali się także z ziemi oblegający i chwytają za kociołki. Widać, jak niecą ogniska, zaś woń gotującego się jadła łaskocze w nozdrza stojących na wałach Anglików.

Obie strony śpieszą się, aby czym prędzej zjeść ranny posiłek i rozpocząć walkę. Bolesta patrzy na stojących pod wałami nieprzyjaciół i szuka wzrokiem Joanny. Ale jej nie ma - jeszcze widocznie śpi w mieście. Nagle wysunął mu się z pasa mały nożyk (ten, który znalazł przy trupie syna i odtąd zawsze miał przy sobie) i upadł na ziemię z brzękiem. Włożył go z powrotem za pas, nie myśląc o tym.

Łódź przybiła do brzegu, a z niej skacze na ziemię Joanna. Podprowadzają jej konia, chce go dosiąść, ale koń - może nagle zbudzony, a może podniecony walką, którą czuć w powietrzu - wspina się, kręci, nie daje kobiecie do siebie dostąpić. Z gniewem tupnęła nogą o ziemię i wskazała gestem, aby konia podprowadzono pod krzyż przydrożny. Czary, czy co? Koń, który przed chwilą wydawał się diabłem wcielonym, stoi teraz posłuszny jak baranek i pozwala Joannie wspiąć się na wysokie siodło. Trąciła go ostrogami - runął jak błyskawica między zbierających się do walki żołnierzy. Białe sztandar powiewa nad głowami. Naprzód! - woła Joanna, wskazując na mury. Naprzód! Bóg oddał Anglików w nasze ręce!

Lecz nagle na murach pojawia się Glasdale. Jeszcze nie ubrany do boju, z podpuchniętymi oczami, starganą czupryną, ale już pełen gniewu. Wychyla się, wyciąga zaciśniętą pięść.

- Ty! - krzyczy - Ty! Ty dziewczko!

Joanna na chwilę zatrzymała konia. Teraz mieli możliwość spojrzeć z bliska w twarz pasterce. Usta drobne, prosty, zgrabny nos, szarobłękitne oczy w przepięknej oprawie. Całość tchnie wdziękiem, ale i siłą. Ciemna cera zdradza chłopkę, białe zęby między świeżą czerwienią warg - zdrowie. Usłyszała obraźliwe słowa wodza i nagle oczy jej także poczynają

miotać skry. To nie jest wcale łagodna, cicha dziewczyna, ale pełna temperamentu amazonka, zacięta w walce, straszna w starciu.

Nie odpowiedziała obelgą na obelgę. Krzyknęła tylko do swoich:

- Naprzód! Dziś ich będziecie mieli!

Wali się natarcie do fosy. Leci faszyna, sypie się piach i kamienie i już tłum oblegających jest na drugim brzegu. Ale tu spada nań deszcz strzał, kamieni, strumienie wrzasku rozgrzanej smoły i płynnego ołowiu. Ludzie padają, krzyk bóleści rozlega się w powietrzu, ale pokrywają go wrzaski do natarcia. Wznoszą się drabiny, ostrewki, żołnierze pną się po nich w szaleńczym zapale. Obrońcy ciskają kamienie, odrzucają drabiny, tną z góry włączących lub wciągają ich do środka i tam obcinają im głowy, zaś krwawe kadłuby spychają na zbliżających się towarzyszków zabitych. Teraz wiadomo, że nikt nie ustąpi - i nikt nie ma zamiaru ustąpić. Na miejsce zwałonej drabiny stoi w tej chwili druga, a na miejsce zabitego wspina się niezwłocznie następny zdobywca. Czas stanął, czasu już nie ma, wszystko pochłonęła walka i upał, który się rozszalał nad polem bitwy. Ociekający potem ludzie zdzierają z siebie pancerze i niepomiernie niebezpieczeństwa pną się do góry na pół nadziei. Krew tryska z ciał rozwalonych ciosami mieczów i toporów, zaś słońce przypieka rany i skórę, rażąc zarówno obrońców jak i zdobywców. Ale nic nie powstrzyma walczących. Byle dotrzeć do przeciwnika, byle ogarnąć go ramieniem i wbić się ciałem w jego ciało. Nikt nie wie, co to litość. Zdobywca ściąga za nogę obrońcę i spada z nim razem na ziemię, by jeśli wyjdzie cały, tam dokończyć starcia. Ręce pracują ruchem automatycznym. Krzyki zamarły w gardle, tylko chrapliwy zwierzęcy ryk rozlega się wzdłuż wałów. Kto ze zdobywców stanie na wale, ten już zginął. Kto z obrońców wychylił się poza wały - tego już nie ma. Wał stał się progiem śmierci: kto za niego wstąpi, ten jakby już odchodził z czasu w beczas lub jakby się rozpląwał w nicości.

Zwycięstwo nie przechyliła się na żadną stronę. Ciała zabitych tworzą mur i o ten mur wre zacięta walka. Nacierający jednak nie zdobyli jeszcze ani piędzi, ani krokiem nie wyszli poza linię ciał swych towarzyszy. Słońce wędruje po niebie, patrząc przerażonym wzrokiem na zaciekłość walczących, wspina się coraz wyżej, coraz bardziej rzuca z góry swe promienie. Pancerze rozgrzane palą, spływający pot odbiera sprężystość ruchom walczących. A jednak ludzie walczą, choć ręka z mieczem z coraz większym wysiłkiem dźwiga się w górę, zaś ciężka tarcza zdaje się obrywać osłabłe ramię. Świszczą strzały, syczą - przelatując - kamienie. Krzyczą ranni, bo po ich ciałach pną się żywi do zwycięstwa. Ale nikt nie zwraca na nich uwagi.

Glasdale na najniższym wale sam kieruje obroną. Zlany potem i krwią, zresztą obcą, bo nie jest ranny, miota się jak dzik wśród atakujących go ogarów. Co chwila zwala kogoś nowego z murów, wydając przy tym okrzyk radości, i śle przekleństwa w stronę Joanny, która stojąc u stóp murów, wzywa do szturm swoich.

Około południa zaciekłość atakujących zdaje się słabnąć. Próżno La Hire prowadzi ich sam na mury, próżno Joanna, stojąc wśród deszczu strzał, zachęca ich okrzykami i przysuwa swój sztandar aż do samego wału. Zmęczenie wali ludzi z nóg; upał wyssał z nich wszystkie siły, a zaciekły opór Anglików odebrał im wiarę w zwycięstwo.

- Naprzód! - wzywa Joanna. - Zwyciężycie!

Bolesta widzi ją, jak podbiega do wału i chwytą za drąg od drabiny. Chce sama prowadzić natarcie. Nagle...

Radosny okrzyk z czołowego wału. Glasdale tańczy z uciechy na murze.

Joanna obsunęła się na kolana, chwytając się za pierś, w którą nie może złapać powietrza. Chwycono ją pod ramiona; odciągają od murów. Bolesta widzi ciało kobiety zwisłe na ramionach niosących. Tak samo wyglądał Paweł, gdy go niesiono z pola bitwy pod Niemieckim Brodem. Twarz rannej zalana jest łzami, usta ściągnięte w podkowę. Płacze jak dziecko.

Odniesiono ją do tyłu. Atak się cofa. Francuzi odbiegają od murów, porzucają drabiny i drągi, przechodzą przez fosę aż do miejsca, gdzie ich już ranić nie mogą strzały obrońców, i tam padają jak martwi na ziemię. Bolesta śledzi wzrokiem grupkę ludzi otaczających raną Joannę. Jest tam mnich, który klęczy, są rycerze, mieszczanie, zwykłe ciury. Ktoś ich rozgonił. Odsunęli się. Widać leżącą, opartą na łokciu Joannę i mnicha wciąż klęczącego koło jej głowy. To pasterka macha ręką, aby otaczający ją odeszli - może wstydzi się w tym tłumie mężczyzn obnażyć raną pierś. Po chwili jednak koło się znowu zamyka wokół swego wodza. Wołają na kogoś. Biegnie rycerz z białym sztandarem Joanny. Wszedł do środka. Nad głowami stojących miga biała wydłużona płachta z wyhaftowanymi na niej figurami.

Nagle wszyscy się rozstępują, a ze środka wychodzi kobieta, niosąc swój sztandar. Idzie niepewnie, wspiera się na drzewcu. Ale oto dała znak ręką i rozkrzyczały się trąby bojowe. Co to? Znowu natarcie? Wszak Francuzi są już ostatecznie wyczerpani z sił. Lecz widok idącej kobiety sprawia cud: żołnierze, którzy ledwo zdołali się wycofać poza fosę, podnoszą się z ziemi, chwytają za broń. Idą! Do łuków! Do armat! Czyżby się miała powtórzyć historia oblężenia augustianów, kiedy to napastnicy raz odparci powrócili do walki z nowymi siłami?

Ta kobieta jest czarodziejką. Poderwała swoich, wyczerpanych zda się do ostateczności, i rzuca ich na mury. Znowu uderzają na Anglików. Nie mają wprawdzie sił, walczą jak we śnie, ale kobieta-wódz czuwa. Oto ustawiła armaty i sama im wskazuje, gdzie mają strzelać. Ryknęły - i zmiotły załogę z wałów. Naprzód! Drabiny, ostrewki, drągi - ludzie pchają się, ogarnięci zapałem. Działa otwierają im drogę, krew bucha, wałą się zasłony z faszyny i z piasku.

Bolesta patrzy i nie wierzy własnym oczom. Już napastnicy wdarli się na czołowy fort. Gdzież potęga i niezwalczoność armii najpobożniejszego i najcnotliwszego króla Henryka? Na wale broni się Glasdale z garstką żołnierzy, ale musi się cofać. Jego droga prowadzi przez wiszący drewniany most, łączący przedni wał z resztą fortu. Ale napastnicy nie dają się mu oderwać, wciąż wiszą mu u karku, jak psy przy uszach rannego niedźwiedzia. Glasdale ogarnięty obawą, że mógłby zostać schwytyany, każe swoim podpalić faszyny. W ten sposób między nacierającymi a nimi stanie ognisty słup. I nic wodza „Wieżyczek” nie obchodzi, że żar dobieje rannych, którzy leżą na wałach.

Ogień rozlał się nagle jak woda, ogarniając wplątane między pęki faszyny ciała, trzeszcząc i hucząc. Zawtórował tym dźwiękiem krzyk rozpaczny.

Ale Glasdale nie może wycofać się poza płomienie, bo nagle na murach ukazuje się La Hire, ogromny, groźny, z okrwawionym mieczem w dłoni, a obok niego Joanna z rozwiniętym sztandarem w ręku. Na widok swoich wodzów Francuzi rzucają się do walki z nowym zapałem. Glasdale opęda się rozpaczliwym gestem od orleańczyków, którzy go napadli, a jednocześnie spogląda z niepokojem w płomienie zbliżające się nieustępliwie do mostu - który jest dlań jedyną drogą odwrotu. Do diabła! Za chwilę ta droga przestanie istnieć, on zaś wpadnie w ręce zwycięskiej kobiety. Nigdy! Nigdy! Obala najbliższych przeciwników, odtrąca swoich i rzuca się na most. Reszta Anglików biegnie za nim.

Lecz żarzące się już od dołu deski trzeszczą niepokojąco pod nogami, zaś cały most drży i kiwa się. Glasdale spogląda w dół i skurcz trwogi skręca mu usta w ohydny grymas. Pod nogami ogień płonie, strzelając pod niebo słupem iskier, zaś w płomieniach - jak za rozedrganą zasłoną z purpurowego i złotego muślinu - stoją nagle zatrzymani zdobywcy. Pomiędzy nimi Joanna. Podniosła teraz rękę do góry, jakby chciała ją podać Glasdalowi. Woła:

- Glasdale! Glasdale! Poddaj się! Nazwałeś mnie dziewczką, ale ja przecież mam litość nad twoją duszą!

Za późno! Ogień nagle ogarnął most i zerwał go ze słabej uwięzi. Lecą w dół ludzie i płonące deski. Spada Glasdale, wódz „Wieżyczek”, następca dzielnego Salisbury’ego, sam rycerz wielkiej odwagi, szczęśny kochanek, zdobywca serc i zamków...

Z okrzykiem triumfu rzucają się Francuzi na wały, potracając Joannę, która stoi nieruchomo wsparta na drzewcu sztandaru i patrzy z przerażeniem na ognisko, w którym zginęli jej wrogowie. Bolesne łzy płyną po twarzy kobiety. Ale nikt ich nie widzi.

W tej samej chwili radosny wrzask odpowiada okrzykowi wojennemu nacierających. To część mieszczan pod wodzą Mikołaja Giresme, komtura braci krzyżowych św. Jana Jerozolimskiego, przebyła rzekę po moście, przeskakując po deskach ponad dziurami między zerwanymi przesłami, i teraz uderza na obrońców fortu od tyłu. Zwycięstwo! Za rzeką na moście już biją dzwony w kościołach, zwiastując triumf.

Otoczono Bolestę. Broni się dzielnie i nie daje do siebie dostąpić drobnym wzrostem nieprzyjaciołom. Oparł się o mur, gotów zginąć, a nie poddać się. Nagle mały nożyk - pamiątka po synu - wysunął się z za pasa. Automatycznie schylił się, by go podnieść, ale w tej samej chwili spadły nań dziesiątki dłoni i obaliły na ziemię. Wyrwano mu z ręki miecz, spętano sznurami. Gdy go prowadzono w dół, zobaczył Joannę klęczącą na ziemi, z twarzą zalaną łzami przy opływających we krwi ciałach rannych. Łkała, dotykając ich obrażeń. Byłaż to ta sama istota, która wiodła tłumy do szturm, odnosiła zwycięstwa i umiała dzień po dniu zdobywać forty, mające opinię niezdobytch?

13.

- Kto jesteś?

Tym razem, to Joanna postawiła pytanie. Poprzednio siedziała milcząca, pozwalając, aby inni badali przeprowadzanych przez namiot jeńców. Ale usłyszawszy dziwną wymowę Bolesty, zwróciła się sama do niego.

Powiedział jej swoje imię i zawołanie. Zdziwiło ją obce ich brzmienie.

- Nie jesteś Francuzem ani Anglikiem. Skąd przybyłeś?

Wstała ze stołka, na którym siedziała, i stanęła przed rycerzem. Wysoka i postawna, dorównywała wzrostem mężczyznom ją otaczającym. Ciemnoblonde włosy, po chłopięcemu przycięte, spadały wciąż na czoło i na oczy, a ona odgarniała je do tyłu niecierpliwym gestem. Jasne oczy patrzyły dziwnie głęboko i bystro. Była w nich cała przepaść. Ich wejrzenie Boleście nie wiadomo dlaczego przypomniało Kraków i spotkanie z księdzem Janem.

- Z Polski - rzekł.

Wzruszyła ramionami. Nic jej to słowo nie powiedziało.

- Wasz naród mieszka za morzem jak Anglicy?

- Nie. Ale daleko... Za górami...

- Po co więc przychodzicie tutaj do ziemi Delfina?

Jasny, dogłębny wzrok kobiety dosięgał aż do serca Bolesty i rozświecał jego mroczne głębie. Nic nie mogło się ukryć przed tym blaskiem, zaś człowiek spojrzeniem ogarnięty był nim po prostu prześwietlony na wylot. Nie mógł kryć więc żadnych tajemnic. Musiał je sam wyjawiać. I ta właśnie niepojęta fala szczerości kazała Boleście rzec:

- Nie mogę wrócić do Polski. Nie mam gdzie wrócić. Samotnemu jak ja - cały świat pustynią.

Podeszła do niego bliżej.

- Samotnemu? - zapytała. - Dlaczego kłamiesz?

Zmarszczył brwi.

- Obrażacie jeńca.

- Obraziłeś sam siebie! - krzyknęła porywczo. - Szukasz nieszczęścia wokoło, a ono jest w tobie. W tobie samym! Człowieka nie unieszczęśliwia ani świat, ani Bóg. Dwóch było chłopców: jeden dobry, a drugi zły. Ale gdy złego chciał ojciec wychłostać, ten uciekł i sprzągnął się ze złodziejem i rabusiem. Myślisz, że złodziej nie chłostał go także? Wierz mi - i lepiej jeszcze. Człowieku! Któż ci pozwolił uciekać od karania Pańskiego?

Zapadła cisza i tylko Bolesta przełknął z wysiłkiem ślinę. Miał przy tym uczucie, że jego gardło uległo nagłemu zwężeniu. Lecz Joanna usiadła znowu na zydlu. Widać było, że się szybko unosi, ale równie prędko powraca do równowagi.

- Powiedz - tym razem głos jej zabrzmiał miękko, niemal łagodnie - coś robił, zanim tu przybyłeś?

Zaczął opowiadać. Powrócił aż do wspomnień z Konstancji. Powiedział o Husie i o tym, co przeżył, gdy ujrzał tego człowieka na stosie. Porwała go nagle niepojęta potrzeba złożenia szczerego wyznania z tego wszystkiego, co przeżył, jakby - zrzucając brzemień chwil ubiegłych przed tą dziwną pasterką, liczył, że znajdzie w ten sposób dla siebie ulgę.

Gdy mówił, kobieta patrzyła gdzieś w przestrzeń, lekko tylko czasami kiwając głową. Usłyszawszy imię Husa, zmarszczyła brwi.

- Spalono go? - spytała.

- Tak. Spalono go... Prowadzono go naprzód ubranego w worek i w błazeńską czapkę przez miasto nad brzeg Renu. Przywiązano do pała. Kaci otoczyli go suchym chrustem. Nie

broniał się, nie krzyczał, nie przeklinał. Śpiewał tylko psalmy. Przytknięto potem pochodnię do stosu... Już go więcej nie widziałem. Nawet popiół pachołcy rzucili do rzeki.

Skurcz współczucia pojawił się na chwilę na twarzy Joanny. Widać było, że przejął ją los tamtego, nieznanego jej człowieka. A może nagle owiał ją gorący oddech stosu, na którym nieszczęśliwy został spalony, i posłyszała plusk tamtej rzeki, w którą wrzucono jego spopieliałe szczątki.

- Biedny... - szepnęła.

- Był heretykiem, Joanno - rzekł jeden z księży. - Walczył z Kościołem i nie chciał uznać jego władzy. Ludzie, którzy za nim poszli, od dziesięciu już lat trapią okrutnymi wojnami chrześcijański kraj, aż Ojciec święty musiał parokrotnie wzywać przeciwko nim rycerstwo.

- Ale mnie go żal... - powiedziała kobieta. - Był dzielny. Straszna rzecz zginąć na stosie.

Zebrani w namiocie nie mogli pojąć współczucia, które okazała Joanna spalonemu przed kilku laty heretykowi. Ze zdziwieniem, prawie z oburzeniem pytali:

- Jak to? Żal ci wroga Kościoła?

- Był przecież heretykiem. Cóż miano z nim robić?

- Dla zatwardziałych w grzechu jest przecież tylko stos!

Wzruszyła ramionami.

- Cóż ja wiem? Jestem prosta dziewczyna. Może się mylę. Wy przecież musicie wiedzieć lepiej.

Ale dodała z uporem dziecka, które nie chce się dać przekonać:

- Jednak żal mi go. Nie dlatego, że był heretykiem, ale dlatego, że go spalono.

Jeden z rycerzy pochylił się ku niej:

- Żal ci może, Joanno, każdego Anglika, którego zabiliśmy?

Spojrzała na niego, a w jej oczach odbiło się głębokie zdumienie, tak jakby ironiczne pytanie tamtego dotyczyło rzeczy samej z siebie zrozumiałej.

- Naturalnie, że mi żal. Ale po co przyszli do Francji? Gdyby siedzieli u siebie, nie kazałby mi ich Bóg wypędzać i nie zabijalibyście ich...

Urwała. Zwróciła się znów do Bolesty:

- Walczyliście za owego Husa?

Skinął głową. Wszyscy zebrani w namiocie popatrzyli na niego z zaciekawieniem, bo każdy chciał zobaczyć, jak wygląda jeden z tych straszliwych husytów, grożących od paru lat

cesarstwu, roznoszących i rozbijających w proch i pył jedną za drugą wyprawy krzyżowe wysyłane przeciwko nim przez papieża.

- Więc naprawdę paliliście kościoły, zabijaliście księży i groziliście papieżowi? - pytała.

- Tak... Wszystko to było. Poniosła nas fala gniewu i zdawało się nam, że powinniśmy zetrzeć z powierzchni ziemi wszystko co jest, a dopiero na gruzach budować nowe chrześcijaństwo. Każdy chciał być lepszy, każdy chciał okazać więcej żarliwości. Utrakwiłci chcieli zgody z papieżem i uznania Husa za świętego, taborytom to nie wystarczało. Adamici sądzą, że tylko krwią zmyć można skazy chrześcijaństwa.

- Odszedłeś od nich?

- Odszedłem. Nie mogłem patrzeć na ich spory i walki. Okrutna jest wojna, gdzie brat walczy z bratem, ojciec z synem...

Przerwała mu nagle. Gwałtownym, a tak dla niej charakterystycznym ruchem zwróciła się do siedzącego obok mnicha i krzyknęła niemal ostro:

- Pisz!

Ten, widać oswojony z jej nieoczekiwanymi poleceniami, miał wszystko przygotowane, więc tylko zanurzył pióro w butelce inkaustu.

„Wy heretyccy rycerze czescy, którzy wierzycie w to, czego was nauczał wasz mistrz Hus - dyktowała - słuchajcie. To pisze do was Joanna Dziewica. Jeżeli natychmiast nie przestaniecie walczyć z Kościołem świętym, przyjdę do was, by was pokarać. Bóg oddał w moje ręce Anglików, potem może odda i was. Więc się strzeżcie. Przestańcie także palić kościoły i zabijać księży. Ostrzegam was, abyście nie drażnili sprawiedliwości Bożej...”

Pochyliła się nad stołem i wzięwszy pióro z rąk mnicha, nakreśliła nim niezręcznie pod pismem: „Johanne”. Z trudem przychodziło jej stawiać pałeczki liter; była poza tym wciąż niepewna, czy ich nie postawiła zbyt dużo lub zbyt mało. Odłożywszy pióro, wzięła do ręki leżący obok miecz, jakby chciała na jego znanej sobie rękojeści rozprostować palce ścierpłe od trzymania niewygodnego narzędzia pisarskiego. Dźwignęła go w górę i machnęła nim w powietrzu. Ciężkie żelazo aż furczało w jej silnej dłoni. Bolesta spojrział z podziwem na tę małą ciemną dłoń tak zręcznie władającą mieczem, a tak bezradną wobec pióra.

- Gdy pójdę do Czech, pobiję ich... - rzuciła jakimś dziecinnie chełpliwym tonem, zwracając się w połowie do otaczających ją rycerzy, a w połowie do Bolesty.

- Skąd jesteś tak pewna, Joanno? - spytał ją młody, jasnowłosy rycerz, wspaniale ubrany w złotem i purpurą haftowany płaszcz oraz w lśniący jedwabisty kaftan.

Spojrziała na pytającego i nagle roześmiała się wesołym młodzieńczym śmiechem.

- O księżę, czas abyś i ty był pewien; przecież to Bóg kazał mi walczyć, zaś Boga nikt nie zwyciężył. Nie robię nic innego, jak tylko to, co On kazał. Mówił mój święty Patron: „Jestem głosem wołającego na puszczy”. A ja jestem mieczem idącego przez puszczy! Sama cóż potrafię? Nic. Przed rokiem nie umiałam jeszcze siedzieć na koniu. Pasłam owce i przędłam. Przychodziła czasami wieczorami matka i mówiła: „Dobra z ciebie córka, Joasiu, mąż będzie miał z ciebie pociechę, bo i o bydłach pamiętasz i porządek w domu umiesz utrzymać”. Ja nic jej nie mówiłam, bo sądziłam, że mi matka nie uwierzy; ale wiedziałam, że tam nie ma mnie, tylko leży miecz, który trzeba wziąć do ręki i gnać nim Anglików aż za morze. Czemu nie mogę przestać być mieczem i wrócić do owiec i do kołowrotka!

Radość znikła z jej twarzy, natomiast smutek pojawił się w jej oczach.

Bolesta patrzył ze zdumieniem na tę kobietę tak zmienną i tak krańcową w swych odczuciach. Była jak woda spokojna i poważna na powierzchni, ale w głębi szarpana prądami i wirami. Przychodził wiatr i odwiewał na chwilę zwierzchni kozuch bezruchu, a wtedy ujrzyć można było burzę, która się podnosiła gdzieś od dołu. Fala biła o falę, wyrzucając wokół siebie białą pianę. Lecz przy bardzo silnym podrzuceniu, gdy głębina wód rozrywała się niemal do dna, można było zobaczyć tam, na samym dole, przezroczystą, spokojną toń, której poruszyć nie mogła szalejąca wyżej burza.

Joanna opuściła głowę, zagryzła usta. Potem mówiła znów, a jej słowa wywoływały złudzenie wewnętrznego spokoju:

- Chciałabym już wrócić do moich owiec i krów. Tęsknię za nimi. Tak ciężko jest być tym, do czego się człowiek nie urodził... Ale wróciłabym tylko wówczas, gdyby mi Bóg kazał, bo robię tylko to, co On mi każe...

- Trzeba być posłusznym woli Bożej - rzekł mnich siedzący w kącie.

- Tak! Tak! - niemal wykrzyknęła. - Trzeba iść, gdzie On każe, i nie myśleć o niczym, tylko o Jego rozkazie. Wielu się zmarłych modliło o to, aby mi Bóg kazał iść ratować Delfina i Francję. Wielu umarłych modli się za żyjących...

O czym ona mówi? - nagła myśl szarpnęła boleśnie sercem Bolesty. Nigdy dotychczas nie uświadomił sobie tak jasno, że rzeczywiście między światem zmarłych istnieć muszą jakieś więzy... Więc może jest jakiś sens w tej jego wędrówce, może nie bez powodu wciąż staje mu przed oczami Paweł? Syn nie zniknął przecież całkiem ze świata, dlatego, że poległ na polu walki. Istnieje i żyje gdzieś w jakiejś dali, by wołać doń głosem pustki. Ale dlaczego do niego, dlaczego do swego zabójcy? Czyżby śmierć nie poszarpała więzów krwi, które ich łączyły? Czyżby zależność ojca i syna trwała nadal nawet w głuchej, tajemniczej otchłani, rozpoczynającej się za progiem śmierci?

Posłyszał znowu głos młodego rycerza, który mówił:

- Dziwna jesteś, Joanno. Mówisz, że tobie da Bóg zwycięstwo, a nie tłumaczysz, dlaczego husyci pobili krzyżowców, którzy na nich szli.

- Bóg chce, aby człowiek działał. Nic za nikogo robić nie będzie.

- Ależ oni właśnie walczyli!

- Nie każdy, który bierze miecz do ręki, służy Bogu.

- Szli przecież z Imieniem Bożym na ustach!

- A czy mieli Boga w sercach?

Wszyscy spojrzeli na nią uważnie, zaś księża, których kilku siedziało w namiocie, obrzucili się niespokojnym spojrzeniem. Jeden z nich spytał:

- Joanno, a czy ty jesteś pewna, że masz Boga w sercu? Uważaj, abyś nie zgrzeszyła pychą.

Odwróciła głowę, a zdumienie odmalowało się w jej oczach.

- Czy mam Boga w sercu? Skądże to ja mogę wiedzieć? Chcę Go mieć, bo inaczej nie mogłabym żyć. Wy powinniście wiedzieć, czy ja mam Boga w sercu. Mnie Bóg kazał tylko walczyć z Anglikami.

- A z husytami, Joanno, czy Bóg ci kazał walczyć?

- Nie, nie kazał, bom Delfina do Reims jeszcze nie wprowadziła, a Anglików całkiem nie wygnała. Ale potem, jeżeli każe, to pójdę. A jak nie każe, wrócę do Domremy, do owiec. Obym tylko wszystko zdążyła zrobić!

Jej usta skrzywił znowu wewnętrzny ból, a może i lęk. Wargi zadrżały, policzki zbladły.

- Obym zdążyła! - powiedziała już ciszej, głosem, który się łamał i drżał - obym zdążyła! Czas tak ucieka, rok mija. Ten jedyny rok, rok, który mam...

Zagryzła wargi i schyliła głowę, pasując się z cierpieniem, które ją niespodziewanie ogarnęło. Ale trwało to tylko chwilę. Wstrząsnęła ramionami, jakby z nich zrzucała ciężar, co ją przygniatał. Spojrzała na otaczających spokojnie.

- Chcę uwolnić tego rycerza - rzekła, wskazując na Bolestę.

Nikt nie protestował, Napora nie był Anglikiem ani Burgundem. Wystarczy więc, że złoży przyrzeczenie, iż walczyć już przeciwko Delfinowi nie będzie. Wprawdzie powinien był złożyć okup, ale wobec życzenia Joanny nikt nie chciał o tym mówić.

- Dziękuję - Bolesta nie mógł się zdobyć na więcej słów podzięk. Dzisiejsza rozmowa wstrząsnęła nim do głębi.

- Czy przyrzekasz na honor rycerski, że nie będziesz już walczyć przeciwko wojskom Delfina? Że nie będziesz wspierać Anglików? Ani księcia Filipa? - pytała Joanna.

- Przyrzekam...

- Jesteś wolny. Jedź, gdzie pragniesz, droga stoi przed tobą otworem. Powiedz mi tylko, gdzie pojedziesz.

- Do Beaurevoir. Tam przebywa książę Jan, mój senior. Muszę prosić, aby mnie zwolnił od obowiązku walczenia z wami.

- Jedź... Pewno zobaczysz księcia Filipa. Powiedz mu, że Joanna Dziewica prosi go, by zaprzestał wojny z Delfinem. Niech zapomni o dawnych krzywdach i niech pamięta, że to Bóg chce, abym oddała Delfinowi jego królestwo.

- Powtórzę wszystko.

Kilku ludzi w długich szatach i nie rycerskiej, ale raczej mniszej postawy podeszło do Joanny. Coś mówili, o czymś starali się ją przekonać. Jeden z nich wyjął z zanadru pergamin i wskazywał nań. Dobięły Bolestę słowa „układy”.

Ale Joanna skoczyła, jakby ją ktoś ukropem sparzył. Gniew zapalił się w jej oczach. Gwałtownym stanowczym gestem potrząsnęła głową, a schwyciwszy podany pergamin i nagle przeszedłszy przez całą szerokość namiotu, błyskawicznym ruchem wydarła z rąk jednego z żołnierzy włócznię, po czym wbiła na jej ostrze cenny schemat wypracowanych pieczołowicie układów.

- Układy będą tu! - rzekła wskazując palcem na grot trzymanej włóczni.

Nie próbowano jej więcej namawiać.

Bolesta zaraz tego samego rana wyruszył w drogę na północ. Jechał w towarzystwie jednego tylko pachołka. Po drodze mijał wioski, gdzie go ciekawie wypytywano o losy wojny, i dziwił się, jak szybko sława Joanny rozprzestrzeniła się po kraju. Każdy o niej wiedział i każdy był ciekawy usłyszeć, jak wygląda, co robi, czy naprawdę zwycięża. Prawdziwe pielgrzymki włościan i pospólstwa ciągnęły pod Orlean, śpiewając pieśni pobożne i zanosząc modły za pomyślność młodej wybawicielki miasta. Wieści biegingy zaś tak szybko, że w parę dni zaledwie po odejściu Bolesty spod Orleanu dogoniła go już nowina o odstąpieniu Suffolka i Talbota od oblężenia.

Bolesta posuwał się wolno, bo w kraju wynędzniałym przez wojnę i złupionym przez Anglików trudno było o wszystko: o konie, o paszę, o żywność, o gospodę. Chowano się też przed nim, biorąc go za Burgundczyka, i dopiero po pewnym czasie, gdy poznano w nim cudzoziemca, ludzie wychodzili z ukrycia, częstowali jedzeniem i wdawali się w rozmowę. W wynędzniałych okolicach, wśród których grasowały choroby i uwijała się śmierć, wiadomość

o pojawieniu się Joanny nabierała specjalnego znaczenia i specjalnego posmaku. Tu nikt nie wątpił, że pasterka przybyła wprost z nieba w świętej misji wydobycia ludu z niewoli i nędzy. Problem, kto ma posiadać władzę królewską, był niewątpliwie dość obojętny dla przybitej morami i głodem ludności, byle tylko z kraju wynieśli się Anglicy, łupiący w okrutny sposób ludzi i dający się wszystkim swoim zachowaniem we znaki. Ale problemem, który kwitł i który próżno oczekiwał rozwiązania, był problem nędzy i głodu. I rzecz dziwna - Bolesta, który wprawdzie nigdy o tych sprawach nie myślał, gotów był twierdzić, że groza nowej wojny, zawisnąwszy nad ludnością, powinna budzić nowe obawy o nową depresję. Tymczasem nikt tu nie myślał i nie mówił o ofiarach, które niewątpliwie trzeba będzie ponieść w tej walce. Wszystko znikło i rozplynęło się w obliczu wiary, jaką żywił lud dla Joanny. Gdyby była zwykłym - choćby genialnym - wodzem, jakimś La Hirem, Potonem de Xaintrilles czy Dunois - nikt by się tym zbytnio nie potrafił przejąć. Nie ufano rycerzom. Lud skłonny był sądzić, że każdy z nich walczy jedynie dla swego dobra, dla swego interesu. I nie mylił się w swoim osądzie. Ale Joanna wyszła spośród nich samych. Była chłopką jak i oni, lecz mimo to umiała przewodzić panom i bić Anglików. Ludność była z niej dumna i ufała jej, a jednocześnie ufając jej wierzyła, że stał się jakiś cud, cud Boży, i że Joanna sama jest żywym cudem. Wraz z pojawieniem się lotaryńskiej pasterki na arenie dziejów dokonywać się począł głęboki proces przemian w społeczeństwie francuskim. Jeżeli w Polsce poczucie jedności wiążące rycerza i chłopca, mimo dwuwiekowego rozbitcia na dzielnice, wciąż jeszcze było żywe, to we Francji każde księstwo, każde niemal hrabstwo uważało się za samodzielną, autonomiczną jednostkę. Zabrakło mocnej ręki Ludwika IX, a ludność, zamknięta w okowach prawdziwych państw feudalnych, czuła się własnością swego pana. Poczucie wspólnoty zamarło i nie wskrzesiłaby go ani zwycięska wojna, ani imponujące zwycięstwa. Zbawienie musiało wyjść z tłumu, z tego właśnie tłumu, którego nic - zda się - nie wiązało z całością.

Dlatego też Joanna, stając na czele wojsk Delfina, zyskiwała sobie od razu tysiące zwolenników. Ona - dzięki temu, że była tylko pasterką - umiała zjednoczyć cały naród. Bolesta podziwiał patrząc i widząc, jak wszyscy zwracali w tej chwili oczy na Orlean. To miasto pozbawione strategicznego znaczenia, pozbawione swego władcy, który w Anglii pędził smutny żywot więźnia, miało stać się ogniskiem grożącym pożarem całemu krajowi. Pod Orleanem dochodziła do głosu wielka koncepcja państwowa Karola Wielkiego i Ludwika - i nie bez racji ich właśnie imionami rekomendowała się pasterka wobec Karola VII.

Pod Orleanem, pod oblany krwią „Wieżyczkami” przychodziła na świat inna rzeczywistość. Wielka misja dziejowa Francji nie skończyła się na zwycięstwach Karola

Młota i na krucjatach, ale po dwóch wiekach osamotnienia naród znowu miał usłyszeć głos Boży, wzywający go do nowej służby. Na wadze dziejów, która zawsze odważyć musi więcej zwycięstw niżli klęsk, zawczasu przygotowywała się przeciwwaga dla tragicznego brzemienia już wiszącego w powietrzu. Od gorącego popiołu konstancjeńskiego stosu miały się lada chwila zapalić nowe ognie. Ziarna przyszłych dramatów kiełkowały już w Niemczech i we Włoszech. Zbliżała się nowa epoka.

I ta nowa epoka wymagała od narodów służących Sprawie, aby się wzmocniły i wewnętrznie sprzęły. W obliczu wielkich wstrząśnień, gdy niebezpieczeństwo mocniej niż zwykle grozi światu, miłosierna Dłoń Boża i Wzrok Boży specjalnie mocno spoczywa na którymś z narodów. Serdeczną męką, ale i szczęściem jest ten wybór. Męką - bo naród wybrany musi się wykrwawić i wzrósć w swym cierpieniu i dojrzeć do zrozumienia i pojąć, że dla tego zrozumienia może nawet będzie zmuszony życie ofiarować. Takie jest prawo wielkich powołań, które nie ulega zmianie, czy powołany jest cały naród, czy tylko pojedynczy człowiek.

Joanna nie przyszła, aby ocalić Francję, bo narody, które są jeszcze potrzebne, nie giną. Nie mogą zginąć. Umiera tylko naród, który odmówił głosowi wzywającemu go pośród nocy. Ale Joanna przyszła do swego narodu z wezwaniem. Czyż można się dziwić, że taki był właśnie jej późniejszy los? Czyż inny był kiedykolwiek los proroków i wielkich budzicieli ducha? Nie tylko Izrael krzyżował i kamienował swoich zbawców.

Powołanie! Poprzez dłonie pasterki spłynęło ono na naród. Cóż stąd, że ona sama nie ujrzała zwycięstwa, a musiała się tylko zadowolić powierzchownymi i jakże mało istotnymi triumfami. Zwycięstwo, które osiągnęła, było zwycięstwem obumierającego w ziemi ziarna. Najbujniejszy kłos wyrasta zwykle na mogile męczenników.

Czy i drugi raz nie spłynęło powołanie na Francję? Głos proroków często bywa nie słuchany, szczególnie wówczas, gdy prorok przemawia z głębi klasztoru. Lecz powołanie narodu francuskiego zostało już chyba na zawsze związane z wcieleniem żywej kobiecości.

Głos powołania Bożego rozbrzmiewa po całym świecie. Gdzie się rozlegnie, tam naród musi wstać, iść i działać. Gdzie się rozlegnie, tam płaczą i modlą się królowie, tam chłopcy walczą z przeważającym wrogiem, tam hetmani zamykają swoim ciałem drogę pogaństwu, tam nieznany ksiądz umiera ćwiartowany żywcem przez dziką tłuszczę.

Bolesta tego wszystkiego nie mógł pojąć. Widział tylko, że coś się wokół niego zmienia i że ta wojna - na pozór nie mająca żadnego znaczenia - wojna - jak sądził - z fałszywym i bezprawnym kandydatem do tronu francuskiego zamieniała się w zjawisko, przerastające swym ogromem karle wymiary wojen secesyjnych. Jechał do Francji z

przekonaniem, że jedzie na jakąś krucjatę na małą skalę. Henryk V miał opinię najbardziej chrześcijańskiego z monarchów. Mały Henryk VI wychowywał się pod opieką biskupów, w Anglii, zaś pod wodzą kardynała Winchester formowała się nowa krucjata przeciwko husytom. Podczas gdy Francja częściowo popierała jeszcze następców antypapieża awiniońskiego, Anglia była zawsze wierna Rzymowi.

Nigdy więc nie przyszło do głowy Bolescie, że może przybywszy do Francji wziąć udział w jakiejś wojnie o charakterze religijnym, w wojnie, gdzie obie strony pretendować będą do miana lepszego chrześcijaństwa. Wprawdzie w rzeczywistości było to dla niego rzeczą obojętną. Jeżeli zerwał z ruchem husyckim, to przede wszystkim dlatego, że główny ciężar jego zagadnień życiowych przesunął się obecnie w dziedzinę spraw osobistych. Złamany przez śmierć syna, nie umiał oderwać myśli od tej tragedii. Czczył nadal pamięć Husa, ale o jego nauce jeszcze mniej obecnie wiedział, niż dawniej za czasu swego pobytu w Czechach. Hus był rewolucjonistą i jeżeli co porwało rycerza przede wszystkim, to właśnie nie nauka, ale rewolucyjna postawa wobec życia. Dziś jednak już się nie buntował i z nikim nie pragnął walczyć. Gdyby Paweł nie był zginął, być może walczyłby - i znalazłby dla siebie sens istnienia - w walce o Różę. Ale ta miłość zgasła na polu walki pod Niemieckim Brodem. Gdyby Katarzyna nie była oślepla, buntowałby się może przeciwko niej, ale nie odszedłby od żony. Nie mógł jednak patrzeć na jej nie widzące oczy, na jej dłonie szukające wciąż czegoś po ścianach. Przeciw czemu buntowałby się obecnie? Nie przykuwała go już do siebie niczym. Pękło czarodziejskie koło, w którym przez kilkanaście lat pozostawał. Był wolny... A jednocześnie nigdy się nie czuł aż tak związany.

Jadąc, bił się z myślami. Co będzie teraz robić? W Beaurevoir nie zostanie, bo tam jest Róża, a dla niego widok dawnej kochanki był zbyt przykry do zniesienia. Walczyć nie mógł, zaś bezczynne włóczenie się za armią wcale mu się nie uśmiechało. Gdzież więc pojedzie? Co ze sobą zrobi?

Poczuł, że pragnie śmierci, zaś ona spojrzała ku niemu zachęcająco i stanęła mu przed oczami rozkoszną zjawą nie kończącej się nocy bez snów i bez marzeń. Mocny sen kusił go i pociągał. Dlaczego nie miałby odejść? Któż mu stanie na przeszkodzie? Że grzech? Dawno już zdjął rękę z pulsów swych uczynków i przestał się przejmować, gdy ten bił zbyt mocno lub zbyt prędko. A zresztą i tak nie wierzy w swoje zbawienie. Czyż to jest możliwe, aby dostał łaski wybaczenia - on, cudzołózca, morderca, może heretyk? Bóg wprawdzie, jak zapewniali księża, jest miłosierny, ale jest rzeczą niemożliwą, aby miłosierdzie było wyświadczone człowiekowi, który rozmawiał z szatanem i obietnice mu różne dawał. Wprawdzie Bolesła nie był nigdy całkiem pewny, czy to spotkanie na drodze pod Konstancją miało kiedyś

rzeczywiście miejsce. Może był to tylko sen, który wyjątkowo mocno wżarł się w pamięć? Może. Lecz, z drugiej strony, stanowiło to rzeczywistość niewątpliwą, że we śnie czy na jawie zgodził się na propozycję diabelską, zaś układ między nim a szatanem został przez tamtego w jego części wykonany co do joty. Jeżeli zaś tak jest, to nie ma dla niego ratunku i przynależy już teraz do swego wybawiciela. Miał wprawdzie świadomość - równie może silną jak poczucie, że gdzieś w czasie układ między nim a szatanem został zawarty - świadomość, iż na polu walki pod Niemieckim Brodem opuścił go piekielny towarzysz. Poprzednio słyszał wciąż obok siebie jego kroki. Towarzyszyły mu one wszędzie z troskliwą pilnością. A gdy ucichły, Bolesta znalazł się jakby w pustce. W jego sercu otworzyła się nagle próżnia, bez skutku usiłująca coś w sobie wchłonąć. Nie było dla niej pokarmu, była tylko samotność gorzka pożądaniem innej istoty. I pod wpływem tego pożądania człowiek zapragnął, aby ktoś wreszcie przyszedł i zapełnił pustkę swoją osobą. Mniejsza z tym kto. Niech nawet wróci dawny towarzysz-kontrahent, niech przyprowadzi ze sobą siedmiu swoich towarzyszków - byleby wreszcie coś było, byleby wreszcie raz się skończyło to wyczekiwanie bez końca.

Lecz szatan nie wracał. On, tak szybki, gdy usłyszy pierwsze wezwanie człowieka, musiał się zatrzymać i okazać nieposłuszeństwo wobec ostatniego żądania swej ofiary. Tajemny łańcuch wzajemnych zależności splątał się w przestrzeniach międzygwiazdnych i kusiciel musiał czekać - z jakąż niecierpliwością! - na chwilę, kiedy się wreszcie rozplącze tamten węzeł.

Bolesta nie wątpił, że oddając się dobrowolnie w ręce śmierci oddaje się tym samym w ręce kusiciela. I nie bronił się. Ogarnęła go już rozpaczliwa, beznadziejna martwota, szary półmrok, stanowiący już jakby przedsmak czarnej nocy.

Czy nic już w tych cieniach nie świeci? Miał wrażenie, że jednak tak nie jest. Gdy spoglądał w siebie i szukał na gruzach rozbitego serca żywej istoty, natrafiał stale na jakiś kształt miotający się w mroku, jakby skuty ze swoim bolesnym losem, a przecież mimo własnej kaźni starający się jemu coś powiedzieć, na coś zwrócić uwagę.

Tamten człowiek męczył się okrutnie w mroku, a jego męka stawała się z kolei cierpieniem dla Bolesty. Próżno jednak usiłował coś wyczytać z załamania tych rąk, które wyciągała ku niemu tajemna głębia. Wiedział tylko jedno, że jeżeli jego serce opuścił szatan i jeżeli jego życie stoi wobec jakiegoś oczekiwania, którego sensu na razie nie rozumiał, ale które nie dawało mu ani o sobie zapomnieć, ani też się z życia wywikłać, to dzieje się to tylko pod wpływem tamtej, obcej męki. Chciał odejść a nie mógł - jak przechodzień, który stoi zapatrzony w uliczne zdarzenie i zapomina pod jego wpływem o tym, ku czemu zdąża. W

jego sercu szumiało coś jak piasek przesypujący się w klepsydrze. I ten czas uciekający był mu wyrzutem. Lecz cóż mu wyrzucił? Czy to, że nie odchodził? Czy może co innego?

Kołyszący stęp konia czyni umysł skłonny do rozmyślań. Wolno spływa droga i kładzie się białą wstęgą pod kopyta rumaka. Zieleń drzew i białe plamy domów nie rażą oczu, ale się dają nawlekać jak ziarnka na różaniec myśli.

Joanna... Joanna... To imię wciąż i wciąż powraca na usta rycerza, a przed jego oczami staje jej jeszcze dziecinną, lecz pełną wyrazu twarzyczka. Joanna... Czyżby uległ ostatniemu porywowi młodości? Nie... Dla tej kobiety, która go wzięła do niewoli, a przedtem dwukrotnie zwyciężyła, czuje tylko cześć i podziw. A jednak Joanna wtargnęła w jego życie swoją postacią i ona też utrzymuje je jakby w zawieszeniu. Bolesta nie może pogodzić się z poczuciem, że już jej więcej nie zobaczy. Gdyby mógł z nią jeszcze mówić! Ona tak dziwnie mówi, tak tajemniczo, a zarazem z taką pewnością siebie, jakby umiała patrzeć poza krąg niepojętego. To niemożliwe, aby była zwykłą kobietą, to niemożliwe, aby przez lat szesnaście żyła w otoczeniu krów, świń i baranów! Podobno rozmawia z jakimś głosem. Może sam Bóg daje jej polecenia, bo gdy potem rozkazuje - jej „chcę” ma siłę, której nie można się oprzeć.

Lecz jeżeli służy Bogu i jest Jego Mieczem - tak jak to sama powiedziała - to dlaczego chciała z nim, z wyklętym rozmawiać? To niemożliwe, aby nie wiedziała wszystkiego o nim, ona, która wie o rzeczach ukrytych. A jeżeli wie - co znaczy, że była dla niego łaskawa? Czyżby...?

Bolesta nie wie, co odpowiedzieć na pytania, które się same pchają mu na usta. Czuje jednak, że jakkolwiek jest, on musi jeszcze raz zobaczyć tę kobietę. Musi usłyszeć ją i zapytać się o rzeczy, których teraz nie pojął.

14.

Wypadki następowały po sobie obecnie z taką szybkością, że aż trudno było przyjąć je za rzeczywistość, a nie za jakiś gorączkowy sen, piękny dla jednych, tragiczny dla innych. Nie minął nawet miesiąc od zwycięstwa Joanny pod Orleanem, a już młoda pasterka odniosła cały szereg nowych triumfów. Suffolk, Talbot, Falstoff, zmuszeni przez nią do odstąpienia od Orleanu, zaprzysięgli jej krwawą zemstę, lecz ona jakby niepomna, że ma przed sobą trzech najdzielniejszych i najślawniejszych wodzów angielskich, sama szukała z nimi starcia. Suffolka dopadła w murach Jargeau i swoim zwyczajem zażądała naprzód, aby ustąpił. Dawniej dumny Anglik śmiałby się z patetycznego listu, który otrzymał, ale wiedząc, jak

bardzo są zdemoralizowani jego żołnierze, prosił o czas do namysłu. „Albo odstąpicie od razu - albo będziemy walczyć” - postawiła twarde warunki. Suffolk naturalnie nie ustąpił, a Joanna tegoż jeszcze dnia ruszyła do szturmu.

To oblężenie było też jednym z tych niepojętych zdarzeń, w które poczęła obfitować wojna od czasu, gdy na jej scenie ukazała się Joanna. Wbrew taktyce wojennej i zwykłej logice, szturm zaczął się przed samym wieczorem. Mało tego. Sam Suffolk widział, jak na głowę wdzierającej się na mury Joanny spadł głaz, zdolny zabić swym ciężarem co najmniej dwóch ludzi jednocześnie. Piękny hełm z bogatym pióropuszem rozleciał się na drobne kawałki, zaś młoda wojowniczką spadła z drabiny. Ale nie odniosła przy tym najmniejszej szkody i w chwilę potem z gołą głową wdarła się do wnętrza fortu. Suffolk, lękając się, że mógłby zostać jeńcem kobiety, pasował w zamęcie walki swego wroga Wilhelma Regnault na rycerza i oddał się w jego ręce. Jargeau wpadło w moc Delfina.

To wszystko opowiadał rycerz Warvin, który przed paroma dniami przybył na dwór Filipa prosto z pola walki. Siedział w izbie przy stole popijając wino, a otaczało go kilku rycerzy z orszaku księcia, między nimi Bolesta. Słuchali opowiadania tamtego, jak baśni o zielonym wilku, bo przecież to, co mówił, było tak nieoczekiwane i tak cudowne, że gdyby im wcześniej ten i tamten nie opowiadał o zwycięstwach Joanny, nigdy by Warwinowi nie uwierzyli.

- Nie do wiary! - powtarzali.

- Chyba kpisz z nas!

- Na cześć rycerską przysięgam, że nie zmyśliłem ani słowa. Ale poczekajcie, bo to, co wam teraz powiem, będzie jeszcze dziwniejsze. Więc kiedy Jargeau zdobyła pasterka, a Beaugency samo się jej poddało, ruszył Talbot z Falstoffem na pomoc załodze, która siedziała jeszcze w Neung. Ciągnęliśmy wielką armię, ale, jak pewno wiecie, Talbot nie lubi jazdy, a na łucznikach i kusznikach opiera całą swoją siłę, więc też nie szukaliśmy walki w otwartym miejscu, tylkośmy się wciąż oglądali za jakimś umocnieniem. Przyjechali gońcy z wiadomością, że Karolowi jadą wprost na Patay. Akurat na drodze był gęsty las, z podszyciem. Pojechaliśmy więc tam, a Talbot z Falstoffem uradzili, aby na jego skraju urządzić zasadzkę.

Stanęliśmy, o tak, patrzcie. Mój miecz - to skraj lasu. Tu, koło rękojeści, Talbot stanął z łucznikami, umocniwszy stanowiska kołkami i faszyną. Zaś Falstoff wjechał z jazdą w las i tam czekał, bo miał odegrać rolę przynęty.

Koło południa zobaczyliśmy na drodze słup kurzu, a zaraz potem ukazali się Karolowi. Zdziwiłem się, bo ich było niewielu i na pomoc na pewno nie liczyli, nawet tylu,

co Anglicy. Siedzimy i patrzymy zza drzew co będzie, ci zaś prosto walą do lasu, nawet się nie oglądają. Byliby pod same strzały nadjechali, gdyby nagle z zagajnika jelen nie wyskoczył i uciekając do lasu nie wpadł między ludzi Falstoffa. Ci zaczęli krzyczeć, co usłyszał nieprzyjaciel. Rozwinęli się. Wypatrywałem tej pasterki, alem jej nie mógł zobaczyć, poznałem tylko La Hire'a po cyzelowanej zbroi.

Wyjeżdża tedy Falstoff naprzeciw tamtych, a miał na nich uderzyć, potem zaś cofnąć się, zmuszając Delfinowych, aby go gonili. Goniąc, na pewno weszliby pod strzały piechoty. Wyjeżdża więc Falstoff ze swoimi, a już widzę jak tamci, La Hire'a nie czekając, na nich rozpuszczają konie w cwał. Widać od razu, że im ani zasadzka w głowie. Konie pędzą, kurz się okropny podnosi, aż nagle spostrzegli, że Anglicy nie czekając starcia zawracają do tyłu. I w nogi! Ale gdzie? Prosto na nas, cośmy stali z łucznikami. Wrzeszczą: „Czarownica! Czarownica!” A zaraz potem: „Ratuj się, kto może!” Zapomnieli o zasadzce i o swoich, ale prosto walą na płoty z faszyny. Łucznicy całkiem zbaranieli i też rzucają się do ucieczki. Talbot wściekły chciał ich zatrzymać, ale mu się koń zwinął, upadł i przywalił go.

Teraz dopiero nastąpiła straszliwa walka: istny koniec świata. Czy wiecie, że Falstoffowi tratowali łuczników, żeby ci ich nie zatrzymywali w ucieczce, rąbali z góry mieczami? Sam Falstoff, czerwony jak własne włosy, cwałował z gębą wykrzywioną strachem i tylko krzyczał: „Goni! Goni!” Połamano płoty, zwalono działa, rozproszono piechotę. A wtedy dopiero wjechali na nas tamci. Strach powiedzieć: żaden Anglik się nie bronił, wystarczyło zaś, żeby ktoś krzyknął: „Czarownica!”, aby ludzie rzucali się na ziemię, zakrywszy twarz płaszczem, lub skomleniem błagali o litość. Mnie ktoś postrzelił, spadłem z konia i dostałem się do niewoli...

- Straszne!

- I co dalej? Co dalej?

- Co dalej? Pokazało się, że tej Joanny w ogóle nie było na placu. Przyjechała dopiero później, z resztą wojska, bo ci, co Anglików rozbili, to była tylko straż przednia pod wodzą La Hire'a. Falstoff uciekł. Talbota przyprowadzono w więzach, a razem z nim całą masę jeńców. Patrzyłem na Anglika. Był blady, ale nie chciał po sobie pokazać, że go złość aż dławi! Podjechał do nas La Hire, podparł się pod boki i pyta: „Co, nie myśleliście pewnie, że dziś będziecie w mojej mocy?” Nikt z nas nie chciał mu odpowiedzieć, tylko Talbot warknął, ale takim głosem, jak pies, gdy chce gryźć: „Taki jest los wojny. Dziś my - jutro wy”. Przyjechała potem Joanna, na nas jednak nawet nie spojrzała. Dziwna ona jest. Cały czas zajmowała się jakimś rannym Anglikiem, - i to nawet nie rycerzem, lecz zwykłym

kusznikiem. Wyciągnęła go sama spod konia, obmyła mu głowę. Nie dałbym szyi, czy nad nim nie płakała...

- Tak samo zachowywała się podczas oblężenia Orleanu - rzekł Bolesta.

- Dziwne to jest wszystko. Ale trudno uwierzyć, że ta kobieta ma w sobie szatana.

- Ale dlaczego ma mieć w sobie szatana? - rzucił tonem wyzwania młody rycerz imieniem Martin Le Franc. Znano go na dworze z wierszy, które umiał z wielką zręcznością składać.

- Gdyby szatan w niej nie mieszkał, nie potrafiłaby tak wszystkich zwyciężać. Zastanówcie się sami przecież: czyż to możliwe, aby zwykła kobieta mogła to uczynić, co ona uczyniła? Mamy wielu wodzów, ale gotów się jestem założyć, że żaden z nich nie potrafiłby w taki sposób rozbić w jeden miesiąc całej armii angielskiej.

- Całej jak całej. Bedford nie jest jeszcze zwyciężony.

- Ale nie ma ani wojska, ani zapasów, ani wódza. Falstoffowi odebrał dowództwo i słusznie - bo ten dostaje drzączki na jedno słowo o Joannie.

- Kardynał Winchester ma mu przysłać pomoc.

- I wyście o tym słyszeli? Tak, to prawda. Kardynał powierza regentowi całą wyprawę krzyżową, która się przygotowywała w Anglii przeciwko husytom.

- A ja wam powiadam - upierał się Le Franc - że tę Joannę sam Bóg prowadzi.

- Mówicie rzeczy nie podobne do prawdy? Bóg? Skąd! Gdyby Bóg chciał kogoś sobie wybrać, nie szukałby pasterki na polu z krowami i z baranami. Darujcie - ale to by ubliżało Jego godności. Byle dziewczka, która się cały dzień babrze w nawozie, zwykła chłopka, do tego nie mająca jeszcze lat szesnastu. Nie, nie, mylicie się.

- Zresztą, cóż może dobrego pochodzić z Lotaryngii?

- Czy myślicie, że pośród pospólstwa nie może być świętości?

- Och, dziwne pytanie. Bronicie tej kobiety tak, jakby ona nie z nami walczyła. W gruncie rzeczy świętym może być podobno każdy. Ale cóż to za święty, który zliczyć do pięciu nie potrafi, albo nie ma pojęcia o genialnym poglądzie na ruch ciał niebieskich Ptolemeusza? A zresztą pomyślcie: jak mogą myśleć o Bogu ludzie, którzy przez cały dzień starają się tylko o zapełnienie swego brzucha? Uczony, mnich, ksiądz - to co innego...

Starano się przekonać Le Franca, że się myli, ale ten uparcie sprzeczał się ze wszystkimi. Tylko Warvin i Bolesta milczeli. Oni dwaj jedynie spośród obecnych widzieli z bliska Joannę. I to spotkanie z niepojętą pasterką sprawiło, że nie mogli teraz zabrać głosu w sporze o to, przez kogo była inspirowana. Woleli nie mówić nic. Bo obu im się zdawało, że spór, który się toczy przy stole, dotyczy tylko słów, a tam daleko w okolicach Orleanu

rozgrywają się wypadki wyrażające pewną rzeczywistość. Rzeczywistość konkretną, tak że nie może istnieć inny do niej stosunek, jak tylko przyjęcie jej lub odrzucenie.

Do izby wszedł mały pacholik i przez chwilę niepewnie rozglądał się po rozmawiających, jakby kogoś szukał. Wreszcie spostrzegłszy Bolestę podszedł do niego.

- Miłościwa księżna was wzywa, rycerzu.

- Róża - przebiegło mu przez głowę. Z niechęcią dźwignął się od stołu i poszedł za chłopcem. Szli przez korytarze i krużganki książęcego pałacu w Beaugency, gdzie obecnie bawił także i książę Jan Luksemburski z małżonką, Filip bowiem zebrał wokół siebie wszystkich swoich stronników, licząc się z tym, że będzie w końcu musiał przyjąć decydującą postawę w toczącej się wojnie.

Pacholik pchnął jakieś drzwi i Bolesta wszedł do niewielkiej izby. Było tam mroczno, ponieważ długie i wąskie okno zamknięto, zaś światło z trudem tylko przesączało się przez grube pałki szkła osadzonego w ramach przypominających z daleka wielki plaster miodu. Znany tak dobrze zapach jakiegoś pachnidła czepiał się ścian, gzymsów, dywanów. Bolesta miał przez chwilę wrażenie, że znalazł się znowu w lubelskim zajeździe, w tym samym, w którym niegdyś zdobył Różę. Ale emocje, których wówczas zaznał, były mu obecnie tak bardzo obce. Nie był już tamtym człowiekiem.

Pacholik wyszedł, więc rycerz oczekując, aż go wezwą, chodził tam i z powrotem po sali. Nagle usłyszał za sobą kroki, ale zanim się zdołał odwrócić, poczuł na szyi ramiona, które go ogarnęły namiętym uściskiem. Odruchowo, niemal automatycznie ujął dłonie kobiety i lekko je zgniótł w swoich dłoniach, lecz jednocześnie z całą trzeźwością stwierdził, że uścisk Róży zbyt długo już trwa i mógłby się wreszcie skończyć.

- Nareszcie przyszedłeś... - posłyszał.

Patrzyła mu prosto w oczy spojrzeniem, które płonęło. Usta jej lekko drżały. W postawie kobiety było jakieś omdlenie i pociągająca bezsila.

- Wezwałaś mnie...

- Nie mów nic - szepnęła.

Umilkł, a kobieta nie przestawała się weń wpatrywać wzrokiem, który gorzał. Bolesta poczuł się skrępowany. Ten wzrok mówił mu tak wiele, tyle rzeczy obiecywał. A przecież obojętna mu była mowa oczu Róży i nie zależało mu wcale na obietnicach, których się mógł w tym spojrzeniu doczytać. Zaprzagnął za wszelką cenę coś powiedzieć, coś, co by zakłóciło ciszę, która między nimi powstała i drażniąco długo się przeciągała.

- Przecież widziałaś mnie przedtem. A nie rozmawiałaś...

Pragnął mieć nad nią przewagę. Ale ponieważ doznawał wrażenia, że ona odczytuje na jego twarzy tę obojętność, która zagościła w jego sercu, dążył do tego, aby jej nie pozwolić na stawianie sobie zarzutów. Był pewien, że gdyby zapytała: „Dlaczego mnie już nie kochasz”, nie umiałby może odpowiedzieć „dlaczego”, ale musiałby wyznać - a choćby nie wyznał, musiałby się zdradzić z tym, że jej już nie kocha. Wolał więc twierdzić, że to ona się zmieniła i że to ona jest winna jego obojętności. Mówiąc tak, odsuwał od siebie możliwość zapytania z jej strony.

Ale ona nie próbowała się bronić. Atakowała go natomiast tym, wobec czego był zawsze najbardziej bezbronny - mianowicie oddaniem. Nagłym ruchem przytuliła się do jego ręki i po raz drugi poprosiła:

- Nie mów nic... tak lepiej...

Chwile mijały. Bolesta czuł całą fałszywość sytuacji, a przecież litość, jaką czuł dla tej kobiety, a także wrodzona delikatność nie pozwalały mu nagłym gestem skończyć z całym tym kłamstwem. Przeciwnie - począł nawet - złoścąc się zresztą na to w duchu - zadawać sobie trud okazywania jej swej wzajemności. Ujął jej dłoń w swoje dłonie i lekko ścisnął. Bezmyślnym gestem pogładził długie, białe palce kobiecej ręki.

- Są takie, jak były... - rzekł, siląc się na miękki ton głosu. Ale nie śmiał spojrzeć w oczy Róży.

I znowu stali w milczeniu, a ta cisza, tak naturalna i częsta między zakochanymi, obecnie wydawała mu się czymś niepokojącym. Chciał ją przerwać, ale równocześnie nie chciał zrazić kobiety. Lękał się, że za chwilę stanie znowu przed nimi groza rozstrzygającego pytania, i z prawdziwie męską tchórzliwością wolał od siebie tę ostateczność oddalić.

- Byłaś taka obca, gdym cię poprzednio widział. Myślałem aż, że chcesz zapomnieć...

Znowu to on mówił, wciąż pchany tym jednym pragnieniem, aby wszelkie pytania spędzać z warg kobiety, a ją zmusić jedynie do tłumaczenia się.

Przemogła się. Zrozumiała, że póty ją będzie dręczyć słowami, aż wreszcie zgasi ciszę, której tak łaknęła. Lecz na to nie było rady.

- Nie mogłam być wtedy inna. Musiałam mu przecież okazać, że jesteś dla mnie całkowicie obojętny. Zresztą toś ty odszedł ode mnie pierwszy.

Rozgniewało go to, że teraz ona próbuje go obwiniać, a on nie może zadać jej równie mocnego ciosu. Dałby dużo, aby wiedzieć, że ona o nim zapomniała i że gdzie indziej znalazła sobie pociechę. Nie miałby o to do niej wcale pretensji. Byłby jej nawet wdzięczny, gdyby mu mogła dostarczyć dowodu zdrady ich miłości.

- Wyszłaś za męż...

- Wtedy, kiedyś ty mnie porzucił.

- Ale nawet nie czekałaś! Wtedy musiałem odejść, chyba sama rozumiesz. Lecz potem...

Wstrzymał się nagle w swym kłamstwie, przestraszywszy się, że mógłby się w nie zbyt łatwo uwikłać. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że Róża nie miała wówczas na co czekać. Już pod Niemieckim Brodem skończyło się wszystko. A jeszcze później, gdy Katarzyna oślepla, najbardziej płomienny kochanek uwierzyłby w koniec ich miłości. Postanowił obrócić wszystko w żart.

- Jesteś teraz wielką panią. Księżną.

Spojrzała mu w oczy spojrzeniem, w którym drgał ból.

- Mówił mi niegdyś Zawisza, że jesteś bardzo nieszczęśliwy. Ja też - przełknęła z wysiłkiem ślinę - nie jestem szczęśliwa. Wtedy napisałam do ciebie. Sądziłam, że jeżeli zejdą się dwa nieszczęścia, to może razem, ze sobą...

Urwała, zaplątawszy się w słowa.

- Myślałaś, że dadzą w sumie szczęście. Czy tak?

Tym razem był dla kobiety bezlitosny.

Puściła jego rękę i schyliła głowę. Cicho, ledwo dosłyszalnym szeptem rzekła:

- Wiem, że wszystko się skończyło.

Znowu nie znalazł w sobie dość odwagi, aby potwierdzić jej słowa. Wbrew sobie, wbrew wyrazowi własnej twarzy, począł dowodzić, że tak nie jest. Pamięta doskonale każdą tamtą chwilę. Ale obecnie sytuacja, która się wytworzyła na skutek jej małżeństwa, utrudnia im powrót do dawnej zażyłości. Zresztą może tylko chwilowo.... Nie, nie umiał postawić sprawy na ostrzu noża.

Róża chwyciła go na nowo za rękę, a w oczach jej zapłonął ogień nadziei. Cóż za łatwowierność! Wolałby, aby mu nie ufała, aby zrozumiała, że kłamie tylko z litości dla niej. Jak jej wyjaśnić, że nie powinna ufać jego słowom.

- Zresztą możemy być przecież dobrymi przyjaciółmi. Cóż chcesz - mam przecież swoje lata. I patrz, jestem już całkiem siwy. Mógłbym być twoim ojcem.

- W Lublinie nie mówiłeś mi tego.

- To było dawno. Prawie dziesięć lat temu.

- Uważasz może, że to jest śmieszne, gdy ludzie w naszym wieku kochają się?

- Cóż znowu? Ty jesteś przecież młoda. Życie jest przed tobą. Miłość...

- Zapomniałeś już, jak widzę, o własnych słowach. Mówiłeś kiedyś: chciałbym, abyśmy byli oboje starzy, bo wtedy bym ufał, że mi nikt ciebie nie odbierze. A teraz mnie każesz czekać na to, co mi życie przyniesie. Kochać, cieszyć się....

- Rózo!

Zakryła twarz rękoma. Płacz wstrząsnął jej ramionami.

- Rózo - ujął ją delikatnie za ramię - jeżeli to mówię, to tylko ze względu na ciebie. Nie chciałbym, abyś czuła się ze mną związana. Kochasz mnie. Ja ciebie też. Ale dzielą nas lata. Lata, które ze mnie zrobiły starego całkiem człowieka. A ty masz męża...

Zrobiła beznadziejny ruch ręką.

- Tak jakbym nikogo nie miała.

Nieświadomie zdradziła się z tajemnicą swego pożycia z Janem. Ogarnięty żądzą zdobycia bogactw, których nigdy nie posiadał, księżę coraz mniej zajmował się żoną i swoim życiem małżeńskim. I w miarę, jak sprawa uzyskania dóbr po księżnej de Ligne postępowała, on, jakby ogarnięty gorączką, tylko jej poświęcał cały swój czas, chwilami zapominając w ogóle o istnieniu Róży.

Nie mógł nie objąć jej ramieniem i nie przycisnąć do piersi. Czuł, jak poddaje się całym ciałem jego dotknięciom.

- Rózo - mówił - przecież wiesz... że ja zawsze...

Przycisnęła mokry od łez policzek do jego twarzy. Znowu chwile płynęły rozpaczliwie wolno. Nie mógł znieść ich powolnego tempa. Musiał przerwać tę ciszę.

- Chodź... - podprowadził ją do fotela i pomógł usiąść - spocznij. Porozmawiamy spokojnie.

Skinęła potakująco głową i uśmiechnęła się przez łzy, nie wypuszczając jego ręki ze swoich dłoni.

- No, nie płacz, proszę. Powiedz mi... Powiedz, coś robiła przez te lata. Przecież nic o tym nie wiem. Straciłem cię z oczu od wyjazdu do Czech. Potem powiedział mi Zawisza, że wysłaś za męża.

- Byłam na dworze królowej. Później przyjechał Jan. Opowiadał o walkach z Czechami i o tym, że Zawisza w niewoli. Widziałam, że wciąż na mnie patrzy. Kiedyś lubiłam go nawet, ale gdy ciebie poznałam, stał mi się od razu obojętny. Starał się mówić ze mną. Czułam to, więc go unikałam. Bawiliśmy się tak dość długo w kota i myszkę. Potem nagle przyjechał Zawisza. Wiesz, nie poznałam go wówczas. Był jakiś zmieniony, wychudły, bez humoru. Myśleliśmy początkowo, że to z powodu wstąpienia Jadwigi do zakonu. Pamiętasz ją pewno? Jeszcze od czasów pobytu w Konstancji Zawisza lubił z nią stale

przestawać, gdy tylko był na dworze Zygmunta. Ale kiedy go ktoś o to spytał, przyznał, że już dawno wiedział o jej postanowieniu. Pewnego dnia zaczął ze mną rozmowę. Powiedział o tobie... o Pawle.... o twojej żonie... Gdy płakałam, pocieszał mnie. Wtedy zrozumiałam, że nie mam na co czekać.

- W gruncie rzeczy słusznie uczyniłaś, Rózo.

- Nie miałam wyboru. Lata moje upływały. Zaczęto dziwnie patrzeć na mnie na dworze.

- Wiem. Rozumiem cię.

- Ale o tobie nie zapomniałam. I jak tylko dowiedziałam się od Zawiszy, że jesteś nieszczęśliwy, zaraz kazałam do ciebie napisać.

- Jestem ci wdzięczny.

- Ale ty...

- Cóż ja?

Szukała słów.

- Mam wrażenie, jakbyś mnie już nie kochał.

Oczekiwane zdanie wreszcie padło. Ale nie było postawione w formie pytania, za którym kryje się żądanie natychmiastowej odpowiedzi. Może Róza także nie chciała poznać prawdy, którą przeczuwała.

- Ależ... Ludzie starzy jak ja nie potrafią się zmieniać. Pomyśl: mam już pięćdziesiąt osiem lat. Byłem ci zawsze wdzięczny, żeś chciała na mnie zwrócić uwagę. Przecież byli młodszy.

Nagle zmieniła temat.

- Cóż to za kobieta ta pasterka, która walczy z Anglikami? Podobno ją widziałeś?

Wzruszył ramionami.

- Trudno o takiej kobiecie coś powiedzieć. Właściwie to dziecko. A jednak dokonuje rzeczy, których wielu dojrzałych mężczyzn nie umiałoby dokonać.

- Opowiedz, jak wygląda.

- W bitwie walczy jak rycerz. Sama wdziera się na mury i nie opuszcza pierwszego szeregu. Choć nigdy nie widziałem, aby kogoś zabiła czy nawet raniła.

- A poza bitwą?

- Pytasz, jak wygląda? A więc wysoka, postawna, niebrzydka. Mówi rzeczy bardzo ciekawe, choć widać po niej, że się nigdy niczego nie uczyła.

- Czy bardzo piękna?

- Jak ci powiedzieć? Chyba dość piękna... Lecz czemu się o to pytasz? Rózo! Czyżbyś... Ależ to nie ma sensu!

- Nienawidzę jej!

- Nie bądź dzieckiem. Skądże znowu ona. Zwykła pasterka. Prosta dziewczyna bez żadnej ogłady. Zamieniłem z nią nie więcej jak dziesięć słów.

- A wciąż tylko o niej mówicie. Usta wam się nie zamykają: Joanna, pasterka, dziewica, czarownica - czy ja wiem jak ją jeszcze nazywacie?

- Zastanów się. O czym ty mówisz? Rozmawiamy o wojnie, a ta kobieta jest naszym przeciwnikiem.

- Nie jest twoim przeciwnikiem, bo nie chcesz z nią walczyć. Nie wypierał się. Wiem, że prosiłeś męża, aby cię zwolnił od obowiązku służby wojskowej.

- Nie wypieram się. Prosiłem. A wiesz dlaczego? Dlatego, że gdybym nie złożył obietnicy, iż nigdy już z tamtymi walczyć nie będę, gnębym w tej chwili gdzieś w lochu u jakiegoś La Hire'a lub Dunois.

Tupnęła.

- To nieprawda! Zwodzisz mnie, bo nie chcesz z tamtą kobietą walczyć.

- Ależ na honor...

- Nie kochasz mnie już. Prawda? No powiedz.

Stało się.

- Rózo...

- Nie mów nic. Zabiję się. Będziesz winien mojej śmierci.

- Posłuchaj. No, proszę cię, chciej posłuchać. Nie mogę walczyć z tamtymi, bo dałem rycerskie słowo. Ale... dam ci słowo, że... że cię kocham. Wierzysz mi chyba teraz. Powiedz, czy mi wierzysz?

Chwytała szybko powietrze otwartymi ustami jak dziecko, które długo biegło, aż się zadyszało. Nie mogła nic odpowiedzieć, tylko skinęła głową. On zaś, choć był zły na siebie za swoje kłamstwo, poczuł niespodziewanie dla kobiety tkliwość. Ostatecznie, choć jej nie kochał, była przecież wciąż jeszcze wspaniałym ciałem, które mogło mu dać zapomnienie. Dlaczego nie miałby zagrać tej ostatniej stawki, gdy i tak niczego nie oczekiwał już w życiu. Tylu ludzi zapomina o bólu w uścisku kobiety. On zawsze wyrzekał się dotąd rozkoszy, która się nie opierała o miłość. Ale teraz sam los poddawał mu rozwiązanie, sam los przychodził mu z pomocą. W jego życiu pojawi się hazard i nada mu sens oraz smak. Nie jest wprawdzie młody, ale cóż to szkodzi? Za iluż to mężczyznami nie młodszymi od niego szalały kobiety?

Kiedyś, gdy był jeszcze młody i żył mając Katarzynę obok siebie, żywił w głębi serca przekonanie, że żadna kobieta nie poszłaby za jego głosem. Ale obecnie wszystko się zmieniło. Jak jedna kobieta skrywała mu cały świat, tak jedna kobieta umiała mu go otworzyć. W oddaniu Róży znalazł pewność, że wystarczy mu skinąć, aby każda kobieta rzuciła mu się w ramiona. Naturalnie ta wiara powstała w nim wówczas, gdy umarła miłość. Pewność daje człowiekowi tylko obojętne spojrzenie na świat. Zakochany nigdy nie jest pewny, zawsze żywi tysiące obaw.

Pochylił się nad kobietą i nagle chwycił ją w ramiona. Zdawał sobie z tego sprawę, że ona poddaje się miękko jego dotknięciom, ale nie odpowiada na nie namiętym wybuchem, jak niegdyś tam, w Lublinie. Była zbyt zaskoczona zmianą, jaka zaszła w Boleście. Nie śmiała może wierzyć, że naprawdę do niej powrócił.

Dotknął ustami jej ust. Miękkie wargi kobiety usuwały się spod nacisku jego warg. Fala krwi uderzyła mu do głowy. Podniósł ją z fotela i przycisnął do siebie. Dawno już zapomniany dreszcz przebiegł go od stóp do głowy.

Nagle poczuł, że kobieta sprężyła się w oporze. Przez chwilę musiała go szarpać za rękę, zanim zorientował się, o co chodzi, puścił ją. Ktoś pukał do drzwi.

Odsunęli się od siebie, przyglądali zwichrzone włosy. Wszedł pacholik, który przedtem wprowadził Bolestę.

- Czego chcesz? - spytała Róża.

- Księżę pan szuka szlachetnego rycerza Napory.

Bolesta skłonił się przed Różą.

- Pozwólcie, pani, że udam się do księcia.

- Idźcie, rycerzu.

Podążyła mu rękę i nieznacznie, ale silnie ścisnęła jego palce. Oddał prędko uścisk. Krótka chwila wystarczyła, aby się wpiła boleśnie paznokciem w jego rękę.

- Dziś wieczór... przyślę chłopca... - szepnęła pośpiesznie.

Wszedł i znowu kroczył przez krużganki i korytarze za malcem. Serce, które przed chwilą gwałtownie biło w piersi, z wolna uspokajało się. Poczynał myśleć trzeźwo, bez podniecenia. Rozwagał.

To, co się stało, było, jak sądził, jedynym możliwym zakończeniem ich rozmowy. Rozwiązaniem niewątpliwie nie najlepszym. Jeżeli on zdawał sobie z tego sprawę, że może znaleźć w tym nowym swoim stosunku do Róży pewne zadowolenie, a jeżeli już nie zadowolenie, to przynajmniej zapomnienie, kobieta nie będzie póty zadowolona, póki nie

uzyska pewności, że Bolesta ją kocha. Takiej zaś pewności zyskać nie może. Powstać gotowy między nimi rozdzwięk, który stanie się przyczyną nowych kłopotów.

Róża wskazała mu, gdzie może szukać zapomnienia. Radę przyjął, gdyż wydała mu się dobra i słuszna. Ale samą Różę jako taką chętnie by pozostawił na boku, poza sferą swych zainteresowań. Więc może lepiej wyjechać? Może lepiej teraz, gdy z wojny tutaj już nic dla niego nie przyjdzie, powrócić do Zawiszy i razem z nim szukać przygód i zabaw po obcych dworach? Sławny rycerz na pewno go ze sobą weźmie, a Boleście po raz pierwszy wydało się, że mógłby sobie upodobać takie życie, wpływające między sukcesem na podwórku turniejowym a sukcesami u dwórek i pań.

Jeszcze snuł przedziwo swoich myśli, gdy nagle otwarto przed nim drzwi i stanął przed Janem. Książę chodził po swojej izbie mimo ciepłego dnia w objanym futerkiem płaszczu i futrem obszytej czapce. Skinął życzliwie głową rycerzowi. W izbie oprócz ich dwóch był tylko pisarz książęcy Pasquier.

- Siadajcie - rzekł książę - mam wam do zakomunikowania pewną nowinę.

Bolesta usiadł na wspaniale wyściełanym karle, Jan zaś chodził wciąż po izbie, widać przejęty tym, co miał do powiedzenia.

- Czy wiecie - zaczął - że „królik z Bourges” ukoronował się w Reims?

- Niemożliwe!

- Niestety, zupełnie możliwe. Po rozbiciu Talbota pod Patay nic już nie stało na drodze Karolowi, mógł więc bezkarnie wkroczyć do Reims. Po drodze przyjął hołd od Troyes. W Reims odbyła się koronacja, na którą nie omieszkało nawet zaprosić księcia Filipa. Pojmujecie chyba całą bezczelność tych ludzi. Ta dziewczyna, której Karol oddał dowództwo swoich wojsk, napisała nawet do niego jakiś list, wzywając go, by przeprosił króla. Jej króla!

Bolesta milczał. Ostatecznie nic go to wszystko nie obchodziło. Nie powinno było obchodzić. A jednak czuł, że każda rzecz, która się wiązała z osobą Joanny, jest mu dziwnie znajoma, nieomal bliska.

- Rozumiecie, że teraz - ciągnął Jan dalej - Karol się nie zatrzyma, ale uderzy na Paryż. Byłby głupi, gdyby nie zechciał wykorzystać swojej sytuacji. Bedford jest bez wojska, w Paryżu zaś setki zwolenników Karola czekają tylko, by podnieść otwarty bunt. Myślę, że Anglicy teraz dopiero spostrzegli, co to znaczy lekceważenie tak dzielnego sprzymierzeńca, jakim jest książę Filip. Dziś bawiło na zamku poselstwo od Bedforda. Anglicy zapraszają księcia do akcji. Zdaje się, że gotowi mu nawet oddać Paryż, byleby tylko im umożliwił

swoimi siłami sprowadzenie króla Henryka do Francji i tu ukoronowanie go koroną św. Ludwika.

Jan przerwał, zaś Bolesta skinął głową na znak, że rozumie sytuację. Ale w gruncie rzeczy nie wiedział, po co mu to wszystko książę mówi.

- Zbliża się chwila - zaczął znowu Luksemburczyk - gdy Anglicy zaczną nas prosić o wyświadczenie im różnych drobnych przysług. Otrzymałem przed chwilą od księcia Filipa polecenie, abym się udał do Paryża celem nawiązania rokowań z Bedfordem. Znając waszą roztropność, chcę się spytać, czy chcecie jechać ze mną. Zaznaczam, iż na poznaniu Anglików można wiele skorzystać. Wprawdzie przyrzekliście słowem rycerskim nie walczyć z Karolowymi, ale to nie jest przecież walka. No, jakże, zgadzacie się?

W pierwszej chwili chciał Bolesta od razu podziękować księciu. Słuchając słów Jana, coraz mocniej upewniał się w postanowieniu wyjazdu. Wróci do Garbowa, będzie jeździć z Zawiszą. Ale nie chciał zrażać księcia nagłą odmową. Ostatecznie Jan był dla niego łaskawy i pomógł mu w chwili ciężkiej. Wolał więc sprawę załatwić inaczej. Rzekł:

- Dziękuję serdecznie, książę, za tę propozycję, z której chętnie bym skorzystał, nie wiem jednak, czy mi na to zdrowie pozwoli. Ostatnimi czasy czuję się nietego. Dawne rany dokuczają i wiek także poczyna mi już ciążyć. Pozwólcie, że się rozliczę z siłami, i wtedy dam wam odpowiedź.

- Naprawdę źle się czujecie? Nie wyglądacie na to. Lepiej wyglądacie niż ja, choć od was młodszy. Ale nie chcę was przymuszać. Odpowiedzcie mi później, tylko koniecznie dziś, bo czas ucieka i muszę wcześniej wiedzieć, kogo ze sobą zabiorę.

- Dziś odpowiem...

- Aha, jest też pismo do was. Przywiózł je goniec z dworu królewskiego z Budy.

- Pismo?

Od kogóż mogło być? Przez dłuższą chwilę Bolesta na próżno szukał w pamięci człowieka, który by do niego mógł pisać. Dopiero przypomniał sobie Zawiszę. No, na pewno, tylko on.

Złamał pieczęć, rozwinął rulon. Litery sterczały ku górze ostrymi kantami, to grubo pisane, to znowu cienko, obciążone wymyślnymi zakrętami. Rycerz spojrzął ku pisarzowi i poprosił księcia, aby pozwolił Pasquierowi przeczytać przysłany list. Pisarz dłuższy czas patrzył na litery i drapał się w czoło, bo chciał naprzód poznać myśl człowieka, który list pisał, aby potem nie dukać po słowie, jak ten, który nie umie czytać. Wreszcie zaczął:

„W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Szlachetnemu rycerzowi Boleście zawołania Napora pozdrowienia...”

- Kto podpisany? - przerwał zaintrygowany Bolesta.

- Jakiś Martinus.

To chyba najstarszy syn Zawiszy. Ale dlaczego wielki rycerz nie pisze sam? Niecierpliwie skinął ręką, chcąc prędzej rozwikłać zagadkę listu.

- Czytajcie, proszę.

„Donoszę wam o wielkiej bitwie, którą stoczył miłościwy król Zygmunt z niewiernymi Saracenami pod Gołubcem. W bitwie tej jednak Wszechmogący Bóg nie darzył pomyślnością naszemu orężowi, ale pozwolił, aby ohydne pogaństwo nad nami triumfowało. Widząc przeważające siły wroga, król pan postanowił cofnąć się za rzekę Dunaj, a rodzic nasz, uważając, iż w ucieczce tak sromotnej sława jego rycerska mogłaby ucierpieć, zawrócił i samotrzeć ze mną i z jednym z rycerzy uderzył na wroga...”

Tak było zawsze - myśli Bolesta. - Czemu Zawisza tak ślepo wierzył Zygmuntowi? Krzyżowiec z ducha i z pragnień, choć tyle razy zawiódł się na starym komediancie, wciąż jeszcze liczył, że Zygmunt potrafi obudzić z uśpienia wielką epokę krucjat. Trwał wiernie przy Luksemburczyku i nie potrafił go od niego oderwać nawet wyrok wrocławski, nawet spiski w Brzeczisławie, nawet buntowanie Witołda, nawet schlebianie Krzyżakom. Trwał, a trwając wciąż tylko zasłaniał sromotne ucieczki niedoszłego cesarza Rzymu. Pod Nikopolis, pod Niemieckim Brodem, pod Gołubcem.

- „Lecz i Herkules - czytał dalej Pasquier - nie zmógłby tej ómy, która się na nas rzuciła. Zwalono nas i ujęto. Potem powleczono przed jakiegoś Paszę, który nas kazał zamknąć każdego osobno w lochu zdobytego zamku. Siedziałem w tym zamknięciu wiele dni, póki wreszcie nie przywieziono z kraju okupu. Jednak ojca nie wypuszczono. Poganie mówili, że zbyt mało złota dostali za nas dwóch. Chciałem się z nim przynajmniej zobaczyć. Odmówili. Nalegałem tak długo, aż wreszcie jeden z nich, imieniem Ali, powiedział, że mój ojciec nie żyje. Bali się jego siły i niezwalczoności, więc go okrutnie zamordowali, gdy skrzepowany łańcuchami nie mógł się bronić. Bóg świadkiem, że go straszliwie pomszczę.”

Bolesta spuścił głowę. Nie było już dla niego wyjścia. Jedyne człowiek na świecie, o którym wiedział, że jest dla niego szczerze życzliwy, kryształowy rycerz, niezwyciężony wojownik, pierwszy doradca królewski - nie żył. Krwawo zapłacił za swoją wiarę w Zygmunta i za swoje marzenia o świętej wojnie. I nie kopia albo miecz w walce, ale skrytobójczy jatagan znalazł drogę do jego serca.

Spojrzał na zgarbioną sylwetkę Jana, który chodził po sali z założonymi z tyłu rękoma i uświadomił sobie w duchu ogrom poniesionej przez siebie klęski. Rzekł:

- Już się zdecydowałem, książę. Pojadę.

15.

Na drugiej stronie fosy pełnej wody zatrzymało się natarcie francuskie. Z murów szyje w nacierających cała chmura strzał, działa pluja ogniem, a ich ogłuszający huk głuszy wszystkie odgłosy. Wsparta na ramieniu skulona Joanna, z twarzą wykrzywioną przez ból, na próżno wzywa swoich do wytrwania. Krew płynie z rany szkarłatnymi strumykami. Nie pierwsza to już krew i chyba nie ostatnia. Ale choć widzi codziennie straszliwe widmo wojny i codziennie czuje jego mdląco upajający zapach, każda kropla krwi budzi w niej trwogę i ból, który ściska jak obcęgami jej serce. Do broni! Do broni! Jeżeli tylko wytrwacie, jeżeli tylko uwierzycie! Od roku wzywa - nie, błaga tych ludzi, aby mieli choć odrobinę wiary. A oni wciąż wątpią, wciąż liczą i mierzą, pierwsi, gdy trzeba uciec, ostatni w natarciu, nieufni, źli, skłócenii ze sobą, pełni troski, gdy chodzi o ich dobro, obojętni, gdy chodzi o obronę królestwa. Wierzyła, że potrafi ich wreszcie za sobą porwać. Wszak widzieli, jak otwierały się przed nimi bramy Orleanu, Beaugency, Jargeau, Troyes, Reims. Armia Talbota uciekała na sam dźwięk jej imienia. Trzeba tylko było iść dalej za nią, nieść ją przed szeregiem bolesną i rozkrzyżowaną przez cierpienie, które, zadając innym, sama sobie zadawała, a zwycięstwo zrodzone z jej męki byłoby się samo dokonało. Na próżno! Dziś już wie, że nawet człowiek, który sam siebie rzuci na ofiarę innym, nie znajdzie u nich uznania. Przykład wielkości nie pociąga karzełków. Oni wzniosłą nazwą szaloną, świętą - czarownicą, pokorną - niedołęzną, prawdomówna zwie się u nich bezczelna, cnotliwa - głupią, niewinna - kochanką sukkuba. Jeżeli człowiek chce się wnieść ponad błoto przeciętności, nikt w to nie uwierzy, ale będzie sądził, że to go tylko jego własne grzechy podnoszą, jak żółtą pianę podnosi na swym grzbiecie fala morska. Jakże chętnie każdy z tych, którzy teraz nie chcą się zdobyć na nowy szturm, ujrzałby cud dokonywany przez sam, bez potrzeby współpracy z ich strony! Gdybyż to mury Paryża mogły same upaść przed nimi, niby mury Jerycha! Patrzą na nie oczami przekrwionymi od wysiłku i powtarzają bezgłośnie ruchem zapiętych warg: „Spraw cud!” Szaleńcy! Tyle czasu stoi na ich czele, a oni jeszcze nie wiedzą, że ona nigdy nie potrafiła zrobić cudu. Takie głosy ostrzegały ją, gdy przedstawiała im prośby swoich najbliższych: „Tylko pracuj, tylko walcz, tylko dąż naprzód! - mówiły - Bóg bez ciebie nic nie robi.” I rzeczywiście, gdy męczyła się z wysiłku, walczyła aż do ran, parła naprzód wbrew prośbom, groźbom i szyderstwom innych - wtedy zwyciężała. Lecz oni widzieli tylko zwycięstwo i mniemali, że wystarczy jej skinąć ręką, aby zstąpiło z nieba. Nawet nie chcieli widzieć, że się

mężczy, że płacze i krwawi się w wysiłku, który nie zna końca. Tracili ducha, gdy ją ujrzeli ranną, bo czyż potrafi spełnić cud ktoś, kto nie potrafi uchronić swego ciała od strzał i kamieni? Wrózkę siły odbiegły - powtarzali wtenczas - ratuj się więc kto może! Dla nich Joanna miała tylko wartość jako wódz, który zstąpił z nieba i niczym syn Peleusa zabezpieczony jest od wszelkiej słabości. Albo - albo. Albo Joanna jest cudem, półboginią, istotą nadziemską, zdolną czynić cuda, albo jest człowiekiem jak oni, słabym, kruchym, cierpiącym, a wówczas nie ma najmniejszego sensu ufać jej słowom. „Spraw cud - wołały ich serca - lub odejź! Albo lepiej nie odchodź. Twa siła może jeszcze powrócić. Tylko, na litość, zasłoń swą twarz, abyśmy nie widzieli, że możesz być tylko człowiekiem.”

Nie kuście mnie - chce im odpowiedzieć Joanna - jesteście mi zgorszeniem. Cudu wam żadnego nie zrobię. Próżno prosicie. Walczcie o cud, a cud się dokona, nie odchodźcie od fosy, choć woda głęboka, a runą mury miasta. Trwajcie, wierzcie! Pręćcie ramiona z wysiłku, a Bóg im nada moc wszechkruszącego młota.

Deszcz zimny, kroplisty, pełen lodowatego chłodu bije w twarz Joanny. Ale przecież w gorszych warunkach zwyciężali. Nie bali się ani skwaru, ani zapadających ciemności. Czyżby więc deszcz miał ich dziś zatrzymać?

Przemogła ból, dźwignęła w górę chorągiew. „Naprzód! Na Boga, zaklinam was!” Nikt się nie rusza. Żołnierze patrzą nieufnie po sobie, potem się przyglądają wysokim murom. Liczą, ile łokci mogą mierzyć. Rozważają, jakie zasadzki mogą w sobie kryć.

Och, ból jest tak okropny, że Joanna zwisa przez chwilę bezwładnie na rękach wiernego giermka. Strzały świszczą koło jej głowy jak zwykle odkrytej. Jeden z wodzów pochyła się ku niej:

- Joanno, cofnij się! Tu grozi ci śmierć.

- Nie cofnę się, nie odejdę. Naprzód! Słyszeliście?! Czyście pogłuchli?

Nikt się nie rusza. Woda pluszcze dziurawiona strzałami obrońców. Kule armatnie wpadają między stłoczonych Francuzów i wrywają w ich szeregach krwawe luki. Za murami przycichł krzyk stronników Karola, coraz mniej ufnych w zwycięstwo, coraz bardziej trwożnych o swój los w rządzonej przez Anglików mieście.

Joanna wodzi przerażonym wzrokiem po twarzach żołnierzy. Bładzi, jasnowłosi Szkoci, śniadzi Gaskończy, szerocy w ramionach kondotierzy lombardzcy i tak zwykle pełni energii orleańczycy. Czyż to możliwe, aby z nimi wdzierła się niedawno na mury „Wieżyczek” czy Jargeau? Na twarzach maluje się obojętność dla sprawy, wyrachowanie, pragnienie zysku, strach. Na Boga! Gdzież jest Pastourel, aby ją wsparł swą wiarą w momencie, gdy straszliwe wątpliwości ogarnęły jej duszę?

Obsunęła się na mokrą, zamienioną w lepkie błoto ziemię. Łzy poczynają jej płynąć po twarzy, ale prędko je otarła klejącą się od krwi dłonią. Przycisnęła głowę do kolan. Boże! Boże! Prędko chwilę ciszy. Niech pojawi się w sercu ten obraz czasami tak wyraźny, aż niemal dotykalny, czasami rozstrzępiony, rozsnuty, nieziemski, ale zawsze, codziennie od czterech już lat zjawiający się przed nią. Modlitwa spływa na wargi szybka, gorączkowa. Pot występuje na czoło. Męka wzrasta.

To już nie tylko przebita noga boli, ale całe ciało. Tętna biją staccato. Krew pulsuje żywo. Dreszcz wstrząsa nią raz po raz. Och, znaleźć tę chwilę jedyną i nie przeoczyć jej, chwilę, gdy wszystkie cierpienia zamierają, a człowiek jednym przerzutem znajduje się poza czasem, poza życiem, poza światem. Lecz próżno dziś odpycha od siebie ziemię. Błoto przyczepia się do rąk. Męka rośnie, ale do niczego nie prowadzi. Żaden blask nie płonie, jakby oczy zalepiały czarny plaster nocy.

Ktoś szarpie ją za ramię. Trzeba wracać do życia, choć nikt nie przyszedł i słowem litościwym jej nie wspomógł. Pochylony nad nią książe d' Salencon krzyczy:

- Joanno, cofnij się! Tu zginiesz!
- Nie! Idźcie ode mnie! Zostawcie mnie!
- Joanno, jesteś ranna! Chroń się!

Deszcz smaga coraz gęstszy. Włosy polepiły się i poskręcały. Po skórze, ściągniętej od zimna, przebiegają dreszcze. Lecz tamci na murach wciąż rażą strzałami. Dwie z nich w tej chwili utkwily w pióropuszu księcia.

- Musisz się cofnąć!
- Odejdźcie, błagam was! Będę tu leżała, aż uderzycie znowu. Nic nie jest jeszcze stracone. Tylko naprzód! Tylko naprzód!
- Mówisz w gorączce...
- Zawsze mówię w gorączce! Naprzód, książe! Dlaczego dziś mi nie wierzysz?
- Joanno - słyszy głos Aulona - wojsko się cofa.

Kobieta wybucha łkaniem. Dotyka czołem błotnistej ziemi, załamuje ręce. Cały jej pancerz pokryty jest krwią i gliną.

- Nie ruszę się stąd, aż wróćcie.
- Joanno, musisz uciekać. Wpadniesz w ręce Anglików.

Ogląda się. Rzeczywiście, wszyscy cofają się, zostawiając ją na łasce losu. Koło niej tylko Aulon, d' Salencon, La Hire, który w tej chwili nadbiegł, Poton de Xaintrilles, kilku innych. Na murach rozlega się radosny wrzask zwycięstwa.

Lecz przecież nieraz ją już opuszczali, a potem wracali do bitwy. Może i dziś tak będzie. Więc nie odejdzie, poczeka.

- Czy i wy chcecie odejść? - pyta otaczających ją rycerzy.

Wzruszają ramionami. D'Salencon stara się ją przekonać:

- Słuchaj, La Hire, jeżeli mnie nie chcesz wierzyć. Nie ma chwili do stracenia. Lada moment Anglicy zrobią wypad i nas ogarną.

O Panie! O Boże! Dlaczego Głosy milczą i dlaczego ona nie może oderwać się od ziemi ku nim? Czyżby zgrzeszyła? Ale czym? To niemożliwe, aby trzeba się było cofnąć. Walczyła tak samo jak zawsze, a przecież dziś zwycięstwo nie nadeszło. Wierzyła, że powiedzie tych ludzi na mury.

Znów przypomina sobie ich obojętne twarze, które po raz pierwszy uderzyły ją dziś swoją okrutną biernością. Tak, ona wierzyła, ale oni... Oni wierzą tylko w cud z nieba. A tu cud trzeba wykrzesać z człowieka.

Lecz jeśli oni nie wierzą, ona będzie wierzyć za nich. Nie ruszy się stąd, nie odejdzie, aż wróci natarcie, aż pójdzie za nią na mury. Położy się w błocie i ciałem swym zatrzyma uciekających. Zmusi do wiary.

W tej chwili chwytają ją silne ramiona i dźwigają ku górze. Na nic ten gwałt. Nie da się zabrać stąd siłą. Szarpie się, wrywa, łka, gdy czuje, że nie może dać rady kilku mężczyznom. La Hire wpełznął ją na siodło, Aulon trzyma w stalowym uścisku jej dłoń, inni przytrzymują ją za nogi. Wśród szarpaniny ktoś ją uderzył żelaznym hełmem w ranną nogę i krew znowu zaczęła płynąć. Nie ma już sił, aby walczyć, więc tylko łka boleśnie. D'Salencon pochyla się nad nią:

- Joanno, tak być musi. To los wojny. Dziś my, jutro oni.

- Nie! Nie! - płacze kobieta.

W Paryżu obchodzono radośnie dzień odstąpienia wojsk Karola. Stronnicy króla ukryli się, zresztą nie ścigano ich zbyt skrupulatnie, uważając, że zbytnia surowość mogłaby zaostriżyć i tak już niezbyt dobre stosunki między Anglikami i paryżanami. Do miasta zjechał Bedford i Filip, aby ustalić dalszy plan działania. Regent okazywał księciu uprzedzającą grzeczność, nie szczędząc słów łaskawych i zapewnień o wdzięczności, jaką żywi dla władcy Burgundii król Henryk. Cel jednak tych pochlebstw był zupełnie jasny: armia angielska właściwie wciąż nie istniała, a rozmaite trudności, które się pojawiły po tamtej stronie Kanału, utrudniały sprowadzenie do Francji krucjaty kardynała Winchester. Wprawdzie Karol się cofnął, ale Karol nie był zwyciężony. Cofnięcie było spowodowane - jak łatwo było

zgadnąć - przez zręczną politykę La Tremoille'a, z którym Bedford był w stałym kontakcie, ale również rzeczą pewną było, że La Tremoille nie mógł się zbytnio angażować, mając przeciwko sobie bojowo nastrojonych Joannę i ks. d' Salencon. Tamci dwoje mogli przekonać niezdecydowanego króla, a wówczas wojna rozgorzałaby na nowo, nie wieszcząc nic pomyślnego dla słabych i zdemoralizowanych oddziałów angielskich. Bedford postanowił się ubezpieczyć ze wszystkich stron. Rycerzowi Franquet d'Sarras, który był znany ze swych raubryterskich przyzwyczajęń, polecił zebrać kilka band rozmaitych szumowin i, uposażywszy je w broń i zbroje, kazał im działać w Normandii, przesłaniając swoimi ruchami wybrzeże morskie, gdzie mogły w każdej chwili wylądować posiłki. W ten sposób osiągnął ten cel, że część przynajmniej sił królewskich została związana na południu. Był jeszcze inny zysk z tego rozwiązania: wojska takiego nie trzeba było opłacać, pozwolono im tylko rabować wszystko, co napotykali na swej drodze; gdyby zaś działalność Franqueta miała się okazać zbyt kompromitująca, Bedford mógł się zawsze wyprzeć jakiegokolwiek z nim kontaktu.

Mając więc w ręku La Tremoille'a i kierując Franquetem d'Sarras - Bedford liczył, że uda mu się odwlec nowy atak na Paryż aż do przyszłego lata. Chodziło jednak także o wprowadzenie do akcji Filipa. Nauczony doświadczeniem orleańskim, regent uważał, że nie należy pozwalać księciu iść na południe, gdzie mógłby się całkiem nieoczekiwanie zwaćać z Karolem, tym bardziej, że pozycja tamtego od czasu koronacji i po ostatnich zwycięstwach wzrosła i nikt już nie ośmielał się obecnie mówić o „króliku z Bourges”, natomiast ostatnio cały szereg książąt, dotychczas neutralnie w toczącej się wojnie nastrojonych, złożyło mu hołd lenny. Filip nie był zbyt zacięty w gniewie - o tym wiedział Bedford - natomiast miał wiele uraz do Glouceстера. Takiego więc sojusznika nie można spuszczać z oka, aby się nie stał wrogiem. I tą myślą wiedziony wielki polityk począł podsuwać Filipowi swój plan działania.

- Spójrzcie, szlachetny książę, na ten rysunek - mówił pewnego dnia, gdy się zeszli na zamku regenta i stali przed wielką mapą, z ogromnym kunsztem i starannością wymalowaną na ścianie przez jednego z uczonych paryskiej akademii. Mapa przedstawiała Francję i Anglię złączone pod tarczą króla Henryka. Herby poszczególnych książąt wskazywały ich posiadłości. W środku wymalowany był pięknie Paryż ze wszystkimi swoimi wieżycami, zaś nad miastem unosiła się św. Genowefa, jego opiekunka. Wodzie artysta i uczoney w jednej osobie nadał kolor niebieski. W rzekach pływały ryby wielkie jak całe miasta, zaś z morza wyglądały łby i ogony przerażających swymi kształtami smoków. Wyżej, nad całym rysunkiem, wyobrażona była Najświętsza Panna z Dzieciątkiem. Przed nią klęczał król

Henryk, jego zaś obejmował za ramiona św. Ludwik, gestem, jakby chciał prosić Pana Jezusa o opiekę nad swoim potomkiem. Z boku klęczeli ze złożonymi do modlitwy rękoma ks. Bedford i ks. Gloucester.

Obaj dostojnicy wstali i przyglądali się przez chwilę mapie. Bedford podniósł prawą rękę i położył ją na Besancon. Równocześnie, nie mówiąc ani słowa, lewą dłonią zakrył Paryż.

- Widzicie, książę? Jesteście i tu i tu. A gdy chcecie przyjechać z Besancon do Paryża, patrzcie.

Zbliżał powoli obie dłonie do siebie, gdy wtem nagle je zatrzymał, zanim jeszcze zdołały się ze sobą zetknąć, jakby między oboma mostami wyrosła niewidzialna przegroda. Filip zbliżył się do ściany i spojrzał uważnie na wąski kawał ziemi, znajdujący się między dłońmi regenta. Wymalowane tam było miasto z murem obronnym i wieżami, a obok gotycki napis głosił: „Compiegne”. Uśmiechnął się.

- Nie muszę jechać przez Compiegne, aby się dostać do Paryża. Mam bliższą drogę przez Królewszczyznę.

- Nie musicie, szlachetny książę, to prawda. Ale moglibyście tamtędy jechać po swojej ziemi. A poza tym miasto do was należy.

Filip wzruszył ramionami.

- Cóż mi po tej mieścinie?

- Od przybytku głowa nie boli. A także to nie jest zbyt miła sprawa mieć nieprzyjaciela pod bokiem. Lepiej jest tam osadzić któregoś z własnych sojuszników. Na przykład tego Luksemburga...

Filip nic nie odrzekł. W zasadzie plan Bedforda bardzo mu się podobał, ale doświadczenie nauczyło go, aby nigdy nie okazywać zadowolenia wobec Anglików. Każdy Anglik jest kupcem, toteż zawsze patrzy w oczy kontrahentowi. Niech tylko zauważy, że tamtemu spodobał się towar, zaraz nie omieszka podnieść cenę.

- Ładna mapa - rzekł obojętnie.

- Ładna. Popatrzcie, tu cały świat jest namalowany - Bedford wskazał na sąsiednie ściany. Rzeczywiście, cały pokój był ze wszystkich stron pokryty malowidłami, przedstawiającymi Europę oraz kawałek Azji i Afryki. Za Francją ciągnęło się Cesarstwo i w dole Italia, w górze Niemcy. Za Cesarstwem Polska.

- Podobno to duży kraj - zauważył książę, przypominając sobie, co mu swego czasu o Polsce opowiadał Gilbert de Lannoy. - Pamiętam, jak ich arcybiskup był w Paryżu.

- Przyjeżdżał wówczas, gdy wasz ojciec, książę, z królem szukał zgody. Miał pośredniczyć w zatargu. Ale Armagnac, gdy obiecuje i wyciąga rękę do zgody, nóż trzyma za plecami. Szlachetny książę Jan zbyt im ufał.

Filip skinął głową i chmura pojawiła się na jego twarzy. Każde słowo o zabitym ojcu raniło mu serce.

- Ale choć to niby kraj chrześcijański - mówił Bedford, uważając, że każdy efekt wtenczas spełnia swój cel, gdy się go zbyt nie przedłuża - podobno łatwo w pogańskie błędy wpada. Mówił mi o tym wielki Mistrz Zakonu Najświętszej Marii Panny Jerozolimskiej. Ich król niedawno dopiero ochrzczony, o księciu zaś Witołdzie opowiadają rzeczy dziwne. Podobno koczła kazał ochrzcić zamiast siebie, bojąc się wody święconej.

- Ech, to chyba baśnie.

- Nie wiem. Tak powiadają. Zresztą wiecie pewno, że Witołd królem się husytów ogłosił, a Jagiełło, zamiast iść przeciwko heretykom, obiecał im pomoc, a w tym celu sprzymierzył się z Saracenami. Podobno są obaj za to pod ekskomuniką.

- No, no - zdziwił się Filip, patrząc na mapę w miejsce, gdzie malarz wymalował białego orła na czerwonej tarczy. Grodów tam prawie nie było, poza jednym, opasany murami, przy którym widniał napis „Cracovia”. Nie bardzo to się zgadzało z tym, co mówił de Lannoy. Rycerz opowiadał, że jest wiele miast i to wcale pięknych i bogatych.

- A cóż z tą heretyczką, która jest przy Karolu?

- Nie wiecie nowiny? Spójrzcie tutaj, szlachetny książę. Ale nie radzę się wam dotykać.

Podniósł wieko dużej skrzyni stojącej w kącie sali i pokazał księciu znajdującą się tam zbroję. Zbroja była jasna, kosztowna i bardzo starannej roboty. Znać jednak na niej było użycie. W kilku miejscach pogięta i porysowana. Hełm za to wydawał się jak nowy. Rękawice zwracały na siebie uwagę swoją małością. Miecz był zwykły, zwężający się ku końcowi, taki jakiego używają żołnierze burgundzcy.

- Co to? - spytał Filip.

Bedford uśmiechnął się tajemniczo.

- Zbroja czarownicy.

- Skąd ją macie?

- Zostawiła sama w St. Denis. Położyła ją po prostu na ołtarzu i pojechała.

- Nie mogę zrozumieć, co to może znaczyć.

- I ja także. Myślałem nawet, że to jakiś podstęp. Mogła przecież czar diabelski na nią złożyć, aby potem spadł na tych, co się jej dotkną. Więc kazałem mnichowi pokropić ją wodą

święconą i przywieźć tutaj. Księża egzorcyzmy nad nią śpiewali, więc już niczym nie grozi. Ale zawsze lepiej nie dotykać.

Przez chwilę patrzyli obaj z uznaniem na zbroję. Bedford zatrzasnął wieko skrzyni i spojrzał uważnie na swego gościa.

- Compiegne, to dobry kąsek... - rzucił niby od niechcienia.

- Mały gród - skrzywił się Filip.

- Ale dużo dobrych rzemieślników. Leży na trakcie... A także czy wiecie, książę, czyją stanowi własność?

- Tak. La Tremoille'a. Karol dał mu gród, czym bardzo dotknął mieszczan, bo ci myśleli, że będą tylko królewscy. Zresztą La Tremoille nie jest lubiany.

- Dobrze, ale cóż stąd?

- La Tremoille'owi jest czasami bardzo ciężko na dworze. Król go wprawdzie słucha, ale inni przeciwko niemu występują. Niewiele braknie, a zdrajcą go mogą nazwać.

- Nie widzę związku.

- Czy to jest rzecz dobra, aby gród najbliższego doradcy Karola stał nienaruszony, choć go prawie nikt nie broni? Czy to nie nasuwa nic do myślenia?

- Aha, rozumiem. Gotowi poznać, że La Tremoille jest zdrajcą.

- Nazwijmy: ukrytym przeciwnikiem.

- Niech będzie. Może i macie rację, dostojny regencie.

Niedługo potem Filip pożegnał Bedforda i udał się do siebie. Jadąc karocą zaprzęgniętą w szóstkę prześlicznych białych koni, rozmyślał nad słowami regenta. Wiedział doskonale, że Anglicy chcą go obecnie za wszelką cenę rzucić przeciwko Karolowi i wszystko robią w tym celu. Właściwie nie miał powodu trzymać się na uboczu. Los wojny miał zdecydować o przyszłości jego księstwa. Jeżeli wygra Karol - myślał Filip - wtedy wcześniej czy później muszą się zetrzeć interesy państwa z interesami tak potężnej enklawy, jaką jest Burgundia. Wprawdzie wszyscy Karola mają za niedołęgę, ale istnieje w kraju człowiek, który, gdy stanie na stopniach tronu, gotów uczynić władzę monarchy absolutną. Ten człowiek jest w tej chwili oddalony od Karola i śmiertelnie obrażony, ale nie należy do ludzi, którzy potrafią zachowywać urazy w prawdziwej potrzebie. Znał ofiarność konstabla Richemonta. Pamięta ten dreszcz niepokoju, który go przebiegł, gdy się dowiedział, że Richemont połączył wojska z wojskami Joanny. Potem odetchnął, usłyszawszy o surowym wyroku Karola. Niebezpieczeństwo było chwilowo zażegnane. Ale czy na długo?

Jest jeszcze druga możliwość: że Anglicy zwyciężą Karola. Wtedy Henryk musi się liczyć ze swym najsilniejszym sojusznikiem, a do tego mającym w żyłach krew królewską.

Może go zrobi nawet regentem Francji. W każdym razie powinien to zrobić, choć, z drugiej strony, nie można ufać Anglikom. Chcą wszystko trzymać w swoich rękach. Dadzą mu jakiś pięknie brzmiący tytuł, a jednocześnie postawią mu pod bokiem jakąś cichą eminencję, która krzyżować będzie wszystkie jego plany.

W rezultacie i tak jest źle i tak niedobrze. Jediną pomyslną okolicznością byłaby możliwość stania się dobroczyńcą królestwa francuskiego. Więc uderzyć na Anglików? Dziś nie miałyby to żadnego sensu. Karol grożący Paryżowi i stojący na czele zwycięskiej armii nie zechce z nim nawet rozmawiać. W najlepszym razie dopuści go do łaski przebaczenia. Pozwoli sobie pomagać.

Zły pomysł, przynajmniej na obecną chwilę. A Compiègne bardzo by mu się przydało. Tym bardziej, że właściwie Karol odstąpił mu je na początku rozejmu i tylko wzruszony oporem mieszkańców, zamienił darowiznę na Pont Saint-Maxence. Cóż Filipowi z Pont Saint-Maxence?

Rozejm kończy się w marcu. Anglicy wprawdzie starają się go namówić, aby złamał dane słowo i wyruszył już dziś do walki. Ale tego się nie doczekają. Nie będzie rozpoczynał zimowej kampanii, aby kryć za sobą Bedforda i Glouceстера. A zresztą czeka go w Bourges narzeczona, przepiękna Izabela Portugalska.

Czy jednak naprawdę warto stawiać na sojusz z Bedfordem? Bedford jest grzeczny, ale w rzeczywistości, to lis przebiegły, który nigdy nie wiadomo co myśli. Gloucester natomiast antypatyczny, zarozumiały i Filipowi wrogi. Gdyby miał do czynienia tylko z Bedfordem, uzyskałby od niego na pewno regencję Francji. Ale Gloucester nigdy się na to nie zgodzi. Przy Karolu byłby pierwszym parem Francji. W razie bezpotomnej śmierci króla, syn Filipa mógłby - kto to wie - przywdziać koronę. Burgundia zrosłaby się znów z Francją.

Rozmyślenia księcia przerwało nagle zatrzymanie się karocy i krzyki woźniców. Filip pochylił się, aby zobaczyć, co się stało. Okazało się, że powóz utknął w błocie i w nieczystościach, które w tym miejscu ulicy były wyjątkowo obfite i urastały w stos aż na wysokość podmurówki domów. Towarzyszący powozowi rycerze zeszli z koni, aby przepchnąć karocę przez rozmiękłe bagno ohydnie cuchnące, pełne łupin, obierzyn, trupów psów i kotów i myszy, resztek jedzenia, kości i przeróżnych odpadków. Ale koła ugrzęzły tak głęboko, że mimo szarpaniny, bicia koni i najprzeróżniejszych starań nie można było ruszyć z miejsca. Piękne szaty rycerzy i pacholków książęcych ochlapane były czarną mazią, w której nogi grzęzły aż po kolana. Do tego zaduch wydzielany przez ulicę był tak straszny, że aż się zbierało na wymioty.

Wokół zatrzymanej karocy zebrało się kilku grodzian, patrząc z zaciekawieniem na wysiłki ludzi, starających się wypchnąć z bagna ciężki ekwipaż. Ludzie byli ubrani bardzo biednie, a na ich wychudzonych twarzach głód wycisnął swoje piętno. Jakaś kobieta z dzieckiem na ręku, nie krępując się otoczeniem, rozpięła koszulę i podała dziecku chudą, wiszącą jak szmata pierś. Lecz widocznie pierś była pusta, bo dziecko raz czy dwa razy pociągnąwszy poczęło rozpaczliwie krzyczeć. Kilkoro dzieci już starszych bawiło się, brodząc w błocie. Obok nich świnie ryły bagno, chrząkając groźnie na siebie. Jakiś czeladnik w fartuchu załatwiał się ze spokojem na środku jezdni. Z okna niedaleko wylewano z chlupotem pomyje, ostrzegając jednak lojalnie stojących na dole, aby się odsunęli.

Nie mogąc się doczekać, aż powóz ruszy, Filip kazał sobie podać konia. Dwóch pachołków wyniosło księcia z karocy i posadziło na siodle. Wziąwszy ze sobą kilku ludzi, ruszył naprzód, polecając reszcie zająć się wyciągnięciem powozu.

Jesienne słońce wysunęło się na niebo i nieśmiało rzucało swoje złote promienie na miasto. Błoto uliczne z wierzchu przysychało. Szara, mętna Sekwana płynęła wolno, połyskując w słońcu, jakby ktoś na jej równą powierzchnię cisnął garść strużyn szczerego złota. Przy brzegu baby stojąc na pół łydki w wodzie prały jakieś brudne szmaty. Księcia minął czarny wóz zaprzężony w dwa oparszywiałe konie. Na wozie siedział człowiek w worku na głowie. Worek miał wycięte dziury na oczy. Obok tak ubranego woźnicy przysiadł się mnich z gołą głową we franciszkańskim burym habicie, przewiązanym konopnym sznurem. Filip z rycerzami zjechali na bok, aby przepuścić wóz. To wywożono ofiary „czarnej śmierci”, która dręczyła miasto niemal bez przerwy od czterech lat.

Przejechano przez most. Plac przed katedrą pełen był ludzi i zgiełku. Odbывał się tu targ na przywiezioną przez chłopów żywność, a że miasto przez czas oblężenia wygłodniało, rzucono się teraz tym łapczywiej na przywiezione produkty, wydzierając je sobie z rąk jakby w obawie, aby nowy głód nie począł pukać do domów. Świnie spacerowały wolno między ludźmi i ryły ziemię, cielaki biegały, wierzgając śmiesznie sztywnymi nogami. W jednym z końców placu zabito krowę, rozczwartowano i rozprzedawano dymiące jeszcze mięso. Ludzie krzyczeli, kłócili się, wymyślali sobie. Stroje były tu bardzo różne. Obok radczyni pięknie ubranej w wysoki czepiec i piękne długie spódnice, którymi zbierała błoto z całego placu, niosącej w upierścienionej ręce sakiewkę z pieniędzmi i otoczonej pachołkami lub dziewczkami mającymi za zadanie dźwiganie zakupionych prowiantów, widać było biedotę grodzką, szaro i kuso ubraną. Spodnie wśród mężczyzn były rzadkością i często zdarzało się widzieć, jak pachołkowie grodzcy odganiaли uderzeniami drzewcy od halabard biedaków, którym skąpy kaftan nie wystarczał na zakrycie połyskujących pośladków. Kobiety miesiły błoto bosymi

nogami opalonymi i brudnymi. Na wszystkich w ogóle twarzach znać było głód, przy tym przybyli chłopci nie wyglądali wcale lepiej niż grodzianie. Widać klęska wojny domowej wszystkim równo dawała się we znaki. Mężczyźni często mieli głowy okręcone krwawymi szmatami, tu i ówdzie ktoś kulał, ktoś niósł rękę na temblaku. Rzuciła się w oczy wielka ilość kobiet, nadmiernie duża w porównaniu z ilością spotykanych mężczyzn.

Na stopniach katedry siedziały całe chmary żebraków, wypatrując tylko pilnie, czy się gdzie nie pojawi jakaś godniej i dostojniej ubrana osoba, aby ją zaraz obskoczyć i póty jęczeć, błagać, prosić, nierzadko i grozić, aż wreszcie rzuci każdemu bodaj po groszu. Zresztą była to działalność wcale nie chaotyczna, ale wyraźnie planowa, za każdym bowiem razem zrywała się inna grupa, celowo łącząca wszelkie możliwe nieszczęścia ludzkie, a więc dwóch ludzi bez nogi, trzech bez ręki, ze czterech ślepych, jeden głuchoniemy i ze dwóch wariatów. Ci ostatni byli przeważnie wypuszczani na kobiety, które się ich bały, co kierownicy żebraczej korporacji umieli wykorzystać. Przeciwno mężczyznom wypuszczano za to młode dziewczyny przeważnie tak rozpaczliwie ubrane, że aż ciało prześwitało przez dziury w odzieży. Darły się one przeraźliwymi głosami, ofiarowywały się wróżyć, pchały do rąk zwiędłe kwiaty lub jakieś własnej roboty paciorki. Cała ta banda rządziła placem jak chciała i przed nikim nie czuła respektu, nawet przed strażnikami grodzkimi. Od chłopów żądano haraczu za prawo sprzedawania zapasów na „ich placu”. Kto nie wierzył, temu pokazywano jakiś dokument z wielką pieczęcią, którego naturalnie nikt przeczytać nie umiał, więc musiał przyjąć zakomunikowaną treść na wiarę zbierającego należność żebraka. Opornego zmuszano do odejścia lub siłą wybierano sobie z jego towarów równoważność opłaty. Żebracy, którzy odbyli już swoją „służbę” na placu, spali pod murami lub szli pić do wielkiej karczmy znajdującej się obok przytułku dla pobożnych niewiast. Oba lokale w zbyt bliskim były sąsiedztwie, toteż drugi przesiąkał atmosferą pierwszego: wiadomo było, że proboszczowie katedry wielokrotnie prosili radę miejską, by poleciła ukrócić bezceństwa, które się u owych pobożnych niewiast wyprawiały. Na próżno jednak. Rada była bezsilna wobec obojętności na te sprawy władz angielskich. Anglików nic a nic nie obchodziło, co się dzieje w mieście. Całą ich troską była wojna z Karolem, na miasto zaś patrzyli jako na coś obcego. Zresztą nie bardzo się mylili. Paryż był podminowany stronnikami Karola i nieraz zdarzało się, że samotny żołnierz angielski bywał w zaułku miejskim skrycie zamordowany. Odpłacano się za to surowością wobec ludności i patrzeniem przez palce na działalność rozmaitych mętów, które, widząc tę łaskawość władców miasta, powyłaziły jak szczury z tajemniczych kryjówek i szalały bezkarnie w samym sercu grodu.

Filipowi, gdy jechał, przyszło do głowy, że mają rację księża i mnisi, którzy go błagają, aby wreszcie roztoczył opiekę nad Paryżem i zajął się bezpieczeństwem mieszkańców. Wszak nie tak dawno jeszcze tłum mieszczan urządził okrutną rzeź w Paryżu, w której zginął książę Bernard Armagnac. A w pamięci wszystkich były tamte dni, kiedy to zrewolucjonizowane tłumy pod wodzą Marcela, profosa miasta, wdzierały się do pałacu i mordowały dostojników królewskich. Ale książę obecnie miał inne rzeczy, które przykuwały jego myśli: śniadą cerę, połyskujące, białe zęby i kruczy włos Izabeli... Później załatwi sprawę porządków w Paryżu. Księża mogą poczekać. Zresztą dlaczego nie nawracają tych bandytów?

Na widok Filipa, specjalnie duży, chyba potrójnej wielkości oddział żebraków ruszył do ataku. Dwie dziewczyny może dwunastoletnie, a już o twarzach przeżartych rozpustą, uwiesiły się u uzdy jego konia i chwyciły go brudnymi rękoma za płaszcz. Trzech niemowłów bełkotało coś rozpaczliwie. Ogromny wariat stroił miny i robił ruchy, jakby chciał koniowi poderżnąć gardło. Tłum cały kalek wymachiwał w powietrzu kijami i wzywał litości dla swoich cierpień. Trędowaty o twarzy bez nosa i bez warg posuwał się skokami na jednej nodze ku ręce księcia. W tym samym czasie inny oddział żebraków za załomem murów tłukł bez litości obcego żebraka, który śmiał przyjść pod katedrę i wzywać tu dla siebie zmiłowania.

Lecz Filip nie miał zamiaru dać się zatrzymać przez to plugastwo. Pchnął konia ostrogą, a rumak roztrąciwszy stojących, wyrwał się z koła żebraków. Jedna z dziewczyn została przy tym stratowana, ale nikt ze świty księcia nawet się na nią nie obejrzał, tylko z tłumu wyszły dwie mniszki i poniosły leżącą w stronę przykatedralnego szpitala.

Przejechawszy w galopie, książę wstrzymał konia. Pomyślał, że jednak trzeba będzie coś powiedzieć, aby się zajęto oczyszczaniem miasta z zuchwałych żebraków. Nie podobna jest po prostu przejechać. A co będzie, jak Izabela zechce, aby jej pokazał najpiękniejsze miasto Francji? Trzeba wreszcie zrobić porządek. Księża mają rację.

Potem jeszcze raz wrócił do dręczącego dylematu: z Bedfordem czy z Karolem. Czuł, że mimo pamięć na śmierć ojca, bliższy się czuje syna Karola VI niż syna Henryka V. Ale jak zrobić, aby ten zechciał go uznać swym zbawcą?

I przyszło mu na myśl, że dobrze by było, aby ta Joanna, która stała się zbawczynią Karola, nagle zniknęła. Wtedy on mógłby ofiarować swoje usługi Karolowi nie tak jak człowiek, który biegnie do silniejszego z walczących przeciwników lękając się, że ten, gdy zwycięży, gotów jest pokarać za sprzyjanie wrogowi, ale tak jak pierwszy dostojnik państwa ofiarowuje pomoc swemu seniorowi. Joanna swoim zniknięciem mogłaby zapewnić

zjednoczenie kraju. Otworzyłyby możliwość powrotu Filipa do łask. Karol potrzebowałby wówczas wodza i nie targowałby się o formę przeprosin. Filip zaś z jakąż ochotą obróciłby miecz na Anglików.

- Gdyby była mądra, to by zniknęła - zakonkludował w końcu.

16.

Wiosna przyszła ciepła, pogodna, ale wolna od przedwczesnych upałów. Nocą wisiał w powietrzu chłód, który się dopiero rozpraszał około południa pod łagodnym naporem promieni słonecznych. Ptaki świergoliły na wysokim stropie nieba, zaś rzeki wezbrane po zimie znowu wygodnie układały się w swoim zwyczajnym korycie, nie grożąc już polom nagłymi wylewami.

A jednak jest tu inaczej niż u nas w Polsce - myślał Bolesta, patrząc na zieleniejące pola. Półtora roku minęło od jego przyjazdu do Francji, a dopiero dziś po raz pierwszy poczuł tęsknotę za własną ziemią. Hej, to miło było jednak wczesną wiosną ruszyć na pola jeszcze szare, jeszcze jakby zgniecione ciężarem śniegu, który na nich leżał, a już rozpękające się, by puścić ku górze pierwszy puszek rwącej się ku słońcu trawy. Skowronek jak mała kulka wzbijał się w powietrze piszcząc trwożliwie i trzepotał się wysoko, rzekłbyś, zawieszony na nitce. Woda wsiąkała w grunt i szara skiba kruszyła się, zapraszając, by w nią uderzyć lemieszem pługa.

Pamiętał, z jaką radością witał co roku budzący się do życia las. Sosny szumiały jakby z ulgą, gdy słońce pieściło ich wysokie, rozłożyste czuby. Małe dęby zieleniły się pierwszymi listkami, podczas gdy ze starych, krępych, węzłami drwa porośłych samotników sypały się jeszcze resztki zeszłorocznej szaty, rok temu zielonej, a dziś szaro-rdzawej, poskręcanej i suchej, przypominającej zetlały całun w otwartej trumnie. Zwierzęta - drobiazg leśny - śmigały lekkomyślnie w pobliskich krzewach, ale Bolesta nie dawał pobiec za nimi psom, pomny, że cały ten ludek jest o tej porze kotny lub szczenny.

Patrzyli codziennie na niebo czekając to bocianów, to jaskółek i wróżyli z dnia ich przybycia, jakie będzie lato. Wreszcie pewnego dnia pojawiał się posiadacz gniazda na starej topoli; majestatycznie zataczał kręgi, a w końcu opuszczał czerwone nogi i siadał na gnieździe. Oglądał długo i uważnie naprzód swe zeszłoroczne mieszkanie, potem obserwował ludzi i psy, czy są aby jeszcze ci sami. Kiedy zaś przybywała jego towarzyszka, witał ją jak

stateczny gospodarz swego miłego gościa: pełnym wdzięku klekotem, przypominającym skrzyp starej studni.

Wychodziło w pole bydło postępując radośnie. Wybiegały konie, szczególnie młode źrebaki, i galopowały, podniosły ogony, ciesząc się przestrzenią i słońcem; w blasku słonecznym ciała ich wyglądały jak złote. Barany i owce wychodziły powoli, jakby nieśmiało, zbijając się ciasno: przypominały dziewczęta, które zanim wejdą do rzeki, aby się wykapać, przyciskają się do siebie zawstydzone swą nagością, zalęknione, niepewne, czy aby woda nie będzie zbyt zimna. Psy szczekały bardziej hałaśliwie i jakby głośniej niż zwykle, a oswojony niedźwiedź obudziwszy się na posłaniu z suchych liści, ryczał, aby go wypuszczono wreszcie z drwalki.

Gdy Paweł był mały, Bolesta często sadzał go na konia, sam siadał na drugiego i jechali w świat łąk i lasów, galopowali aż do utraty tchu, jak młode psy wypuszczone na dwór z mieszkania. Albo szli obaj w pole i gdy ojciec - rozejrzawszy się na boki, czy go służba nie widzi - brał się za pozostawiony pług, chłopak prowadził konie przy pysku, pokrzykując na nie swym dziecinnym głosikiem.

Były to krótkie chwile, kiedy Bolesta czuł się prawie szczęśliwy, a otoczony polami i lasami zapominał nawet o zgryzotach życia domowego. Obaj z Pawłem szli wczesnym rankiem z wędzami na ryby do małego jeziora ukrytego wśród olch i wierzb. Zarzucali wędzami i patrzyli na mieniącą się wodę. Srebrne ciała ryb migały się jak załamane w tafli wodnej promienie słoneczne. Wiatr szemrał tajemniczo w szuwarach, jakiś ptak kwilił w gąszczu. Słońce prześlizgując się między liśćmi kładło się na trawie jasnymi plamami. Było cicho rozkoszną ciszą wiosennego poranka.

Potem wszystko się zmieniło. Paweł rósł, a rosnąc, oddalał się coraz bardziej od ojca. Powstawały między nimi swary, które pozbawiały Bolestę spokoju. Już go nie cieszył ani las gadający wesoło, hałaśliwie o świcie, a poważnie, głucho o zmierzchu, ani zieleniejące pola, ani pełne kwiatów łąki, ani zadumane jezioro. Wszystko oddalało się odeń coraz dalej, a na pierwszy plan wysuwała się domowa wojna.

Ale dziś stała się rzecz nieoczekiwana: wspomnienia ostatnie, te najgorsze, gorzkie jak piołun, zmalowały, niemal znikły, by ustąpić miejsca wspomnieniom dawniejszym, przetykanym słońcem i pogodą. I ku tym właśnie wspomnieniom poczęło się wyrwać serce rycerza.

Może sprawiło to wczorajsze spotkanie? Zawołał go książę Filip podczas uczy wydawanej na cześć gości z cesarstwa, a wskazując na jakiegoś złotowłosego rycerza ubranego w piękny, srebrem i złotem tkany kaftan, rzekł:

- Poznajcie się. Oto ten rycerz także pochodzi z Polski.

- Z Polski?

Język plątał się Boleście, gdy mówił tamtemu swoje imię, zawołanie, dworzec, z którego się wywodził. Nie śmiał wierzyć, że może znów rozmawiać po polsku.

Przybyły był to młody rycerz Marcin z Dobrocina, zawołania Korczak. Rycerz brał udział w poselstwie, które wysyłał król Władysław do papieża, ale w powrotnej drodze zatrzymał się w cesarstwie, chcąc poznać nieco świat. Razem z młodym Giuliem Colonną, bratankiem papieża, włóczyli się po dworach, aż wreszcie zawędrowali na dwór księcia Burgundii. Obecnie jednak mieli wracać do kraju, gdyż, jak twierdził, szykuje się tam wielka wojna z husytami.

- Więc król jegomość już nie wspiera Czechów? - pytał Bolesta.

- Nie. Odkąd cesarz się z nimi tajnymi układami sprzął.

- A cóż Korybut?

- Nie wiecie? Uwieczony przez Czechów. Wrócił do nich; chciał armię zbierać, radził, aby się pogodzili z papieżem. Ale w Czechach teraz Prokop wszystkim rządzi i tylko do walki wzywa. Książąt śląskich stał.

- Dziwne rzeczy mówicie.

- I temu, kto z bliska patrzy, trudno uwierzyć. Głogów zdobyty, książęta opolscy rozbici nad Nysą. Brzeg spalony. Książę Jan z Ziębicy zginął pod Kładzkim, obaj Prokopowie wjeżdżali zimą triumfalnie do Pragi po zniszczeniu Saksonii, Miśni i Frankonii.

- Lecz mówiliście, że cesarz ich popiera?

- Bo to prawda. Zeszłej wiosny jeździł do Preszburga, aby się zobaczyć z ich wysłannikami. Po ostatniej klęsce, którą poniósł, krzywo nań patrzą w Rzeszy. Więc chce się umocnić. Powiadają, że obiecywał wiele Prokopowi, aby tylko do Polski szli.

- To Czesi mało mieć teraz muszą u nas przyjaciół?

- Mają ich jeszcze. Jest Dobek Puchała, Jan Kuropatwa, Piotr Polak Aksamit, Jakub Nadobny. Ale rycerstwo ich nie lubi, bo słyszano, jak bluźnili Matce Boskiej...

- Książę Witołd zawiódł się więc na Korybucie?

- Och, Witołd teraz wielki pan. Nikogo się słuchać nie chce, nawet króla. Grozi wojną. Król jegomość mówił w Sandomierzu, że wolałby mu oddać władzę królewską, aby tylko uniknąć rozdziału Korony i Litwy, ale na to się nikt nie zgodzi.

Bolesta zwiesił głowę. Tyle spraw, tyle zmian. A przecież i Marcina nie było prawie rok w kraju, więc on także nie wie o tym, co się ostatnio wydarzyło.

- Powiedzcie mi jeszcze jedno - prosił - co robią ci, którym za to, że nie wrócili z Czech, odebrano majątki, a ich samych obłożono infamią?

- Król pan jest ostatnio bardzo łaskawy. Każdemu, kto tylko prosi i pokutę przepisaną zgadza się wykonać, darowuje i do czci przywraca.

I te słowa obudziły w Boleście wspomnienie ziemi ojczystej, najpiękniejsze chwile - choć ich wiele w życiu nie zaznał - znalazły się znowu i oddaliły w niepamięć wspomnienia nasiąknięte goryczą. Nagle to, czego się przed laty dobrowolnie wyrzekł, wydało mu się najdroższym pragnieniem. Cóż by dał, aby mógł znowu powrócić! Lecz do czego powrócić? Kto go będzie witać? Czy zgryzota, która go obecnie dręczy, nie okaże się jeszcze silniejsza, gdy stanie wobec żywych świadków swego dawnego życia?

Pchnął konia do szybszego biegu. Nie - marzenie o powrocie jest tylko złudą i próżnym pragnieniem. Jego realizacja nie da mu nic. Próżno wzdycha. Byłby tam w Polsce tak samo nieszczęśliwy jak tutaj.

Gorzkie są dary nieznanym, których spotykamy na gościńcach - myśli rycerz. Niby rodzą się z miłosierdzia i współczucia dla cierpiących, w rezultacie ukazują swoją bezmyślnie okrutną twarz. Tajemniczy dobroczyńca parodiuje tylko dary miłości. Zmieniają się one w jego rękach i czy chce, czy nie chce, wtrącają ludzi w rozpacz. Wyzwolenie, które on ofiarowuje, jest tylko mamidłem wyzwolenia; zamiast wolności otrzymujemy tylko nową niewolę. Inną, a przecież taką samą.

Więc cóż mi pozostaje - zastanawia się Bolesta. Ledwo wyrwał się z ramion Róży. Ohydą napawa go myśl o ustronnej komnacie, w której się spotykali codziennie. Przychodził tam i ledwo przestępował próg komnaty, otaczały mu szyję gorące ramiona kobiety. Róża jakby wyczuła, że Bolesta nie chce patrzeć jej w twarz, kazała zasłaniać okna. W mroku przyciskała się do jego piersi, sądząc - jak sędzi każda zdradzana kobieta - że przez ten mrok zdoła się upodobnić do tamtej, szczęśliwszej rywalki i może uda się jej w ten sposób odbić serce, które utraciła.

A Bolesta, choć codziennie idąc na spotkanie z Różą mówił sobie, że już dziś powie jej prawdę prosto w oczy; gdy znalazł się blisko niej i gdy poczuł jej serce bijące tuż obok swego serca, tracił odwagę. Początkowo ogarniał go potężny wiew zmysłowości. Bliskość Róży rozpalała mu krew, choć nie były to już te same namiętne wzloty, jakich doświadczył kiedyś w Lublinie. W tamtych stąpiła się burza krwi z szaleństwem obudzonej nagle miłości. Dziś miłość zamarła. Pozostała tylko zmysłowość, a ta się przepalała zbyt szybko. Pozostawała pustka, której niczym nie potrafił zapełnić i która go drażniła w najwyższym stopniu.

Wrócił ostatnio z Antwerpii, gdzie jeździł z całym dworem księcia na uroczyste zaślubiny Filipa z księżną portugalską. Niezwykłe to były uroczystości. Przepych oszołamił

patrzących. Ulice miasta zaścielono na przeciąg trzech dni drogocennymi płótnami. Jedzenie rozdawano każdemu za darmo, a wodotryski napełniono winem. Mieszczanie zdumieni tą wspaniałością wrzeszczeli do utraty tchu na cześć szczodrego księcia. Wraz z lekkomyślnym dworem burgundzkim do miasta wkroczyła rozpusta i porwała w swój krąg złotowłose piękności niderlandzkie. Nadworny malarz księcia malował je ze skrzydłami jako anioły, ale te anioły traciły niewinność w ramionach książęcych gości. Sam Filip kazał podobno najpiękniejsze sobie sprowadzać, toteż wszyscy wesoło tylko pochrząkiwali, gdy podczas uczty wygłosił do swej nowej żony przemowę zakończoną okrzykiem: „Odtąd jestem tylko twój!” Damy dworu, znające aż nadto dobrze niestałość księcia, mówiły do siebie, patrząc na tłum jasnowłosych dziewcząt, ku któremu uciekały nader chętnie oczy władcy: „Ależ to same monarchinie”. Bo z Filipem nigdy nie było wiadomo, co zechce przedsięwziąć. Obecnie wiązał się z nową małżonką, choć dwie poprzednie żyły jeszcze, a złośliwi liczyli jeszcze ze dwadzieścia pięć kobiet, mniej szczęśliwych, bo się nie doczekały formalnego małżeństwa.

Dwór szalał. Nawet księcia Jana ogarnęła gorączka zabawy, bo go wreszcie Filip zapewnił, że nikt inny, tylko on dostanie dobra Ligne i Saint-Pol, a na znak swej łaskawości pozwolił mu już teraz używać tytułu „de Ligne”. Stanąwszy na progu swych marzeń księżę nagle obudził się ze swej obojętności dla żony. Róża była tym nieco skrepowana i skarżyła się na to Boleście. Tłumaczyła mu to delikatnie, jakby bojąc się, że go tym dotknie. Ale dla rycerza było to rzeczą obojętną. W głębi serca wolałby nawet, aby dawna kochanka znalazła zadowolenie w spóźnionym afekcie mężowskim. Mógłby się może wtedy łatwiej wycofać.

Tymczasem dni płynęły za dniami, a rycerz nie mógł się zdobyć na rozwikłanie ciężącego mu stosunku. W przelocie i on starał się zakosztować rozkoszy, jaką obiecywały dać nadmorskie piękności. Ale rzecz dziwna, nie znalazł w ich ramionach zadowolenia. Widać łudził się tylko, mniemając, że potrafi w ten sposób wyrwać się z pęt smutku i beznadziejności. Znowu począł go nawiedzać krwawy cień Pawła, znowu w każdym cierpiącym kalece zdawało mu się, że rozpoznaje Katarzynę. Czy jest siła, która go od tego straszliwego wspomnienia potrafi obronić? Wydawało mu się, że nie ma i nie może być, ale rycerz dziwne nadzieje wiązał z osobą tajemniczej pasterki.

Opowiadano teraz o niej rozmaite rzeczy. Wprawdzie już nie zwyciężała jak dawniej, a nawet dwukrotnie ustąpiła spod murów Paryża i spod murów Charite, lecz to nie zmieniło sprawy, że się jej bano panicznie w szeregach angielskich. Pod Lagny dopadła Franqueta d'Sarras i rozbiwszy jego oddział jego samego wzięła do niewoli. O więźnia upomniały się sądy, więc go im wydała. Franquet stracił głowę, a Bedford - ostatnie oparcie na przedpolu wybrzeża. Gdyby teraz Karol uderzył, doszedłby bez trudu aż do Calais i zmusiłby Henryka

do odpłynięcia do Anglii. Nie pomogłaby wówczas kruczata Winchestera, która już stała na ziemi francuskiej, ale uchylała się od walki ze straszliwą zdobywczynią Jargeau.

Lecz Karol nie myślał o tym. On także bawił się i ucztował w Chinon w otoczeniu dworu, razem z matką, żoną i kochanką, ową Agnieszką Sorel, o której królewscy faworyci rozpuszczali wieść, że jest kobietą przeznaczoną przez Opatrzność do tego, by stała się zbawczynią Francji. Wiele jeszcze lat musi upłynąć, zanim Karol dojrzeje. Tymczasem nad brzegiem spokojnie płynącej Loary po trudach letnich walk szuka ukojenia w ramionach kobiet i chwilami nawet nie pamięta o istnieniu jedynej kobiety, za którą winien był iść nawet wówczas, gdyby miał przy tym zapomnieć o własnej żonie i matce.

Podczas gdy Filip na czele swych oddziałów, wśród których jechał Bolesta, dążył ze zburzonego po dłuższym oblężeniu Choisy pod Compiègne, z drugiej strony ku temu samemu miastu z nielicznymi zresztą oddziałami zbliżała się Joanna. Zdrada Soissons uniemożliwiła jej dotarcie do Choisy, zanim zostało zdobyte. Obecnie wróg grodził Compiègne. Trzeba było to wierne miasto ratować, tym więcej, że był to jedyny punkt wypadowy ku wybrzeżu i w razie jego utraty wszelka działalność w Normandii traciła swoją podstawę strategiczną.

Joanna wiedziała, że nie zdąży przybyć pod mury Compiègne przed Filipem. Ale to ją nie trwożyło. Dzielny Flavy nie otworzy bram przed Burgundczykami, ale cierpliwie oczekiwać będzie na pomoc. I na świętego Marcina rycerza, ona mu tę pomoc da!

Wielkich sił ze sobą nie prowadziła. Ot, wszystkiego kilkaset jazdy. Z wodzów był tylko Poton de Xaintrilles, najwierniejszy z wiernych. La Hire walczył w zachodniej Normandii, lecz Poton był jego przyjacielem i równie mocno umiał być oddany Dziewicy jak La Hire. Obaj byli Gaskończykami i obaj żyli zasadą: kto mój pan, temu ja jestem wierny aż po grób. Niegdyś należeli do grona najgorszych kapitanów Karola, bo każdy wysiłek zaraz przeliczali na złoto, a liczyć umieli dobrze - na swoją korzyść. Mieli jeszcze jednego przyjaciela, rycerza Brarbarana, tego jednak przed laty Anglicy uwięzili w Chateau_Sgailard i nie chcieli wypuścić, aż go wreszcie uwolnił tejże zimy La Hire. Niestety, Barbaran wysiedziawszy się przez dziewięć lat w lochu, wyszedł na świat niedołężnym starcem. Był to jeszcze jeden powód, aby za niego szukać zemsty na Anglikach.

Rzecz jednak dziwna. Ci dwaj Gaskończycy, krwawi z najkrwawszych, chciwi z najchciwszych, kłamcy, plugawi w słowach, dziwkarze i gwałciciele, znani ze swej bezwzględności każdej kobiecie od Pirenejów aż po Alpy, zmienili się pod wpływem Joanny nie do poznania. Kazała im spowiadać się, a oni rycząc z żalu otwierali przed księdzem swe mroczne sumienia. Zabroniła im kląć - oni zaś nie protestowali i tylko prosili, aby im przynajmniej pozwoliła zaklinać się na swój miecz. Zgromiła ich za chciwość - i od tej chwili

służyli Karolowi bez żadnej płacy. Wymawiała im ich okrucieństwa, więc choć ich zapalczliwość ponosiła, pamiętali, aby za każdego, którego w walce zabili, odmówić po bitwie „wieczny odpoczynek”. A wreszcie, gdy spojrzeli na jej nieugiętą dziewiczość, zaczęli między sobą robić różne śluby, początkowo nieduże, na dwa, na trzy dni, na tydzień, później trochę dłuższe, aż wreszcie zaczęli nabierać dziwnych cnót, z których byli dumni, ale w których się czuli bardzo niepewni, toteż zaraz śpieszyli w pobliże Joanny, gdy tylko gdzieś obok ukazała się inna młoda kobieta.

To przecież w obronie Potona połamała na plecach jakiejś dziewczki swój miecz z Fierbois. Być może, że sama atmosfera Saint-Denis wprowadziła ją wówczas w stan gorączkowego podniecenia. Jej sumienie wyczulone do najwyższego stopnia na wszystkie sprawy, w których niewinność wchodziła w grę, cierpiało, gdy patrzyła na ten klasztor święty, bo kryjący w swych murach czcigodne zwłoki pomazańców królewskich, a mimo to zbezczeszczone i z aureoli świętości odarty. Znać po nim było gospodarzę Anglików, rabunki i łupiestwa band armaniackich Bernarda i Ludwika, znać po nim było także, że odwiedzały go krwawe hordy zrewolucjonizowanej ludności Paryża; owi rzeźnicy pod wodzą Saint-Pola, ubrani w białe czapki będące godłem rewolty, prowadzeni przez kata Capelouche'a - których ręce ociekały jeszcze krwią Bernarda, księcia Armagnac i tysięcy niewinnych ludzi.

Ale wewnątrz, w celach i salach klasztoru, istniały jeszcze inne ślady budzące pamięć ohydnych zabaw, które tu kazał urządzać król Karol, wówczas gdy jeszcze szaleństwo nie ogarnęło jego umysłu. Wśród śmieci znaleźć można było dziś już zmurszałe festony i wieńce. Cele przesiąkły zapachem wschodnich olejków, którymi się oblewały kochanki królewskie, i ten zapach mimo tylu lat wciąż jeszcze raził zmysły wchodzących, kruszył wolę, mroczył umysł. Tu kiedyś czarował Karol Orleański, tu bawił się hałaśliwie król, tu odbywały się najstraszniejsze orgie, w których udział brali wszyscy: rycerstwo, księża, biskupi, mnisi. Kobiety nosiły tu maski, ale nie używały strojów. Mężczyźni zapominali o świecie za nowym ciałem kobiecym. Rozpusta była tu prawem, rozkosz jedynym celem. Tu Sir Ternant tocząc koniem po dziedzińcu podczas wspaniałego turnieju zapewnił: „Nie pragnę innego dobra nad zaspokojenie żądz moich”. Tak samo myśleli wszyscy. Tymi samymi marzeniami żyli wszyscy.

Dla Joanny poznanie Saint-Denis takim, jakim je zobaczyła, było tragicznym zawodem. Jej dziewicza wstydlivość doznała tutaj zniewagi - i rzecz straszna - znieważającym były czcigodne mury klasztoru patrona Francji, który strzegł grobów jej władców. Wprawiło to młodą wieśniaczkę w gniew. Zrozumiała tutaj dopiero, gdy stanęła

wobec splugawionych narodowych świętości, że najazd angielski był nie tylko doświadczeniem, ale i karą. Wprawdzie surową, ale jakże sprawiedliwą!

I w tym podnieceniu natknęła się na dziewczkę, która przyszła tutaj szukać de Xaintrailles'a. Znała go z dawniejszych czasów i wiedziała, że nią nigdy nie gardził. Dwie kobiety spotkały się na dziedzińcu. Joanna wracała z próby klaczy kupionej świeżo od biskupa z Senlis, tamta szła swoim ordynarnie zalotnym krokiem przeginając się w biodrach i rzucając na mijanych mężczyzn powłóczyстым spojrzeniem podmalowanych oczu. Widok nierządnicy wstrząsnął Joanną. Dziewczyna w męskim odzieniu poczuła, że ją ogarnia prawdziwie męski gniew, nagły, porywczy, straszny. Zatrzymała tamtą, wskazała jej bramę:

- Precz! - krzyknęła.

Lecz dziewczka nie myślała ustąpić. Podparła się pod boki i pewna swej niekaralności wśród żołnierzy, którzy nieraz z jej ciała korzystali, poczęła jazgotać głosem podrażnionej przekupki:

- Cóż to?! Widzicie ją! Ona mnie wypędza. Rozpustnica, co w majtkach chodzi jak chłop. Nie pójdę! Myślisz, że każdy chłop do ciebie należy? Patrzcie ją, jaka chciwa.

Błyskawicznym ruchem Joanna wydarła miecz z pochwy i uderzyła kobietę z całej siły płazem przez ramię. Ta wrzasnęła:

- Ludzie! Na pomoc!

Nikt jej jednak na pomoc nie nadbiegł. Przeciwnie, żołnierze odwracali głowy udając, że jej nie widzą ani jej wołań nie słyszą. Cios tymczasem spadał za ciosem. Więc podniósłszy spódnicę poczęła rączo uciekać jak jeleń i nie oparła się aż za bramą.

Joanna jej nie goniła. Zaraz za drugim czy trzecim uderzeniem zobaczyła, że miecz pęka. Uklękła w piasku, by podnieść koniec ułamanego ostrza. Łzy, które tak łatwo płynęły z jej oczu, i teraz poczęły się sypać na ziemię. Bo jakże nie miała płakać nad utratą swego niezawodnego przyjaciela odnalezonego pod ołtarzem św. Katarzyny w Fierbois, a później służącego jej wiernie pod Orleanem, Jargeau, Patay, Troyes? Płakałaby może nad utratą innego miecza czy ulubionego konia ona, z której żartowano, że na widok pięknego oręża bojowego, konia czy zręcznego rzędu zaczynają się jej oczy błyszczyć. Ale miecz z Fierbois nie był zwykłym mieczem. Miała zawsze wrażenie, że ten miecz - to ona sama, a teraz, gdy patrzyła, jak kruszał w jej ręku nie w chlubnym boju, ale podczas wyganiania sprzedanej dziewczki, poczuła w sercu bolesne ukłucie oraz niepokój o to, czy los miecza nie stanie się przypadkiem jej losem.

Święte nie chciały jej na to odpowiedzieć. Gdy w ciszy samotnej komnaty dokonywał się codzienny cud przemiany mroku w jasność, próżno prosiła je o odpowiedź. Ogarniał ją

początkowo, jak zawsze, lęk, dreszcz zbiegał po ciele i zdawało się jej, że tętna krwi w skroniach biją coraz wolniej, że zamiera, a wraz z nią zamiera cały świat, staje czas, następuje głucha pustka, noc, noc czarna i bez końca, w której człowiek zanurza się jak w mrocznej wodzie stawu aż do utraty tchu, aż do utraty resztek światła. Modliła się wciąż. Gubiła się w słowach, ale błagała całym sercem i całą duszą. Napięcie błagania rosło tym uporczywsze, im wyżej ponad głowę piętrzyła się studnia nocy ducha. Ciało dosięgało dna swej agonii, aż wreszcie przerywał się gdzieś w dali całun mroku. Powietrze wracało ku zdławionym płucom. Cierpienie rozwiewało się bez śladu nie tylko że przemijając, ale jednocześnie niosąc zapomnienie i ukojenie. Teraz serce biło inaczej, żywiej, prędzej, radośniej, jak nigdy nie potrafi bić pośród radości ziemskich. Zapadała w otchłań blasku, ale ten blask nie raził jej oczu. Oczy bowiem stały się jakies inne, bardziej bystre, zdolne do oglądania tego, czego zwykle nie widziały. Blask nasiąka wszystkimi kolorami tęczy. Drżał jak woda roztrzącana miotem wiru nieskończonych kręgów. Utracał swoją realność, choć nie przestawał być rzeczywistością.

Modliła się wciąż. Lecz teraz modlitwa tryskała z jej serca prosto, jakby opadły wszystkie więzy bieg jej hamujące. Śledziła jej lot. Nie mknęła ku chmurom i nie znikwała za nimi jak zwykła codzienna modlitwa przyziemnych istot, ale wyciągała się w ogromną strzałę, której grot tkwił w powodzi światła. Spinała jej serce z tamtym płonącym Sercem przepotęzną klamrą. I wtedy jakby powrotną falą wstępowała w nią moc i siła. Oglądała rzeczy niepojęte dla siebie. Trzepotała się radością przeogromną i topiła się w żarze miłości przemożnej, świetlanej.

Ile by dała, aby mogła przedłużyć w nieskończoność czas tego trwania! Ale jak łańcuch, który ją wiązał z ziemią i nie dawał swym ciężarem zapomnieć o swojej obecności, tak bolała ją świadomość konieczności powrotu. Tamto w dole było dalekie, niepozorne, beztreściwe. A jednak jeszcze należała do tamtego życia, choć jej życie wrosło korzeniami w świat blasku, w świat przewycięzającej wszystko miłości.

Więc modliła się o prawo pozostania już tutaj na zawsze. I wtedy w świetlanej mgławicy wirujących kręgów zstępowały ku niej obie święte. Z jakąż radością je witała i jak jej było dobrze w ich miłosnym objęciu! Mówiły do niej - a ich słowa miały w sobie zaklęty grom Boskości. Niosły na swoich szatach blask słońca, w którego promieniach przebywały. Dźwigały ją kochającym dotknięciem rąk.

Co mówiły? Joanna nie zawsze była zdolna wszystko pojąć. Pocieszały ją i mówiły, aby się nie martwiła. Wzywały do wytrwania. Kładły słoneczne dłonie na jej cierpiące oczy. Coś pokazywały.

I wtedy - gdy wciąż szeptała wargami słowa modlitwy - zdawało jej się, że widzi zawieszoną pośród woali światła jedną kroplę Krwi. Od jej szkarłatu blask nasiąkał czerwienią, a promieniowanie miłości stawało się jeszcze żywsze. I ją ten blask porywał i wciągał, i zbliżał ku gorącej kropli. Zapragnęła Krwi tej dosięgnąć. Wyciągała ręce...

Lecz nagle mrok powrócił z brutalną gwałtownością. Światło, w którego blaskach zstępowały ku niej święte, zapadło się w głąb. Nadchodziła noc dnia ziemskiego. Ciało zawieszone w beczasie spadało na posadzkę przystrojonej komnaty. Modlitwa pojawiała się znów na wargach i znowu walczyła z tysiącem przeszkód, które jej lot starały się powstrzymać. La Hire stojąc w drzwiach pytał, czy nie należy już trąbić na odmarsz. Biedny La Hire - serdeczny przyjaciel - a przecież w tej chwili, gdy patrzyła na niego wzrokiem, w którym płonął jeszcze blask tamtego światła, wydawał się jej wcielonym mrokiem.

Po każdym takim zanurzeniu się w światło Joanna czuła się silniejszą, ale równocześnie wciąż nie znajdowała odpowiedzi na dręczące ją pytania. Może więc jej misja jest już ukończona? Stanęły jej w oczach zielone łąki Domremy i Grioux, na których pasąc krowy czuła się tak bardzo szczęśliwa. Ale gdy prosiła Karola, aby jej pozwolił odjechać - odmówił. Twierdził, że zbyt wiele jest jej dłużny i że musi jej poświęcenie wynagrodzić. Poza tym zwrócił uwagę, że wojna nie jest jeszcze ukończona, nie powinna więc pozbawiać Francji swego zawsze zwycięskiego miecza. Joanna wahała się, nie wiedziała, co robić. Jej wrogowie twierdzili, że została, ponieważ król obdarzył ją sowicie oraz nadał jej rodzinie szlachectwo. Ale to nie była prawda, Joanna w rzeczywistości nie miała pojęcia, co ma ze sobą dalej robić. W jej myślach była obecnie wielka próżnia. Poprzednio brzmiały jej wciąż w uszach jakby dwa hasła bojowe, dwie nazwy: Orlean i Reims. Lecz oba te marzenia stały się rzeczywistością. Wydawać by się mogło, że los całej wojny zostanie przesądzony, gdy wprowadzi króla do katedry w Reims. Tamto się dokonało, a wojna wciąż jeszcze trwała. Karol nie wyrósł na olbrzyma przez sam fakt pomazania, ale był jak poprzednio niezdecydowanym tchórzliwym książątkiem. Rycerze i panowie kłócili się obecnie tak samo jak poprzednio. Rozpusta kwitła na ich dworach, a święty zryw zapału, który wybuchnął płomieniem przed rokiem, obecnie zagasł. Wszystko było tak jak przedtem, jakby nigdy nie był istniał miesiąc wielkich triumfów i koronacja. Francji złamanej moralnie nie mogły wskrzesić zwycięstwa wojenne.

Jeżeli jest potrzebna Francji - powtarzała sobie Joanna - to zostanie. Głosy przestały jej wprawdzie mówić o przyszłości, ale jej nie opuściły. To znaczy - tłumaczyła sobie - że chcą, abym dalej walczyła. Nie odejdę więc! Niech się dokona ofiara wielkiej wiary aż do końca. Niech mi będzie wolno wszystko poświęcić.

Została więc, ale z wewnętrznym poczuciem, że zbliżają się obecnie zasadnicze zmiany w jej życiu. Niebo było wyjątkowo dla niej łaskawe i częściej niż kiedykolwiek zsyłało pociechę. Spotykała się wciąż ze swoimi świętymi, a one starały się ją pocieszyć i umocnić. Tylko że milczały o losach wojny.

Aż wreszcie pewnej nocy, już po odstąpieniu spod murów Paryża, przemówiły do niej wyraźniej. Obudziła się nagle z tym wrażeniem, że ktoś ją woła. Noc była spokojna, ciemna, bezgwiezdna, żaden gwar nie dolatywał z zewnątrz poza szumem wiatru, który to z mniejszą, to z większą energią szturmował do ściany domu. Jego falowanie przypominało uderzenia bałwanów morskich o brzegi, uderzenia następujące miarowo po sobie, raz silne, innym znów razem słabe, każde posiadające swoją moc i nigdy nie mające tego samego napięcia, co poprzednie.

Usiadła na łożu. Przez chwilę jej oczy szukały czegoś w mroku. Ale potem zdała sobie sprawę, że noc, która ją otacza, nie jest tylko porą gwiazd i księżyca. Znalazła się niespodziewanie poza kręgiem zjawisk ziemskich. Zanurzyła się w tak bardzo sobie znaną noc ducha i tylko poszum wichru targającego oknami pozostał jako jedyny refleks z tamtego świata.

Tak samo szumiał wiatr w gałęziach nadrzecznych drzew, gdy pewnego dnia w blasku bladego, to ukazującego się na niebie, to znowu gasnącego słońca posłyszała przerażające słowo rozkazu. Była wtedy tak wystraszona, że nie śmiała nic odpowiedzieć, tylko serce biło jej gwałtownie w piersi, przystosowując swój rytm do rytmu wichury. Miękkie witki krzewów były rozpaczliwy werbel na spękanych pniach drzew. Zdawało jej się, że w szumie słyhać tupot kopyt końskich, pokrzyki żołnierskie, wrzask trąb... Była to muzyka stosowna do najdziwniejszego z wezwań, jakie kiedykolwiek usłyszała. Jeszcze dziś słyszy tamte słowa:

- Idź, idź. Córko Boga, idź!

To było jakieś szaleństwo, a jednak ani na chwilę nie ogarnęły jej wątpliwości. Wstała pokorna, strwożona, drżąca, przejęta otrzymanym rozkazem, lecz już od pierwszej chwili z nim pogodzona. Można by sądzić, że ten wiatr skaczący w szalonej gonitwie po koronach drzew i uderzający to tu, to tam, napawał ją wiarą w rzeczywistość wezwania. Nie widziała go, a przecież pod jego podmuchem gięły się w jej oczach gałęzie, kładły krzewy, skrzypiały pnie. Tak samo rozkaz spłynął na nią z niepojętej dali. Wytrysnął jak płomień z morza światła. Był mocarny jak wiatr - jak wiatr, który znad gór przylatuje - a przecież ją, tylko ją przygiął swą siłą do ziemi. Jak trawę, jak krzew, jak drzewo, w którego gałęziach się

zapłacze. Nie widziała go, jak nadchodził. Spłynął na nią niespodziewanie, ogarnął ją i nie chciał ze swoich objęć wyzwoić.

Tej nocy tak samo pojawiło się wezwanie wśród głuchych zawodzeń wiatru. Z wolna noc zaczęła się rozpraszać. Wstawał blask potężny, gaszący swą wszechjasnością wszystkie inne światła, niezdolne się zmierzyć z jego mocą. I gdy z morza blasku wystąpiły ku niej obie opiekunki, nie niosły jej jak zwykle słów pociechy i ukojenia, ale spływały dostojne, pełne groźnej powagi rozkazu, który przynosiły. Była w nich moc nie utajona i żar na twarzach, na które trzeba kłaść zasłonę, aby nie poraziły patrzących. I gdy zaczęły mówić, Joanna zastygła w posłuchu.

Wie, co mówiły wówczas. Wie tym pewniej, że ciągle będą jej teraz nowy rozkaz powtarzać. Straszny rozkaz! Straszniejszy niż ten, który kazał iść jej - dziewczynie wiejskiej - do boju z żołnierzami. A przecież wie dobrze, że posłucha go, choćby sto matek i stu ojców łamało dłonie i choćby ta niewola, która ją czeka, równała się śmierci.

Więc i tego jeszcze potrzeba? Niech będzie, niech się stanie! Oto zbliża się noc, a z nią zdrada okrutna. Zbliża się noc i w niej kryjąca się straszna pokusa - pokusa Piotrowa - że chwila ta nie przyjdzie. Przyjdzie! Głosy nie skłamały jej nigdy. Bo jeżeli ma nie wierzyć swoim świętym opiekunkom dziś, gdy jej zwiastują ciężkie doświadczenie, jakże to wytłumaczyć, że wierzyła im wczoraj, gdy zapowiadały triumf?

Teraz Joanna wie już, dlaczego została przy królu. Nie popełniła błędu, gdy nie chciała zamienić królewskiego dworu na Domremy. Jej misja nie została ukończona. A może się dopiero zaczęła?

Z tą świadomością zawraca konia i podąża szybkim, nocnym marszem ku oblężonemu Compiègne.

17.

Compiègne leży nad Oise'ą. Podobnie jak Orlean, miasto jest połączone z przeciwnym brzegiem obronnym mostem zakończonym warownym przyczółkiem. Tędy w lewo wiedzie droga do Noyon, zaś w prawo do Clermont. Otaczające pola są lekko pofałdowane, w płytkich kotlinach ukryły się przed okiem patrzącego małe podgrodowe wioszczyzny: Margny, Venette, Clairoix, Coudun.

Armia Filipa szturmuje do miasta od strony przyczółka. Sam Filip razem z księciem Arundelem siedzi w Coudun. Skrywa go Jan z Pikardyjczykami. Na przedpolu pod samymi

murami w Margny przypadł Baudon de Noyelle. W lewo w lesistym Venette stoją Anglicy pod wodzą Montgomery'ego.

Tego to dnia - 24 maja, rano - jak burza przewaliła się przez obóz burgundzki Joanna. Nikt nie śmiał stanąć jej na drodze, toteż bez żadnych strat przedostała się do miasta. A miała ludzi zmęczonych, bo całą noc nie żałując koni jechali na odsiecz Compiegne. Także niewielki był jej oddział - może z czterystu konnych zaledwie liczył. Można go było rozbić jednym uderzeniem. Można było Joanny do miasta nie dopuścić. A jednak przeszła.

Jan chodził po namiocie zdenerwowany tą wieścią. Straszliwa pasterka akurat musiała się tu pojawić wtedy, gdy księżę wyznaczył go głównym dowódcą swoich sił. To oblężenie miało zadecydować o jego znaczeniu na dworze Filipa. Tak bardzo mu zależało na tym, aby się dobrze wywiązać z powierzonego zadania.

- Jak sądzicie - pytał Bolestę, którego doświadczenie ceniąc, trzymał stale przy sobie - czy nie należało by pokropić wszystkich mieczów wodą święconą? Może to zniszczy czar tej wiedźmy.

Bolesta wzruszył ramionami.

- Widziałem, jak rycerze w zbrojach, na których były relikwie święte, padali przed koniem Dziewicy.

W namiocie było kilku rycerzy. Między nimi czternastoletni zaledwie synowiec Jana, Hugo de Saint-Pol, rycerz Omer de Mont-Rouge, bękart Lionell z Wandonne oraz szlachcic bretoński Idzi Retz-Slaval, o którym opowiadano, że bardzo lubił dzieci, bo zawsze ich kilkanaście pozbieranych z całego świata przebywało na jego dworze. Wszyscy oni po raz pierwszy mieli się spotkać z Joanną.

- Więc mocniejsza jest niż wszystkie świętości?

Bolesta bez słowa skinął głową. Dreszcz przebiegł po twarzy Jana.

- Ale od Paryża odstąpiła - dodał, chcąc nabrać fantazji.

- I od Charite - ktoś rzucił.

- Tu nie odstąpi, bo odstąpić nie może - zwrócił uwagę Bolesta - to wy ją trzymacie w garści. Może się jednak będzie chciała przedrzeć?

- W każdym razie jutro bój pewny - rzekł Jan.

- Niech Bóg wspiera nasz oręż.

- Cicho! Czy słyszycie?

- Na Boga! Cóż to?

- Wrzaski i krzyki. Trąby grają. Czyżby wypad?

- Czarownica uderzyła! Do broni! Prędejj! Prędejj!

- Formować oddziały!
- Tylko prędzej! Myślicie, że to... to ona?
- Koni! Koni!
- Do oddziałów, szlachetni rycerze!
- Formuj się!
- Ratuj się!

Od bramy miasta grzmi tętentem setek kopyt oddziału Joanny. Zaledwie dziś rano przybyła do miasta, a już teraz nie bacząc na zmęczenie i nawet nie odpocząwszy, rusza do walki. Uderzyła ławą jeźdźców na szeregi Baudona de Noyelle i przeszła po nich jak po dojrzałym zbożu. Próżno starali się dać jej opór! Drżąca dłoń łuczника nie może skierować strzały w pierś nieprzyjaciela, ani też odpowiednio mocno napiąć łuku. Nerwy nie mogą znieść grozy nadjeżdżających w cwale jeźdźców. Strach przed wróżką chwyta za gardło i krzyczy w ucho hasło ucieczki.

Tymczasem Jan wyprowadził już swoich. Podnosi miecz do góry i niepewnym głosem daje rozkaz do walki. Schyla się las kopii.

Lecz cóż zdoła powstrzymać w pędzie potężną falę morską, gdy gna rozszałała ku brzegowi niosąc na swoim grzbiecie kozuch kłębiącej się piany? Jak fala w wątlą tylko zaporą broniony brzeg, tak uderza oddział Joanny w linię żołnierzy Jana. Trzeszczą kopie skruszone w gwałtownym starciu, konie przysiadają na zadach lub zawróciwszy wynoszą z zamętu swoich jeźdźców. Bolesta, patrząc na bitwę z sąsiedniego wzgórza widzi, jak łamie się szyk Pikardyjczyków. Już biały sztandar Joanny powiewa pośród największej gęstwy jej nieprzyjaciół. Trwożny krzyk „czarownica!” rozlega się po całym polu. Rozbite oddziały Baudona zwały się na szeregi księcia Jana. Ten nie umiał powstrzymać ani uciekającej zgrai, ani też czołowego uderzenia oddziału Joanny. Ugiął się. Jego ludzie poczęli uciekać prosto na trzecią i ostatnią już linię wojsk burgundzkich, stojących przed Coudon pod wodzą samego Filipa. Jeszcze chwila a dobiegną do niej i przerwą ją, jak dwie poprzednie. Bitwa wtedy zamieni się w klęskę.

Nagle Bolesta spostrzega jakiś zamęt w oddziałach francuskich. Tylne szeregi uciekają. Porzucają pewne już zwycięstwo i kierują się z powrotem ku bramie miasta. Joanna zabiega im drogę. Krzyczy, rozkazuje, powiewa chorągwią, a nawet płazuje mieczem. Na próżno. Coraz więcej ludzi ucieka. Łamią się szyki. Zdumione taką zmianą sytuacji oddziały burgundzkie zawracają. Teraz to one ścigają swoich gromicieli.

Ach, to Montgomery wszedł na tyły Francuzom. Mogli się go nie obawiać, bo mieli za sobą łuczników Flawy'ego. Ale w zamęcie bitwy zapomnieli o tym. Poczuli się natomiast

odcięci od miasta. Tego i tamtego schwycił strach, a rozprzestrzeniając się jak ogień zmusił wszystkich do ucieczki.

Uciekający oddział dopada już do zwodzonego mostu niosąc na swym karku goniących Burgundów. Pierwsze szeregi giną w czarnej paszczy bramy. Na samym końcu w ostatnich szeregach walczy grupka ludzi osłaniając odwrót swoich. Tam też miga biały sztandar Joanny.

Wreszcie Francuzi są już na moście. Przed fortem broni się już tylko Joanna z kilku towarzyszami, nie mogąc oderwać się od ścigających ją nieprzyjaciół. Otoczono ją ze wszystkich stron. Wśród tłoku wre bój zaciekle.

Nagle w powietrzu rozlega się ostry zgrzyt. To z wolna podnosi się zwodzony most prowadzący do fortu. W mieście za rzeką biją dzwony. Ciężka krata zasuwana się także zamykając bramę.

Joanna ze zdumieniem spostrzega, że ją pozostawiono za murami. Gniewny okrzyk wyrwa się z jej ust. Cóż to! Czy nikt nie widzi, że jej odcięto drogę. Ale z wałów patrzą na nią twarze skrzywione przerażeniem. Załoga przedwcześnie oplakuje stratę swego wodza. I nikomu nie przychodzi do głowy, aby spuścić most i pośpieszyć z pomocą dziewczynie.

Dziewica nigdy nie traci głowy. Jeżeli nie może powrócić do miasta, przedrze się przez wroga i ucieknie do swoich do Crespy. Wprawdzie otacza ją może tylko dziesięciu ludzi, lecz cóż to znaczy? Gdy walczy, ma zawsze obok siebie pięćdziesiąt tysięcy, jak wówczas pod Saint-Pierre le Moustier. Naprzód więc!

Lecz w tej chwili dziesiątek rąk chwyta ją za płaszcz. Szarpnęła się, wspięła konia, wymachując mieczem. Ale dwóch ludzi trzyma jej żrebeca mocno przy pysku. Inni ciągną ją za płaszcz starając się zwalić Joannę na ziemię. Ogromny wzrostem łucznik wyłamuje jej rękę, w której trzyma sztandar. Inny wyrwał jej nogę ze strzemia i podnosi do góry, aby straciła równowagę. Chwycono za pióropusz jej hełmu tak mocno, że podpinka zaczęła ją dusić. Słyszy krzyk. Myśli lecą szybko jak strzały.

Więc to już teraz ma się spełnić zapowiedź Głosów? Jakież to straszne. Więc ma zostawić wierne miasto Compiègne na łup wrogów? Ma odejść w szarej ómnie klęski, a nie w słońcu zwycięstwa?

Zwalono ją z siodła. Ludzie tłoczą się wokół, depczą po niej, szarpią. Setka twarzy pochyla się nad jej twarzą. Grube męskie palce biorą ją za włosy gestem pełnym zdumienia, jakby nie mogły uwierzyć, że to są naprawdę miękkie włosy kobiece. Ktoś plunął jej w twarz. Brutalna trzoda ludzka lubi okazywać pogardę tym, przed którymi czuła do niedawna respekt.

Znów plunięto. Zacisnęła zęby. Ślina żołdaków piecze jej twarz boleśnie. Ale wie, że stokroć boleśniejszy w tej chwili byłby ohydny pocałunek zdrajcy.

Wieczorem w namiocie Jana zebrano się znowu kilku rycerzy. Wszyscy byli podnieceni dzisiejszym sukcesem, toteż wszyscy mówili jednocześnie, nieomal na wyścigi. Jan pełen radości siedział w wygodnym karle. W swej głupocie sobie przypisywał dzisiejsze zwycięstwo.

- Cóż czarownica? Nie uciekła? - pytano bękart z Wandonne, którego jeńcem stała się Joanna, gdyż to jego łucznicy ściągnęli ją z konia.

- Nie. Choć początkowo bałem się, że się zmieni w kota albo w puszczyka. Kazałem ją skrupować i przywiązać do koła od wozu, zaś nogi skuć w dyby. Pięciu ludzi jej pilnuje...

- Jadła co? Piła?

- Nie dawałem jej nic. Po co czarownicy jadło i napój?

- Wygląda na zwykłą chłopską dziewczkę - ktoś rzucił.

- Nawet jest ładna i zgrabna.

- Uważajcie. Czart ma wasze oczy.

- Czart nie czart - wtrącił Bolesta - ale nie możecie ją trzymać skrupowaną jak byle bandytę. Jest rycerzem i z nami walczyła jak równy z równym. Należą się jej prawa jeńca wojennego.

Lionell spojrział ze zdziwieniem na Polaka.

- A jak ucieknie?

- Gdyby chciała i mogła, uciekłyby także i z więzów.

Bękart z Wandonne był to człowiek dość jeszcze młody. Wysoki blondyn o jasnych, gładkich włosach opływających z dwóch stron szczupłą twarz, wydawał się wcieleniem niemal kobiecego wdzięku. Lecz wrażenie to niszczył wygląd jego małych oczu, półprzymkniętych, prawdziwych oczu chciwego chłopca. Gdy mówił, oczy te biegały ciekawie od człowieka do człowieka, jakby chcąc wy badać, co można na kim zyskać. Miano go za głupca, ale nie pozbawionego pewnego złośliwego sprytu. Zresztą głupcem nie był. Umiał dobrze walczyć - to miał po swoim książęcym ojcu, i potrafił dobrze strzec swoich interesów, w czym przejawiały się charakterystyczne rysy matki, prostej normandzkiej chłopki.

Podniósł głowę i rozłożył gestem bezradności ręce, lecz oczy, które szybko i czujnie spoczęły na twarzy księcia Jana, były w rażącym kontraście z miną mającą pozorować wewnętrzną rozterkę. Rzekł:

- Sam nie wiem, co będę z tą dziewczyną robił. Chyba puszcze ją za okupem.

Rycerze siedzący w namiocie wyrażali na ten temat różne zdania. Lionell nastawiał pilnie uszu nasłuchując, co powie Jan. Ten się wprawdzie nie śpieszył, czując, ku czemu zmierza przebiegły sprzymierzeniec. W końcu jednak rzekł:

- A może byście mi ją sprzedali?

Lionell udał, że się namyśla:

- Co będziecie z nią, księżę, robić?

- Zamknę w wieży i każę sobie przyszłość wróżyć. Zresztą, jak chcecie. Chciałem was tylko uwolnić z kłopotu.

Bękart zacisnął tak silnie powieki, że tylko pozostały na twarzy zamiast oczu dwie wąziutkie szpareczki.

- To ją weźcie sobie, księżę.

- Chcecie mi ją dać?

- Weźcie ją. Dacie mi coś za nią później, jak się okaże, że potrafi być dobrym astrologiem.

Jan potarł ręką wyłysiałą głowę. Namyślał się. Należał do ludzi skąpych i dokładnie wpięrow rozważył swoją propozycję, zanim ją zakomunikował Lionelowi. Joanna mogła urósć w cenę. Kto wie, czy nie zechcą się o nią licytować Karol, Bedford i Filip. Warto więc coś niecoś włożyć w ten interes. Z drugiej strony - czuł, że Lionell o tym samym myśli, i dlatego nie chce wymienić ceny, aby móc potem postawić odpowiednio wysokie warunki. Jeżeli się zgodzi na rzekomą uprzejmość tamtego, będzie potem od niego zależny.

- Dam wam - rzekł - sto nobilów...

Lionell uśmiechnął się chytrze.

- Żartujecie, księżę. Nie kupujecie psa, ale kobietę. Młodą i urodziwą.

- Kupuję czarownicę, z którą nie wiecie co zrobić.

- Za tę cenę mógłbym ją sprzedać żołnierzom. Złożyliby się, aby mieć taką uciechę.

- Ile więc chcecie?

- Ja nic teraz nie chcę.

- Co kupuję, za to płacę natychmiast; powiedzcie waszą cenę.

Twarz Lionella nabrała obleśnego wyrazu.

- Sami wiecie, księżę, ile warta zdrowa i kształtna dziewczka.

- Nie kupowałem... Mówcie wyraźnie, ile chcecie.

Bękart z Wandonne nie odpowiedział od razu. Ze starannie udanym zainteresowaniem oglądał miecz zabrany Joannie, który ze sobą przyniósł do namiotu. Próbował grubym,

pokrytym żółtymi włosami palcem ostrza, patrzył pod światło na klingę, przecierał rogiem płaszcz zapiaszczoną rękojeść. Nie przerywając zajęć, spytał niedbale:

- Więc naprawdę, książę, chcecie tę dziewczynę kupić? Będziecie z nią mieli tylko kłopot.

Jan był już zły, ale starał się opanować. Ten błazen, wasal księżnej de Ligne, a tym samym jego przyszły wasal, ośmielał się targować. Zuchwałość tych ludzi zaczyna przekraczać wszelkie granice.

- Dam wam trzysta... Ale oddacie mi także konia, na którym czarownica jechała.

Lionell załamał ręce.

- Chybaście, miłośnicy książę, nie widzieli tego konia. Piękny koń, sam wart trzysta nobilów.

- Ile więc chcecie za dziewczynę, do diabła?!

Tamten poczuł, że struna została już naciągnięta do ostateczności.

- Jak mi Bóg miły, miłośnicy książę, nie chciałem nic brać, na honor! Sami mnie zmuszacie. Za mniej nie będę mógł oddać, jak za tysiąc nobilów. Wszak sprzedaję ją księciu...

- Razem z koniem i ze zbroją?

- Lubicie żartować, książę! Naturalnie, że bez konia i bez zbroi.

Jan był wściekły. Przebiegłość tamtego doprowadzała go do szału. Z natury raczej flegmatyk, stracił wreszcie cierpliwość.

- Słuchajcie, przyjacielu - zaczął tonem nad wyraz słodkim - Wandonne leży blisko Ligne i wszystko, co posiada, posiada z łaski władców księstwa. Nie jestem wprawdzie jeszcze posiadaczem Ligne, ale rzecz już przesądzona, że nim będę... Rozumiecie? Winnicie już teraz uznać we mnie swego seniora.

Lionell spuścił głowę. Zrozumiał, że nic tu nie pomoże jego spryt. Jan zaś mówił dalej tonem łaskawym:

- Daję wam za wodza Francuzów razem z jego koniem i ze zbroją pięćset nobilów... Innych jeńców możecie wypuścić za okupem. Poszczęściło się wam przecież. Macie w swym ręku de Xaintrailles'a, Aulona, Du Lysa, brata Joanny...

Gdy tak mówił, ktoś patrzący z boku mógłby sądzić, że wyświadcza nie wiadomo jakie dobrodziejstwo rycerzowi z Wandonne. Boleście przypomniał się w tej chwili Zygmunt. Jednakże kuzyni byli do siebie podobni. To tamten, największy z Luksemburgów, z równą łaskawością ofiarowywał Krzyżakom polskie i litewskie ziemie.

Bękart z Wandonne nie protestował. Bez słowa złożył przed księciem zdobyty miecz. Jan skinął na de Beauce'a, swego skarbnika.

- Wypląćcie szlachetnemu rycerzowi z Wandonne na poczet jego należności dziesięć... nie, dwadzieścia nobilów... Ale...

Zatrzymał go gestem ręki.

- Przeprowadźcie wpierw Joannę do mego obozu. Rycerzu de Lazanky, wam powierzam ją pod opiekę. I zobaczcie, czy żołnierze Wandonne'a nie pozbawili jej życia. Bo gdyby tak - rzekł jakby tłumacząc się do Lionella - nie miałbym wam za co płacić.

Bolesta wyszedł z namiotu i udał się na skraj wsi, gdzie kwaterowali łucznicy pikardyjscy. Nie miał kłopotu ze znalezieniem miejsca, gdzie znajdowali się jeńcy, bo stamtąd dochodził najgłośniejszy gwar i krzyki. Na jakimś podwórzu zebrał się tłum żołnierzy, otaczając zwartym kołem Joannę. Jedni wspinali się na ramiona drugich lub stawali na palcach, aby ujrzeć straszliwą czarownicę, której samo imię było dla nich aż do dzisiejszego dnia najokropniejszym postrachem. Rozkrzyczany tłum w krwawym blasku smolnych pochodni robił wrażenie groźne - rzekłbyś, banda potępieńców w jednym z kół piekła, wycarowanego genialnym piórem Alighieriego.

Napora energicznym ruchem ramion rozsunał stojących i wszedł do środka koła. Żołnierze ujrzawszy jednego z wodzów ucichli i przestali się pchać. Rycerz zobaczył Joannę: leżała na ziemi straszliwie skrepowana poprzez zbroję, której nikt z niej nie zdjął. Dłonie zsiniały od ucisku powroza i nogi wtłoczone między dwie kłody musiały jej sprawiać ból niewymowny. Twarz dziewczyny była blada, ale tu i ówdzie pokryta czerwonymi plamami. Między potarganymi włosami, które, widać, każdy szarpał, zastygło kilka kropel krwi.

Ale nie to sprawiało najokropniejszą mękę tej silnej i nawykłej do niewygód dziewczynie. Gdy przychodziło do walki, zdarzało się jej, że i przez pięć dni nie zdejmowała z siebie zbroi. Lecz ona, tak wytrzymała na każdy wysiłek fizyczny, nie umiała przeciwstawić się ohydzie, którą bluzgały na nią usta ludzkie. Dziewica ciałem, była także dziewczycą duchem i wszystko, co obrażało dziewiczość, wprawiało ją w przerażenie, nieomal w rozpacz. Nie tylko jej samej nie przecisnęłoby się przez wargi żadne słowo uchybiające czystości, ale gdy usłyszała takie słowo, bliska była omdlenia. Należała do natur, którym wstydlivość jest potrzebna, jak powietrze płucom. Jej niewinność nie była nieświadomością. Wychowana na wsi, znała wszystkie naturalne przejawy życia i to nie objawy te ukryć chciała pod woalem wstydlivości. Widziała parzenie się zwierząt, a nawet istota związków ludzkich nie była jej tajna. Gdy oskarżono ją o niedotrzymanie obietnicy małżeństwa, poszła śmiało do Toul i tam wobec sądu otwarcie powiedziała, czego od niej chciał ten, który ją potem oskarżył. Nie

należała także do fałszywie cnotliwych dziewcząt, którym sam widok dziecka wyciskał rumieniec na policzki, a to dlatego, że kojarzył się w ich umyśle natychmiast z aktem poczęcia. W umyśle Joanny nic się nie musiało z niczym kojarzyć. Od dzieciństwa wiedziała o sprawach życia i niczego nie potrzebowała się z gorączkową ciekawością domyślać. Jej myśl jasna i prosta śledziła bieg celowości w naturze, obejmując łukiem przedziwnej syntezy jedynie pierwszy początek i ostatni koniec każdej rzeczywistości.

Więc nie życie trwożyło ją, ale przekłete czyny, czyny ludzkie, łamiące zuchwale lub obchodzące podle Boskie prawa tej ziemi. Wstydlive było dla niej to wszystko, co nie wypływało z naturalnych popędów ludzkich, ale co stanowiło nadużycie i wyłamanie przyrodzonych norm. To - do czego był zdolny człowiek, jedyna istota na ziemi zdolna karykaturować i fałszować podstępnie prawdę Bożą.

Bojąc się takiego właśnie grzechu i czując przed nim nie dający się niczym przezwyciężyć wstręt, Joanna z niepokojem patrzyła na własne ciało. Gdy mogła popisać się siłą lub zręcznością, była z tego dumna, ale gdy nagle pojawiała się kwestia kobiecości, poczynał ją dręczyć lęk. Od chwili, gdy złożyła ślub czystości i gdy stała się mieczem Bożym, wolałaby, aby cała jej kobiecość znikła. Nie o siebie się bała - ale o tych, którzy na nią patrzyli. Dlatego też zrozumiała, że nie wolno jej porzucić męskiego stroju. Ten strój to był symbol jej misji i symbol jej czystości. Dopóki go miała na sobie, dopóty robiła wszystko, co było w jej mocy, aby oddalić od otaczających pokusę, którą była sama.

Lecz dzisiaj niezczędzono jej żadnego bólu. Ohydne słowa padały jej w twarz jak policzki. Plugawe ręce szarpały jej ciało. Miała wrażenie, że krew tryśnie z jej twarzy. A jednocześnie głowę ogarniał jej raz po raz mrok i chłód agonii.

Lecz choć leżała w takim upodleniu, była to ta sama kobieta, która kiedyś obdarowała Bolestę wolnością. Te same szare oczy patrzyły spod firanki złocistych rzęs. Tylko usta, tak skore i do śmiechu i do płaczu, były teraz boleśnie zaciśnięte.

Skinął na setnika.

- Uwolnić ją z więzów.

Tłum zaszemrał ze zdumieniem. Ale żołnierze posłusznie zwalili belki skuwające nogi dziewczyny i rozcięli splątane sznury powróseł.

- Wstańcie - rzekł Bolesta do Joanny, gdy była już wolna.

Lecz ona nie mogła powstać, tak bolały ją ręce i nogi. Dopiero, kiedy za jego radą zaczęła zrzucać z siebie zbroję, udało jej się stanąć na nogi. W obcisłym ubraniu podpancerzowym wydawała się dziwnie mała i delikatna.

- Chodźcie ze mną - rzekł. - Jesteście jeńcem księcia Jana de Ligne.

- Znam cię - powiedziała.

Skinął głową.

- Byłem waszym jeńcem pod Orleanem.

- Pamiętam. Przybyłeś z dalekiej ziemi, zza gór. Twój syn...

- Co mój syn?! - prawie krzyknął i zatrzymał się.

- Nie wiem - wyznała cicho. - Dziwne myśli biegają mi po głowie i może mi się coś tylko płące. Zdawało mi się, że widziałam twego syna, który mnie o coś prosił... Ale o co, nie pamiętam.

Była ciepła noc. Koniki polne sykały w trawie, zaś gwiezdna poświata spowijała dalekie drzewa w lśniący woal. Szli sami piaszczystą drogą, a dopiero o kilka kroków z tyłu za nimi postępowali żołnierze. Boleście serce poczęło bić gwałtownie.

- Jak wyglądał... ten... mój syn?

Lecz widać nie obrazy, ale pewne odczucia pozostały w pamięci Joanny, bo zamyślona odparła tylko:

- Płakał... Cierpiał...

I znowu szli w milczeniu, tylko piasek skrzypiał sucho pod stopami. Za chwilę wyrosły przed nimi namioty księcia Jana. Jeden z nich przeznaczony był dla Joanny. Bolesta wprowadził ją do środka, a przed wejściem ustawił straż. Potem poszedł powiedzieć Janowi, że jego polecenie już wykonał. Gdy tak szedł, ciągle przed oczyma stał mu Paweł.

Lato było w całej pełni. Upały uderzyły ogromne. Nawet ostry powiew morza, który się dawał odczuwać wczesnym rankiem i późnym wieczorem już po zachodzie słońca, nie przynosił żadnej ulgi. Na zamku Beaurevoir ludzie przesuwali się wolno wzdłuż murów, korzystając z każdej odrobiny dobroczynnego cienia. Cicho tu zresztą płynęło życie. Żadnych zabaw, żadnych uroczystości. Księcia nie było - musiał przebywać u boku Filipa. Bawiła tu tylko księżna z nielicznym zresztą dworem i niemożliwie się nudziła. Z wieży patrzano przez długie godziny na drogę wyglądając niecierpliwie, czy aby ktoś do zamku nie jedzie. Rano Róża spała do późna, przewracając się aż do zmęczenia na szerokim małżeńskim łożu. Wieczorem za to słuchała rozmaitych opowieści starej niańki księcia Jana. Często ogarniało ją niezrozumiałe zupełnie podniecenie. Oczekiwała czegoś, tęskniła za czymś. Poczynała nagle spoglądać z zainteresowaniem na młodego przywódcę straży zamkowej Edmonda Mory.

Gdzieś w czerwcu przybył do Beaurevoir Bolesta, wiodąc ze sobą Joannę. Z rozkazu Jana, pilnował jej przez dwa tygodnie w zamku w Beaulieu. Jan jednak przestraszył się, uświadomiwszy sobie, że pod pikardyjski kasztel mogą jak nic posunąć się partyzanci

królewscy i odbić cenną brankę, kazał więc Joannę odwieźć do Beaurevoir koło Combrai, Beaurevoir leżało już na ziemi cesarskiej i dlatego było więzieniem znacznie pewniejszym. A Jan ostatnimi czasy coraz mocniej upewniał się w przekonaniu, że nabywając Joannę, zrobił dobry interes. Przed paru dniami wyszło królewskie rozporządzenie, aby sprawa Dziewicy była rozpatrywana przez łączny trybunał biskupa diecezji Beauvais i inkwizycji oraz przy udziale doradczym uniwersytetu paryskiego. Dowodziło to, że Anglikom bardzo zależy na skazaniu Joanny, jeżeli dysponowali już jej losem, pomimo iż nie znajdowała się jeszcze w ich rękach. Jan zaś powiadał sobie, że darmo jej trybunałowi nie wyda.

Był jeszcze jeden powód, który zdecydował o wysłaniu Joanny poza granice Burgundii. W głębi serca Jan żywił nadzieję, że Karol zechce mu coś zaofiarować w zamian za uwolnienie pasterki. Jedyne sumy miały dla księcia de Ligne znaczenie; sprzedałby Joannę samemu diabłu, gdyby chciał tylko pobić konkurentów szczodrością. Z Beaulieu mogli mu ją Anglicy siłą zabrać. W Beaurevoir była pod opieką samego Zygmunta, a wydanie jej zależało całkowicie od woli Jana.

Tutaj zamknięto Joannę w wysokiej wieży. Przez wąskie okna mogła patrzeć na złocące się już pola, zielone lasy i wielki, błękitny horyzont pełen dokuczliwego żaru. Razem z nią był w zamku zamknięty Pastourel, który codziennie odprawiał dla niej mszę świętą. W ciągu dnia siedziała najczęściej na oknie i patrzyła w dal, jakby oczekiwała stamtąd wybawienia lub jakby śledziła coś, co się dokonywało poza sino-granatową pręgą lasu. „Gdzie patrzysz?” - spytał ją pewnego dnia Bolesta, wszedłszy do jej celi. „Na Compiegne - odparła - boję się o nich i chciałabym im pomóc”.

Prosiła, aby jej dano jakiś materiał, a będzie szyła ubrania dla biedaków. I rzeczywiście wzięła się pilnie do roboty. Dwórki Róży, które często odwiedzały Joannę, zaczęły z niej żartować, iż już pewno zapomniała, jak się szyje. Ale ona wesoło odparła:

- Nie bójcie się. Nie ma w waszym kraju kobiety, która by umiała szyć, jak my, Lotarynki, szyjemy.

Zresztą nie były to próżne przechwałki. Szyła ładnie i prędko.

Róża nie zachodziła początkowo do celi Joanny. Uważała, że nie wypada księżnej bywać u kobiety, która ubiera się po męsku, musi więc być na pewno straszliwą rozpustnicą, co jednak nie przeszkadzało jej, że kazała sobie dwórkom opowiadać wszystko, co widziały i słyszały od uwięzionej. One zaś zdumiewały się pobożnością dziewczyny, tym, że codziennie słuchała pilnie mszy oraz przystępowała do Komunii św. Rozprawiły także dużo o jej pogodnym usposobieniu i o ciekawych rzeczach, które potrafiła opowiadać. W końcu Róża zapragnęła poznać jeńca swego męża. Przed udaniem się jednak do wieży poleciła starszej

dwórcie imieniem Karolina, aby zaniósła Joannie suknię, w którą winna się ubrać na jej przyjęcie. Ale Karolina wróciła z wieścią, że Joanna nie tylko sukni nie przyjęła, lecz nadto powiedziała, iż tego, co jej Bóg kazał nosić, nie zdejmie dla człowieka. Znowu więc Róża przez kilka dni wstrzymywała się z pójściem do celi. Wreszcie ciekawość przemogła: wezwała Bolestę i kazała się wieść do wieży.

Stosunki jej z Bolestą uległy ostatnimi czasy pewnemu oziębieniu. Rycerz wymawiał się często od tajnych spotkań, tłumacząc się brakiem czasu - przecież cały zamek był na jego głowie. Ona czuła, że jej unika, więc starała się również zachować obojętność - przynajmniej pozorną. W rzeczywistości tęskniła doń i do uścisku jego ramion...

Oboje weszli do celi. Joanna siedziała jak zwykle na oknie, a na ich widok bez pośpiechu powstała. Więzienie odebrało kolory jej twarzy, pobladła, wychudła, obcisłe niegdyś ubranie fałdowało się teraz na niej.

Obie kobiety mierzyły się w milczeniu przez pewien czas wzrokiem. Róża patrzyła na dziewczynę niechętnie, wciąż bowiem podejrzewała, że to dla niej Bolesta zapomniał o ich miłości. Rozpoczęła mówić pierwsza słowami tchnącymi życzliwością, której nie żywiła.

- Chciałam cię poznać, Joanno. Wszyscy rycerze, którzy z tobą walczyli, podziwiali twoją odwagę i umiejętność walczenia. Podobno lepiej umiesz walczyć, niż wielu naszych wrogów...

Joanna uśmiechnęła się, ale nic nie odrzekła.

- Czy to prawda, że król Karol dał ci szlachectwo?

- Dał je moim braciom. Ja go o to nie prosiłam.

Miała głos bezdźwięczny, jakby go wydawały spiekłe wargi i wyschłe gardło.

- Nie przychodziłam do ciebie - ciągnęła dalej Róża - bo czekałam na powrót męża, aby z nim do ciebie przyjść. Mąż jednak...

Joanna przerwała jej. Mówiła szybko jak człowiek, który śpieszy wypowiedzieć myśl, mogącą mu z pamięci uciec.

- A jednak, nie czekaliście, pani, na męża.

- Czy dlatego, że do ciebie przychodzę?

- Dlatego, żeście z innym żyli, a ten nie był waszym mężem.

- Jak śmiesz... - wyszeptała Róża. Zrobiła się cisza. Śmiertelna bladeść okryła policzki księżnej i Bolesty. Ich niespokojne spojrzenia spotkały się na moment i zaraz się rozbiegły. Obawiali się, że dziewczyna śledzić je będzie.

Bez słowa Róża zawróciła i chciała wyjść, kiedy nagle posłyszała za sobą głos Joanny.

- Nie wychodźcie, pani... proszę...

Księżna zatrzymała się, ale stała wciąż odwrócona tyłem do mówiącej. Głowę spuściła na piersi. Robiła wrażenie osoby skruszonej lub znajdującej się w rozterce między dwoma pytaniami: czy szczerze przyjąć na siebie pełne brzemie swoich grzechów, czy też próbować przeciwstawić się oskarżeniu.

Joanna podeszła do niej z tyłu. Dotknęła delikatnie ręką jej ramienia:

- Wróćcie do męża, księżno - szepnęła.

Róża gwałtownie odwróciła się. Był w niej nagle obudzony bunt. Może wydało się jej podejrzane, że tę radę daje jej właśnie kobieta, którą uważała za sprawczynię oddalenia Bolesty.

- Nie pytam ciebie o radę - rzuciła krótko.

Ale odpowiedź padła szybka i równie ostra:

- Baczcie, byście dobrych rad nie ominęli. Miałam was ostrzec, lecz potem nikt was ostrzegać nie będzie.

- Nie chcę ostrzeżeń!

- Ostrzeżenia być muszą!

- Kto jesteś, abyś to mówiła?

- Ja jestem nikt; ale to co mówię, to mówi przeze mnie Pan.

- Przez ciebie? Przez pasterkę w męskim ubraniu?

- Dlaczegoż ma mówić wyłącznie przez mężczyzn w długich szatach?

Mierzyły się płonącymi spojrzeniami. Nagle Róża krzyknęła w stronę Bolesty:

- Wyjdź!

Wyszedł posłusznie. Księżna walczyła z ogarniającą ją słabością. Zdawało się, że sam widok Joanny łamie jej opór. Wskazała głową w stronę drzwi.

- Kocham go... Czy ty to rozumiesz?

Joanna patrzyła na nią bez słowa.

- Nie, ty tego nigdy nie potrafisz zrozumieć - mówiła Róża ze wzrastającą na nowo gwałtownością. - Jesteś prawie dzieckiem. Nie kochałaś na pewno jeszcze nigdy.

Dziewczyna gwałtownym ruchem wyprostowała się.

- I wy to nazywacie miłością?!

- Kocham go naprawdę! - wykrzyknęła Róża.

- A czy cierpiałaś? Czy chciałaś cierpieć? Dla niego? Czy chciałaś dla niego wszystko poświęcić?

- Chciałam go mieć!

- A czy zgadzałaś się go utracić?

- To szaleństwo - krzyknęła. Ale nie umiała już zatrzymać łez, które wybuchnęły falą. Więc tylko odwróciła się gwałtownie i szybko wybiegła z celi Joanny.

Gdy tegoż dnia Bolesta wszedł do celi swego więźnia, znalazł Joannę siedzącą swoim zwyczajem na oknie i patrzącą gdzieś w dal. Zatrzymał się na progu. Rozmowa, której był dziś rano niemy uczestnikiem, kazała mu z pewnym lękiem odnosić się do tej niepojętej kobiety, ubranej w męskie ubranie.

Ona, początkowo zdawało się, że go nie dostrzega. Dopiero po chwili odwróciła głowę i popatrzyła na niego. Wtedy ujrzał łzy w jej oczach. Widać płakała.

- Cóż Compiegne? - spytała go cicho, ale głosem, w którym brzmiał niepokój.

- Broni się... - odparł.

Oparła nogi przed sobą na framudze okna i położyła czoło na własnych kolanach. Widać trwożyła o miasto nie dawała jej spokoju.

Lecz Bolesta nie o tym chciał mówić. Zanim przyszedł tutaj, przez długą godzinę chodził tam i z powrotem po swej izbie, rozmyślając, czy ma wreszcie powiedzieć Joannie o troskach, które go trapiły. Cała jego natura domagała się od dawna takiej spowiedzi, a nie widział człowieka godniejszego, by ją przyjąć, jak właśnie Joanna. Słowa prawdy rzucone w twarz Róży przekonały go, że pasterka posiadała dar czytania w sercach ludzkich. Ona więc jedna potrafi go zrozumieć i ona - ta niepojęta, ta dziwnie święta istota potrafi mu dać dobrą radę.

Był czas, że nie wiedział, skąd płynie nadludzka władza Joanny. Gdyby nie to, że podobno była dziewicą, mogłaby być wysłanką złego ducha. Lecz może komu oddała swoje ciało? Może jej pobożność, dobroć, mądrość - to tylko pozory, którymi zwykła się osłaniać pustka piekła? Słyszał, że czart lubi ludzi mamić i nigdy nie przybiera właściwej sobie postaci, aby ich nie odstraszyć od siebie. Z wolna jednak przekonywał się, że istota, której musiał strzec, nie może mieć nic wspólnego z duchem nieczystym. To nie tylko jej życie nie miało w sobie nic takiego, czego by można było się wstydzić, ale w jej obecności zniknęły wszelkie myśli grzeszne, jakby je wymiatały z umysłu niewidzialne dłonie. On, który przez czas tak długi czuł na sobie nieustępliwą dłoń swego zwycięzcy, wiedział, jak wygląda tamto poddaństwo. Umysł ogarnięty wątpliwościami, serce skute łańcuchem nienawiści, zmysły rozprężone, gotowe do skoku - był to wówczas jego stan codzienny. A jednocześnie wątpliwości budziły w nim smutek, gniew poił go goryczą, wciąż uspokajane, a przecież nigdy nie zaspokojone zmysły napawały go niesmakiem. Niewidzialny towarzysz pokazywał mu setki radości, ale gdy tylko Bolesta wyciągnął ku niemu dłoń, ze śmiechem okrutnym miażdżył je i niszczył. Był kłamcą potwornym. Otwierał przed rycerzem najpiękniejsze

horyzonty, a jednocześnie ukazywał, że są tylko upostaciowaną pustką. Bawił się najlepiej, gdy mógł swą ofiarę oszukać. Upajał się rozczarowaniem. Znajdował zadowolenie, gdy mógł ukazać bagno na dnie czystego strumienia, pył w blasku słońca, węża wśród świeżej trawy, zło skryte za parawanem dobroci, ohydę zdobiącą oblicze w maskę piękna. To był jego żywioł, wieczne przeczenie i wieczne brukanie każdej czystości. Nie cierpiał czystości i choć w wiele masek umiał się stroić - w maskę wielkości, heroizmu, czy poświęcenia - jednej, jedynej maski nie śmiał nigdy tknąć: maski czystości. Zbyt mu była ona nienawistna. Uciekał od niej. Krył się lub walczył z całą zawziętością, na jaką się zdobyć może istota rozumna. Bo wiedział, że gdy każda wielkość stać się może wielkością upadłą, każda wolność nadużyciem praw świata, każde poświęcenie upozorowanym tchórzostwem lub szaleństwem, a każdy heroizm zyskowną transakcją, to czystość, wchodząc w duszę człowieka, zdolna jest ją wskrzesić do życia, zamienić z powrotem zło na dobro, przewyciężyć podstęp, stać się wykupem dla grzęznącego w grzechu człowieka. Lękał się, iż gdyby się za nią skrył, mógłby nie znieść tak straszliwej rozbieżności...

Czystość kazała mu uderzać od czoła. Kazała mu także ujawniać się w walce. Gdyby jej ustąpił, musiałby przestać być tym, kim był...

Bolesta znał dobrze drogi, ku którym wiódł go tak często okrutny opiekun. Przestał mu ufać nawet wówczas, gdy ten wkładał mu miecz do ręki i kazał bronić wiary. Bóg wiedział, że w obliczu czystości będzie uchodzić i jego za sobą pociągnie. Każe mu zaciskać pięści, ale żadnego podstępu nie potrafi użyć. Joanna zaś była czysta.

...Wszedł do wieży niespodziewanie, późnym wieczorem. Lampa oliwna migiała na stole, a w jej nierównym blasku długie cienie tańczyły na ścianach. Rozejrzał się za Joanną i nagle cofnął się, pełen straszliwego przerażenia.

Była w celi, a przecież jej nie było. Nawet ciało, dążąc za duszą ku otchłannym wyżynom, zerwało więzy ziemi, by zawisnąć w pustce. Zagryzł wargi mocno, aż do krwi, aby się upewnić, że to nie jest sen.

W cieniach mrocznej izby pałała twarz. Rozpałał ją blask wewnętrzny. Błada, prześwietlona ogniem twarz, a cała postać ciemna, zawieszona w mroku. Rzekłbyś, twarz topielca, wyglądająca z nurtu czarnej, napojonej nocą rzeki. Ciemność nie mogła ogarnąć światła. Nie mogła także ogarnąć radości, która zastygła na twarzy. Było coś niepojętego, coś niewyraźnego w tym szczęściu. Jakby blask, który jest samą czystością. Jakby czystość, która jest blaskiem. Jakby doskonała radość, obca grymasowi urzeczywistniającego się

pożądania. Jakby pełnia, która nie jest już człowieczeństwem. Pojęta tylko w uśmiechu marzącego dziecka...

Tylko kobiecie czystej jak Joanna mógł wyznać swoją mękę. Wierzył, że tylko ona powie mu, co powinien robić.

- Joanno - zaczął - chcę ci powiedzieć...

Spojrzała ku niemu zdziwionym wzrokiem. Znała zbyt dobrze jego milczące usposobienie, więc pojąć nie mogła, dlaczego dzisiaj postępuje inaczej, niż zwykle.

Szukał słów. Jąkał się.

- Przychodzę do ciebie szukać rady... to znaczy musisz mi powiedzieć... Jesteś bowiem mądra i wszystko wiesz...

Dotknęła ręką jego ramienia.

- Mądry i wszechwiedzący jest tylko Bóg, a ja nie jestem ani mądra, ani wszechwiedząca. Boga pytaj, nie mnie.

Żachnął się:

- Musisz mnie wysłuchać.

Nie protestowała. Spuściła głowę. Siedziała jak poprzednio, milcząca, z czołem wspartym na kolanach. Bolesta zaś mówił. Łamiąc się, bez ładu i składu opowiadał o swoim życiu. Wydierał z samego dna swej nędzy piekącą go od tylu lat prawdę. Prawdę, której nigdy nie chciał nikomu powierzyć, aż urosła w jego sercu w bolesny kamień.

Nie przerywała mu. Gdyby nie lekkie drżenie ramion, można by myśleć, że spała.

- Wtedy - gorączkowo mówił Bolesta - wtedy... spotkałem w pewną burzliwą noc... Nie wiem, czy był człowiekiem, czy szatanem, bo to, co obiecywał, wszystko spełnił... Mówił rzeczy niezrozumiałe. Ogarnął mnie gniew. Nie chciałem ustąpić... Nie przypuszczałem, że to tak może się stać...

Zatrzymał się. Usta mu drżały, jakby miał za chwilę wybuchnąć płaczem. Palce szarpały gwałtownie wąsy lub zagłębiały się w puklach siwych włosów. Lecz Joanna milczała. Podjął znowu:

- Walczyłem przeciwko żonie i synowi. Ale gdym spotkał pewnego dnia kobietę... Uczyniłem z niej...

Zrobiła znak ręką, aby nie kończył.

- Lecz czy wiesz, kim była ta kobieta? - krzyknął.

Kiwnęła głową.

- Wiem. Wiem wszystko...

Zapadło milczenie i tylko słycać było przyśpieszony oddech Bolesty. Joanna zsunęła się delikatnie z okna i stanęła obok rycerza. Wzięła go za rękę.

- Wysłuchałam cię, jak chciałeś. Ale teraz Bogu wyznaj swój grzech. Bo tylko On mocen wybaczać...

Podeszła do stołu i poczęła się bawić leżącą książką. Wiódł za nią rozgorzałym wzrokiem.

- Czy mogę oczekiwać wybaczenia? - spytał. - Nie o wybaczeniu już myślę, ale by mnie Bóg zechciał zetrzeć i od męki wyzwolić.

- Gdyby ci Bóg, przyjacielu, nie chciał wybaczyć, czy sądzisz, że wiódłby cię przez męki? - zapytała.

- Lecz ja... wszak mówiłem... zawarłem pakt...

Chodziła tam i z powrotem po izbie, zanurzając raz po raz palce we włosach. Nagle zatrzymała się.

- Pytaj się księży i biskupów. Oni wiedzą. Cóż ja wiem? Mnie Bóg kazał tylko walczyć. Nic więcej. Ja sądzę, że nie ma grzechu, za który człowiek żałując, nie otrzymałby odpuszczenia.

- Zabiłem syna... - głos Bolesty przypominał jęk.

Czerwony blask zachodzącego słońca uderzył w otwarte okno. Izba wydawała się skąpana we krwi i w złocie, albo jakby ją ogarnęły płomienie.

- Syn twój modli się za ciebie... I cierpi za ciebie...

- Skąd wiesz?

W czerwonej łunie słonecznego pożaru ujrzał twarz skreconą wewnętrznym bólem. Zawsze, ilekroć jej przyszło mówić coś z tych rzeczy, dla innych ludzi zakrytych, ogarniało ją przejmujące, sięgające dna jej istoty cierpienie. Aby ujrzeć niewidzialną prawdę, musiała wyciągnąć rękę poza mrok. Aż poza mrok okrutny, w który trzeba się zsunąć, aby móc potem ku blaskowi wzlecieć.

- Wiem - rzekła krótko - więcej nie mogę ci powiedzieć.

I znowu ściągnęła boleśnie brwi. Szarpiąc się w więzach bólu i zmroku, kształt błagał o litość. Nie dla siebie. Dla cierpiących stokroć sroższe męki.

Znowu usiadła na oknie. Oparła się plecami o kratę. Nagle drgnęła. Myśl uleciała. Poczowała, że krata usuwa się delikatnie pod jej ciężarem. Wyprostowała się szybko, aby się nie zdradzić ze swym odkryciem.

Ale oczy Bolesty spostrzegły ten nagły ruch. Ogarnął spojrzeniem przegryzione rdzą żelazo. Podeszedł do okna. Pochylił się nad kobietą. Serce mu biło.

- Joanno... - szepnął.

Oczy ich spotkały się. Lecz teraz oczy kobiety zdawały się cofać i uchylać, a jego spojrzenie mocne, rozjaśnione sięgało aż do głębi szarobłękitnych oczu Joanny. Wziął ją za ramię.

- Uciekaj! - powiedział prędko - przyniosę ci szmaty, abyś mogła upleść sobie z nich sznur.

Nie mówiła nic. W jej spojrzeniu była niepewność, jakby lęk i rozterka.

- Boisz się wysokości? - spytał.

Nie odpowiedziała. Wysokość była rzeczywiście przerażająca, a na gładkiej płaszczyźnie ściany spuszczający się nie mógł liczyć na żadne podparcie.

- Uciekaj - powtórzył Bolesta. - Powinnaś uciec. Obroń Compiegne. A księżę ma cię wydać w ręce Anglików.

Zerwała się na nogi. Widać było, jak przebiegł po niej dreszcz:

- Anglików?

- Tak, Anglików. Uciekaj. Dziś jeszcze. Dzisiejszej nocy. Nie trać czasu.

Znowu usiadła i ukryła twarz w dłoniach. Tętna jej były gwałtownie, a serce szarpało się w piersi jak ptak w klatce. Nie mówiła nic, tylko usta jej drżały.

Bolesta chwycił obiema dłońmi kratę, szarpnął. Rozległ się cichy chrzęst.

- Patrz - szeptał - teraz dziecko ją wyjmie. Przywiążesz sznur tu, do stołu. Utrzyma cię na pewno. Spuścisz się. Możesz zsuwać się spokojnie, straży z tej strony nie ma. Zresztą, zabiorę strażników. A potem biegnij tam daleko, w las. Po północy wyjdę z zamku i podprowadzę ci konia. Przemkniesz się. Za trzy dni będziesz wśród swoich.

Słychać było szybki, jakby zdyszany oddech dziewczyny. Bolesta wyszedł z izby, po chwili wrócił z pękiem szmat. Rzucił je pod tapczan Joanny.

- Prędko skręcaj sznur. Za godzinę powinnaś być gotowa.

Kiedy wreszcie wyszedł, a klucz zazgrzytał w zamku, Joanna jednym skokiem zerwała się na nogi. Podbiegła do łóżka, chwyciła przyniesione szmaty. Przez czas dłuższy, przysiadwszy na ziemi, skręcała je z gwałtowną energią. Jednym końcem przywiązała wałek do ciężkiego stołu, drugi obracał się w jej palcach jak wąż. Kiedy oporny materiał rozkręcał się z powrotem, przytrzymała go zębami.

Słońce zgasło i w izbie wisiał szary, gęsty woal mroku. Lecz Joanna nie odrywała się od pracy, aby zapalić kaganek, ale pracowała z rozpaczliwą szybkością. Mrok gęstniał, tak, że nic już spostrzec nie było można. Wtedy przygniótłszy kolanami koniec liny, poczęła na oślep szukać na stole krzesiwa.

Lecz nie mogła go znaleźć. Palce ślizgały się próżno po gładkiej powierzchni. W uszach głos jakiś wołał: „Joanno! Joanno!”, ale ona starała się wmówić w siebie, że nic nie słyszy.

Przed chwilą, gdy w celi stał jeszcze Bolesta, walczyła z sobą rozpaczliwie. Jakżeż pociągająca była ta pokusa ucieczki! A przecież pamiętała aż nadto dobrze obietnicę świętych Opiekunek, które ją zapewniały, że Compiegne nic nie grozi. Więc może nie powinna uciekać. Ale dlaczego? Dlaczego nie miałyby zsunąć się z wysokiego muru, jeżeli tam na dole czekać ją będzie koń cudzoziemskiego rycerza. Jej ucieczka nie jest żadnym szaleństwem. Chce wracać do walki, która ją czeka.

Ale równocześnie, jak uderzenia bicia, które zmuszają konia do szybkiego biegu, podniecały ją słowa Bolesty. „Książę wyda cię Anglikom”. Boję się! Boję się! - szepczą zbladłe w nagłej trwodze usta. - Anglicy, to znaczy śmierć, Anglicy, to znaczy męka. Jeśli oni ją dostaną w swoje łapy, nie wyjdzie już z nich cało. To nie Compiegne woła w tej chwili trwożnym krzykiem w jej sercu, ale śmiertelny lęk okrywający ciało potem i podnoszący włos na głowie. Ten pot chłodzi, ale nie grzeje. Dreszcze zmuszają jej zęby do uderzania o siebie. Coś jak żelazna obręcz ścisnęło jej czoło sprawiając ból okropny.

Kłęcząc w ciemnościach, dotyka mokrym od potu czołem o blat stołu. Ale przecież nie błaga swoich Opiekunek o pomoc, nie wzywa Głosów, jak zawsze zwykła była czynić, w każdej chwili męki i trwogi. Wydaje się, jakby po raz pierwszy straciła do nich zaufanie.

Nie, to nie po raz pierwszy. Często, może nawet zawsze, gdy przychodziły do niej ze straszliwym rozkazem wyruszenia albo z tym okropniejszą jeszcze wieścią o niewoli, budziła się w jej sercu pokusa, aby zagłuszyć w sobie ich słowa. Wtedy wydawało się, że lepsze jest milczenie, niż to okrutne nielitościwe wezwanie. Gdyby mogła choć na jeden moment utracić tę niezłomną pewność, że wszystko, co święte mówią, jest prawdziwym żądaniem Boga, a nie snem lub marzeniem. Gdybyż można oddać się w ręce ukochanych Opiekunek ufnie, bez trwogi, że nie zawołają jej do nowej walki i do nowego cierpienia!

Poprzednio umiała te pokusy w sobie zwalczyć. Gdy przychodziło wezwanie, z pokorą zniżała głowę i szeptała: „Otom ja służebnica Pańska”. Ale dziś pokusa ma siłę niezwykłą. Compiegne i Anglicy! A raczej Anglicy i Compiegne!! Trwoga i niepewność. Zwierzęcy strach i niepokój, który szarpie sercem. Śmierć, której chłodne dotknięcie, zda się, czuje już na swym gardle, i pełne serdeczności wspomnienie o najwierniejszym z wiernych miast.

Więc niech lepiej nie mówią Głosy w tej chwili. Joanna czyni w mroku ruch ręką, jakby chciała, aby święte odeszły od niej. Bo wie z całą pewnością i z całą stanowczością, że gdyby się odezwały w tej chwili, kazałyby jej zostać...

Gdzież podziało się uprzykrzone krzesiwo? Czas upływa, może już pół nocy minęło, a ona wciąż jeszcze klęczy na końcu skręconego sznura i próżno usiłuje zapalić światło, by skończyć robotę. Gwiazdy zapłonęły na niebie i zagładają ku niej poprzez kraty okna. Za chwilę krat tych nie będzie. Obejmie ją przestrzeń. A potem czeka ją wilgotny oddech lasu i koń, zręczne, przepiękne zwierzę o skórze, która nerwowo drży.

Lecz i radości w niej nie ma. Serce bije niespokojnie i lękliwie drży. Człowiek może odwrócić się od swoich najukochańszych, ale nie potrafi przekonać siebie, że sprawia mu to radość.

Noc upływa, czas ucieka. Po co czekać na znalezienie krzesiwa? Po co zapalać światło? Lina już jest gotowa. Tak, wystarczy tylko związać koniec, aby się nie rozkręciła. Już zrobione. Teraz krata. A nuż oprze się jej palcom? A nuż przeciwstawi się jej woli, biernym oporem rzeczy martwych? Drży, ustępuje. Ustąpiła! Nie ma już kraty. Prędko wyrzucić linę na zewnątrz. Znikła w mroku. Biała smuga wiedzie gdzieś w dół, w czarną otchłań.

Siadła na oknie jak na siodle. Przestrzeń ciągnie. Pod nią głębia okropna. Aż się cofnęła w pierwszej chwili. Ręce nerwowo drżą, głowę ogarnia zawrót. Więc może zawrócić? Może się cofnąć?

I znowu pot kroplisty występuje na skronie. Cisza nocna, która otacza Joannę, mówi jej do ucha tysiące słów. Teraz wie, że postępuje wbrew Głosom. Próżno powtarza gorączkowo, aby zagłuszyć wątpliwości, że przecież ma prawo uciec, że czekają jej, że ona tylko potrafi obronić Compiegne. Poprzez mechanicznie powtarzane słowa przebija się groza zakazu. Tej nocy, siedząc na zrębie murów, zaczyna rozumieć, czego od niej chciały Opiekunki. Więc męka była już postanowiona? One żądały, by szła ku niej dobrowolnie. Czyż można tego wymagać od człowieka? Sam Bóg wahał się w Ogrojcu i prosił, aby odstąpił od Niego kielich goryczy. Ale ona nie jest Bogiem. Jest zwykłą dziewczyną, która się lęka ognia i cierpienia. Boi się, boi się więcej niż ciemnej głębi, przez którą wiedzie droga do wolności.

Cisza szepcze słowa ostrzeżenia. Joanna czuje jak jej opór słabnie. Ciężko jest wymknąć się z rąk Boga!

Szybkim ruchem przerzuciła nogi w pustkę. Jej dłonie i kolana ściskają sznur. Już się stało, nie cofnie się, chociaż wie, że będzie swego postępuku żałować. Swej ucieczki od

ofiarowanego kielicha. Dłonie palą, ciężkie kamienie, z których się składa ściana wieży, uciekają w górę. Jest coraz bliżej ziemi, coraz bliżej wolności.

Sznur nagle wysunął się spomiędzy kolan. Skończył się. Joanna wisi na rękach, ale stopami nie czuje ziemi. Spogląda w dół i widzi mroczną studnię bez dna. Lina okazała się za krótka. Może dosięgnie ziemi jednym skokiem, a może poleci w przepaść. Co robić? Co robić?

Myśli lecą szybkie jak strzały. Wracać? Ryzykować? Dłonie bolą, mur wysoki. Czy zdoła się wspiać z powrotem do okna, które opuściła? Czy potrafi powrócić do Łaski, której głos usiłowała zagłuszyć?

Ma wrażenie, że pochyla się nad nią łagodnie bolejąca Twarz. Otwierają się lśniące od poświaty gwiazdnej, łzawe oczy. Ramiona przestrzeni obejmują ją ze wszystkich stron. A jednocześnie otarte aż do krwi dłonie słabną.

- Boże - szepnęła.

Szalona była chcąc uciekać. Bóg żądał od niej, aby została i aby wypića podany kielich razem z Nim. Dzisiejsza noc jest nocą Ogrojca. Pan sam przyszedł, aby dzielić z nią ucztę boleści. Dla niej jednej powtórzył tamtą Ofiarę. A ona widząc kielich wyrzekła: „Niech odejdzie...”

Palce same roztwierają się. Lecz Joanna wie, że choćby teraz nawet stanęła bez szkody dla siebie na ziemi - już nie ucieknie. Dokonała się ofiara. Może już wrócić kielich. Może przyjść męka.

- Niech się stanie Twoja wola...

Z rąk ucieka sznur. Joanna leci w czarną głęb, śledząc szeroko rozwartymi oczami spojrzenie Ocu, które na nią patrzają pełne litościwego miłosierdzia.

18.

Bolesta pośpiesznie szedł ulicami Rouen. Dziś udało mu się wreszcie uzyskać wstęp na rozprawę sądową, która już od paru dni toczyła się przeciwko Joannie. Idąc, uderzał się o wystające szyldy sklepów i potykał się o wychodzące na ulicę schody. Ale nie zwracał na to uwagi. Jedna jedyna myśl tkwiła uparcie w jego głowie i tak go absorbowowała, że dla niej zapomniał o całym otaczającym go świecie.

Deszcz z lodowymi krupami padał, a od morza wiał zimny, przejmujący wiatr. Ohydna letowa pogoda rozwlekła się nad miastem. Szare niebo jak bura szmata wisiało nad

ostrymi dachami domów, a błoto żółte, gliniaste czepiało się nóg. Na ulicach mało było ludzi. Kto mógł, siedział w domu wzdychając i marząc o wiosnie. Zresztą, ludność miasta ostatnio była bardzo nieliczna. Po strasznym oblężeniu sprzed kilku lat, kiedy to obrońcy, aby zachować tylko dla ludzi zdolnych do noszenia broni wszystkie posiadane a nieliczne zapasy żywności, wygnali kobiety i dzieci za mury, Anglicy zaś pozwolili im powymierać z zimna i głodu - miasto tak jakby wymarło. Trochę przybyło nowych mieszczan, trochę chyba cudem uchowało się przed śmiercią. Ale wszystko to była ilość bardzo niewielka.

Bolesta siedział już w Rouen od dwu tygodni, opracowując pewien plan. Ten plan to była nowa idea, która opanowała ostatnio jego umysł i zda się, nadała jego życiu nową treść.

Od chwili, gdy usłyszał z ust Joanny słowa nadziei, powziął w sercu mocną decyzję starania się o jej uwolnienie. I wtedy już, w tę gorącą noc lipcową, czekał aż do świtu w lesie z końmi na dziewczynę. Nie przyszła. Wróciwszy rano do zamku dowiedział się, że „czarownica” chciała uciec spuszczając się z okna po sznurze, ale spadła z wielkiej wysokości i prawdopodobnie lada chwila wyzionie ducha. Joanna rzeczywiście ledwo żyła. Wysłano w pośpiechu gońca do księcia Jana, a w cztery dni później zjawił się w Beaurevoir sam Luksemburczyk przerażony myślą, że cenna zdobycz miałaby mu się wymknąć z rąk. Przecież w kieszeni miał list od biskupa z Beauvais, w którym ten imieniem króla angielskiego ofiarowywał mu za Joannę dziesięć tysięcy nobilów w złocie oraz tytuł hrabiego na Saint-Pol.

Ale Joanna nie umarła. Z wolna przychodziła do siebie. Jan obstawił wieżę gęsto strażami, a dowództwo powierzył Mory'emu. Bolestę od straży odsunął, choć zawsze poprzednio powierzał mu trudniejsze i odpowiedzialniejsze zadania. Był to znak, że mu już nie ufał. Bolesta czuł to przez skórę.

Tak było rzeczywiście. Jan dowiedział się o dziwnym mocno zachowaniu rycerza w tę noc ucieczki i powziął podejrzenie, że widocznie Polak chciał mu wykraść brankę, aby ją potem z zyskiem sprzedać Anglikom. Naturalnie inne powody sprzyjania Joannie nawet nie zdołałyby powstać w głowie księcia. Przypuszczał, że wszyscy tak samo patrzą na życie, jak on.

Biskup Cauchon dowiedziawszy się o wypadku słał gońca za gońcem, żądając oddania Joanny pod straż wojsk królewskich. Jakoż doczekano się tylko dnia, w którym zdolna była o własnych siłach wsiąść na konia, aby wysłać ją do Arras. Z eskortą pojechał sam książę Jan. O wyjeździe nie powiedziano ani słowa Boleście, tak że nie mógł się nawet z dziewczyną pożegnać. Podobno Róża, płacząc, błagała męża, aby nie wydawał Joanny Anglikom, ale on odparł jej, że tak być musi, a zresztą lepiej, aby nie było czarownicy pod

tym samym dachem, gdy Róża z dzieckiem w żywocie chodzi. Rzeczywiście księżna miała już za parę miesięcy zlegnąć, z czego był Jan bardzo dumny. Miało to być przecież jego pierwsze dziecko, a pojawienie się jego uwalniałoby księcia od obawy bezpłodności, która to obawa często dręczyła Janowy umysł.

Dowiedziawszy się o potajnym wywiezieniu Joanny, Bolesta wyjechał nagle z Beaurevoir. Co robił, gdzie się obracał - nikt by tego nie zgadł. Lasami, bezdrożami, w które obfitowała zniszczona długotrwałą wojną Francja, przedzierał się gdzieś na południe. Kogoś jakby szukał, wypytyując się napotkanych nielicznych zresztą ludzi. Nie żałował koni, ani czterech ludzi, którzy stanowili jego orszak. Podobno dotarł aż do Loary, był w Orleanie, widział się z różnymi ludźmi. Żył jak w gorączce, ogarnięty jedną jedyną myślą, ale ta myśl uwolniła go zupełnie od dawnej apatii. Nie był w tej chwili człowiekiem, który myśli o śmierci.

W Orleanie zrobił rzecz nieprawdopodobną: poszedł się wypowiadać. Ręce mu drżały i miał wrażenie, że nigdy nie powie ani słowa temu mnichowi o grubej, obwisłej twarzy, który przyszedł, gdy rycerz szeptem poprosił przy furcie klasztoru o spowiednika. Było cicho w gmachu, grube mury dławiły wszelki oddźwięk. W szerokiej wnęce korytarza była drewniana ławka, mnich o pełnej, lecz sflaczałej twarzy, szepczący pod nosem pacierze, i Bolesta onieśmielony tym wszystkim, drżący, niepewny, wsłuchany w gwałtowny łomot zaleknionego serca.

Chwile upływały, rycerz nie mógł się przemóc. Mnich, który się wreszcie znudził czekaniem, podniósł na niego trochę zdziwiony wzrok.

Wtedy Bolesta osunął się na kolana. Głos mu się rwał, słowa padały pojedynczymi strzępkami. Opowiadał swoje życie, niezliczonymi nawrotami wciąż powracając do pewnych zdarzeń, tłumacząc, wyjaśniając, oskarżając się często zbyt silnie, a potem cofając się, gdy czuł, że zabrnął w przesadę. Mnich słuchał go niewzruszony. Gdy Bolesta rzekł o spotkaniu na drodze pod Konstancją i zatrzymał się po wyznaniu grzechu, jakby czekając na grom, który go odtrąci od księdza, mnich rzekł spokojnie głosem poważnym i jakby trochę przemęczonym:

- A co jeszcze? Mów.

Więc Bolesta mówił o wszystkim. Wracił kilkakrotnie do już wyznanych grzechów. W głowie miał szum, gardło ściśnięte, ciało drżące. Wreszcie skończył i, zakrywszy twarz dłońmi, oparł czoło o ławkę.

I znowu była wokół niego cisza. Nikt nie krzyczał, nikt nie grzmiał. Teraz dopiero, po wyznaniu wszystkiego, Bolesta czuł straszliwe brzemie leżące między nim a spowiednikiem

grzechów. Był to jakby ogromny wór kamieni, który z siebie zrzucił, lecz nie śmiał jeszcze rozprostować karku, pewny, że lada chwila ciężar mu znowu zwróca.

Poczuł grube, niezgrabne palce kapłana na swoich włosach. Przez chwilę zapomniał, że jest dorosłym, a nawet stary człowiekiem. Z tym dotknięciem wróciło doń jego własne dzieciństwo. Dawne, dalekie, zanurzone w morzu niepamięci chwile, gdy kochająca dłoń koła wszystkie smutki milczącym pogłaskaniem po włosach. W tym obojętnym na pozór dotknięciu mieściła się cała prawda miłości i ona wyjaśniała wszystko bez potrzeby słów.

Nawet nie zauważył, kiedy ksiądz wstał i odszedł. Po raz pierwszy od bardzo dawna modlitwa sama znalazła się na jego ustach. Wdzięczność i zdumienie rozpięły mu serce. Wdzięczność, że oto bez słowa wymówki został uwolniony. Zdumienie, że tak niewiele potrzeba, aby być oczyszczonym.

Wstał cały drżący. Ale to nie był już lęk trwogi. Nie czuł się nigdy tak potężny jak w tej chwili. Ostatnie słowa modlitwy odmówił za Pawła i za Katarzynę.

Gdy wyszedł na miasto, czuł się jakoś dziwnie. Właściwie nie mógł zrozumieć, dlaczego ludzie nie oglądają się za nim. Przecież nie był już sobą, a świat, który go otaczał, nie był dawniejszym światem. Rzec by można, że wszystko uległo rozjaśnieniu. Nawet niebo, szare i pochmurne tego dnia. Nawet zwykle posępne ogromne mury.

A gdy w parę dni potem ośmielił się w małym wiejskim kościółku przystąpić do Sakramentu Eucharystii, miał wrażenie, że zmiana, która się dokonała, sięgnęła tak daleko, jakby po raz drugi się narodził. Słońce ześlizgując się przez wąskie okna kładło złote plamy na podłodze i na murze. Ksiądz szedł od ołtarza, niosąc w palcach nad kielichem biały krążek opłatka, rozświetlony słońcem...

Nic się przecież nie stało, kiedy wreszcie poczuł na wargach dotknięcie cudownego Chleba. Nie zatrząsł się świat, nie zagrały organy, nie rozległ się śpiew tajemniczy, spływający gdzieś spod stropu. A przecież wiedział, że niedostrzegalnie dla jego oczu jakaś zmiana została dokonana: pękły napięte więzy, które go trzymały przykutego do otchłannej dali. Uzyskał wolność, a z nią swobodę ruchów. Odnalazł sam siebie.

Był to zresztą tylko krótki moment bezpamięci. Potem życie znów się nad nim zawarło, jak fala morską zawiera się nad pochłoniętym okrętem. Ale choć teraz jak i dawniej rzucały nim bałwany namiętności, bolesne wspomnienia i tysiące rozterek, czuł w tym wirze jakby litościwą dłoń, która trzymała go za ramię i przyciskała lekko, gdy niebezpieczeństwo silniejsze groziło.

Znowu jeździł, szukał, spotykał się z ludźmi. Śnieg już popadywał, kiedy wreszcie wyruszył na północ. Zimne wiatry wiały od morza, pędząc przed sobą czarne, kłębiaste

chmury. Drzewa chwiały się rozpaczliwie macając rękami-gałęźmi i gubiąc w tej walce szeleszczącą szatę liści. Kopyta końskie człapały po rozmięklej gliniastej ziemi.

Trafił wreszcie do Rouen. Chciał się zobaczyć z Joanną, ale mu nie dano. Wreszcie z wielkim trudem, dzięki znajomości z pewnym mnichem, udało mu się dzisiaj dostać pozwolenie wejścia na salę sądową.

Dziedziniec zamku pełen był rycerzy i żołnierzy angielskich. Na sali na szerokich ławach, ustawionych amfiteatralnie, zasiadali z wolna członkowie sądu, pisarze, zakonnicy i księża. Wygodne fotele w głębi sali zostały przygotowane dla przysłuchujących się przewodowi dostojników. Ale Bolesta usiadł tylko skromnie na jakiejś ławie pod ścianą.

Wreszcie wszyscy zasiedli. Bolesta nie znał sędziów, nawet nie wiedział, jak się nazywają. W samym środku ławy sędziowskiej, na wygodnym fotelu, siedział ubrany we fiolety biskup, więc się domyślił, że to jest pewno biskup z Beauvais, przewodniczący sędziowskiej komisji. Cauchon miał twarz grubą, nalaną, pełną fałd i zmarszczek, pokrytą tu i ówdzie ciemnymi plamami. Nie był jeszcze człowiekiem starym, mimo biskupstwa i członkostwa uniwersytetu paryskiego. Pochodził z Reims. Podczas rewolucji był w Paryżu, gdzie pertraktował z krwawym wodzem rzeźników, katem Cabochien. Gdy Jan bez Trwogi kazał zamordować Karola Orleańskiego, Cauchon dowodził wspólnie z grupą uczonych, że był to czyn godny bohaterskiego postępu Judyty. W Konstancji bronił tezy Jana Petita, franciszkanina, który w traktacie napisanym na osiemdziesięciu trzech stronicach wychwalał księcia burgundzkiego i ogłaszał zasadę niekaralności morderstw popełnionych w imię tak wzniosłej prawdy. Był także zawziętym wrogiem Karola, przed którym uciekł, a stronnikiem Anglików. Sam się napraszał, aby sąd nad Joanną jemu został powierzony, co wreszcie osiągnął, pomimo że w rzeczywistości Compiegne nie należało do jego diecezji.

Wśród widzów, którzy przyszli przyglądać się procesowi, Bolesta zobaczył Suffolka i Talbota. Znakomici rycerze siedzieli poważni otuleni w drogocenne płaszcze, nie patrząc nigdzie na boki. Może im było przykro widzieć, że nie bronią i nie przez nich została zwyciężona ich straszliwa przeciwniczka, ale podstępem i zdradą, a na domiar całej tej nierycerskiej historii, zamiast mieć prawo do złożenia okupu jak oni, oddano ją pod „kleszy” sąd.

Skrzypnęły drzwi w głębi i w otoczeniu czterech żołnierzy weszła na salę Joanna. Miała na sobie męski strój, ten sam, w którym siedziała jeszcze w wieży, w Beaurevoir. Materiał był poprzecierany, miejscami strzępił się i darł. Włosy przystrzyżone odrosły i spadały jej aż poza uszy nierównymi kosmykami. W pierwszej chwili Bolesta nie mógł dziewczyny poznać, tak bardzo jej twarz wynędzniała i wychudła. Policzki zapadły się i tylko

oczy wydawały się jakby większe i ciemniejsze. Gdy się patrzyło na Joannę, widziało się tylko te oczy głębokie, ogromne, chwilami nienaturalnie błyszczące, ujęte w ramę zaczerwienionych powiek i z lekka podpuchłe, jak u człowieka, który cierpi na bezsenność. Szła wolno, chwiejnie, a gdy stanęła przed trybunałem, zaraz podano jej stółek. Siadła na nim z nogami podwiniętymi. Dłonie zaciśnięte położyła na kolanach i spojrzała oczekująco na sędziów. Jej brwi zbiegły się wyrażając skupioną uwagę i jakby wysiłek.

Biskup pochylił się ku niej i począł coś mówić. Pierwszych słów Bolesta nie usłyszał. Głos Cauchona był cichy i robił wrażenie bardzo łagodnego. Ale chwilami nabierał tonów chrapliwych, nieprzyjemnych dla ucha. Wsluchując się rycerz zrozumiał, że biskup żąda od Joanny, aby złożyła przysięgę na to, iż będzie mówić wszystko, co wie.

Na twarzy Joanny odbiło się zniecierpliwienie.

- Wczoraj wam przysięgałam...

- Przysięgnij i dziś, że będziesz na wszystkie pytania odpowiadać.

- Na to nie przysięgnę. Pozwólcie mi mówić, a ja na każde pytanie, które dotyczy procesu, wam odpowiem. A na inne pytania nie odpowiem, choćbyście pytali. Bo gdybym przysięgła, moglibyście mnie zmusić do powiedzenia tego, o czym obowiązana jestem milczeć, i wtedy stałabym się krzywoprzysiężnicą. A tego chyba nie chcecie.

- Gdy nam przysięgniesz, nie będziesz krzywoprzysiężnicą.

- Przysięgłam Bogu i nie mogę Mu kłamać.

- Jesteś skryta. To grzech.

- Mam objawienia, które was wcale nie obchodzą.

- Chcesz pewno ukryć przed nami jakiś grzech.

- Nic nie chcę ukryć. Tylko nie wszystko mogę wam powiedzieć.

Do badania wmieszał się jeden z sędziów:

- Sądzymy, Joanno, że boisz się wyznać przed nami rzecz niegodną, którą uczyniłaś.

Wstrząsnęła głową.

- Wszystko, co robiłam, robiłam z rozkazu Głosów. A Głosy kazały mi robić tylko rzeczy dobre.

- Ejże - pytał inny sędzia - a przecież nie chciały, abyś mówiła prawdę?

- Tego nie mówiłam. Znam jednak rzeczy, które się tyczą króla, a nie was.

- Głosy mówiły ci o królu?

- Tak, mówiły rzeczy, które gdyby usłyszał, ucieszyłby się bardzo.

- Więc dlaczego nie powiedziały tego królowi, ale tobie?

- Nie wiem. Ale wiem, że jeżeli Bóg zechce, może wszystko to powiedzieć samemu królowi. Tak bym się cieszyła, gdyby zechciał to uczynić!

- Nie wiesz, dlaczego Głosy mówią tobie o królu, a nie mówią tych nowin samemu królowi? Hm, to ciekawe - sędzia o suchej, pobrużdżonej twarzy i wąskich szparkach zaciśniętych oczu zdawał się namyślać. - A może ty jesteś święta?

- Skądże mogę o tym wiedzieć!

- To bardzo ciekawe. A jak mówiły do ciebie te twoje Głosy?

- Mówiły różnie: Joanno... Córko... Córko Boża...

- Córko Boża? To bardzo interesujące. Tak do ciebie mówiły?

- Mówiły. Ale...

W oczach Joanny ukazało się przerażenie, gdyż w tej chwili ujrzała złośliwy uśmiech na ustach pytającego ją sędziego. Wiedziała dobrze, że gdy sędzia się śmieje, grozi jej wówczas podwójne niebezpieczeństwo. Próżno jednak szukała słów obrony w biednej, skołatanej bezsennością głowie.

- Cyt! - sędzia podniósł palec do góry gestem nakazującym uwagę i przecinającym wszystkie dalsze tłumaczenia. - Powiedziałaś, że cię nazywano córką Boga. Wszyscy słyszeli. A czy ty jesteś w stanie Łaski?

Jakiś mnich siedzący na najbliższej z ław sędziowskich obejrzał się ze zdumieniem na pytającego, a potem rzekł prędko do Joanny:

- Na to pytanie wolno ci nie odpowiadać.

W tej chwili Cauchon uderzył ze wściekłością dłonią w pulpit. Twarz mu poczerwieniała, a pokrywające ją plamy gorzały jak ogień. Widać straszliwa złość go sparła, bo przez chwilę nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Łapał tylko gwałtownie powietrze ustami. Dopiero potem zdołał rzucić groźnie mnichowi:

- Lepiej zamilcz!

Joanna milczała z głową opuszczoną ku ziemi. Biskup z Beauvais opanowawszy gniew uśmiechnął się dobrodusznie i swym cichym głosem zapytał:

- Dlaczego nie odpowiadasz czcigodnemu doktorowi?

Gwałtownym ruchem podniosła głowę. Błyskawica, która się zapaliła w jej oczach, przypomniawszy Boleście dawną Joannę, straszną wrogom na polu walki i straszną ludziom, którym jedynym przerażającym słowem umiała otwierać zatwardziałe sumienia.

- Pytaliście, czy jestem w stanie Łaski. Tego nie wiem. Jeżeli jestem, chciałabym, aby Bóg mi pozwolił stale w nim pozostawać. Jeżeli nie jestem - oby mnie Bóg łaskawie do niego powrócił!

Zrobiła się cisza, a w tej ciszy rozległo się tylko przytknięcie palców jednego sędziego. Pisarze protokolanci obejrżeli się na biskupa, a on zrobił ku nim ręką ledwo dostrzegalny gest. Gest ten jednak nie uszedł uwagi Joanny.

- Piszecie - rzekła - wszystko, co świadczy przeciwko mnie, ale tego, co za mną mówi, nie piszecie. Lecz uważajcie: gdybyście dobrze wiedzieli, kto ja jestem, wolelibyście, abym nie była w waszych rękach.

Zwróciła się wprost do Cauchon'a:

- Mówisz, że jesteś moim sędzią. Nie wiem, czy tak jest naprawdę, ale bacz, byś nie sądził źle, bo na wielkie niebezpieczeństwo narażasz swoją duszę. Byłam za ciebie odpowiedzialna, pókim ci tego nie powiedziała, ale teraz wiesz już sam i jeżeli Bóg cię skarże, ja za to winy nie poniosę.

Biskup z Beauvais uśmiechnął się lekceważąco:

- I cóż mi może grozić?

Temu, który był potem biskupem w Lisieux, nie stanęła w tej chwili przed oczami ta okrutna chwila, gdy konać będzie na rękach nadwornego balwierza. A tym bardziej nie przebiegła mu nawet przez głowę myśl, że oto on przeniesie posiew krwi z murów Rouen do niebogatej diecezji normañskiej, a skromne Lisieux stanie się tą glebą, w którą ziarno padłszy, wydaje plon setny i tysięczny. Męka zapładnia mękę, a ofiara ofiarę. Siewcą zaś może być zbrodniarz o rękach zbroczonych krwią. Ziarno, które obumiera na starym rynku w Rouen, zdolne jest wzrosnąć kłosem w „zagajniczku” w Lisieux.

I ci inni, którzy w tej chwili patrząc z pogardą na osiemnastoletnią dziewczynę, grożącą im karą Bożą, zadawali sobie w duchu to samo pytanie, byli równie lekkomyślni jak biskup z Beauvais. Różnaity był późniejszy los sędziów. Jedni dochodzili stanowisk i zaszczytów, innych toczyła choroba lub gniotły nieszczęścia. Nie każda kara musi się spełnić widocznie na oczach ludzi. Dumny Suffolk został pozbawiony głowy w momencie, gdy uważał się za zbawcę Anglii. Talbota zarąbano na wałach Chatillon. Miłosierdziem i łaską jest często kara, która przychodzi zaraz po występku, sprawiedliwością - kara spadająca dopiero na progu wieczności.

- I cóż mi może grozić? - powtórzył Cauchon.

Lecz Joanna nie odpowiedziała wprost. Powróciła nagle do swoich spraw.

- Mnie pomoże święta Katarzyna. Głosy wciąż mi powtarzają, że będę uwolniona przez wielkie zwycięstwo, ale dodają: „Czuwaj i nie martw się swoim męczeństwem, bo trafisz do nieba”. Wierzę Głosom i wiem, że tak się stanie. Nie wiem tylko, czy będę musiała jeszcze więcej cierpieć...

Usta jej drgnęły boleśnie. Niewątpliwie mówiąc to nie przypuszczała, że można jeszcze więcej cierpieć, niż to, co ona znosiła.

- Hm - chrząknąwszy zaczął pytać sędzia, ten sam, który domagał się odpowiedzi na pytanie, czy jest w stanie Łaski - a więc jesteś pewna, że zostaniesz zbawiona?

- Jestem pewna tego, co mówią Głosy.

- Potwierdzasz tym samym moje pytanie. Nieprawdaż? - spojrzał z uśmiechem na współsędziów.

Lecz Joanna nie drgnęła. A nawet coś jakby lekki uśmiech pojawił się na zbiedzonej twarzy.

- Wy możecie mnie tym obciążać. Ale dla mnie jest to bezcenny skarb.

- Więc nie możesz popełnić śmiertelnego grzechu. Co? Prawda?

- Nie wiem. Sądzę, że zasłużę na obietnicę zachowując czystość duszy i ciała.

- Tylko? Aha, więc przyznajesz, że ci spowiedź nie jest potrzebna?

- O nie, nie można przecież zagłuszać sumienia!

Inny sędzia podjął tok zapytań:

- Jak się czujesz?

Podniosła hardo głowę, zacisnęła zęby:

- Widzicie przecież. Lepiej nie można.

- A pościłaś przez wszystkie dni postu?

Zmarszczyła brwi, spojrzała po ławie sędziów i bezosobowo rzuciła pytanie:

- Czy to się dotyczy procesu?

Kilka głosów rzekło: „Tak”.

- A więc pościłam przez cały post.

Sędzia zadawał jej bardzo szybko jedno po drugim krótkie pytania. Czasami wspomagali go inni sędziowie. Joanna to tu, to tam musiała co chwila zwracać głowę, ale choć oszołomiona krzyżowym ogniem zapytań, starała się, widać to było, zachować spokój. Niewątpliwie przychodziło jej to z trudem. Zagryzała wargi, marszczyła brwi, wciskała paznokcie w dłonie, aby dzięki bólowi nie utracić jasności myśli. Szeroko rozwierała oczy pragnąc opanować bezwład zmęczonych powiek.

Bolesta teraz dopiero spostrzegł, że dziewczyna ma obrzmiałe stopy oraz łydki i dlatego nie może stać podczas badania. Ślad ciężkiego łańcucha był koło kostek aż nadto widoczny. Także poobcierane przeguby rąk, wysuwające się z rękawów kaftana, zdradzały, że dźwigają stale żelazo.

Gdybyż znał wszystkie okrucieństwa, którymi starano się złamać opór tej tak młodej jeszcze dziewczyny lotaryńskiej! To był cud prawdziwy, że Joanna potrafiła jeszcze chodzić i odpowiadać rozsądnie. Zamknięta w celi, skuta łańcuchami, a na noc przywiązywana na dodatek łańcuchem do łoża, tak że nie mogła się nawet obrócić, strzeżona przez trzech żołnierzy, którzy nie wychodzili ani na chwilę z jej celi, i drugich trzech obserwujących ją spoza drzwi, narażona na ich obelgi, sprośności, a nierzadko także próby gwałtu (jakiż to byłby sukces dla sądu, gdyby mogli stwierdzić, że nie jest już dziewicą!), przesłuchiwana i podglądana nieustannie przez szereg otworów w murze, karmiona stęchlą strawą, pozbawiona jakiegokolwiek pociechy, oszukiwana nawet przez rzekomego spowiednika nie będącego w rzeczywistości księdzem - czyż ta biedna istota nie miała tysiąca powodów i usprawiedliwień, aby się w końcu załamać? Odkąd trafiła do więzienia angielskiego, nie śmiała ani na chwilę zdjąć z siebie męskiego ubrania, lękając się, że któryś z otaczających ją mężczyzn zechce wykorzystać te krótkie momenty, w których zapadła w gorączkowy sen. Nie mogła się myć, zarastała brudem, który ją męczył i drażnił. Rzuciło się na nią robactwo, a ona nie miała możliwości się go pozbyć. Co noc ją budzono albo dla okrutnego żartu, albo grozą gwałtu, przed którym musiała się bronić. Byli nawet młodzi rycerze angielscy, którzy przychodzili na noc do więzienia założywszy się uprzednio z towarzyszami, że zdobędą tę piękną czarownicę. Gdy nic nie mogli osiągnąć ani podstępem, ani przemocą, karmili przynajmniej jej oczy ohydą, którą zdolny jest tylko okazać rozbawiony nie zaspokojoną żądzą mężczyzna. Gdy zauważono, jak bardzo rani ją wszelka nieczystość, nie szczędzono jej żadnego widoku i żadnego dosyć brutalnego słowa. A jeszcze mimo to wszystko do niedawna przez cały miesiąc trzymano ją w żelaznej klatce, w której nie mogła się nawet położyć.

Niczego jej nie oszczędzono w więzieniu i niczego jej nie oszczędzono tutaj na sali. Każde pytanie było żądaniem zawierającym ukrytą truciznę. Każde pytanie zawierało podstęp. Sędziowie zawczasu przygotowywali ślepe uliczki, w które potem zapędzali biedne zgonione i nie przygotowane do obrony zwierzę. Gdy jednego z sędziów zawiódł dowcip, wena i przebiegłość, na pomoc śpieszył mu drugi, trzeci, czwarty... Tylko Joanna była sama - sama tam w więzieniu, gdzie czekały na nią cierpienia fizyczne i moralne, sama tutaj na sali, gdzie czyhały na nią spryt, złość i przebiegłość.

Sędzia, prowadzący przewód, pytał:

- Więc Anglicy będą pobici?
- Tak. Doświadczą takiej klęski, jakiej jeszcze we Francji nigdy nie ponieśli.
- Kiedy to będzie?
- Nie wiem dnia ani godziny.

Inny sędzia wmieszał się nagłym pytaniem:

- Kto ci o tym powiedział?
- Święta Katarzyna i święta Małgorzata.
- Widziałaś je?
- Tak jak was widzę.

Kilku sędziów pytało teraz jednocześnie:

- Jak wyglądały?
- Jak były ubrane?
- Skąd wiesz, że to były one?
- W jaki sposób poznałaś, że to były kobiety?

Joanna podniosła dłoń do góry:

- Po kolei mówcie, drodzy panowie - prosiła - bo nic nie mogę zrozumieć.

Pierwszy sędzia znowu pytał:

- Skąd wiesz, że istoty, które ujrzałaś, były kobietami, a nie mężczyznami?
- Po głosie. Zresztą same mi o tym powiedziały.
- A jaką część ciała ich widziałaś?
- Twarz.
- Nic więcej?
- Na to nie odpowiem. Nie pytajcie.
- Jak chcesz. A więc powiedz, czy święte miały włosy?
- Czemu się tak dziwnie pytasz. Któż widział kobietę bez włosów?
- I mówiły do ciebie, choć im brakło ciała? Jak to mogło być?

Kilku sędziów parsknęło śmiechem. Na Joannę patrzyły twarze zawzięte, drwiące.

Zacisnęła mocniej zęby:

- Niech wam Bóg na to pytanie odpowie.

Najgroźniejszy z sędziów, ów stary, niski ksiądz, którego każde pytanie było nieuchronną pułapką, zaczął pytać swym chrypliwym, pełnym pochrząkiwania głosem:

- Słuchaj, dziecko, mego pytania, tylko namyśl się, zanim odpowiesz: po jakiemu mówiły do ciebie obie święte?

Joanna spojrzała na pytającego wzrokiem zdumionym:

- Dobre pytanie! Naturalnie, że po francusku.
- Naprawdę. Mówiłem ci, abyś się namyśliła nad tym, co powiesz. Więc twierdzisz, hm, że święte mówiły po francusku. Więc może nie umieją mówić po angielsku? Jak sądzisz?

Znowu wyczytała w drapieżnych, wlepionych w nią oczach pragnienie niecierpliwe oczekiwanego jej upadku. Stary sędzia umiał stawiać pytania. Tylko że Joanna uważała, iż pytają ją o rzeczy całkiem jasne i zrozumiałe.

- Jakże mogły - odparła - mówić po angielsku, kiedy nie są za Anglikami.

- Goddam! - ktoś zaklął z cicha.

Lecz sędzia uśmiechnął się tylko. Zuchwała odpowiedź Joanny podsunęła mu dalsze argumenty przeciwko niej.

- Niewątpliwie - rzekł niedbale, niby sam do siebie - św. Katarzyna i św. Małgorzata nienawidzą Anglików. Tak przynajmniej wynika z twoich słów. Co? Przyznaj się, że tak?

Joanna nieuleknie stawiała mu czoło.

- One kochają to, co Pan nasz kocha, i nienawidzą, co On nienawidzi.

- Ale - głos starczy sędziego zawisł w powietrzu - więc Bóg nienawidzi Anglików?

- Nic o tym nie wiem. Ale wiem - słowa Joanny zabrzmiały w tej chwili mocnym tonem rozkazu - że będą wyrzuceni z Francji, a zostaną tylko ci, których trupy legną na placu!

Zaszurgotały ławy, na których siedzieli rycerze angielscy, a nad salą przebiegł szmer zmieszanych głosów. Bolesta słyszał, jak jeden ze starszych wodzów angielskich rzekł:

- Dzielna dziewczyna!

Na ławach sędziowskich zapanowała lekka konsternacja. Głowy zbliżały się do głów, coś szepcząc. Wreszcie zabrał głos sam biskup:

- Czy zdajesz sobie sprawę, Joanno, żeś postępowała jak mężczyzna, a nie jak dziewczica? Zabijałaś...

Przerwała mu:

- Dostyc jest kobiet, które będą pracowały jak kobiety. A ja nikogo nie zabiłam. Po tom w walce trzymała chorągiew, aby nie mieć pokusy rażenia mieczem.

- Lecz twoi żołnierze rozlewali krew. Krew ludzką!

- Teraz mówicie słodko: krew ludzką - w głosie Joanny pojawiła się nieoczekiwane odrobina ironii - a dlaczego Anglicy nie chcieli iść sobie z Francji i powrócić do siebie? Pokój z nimi będzie dopiero wówczas, gdy odjadą za morze.

- I ty, dziewczica, wydawałaś rozkazy wzywające do boju?

- Stałam się wodzem, aby bić Anglików. Tak mi nakazał Bóg.

Stary sędzia podrapał suchym palcem w pulpit, aby zwrócić na siebie uwagę oskarżonej.

- Czy nie sądzisz, że byłoby rzeczą śmieszną, gdyby Bóg objawił swoją wolę chłopce takiej jak ty? Dlaczegoż nie któremu z czcigodnych biskupów albo prałatów? Twoje roszczenie jest, hm... po prostu, hm, bluźnierstwem. Rozumiesz?

Joanna podniosła wzrok i wpatrzyła się w oczy pytającego. W spojrzeniu tym był spokój i pewność siebie.

- A ja tobie, księżu, zadam pytanie: czy Bóg nie może komu chce objawiać swej woli? Odpowiedz na moje pytanie, wówczas ja ci odpowiem na twoje.

Stary ksiądz, doktor akademii, spuścił oczy... Poczul się nagle wytrącony z równowagi. Poznał to Cauchon i pośpieszył mu na pomoc.

- Mówiłaś, żeś widziała św. Michała?

- Widziałam na własne oczy.

- Jak wyglądał?

- Jak przyzwoity mężczyzna.

- Może był nagi? A ty widziałaś...

- Sądzisz, że Bóg nie miał go w co ubrać?

- A miał włosy?

- Po co by mu je obcinano?

- I sądzisz, że tak wygląda w rzeczywistości, jak tyś go widziała?

- Tak. Wierzę w to.

- Joanno - głos biskupa zabrzmiał niespodziewanie groźnie, jak trąba w dniu sądu ostatecznego - Kościół uważa, że albo kłamiesz, albo się łudzisz.

Dziewczyna podniosła wzrok na biskupa.

- Czy mogę się łudzić, mówiąc, że widziałam, com naprawdę widziała? A wy wiecie, że nie kłamię, bom przysięgła. Mówię prawdę, jakbym stała przed papieżem.

Głos starego sędziego znowu zachrypiał w sali. Czcigodny doktor chciał zemścić się za poniesioną porażkę.

- A może powiesz nam, ty mądra istoto, który papież jest prawdziwy?

Joanna siedziała blada, apatyczna. Pot wystąpił jej na czoło, widać było, że przeciągający się przewód męczy ją niewymownie. Ledwo dostrzegalnym ruchem warg odpowiedziała pytaniem na pytanie:

- Powiedz mi pierwej, ilu jest papieży?

Sędzia pominął milczeniem jej uwagę. Wziął tylko do ręki czyjeś zeznanie.

- Napisano tu, że cię o to samo pytał książe Armagnac.

- Pytał. Ale wtedy nie miałam czasu, aby mu na to odpowiedzieć.

- Co teraz jednak odpowiesz?

Wzruszyła ramionami.

- Pytacie mnie o rzeczy trudne... Zbyt trudne dla mojej głowy... Lecz ja myślę, że trzeba słuchać papieża, który jest w Rzymie...

Cauchon uderzył nagle dłonią w pulpit i ogłosił, że zamyka posiedzenie sądu. Powstał w sali hałas odsuwanych ław i stołków, a wśród zamętu wywołanego gwarem rozmów straż wyprowadziła Joannę. Bolesta starał się do niej podejść, ale został brutalnie odsunięty przez żołnierzy. Wtedy szybko wybiegł z sali.

19.

I znowu minęło kilka miesięcy. Nadeszła wiosna, pierwsze ciepłe dni maja, a Bolesta wciąż nie mógł zobaczyć Joanny. Wreszcie zdecydował się na szalony krok: pewnej nocy z kilku zaledwie współnikami postanowił podstępem wtargnąć do więzienia, w którym zamknięta była dziewczyna. Poprzednio zdobył sobie pieniędzmi zaufanie niektórych strażników. Jednocześnie Poton de Xaintrailles, z którym był w kontakcie, lasami, bez hałasu, z dość liczną grupą partyzantów podsuwał się pod Rouen. Gdyby więc Boleście udało się śmiałym uderzeniem wykraść Joannę, mógłby z nią uciekać do Potona, co znacznie pomnażało szanse całej wyprawy.

Lecz na przeszkodzie stanęło nagle zebranie na cmentarzu opactwa Saint-Quen, na którym to zebraniu Joanna wykonała haniebnny akt odwołania. W rzeczywistości było to oszustwo Cauchona, który chciał zniszczyć nimb otaczający jak aureola głowę dziewczyny, zanim rzuci jej ciało na stos. Pod grozą potępienia wśród tysięcznych okrzyków i wezwań w publicznej przemowie sąd prosił - nie, błagał Joannę, aby ratowała swą duszę i nie poddawała jej zatraceniu. Sprawa została zredukowana wyłącznie do kwestii zdjęcia męskiego stroju. Twierdzono, że gdy dopełni tego warunku, Kościół gotów jest jej wybaczyć. Cóż miała robić? Ci ludzie, którzy ją sądzili, byli naprawdę ludźmi Kościoła. Czuła w głębi serca, że choć noszą szaty liturgiczne, nie mają racji. Ale wrodzone poczucie szacunku dla sług ołtarza oraz wiara, że tym właśnie ludziom powierzona została prawda Chrystusowa, zamykała jej usta. Czyż miała przeciwstawić się Cauchonowi, gdy wiedziała, że codziennie trzyma w swych rękach Żywego Boga? Bo Joanna należała do ludzi, którzy, patrząc na niedostrzegalny dla ludzkich oczu cud przemiany chleba w Ciało, nie tylko wierzą, ale i widzą, że cud ten dokonuje się naprawdę. A jeżeli tak, to czyż mogła ona, prosta dziewczyna, tak często

wyrzucająca sama sobie gwałtowność, tak często tracąca cierpliwość i ufność, tak często płacząca w poczuciu osamotnienia - czyż mogła stawiać siebie wyżej niż tamci ludzie i mogła swoją rację przeciwstawiać ich racji? Oni mówili jej, że się myli, ona czytała w ich oczach, że chcą ją zgubić. Lecz któż się ośmielił aż do dna osądzić drugiego człowieka. Wiedziała, że jej robią krzywdę, lękała się ich, gniew i nienawiść zapalały się jak iskierki w jej sercu. Gasła te płomienie, zaledwie zdołały zabłysnąć. Bo nie śmiała i nie mogła potępić swych nieprzyjaciół. Kochała ich równie mocno jak Anglików, przeciwko którym wiodła swoje oddziały. Kochała ich tak samo jak Glasdale'a, który ją przecież zranił do żywego. Zdusiła w sobie wszelki gniew. Wybaczała im.

Codziennie rano i wieczór powtarzamy słowa: „bądź wola Twoja”. Łatwo przychodzi nam je powtarzać, gdy nie doznajemy przeciwności. A nawet i wówczas trudności w życiu pojawiają się, ale my mamy mocne oparcie o kochane istoty, nie wahamy się głośno głosić ten rozkaz Boży. Lecz gdy nadejdzie chwila osamotnienia, gdy ci, których kochamy i którym ufaliśmy, odeszli od nas, a przeciwko nam stoi złość i podłość ludzka, gdy wydaje się nam i wszystko zdaje się za tym przemawiać, żeśmy zbankrutowali na naszych najświętszych ideałach, gdy niebo milknie i pozostawia nas samych, gdy ci, którzy z nami walczą, drapują się w szaty szlachetności, sprawiedliwości i wielkości, my zaś, zanurzeni w nasz ból aż po usta, próżno zrywamy gardło w rozpaczliwym krzyku - wówczas przychodzi pokusa, że nienawiść i gniew i wyrzekanie przynoszą nam ulgę. Wtedy słowa modlitwy Pańskiej o wybaczeniu nieprzyjaciołom mają ciężar głazu. Tkwią w gardle i nie chcą się przez nie precisnąć. Aby je wymówić, trzeba nam Łaski i pomocy. Trzeba heroizmu wiary. Trzeba Boga.

Joanna nie umiała nienawidzić. Gdyby podali jej ręce ci okrutni, źli i podstępni sędziowie, ucałowałyby je w pokorze. Wierzyła im tak, jak wierzyła innym ludziom.

Lecz, z drugiej strony, wierzyła świadectwu zmysłów. Nie należała do przeczulonych nadmiarem skrupułów natur, które nie umieją zdać sobie sprawy z tego, co widziały. Joanna widziała i słyszała. To nie były złudzenia. To nie były sny. To była rzeczywistość, za którą gotowa była położyć życie. To była jej racja.

Więc choć szanowała swych sędziów, nie chciała im ustąpić, ale starała się ich przekonać. Gdy ktoś przez nas ukochany odchodzi ku rozdrożom, my nie walczymy z nim, ale go przekonujemy. Przekonujemy go całą siłą, całą gorącością i całym gniewem swego serca. Gotowi jesteśmy przekonać go ofiarą własnej krwi.

I jeżeli Joanna załamała się w pewnym momencie, to była to tylko chwila, w której jej nerwy nie wytrzymały straszliwego napięcia. Po miesiącu cierpień psychicznych uważamy się za całkowicie złamanych. Joanna zaś męczyła się już cały rok. Rok!!

Pisarz księcia Jana, Pasquir - jeden z protokolantów procesu - zdradził Bolescie tajemnicę zdarzenia. Joannie przeczytano cztery krótkie wiersze i kazano się na nie zgodzić. Zażądano, aby podpisała. Podpisała papier, który jej podano, ale to był długi traktat, inny zupełnie niż ten, na który się zgodziła, traktat, w którym nazywała Głosy diabelskimi, a swoją służbę Francji pokusą szatańską.

Poton kręcił się pod samym miastem. Wszystko było w napięciu oczekiwania.

Wyrokiem sąd skazał Joannę na dożywotnie zamknięcie w więzieniu klasztornym. Ale straż odprowadziła ją z powrotem do więzienia karnego. Znowu trzech mężczyzn czuwało dniem i nocą obok skrzepowanej łańcuchami kobiety.

Poton wyszedł z ukrycia i szedł na Rouen znacząc pożarami swój szlak.

Anglicy zażądali od Cauchona obalenia wyroku, skazania Joanny na śmierć i egzekucji w jak najszybszym czasie.

Naprężenie wzrastało. Ale nie odczuwano go w celi Joanny.

Dziewczyna następnego zaraz dnia po swoim odwołaniu obudziła się cała złamana. Właściwie obudzenie nastąpiło na samym początku nocy, a potem były to już tylko majaki bezsenne, przerywane łoskotem szarpiącego się serca. Miała wrażenie, że ciężki gład - niby męczący sen - legł na jej życiu. Próżno starała się odeń wymknąć. Dławił ją. Dusił. Gniótł. Tworzył wyrwę w przeszłości, od której nie sposób było odbiec myślą. Chciała to zrobić, ale nie mogła.

Między słoneczną dalą triumfów i poświęceń dzień wyrzeczenia wyrósł jak próg nie dający się przekroczyć. Miała poczucie człowieka, który budował wieżę aż pod strop nieba, a nagle nieostrożnym ruchem zwałił ją całą. Przegrała swą przeszłość. Przegrała dni chwały, przegrała dni męki. Wyrzekając się stroju męskiego, wyrzekła się symbolu swej misji.

Kiedyś - w porywie nieugaszonego pragnienia - postanowiła rzucić swe życie na szale. Ale gdy ujrzała stos, u którego stóp stał kat z płonąca pochodnią, załamała się. Jej ciało palone nieraz ogniem męki, lecz wolne od płomienia namiętności, ogarnął lęk. Boję się - szeptały usta. Boję się - drżała skóra, jakby ją już dotykał płomień. Boję się, boję się - powtarzała.

Niełatwą jest rzeczą uczynić ofiarę życia. Ale oddanie tego życia - wykonanie ofiary - to rzecz straszna, przed którą buntuje się cała natura. Oddać życie! Czasem sądzymy, że desperacki skok z okna, czy szybko działająca trucizna wyzwolą nas od męki. Naturalnie

ludzimy się, zaś czyn ten jest tylko dla nas narkotykiem, którym zabijamy piekielny strach. Ale świadoma ofiara życia, świadome odejście od radości bytu do nie dającej się pojąć pustki niebytu, świadome wyrzeczenie się egzystencji, to już nie jest szaleństwo, ale heroizm, heroizm tak wysokiej miary, że z żadnym innym porównać go nie sposób.

Dni wlokły się za dniami, rozciągając się w nieskończony łańcuch bólu i męki. Niepewność przyszłości wysysała z niej wszystką siłę. Teraz już nie potrafiłaby spać, choćby ją nawet opuścili plugawi dozorczy, ani też nie potrafiłaby jeść, jak jadła dawniej, bez żarłoczności wprawdzie, ale z żywym apetytem młodości.

Nadchodził koniec. Widziała go w rankach szarych i smutnych, gdy słońce dosięgało przesłoniętego kratą okna jej celi. Słyszała jego kroki w ciągu długich hałaśliwych wieczorów, gdy spici żołnierze rzucali w jej stronę wyzwiska i zaczepki, a ona ich nawet nie słyszała. Nad jej głową zaczynał się rozciągać mrok otępienia. Żadna myśl jej nie radowała, żadna nadzieja nie spoglądała ku niej z szarego tła nadchodzących dni.

Była w niej tylko jedna myśl i jedna tylko nadzieja...

Ale Głosy milczały. Rzec by można, ucichły i odbiegły, wprowadziwszy ją w uliczkę bez wyjścia. Bóg nie mówił w cieniach nocy przez usta swych świętych. Bóg umilkł i skrył się w mroku. Otoczyła ją pustka.

Teraz była sama naprawdę!

Bóg starał się, przeciwnie, trwać przy jej wrogach. Żaden cud nie targnął ich sumieniami. Żaden głos wewnętrzny nie naruszył ich zawziętej woli. Dla nich świeciło co ranka słońce, gdy ona szarpała się w mroku celi. Oni chwalili się, że sam Bóg wydał ją w ich ręce. Że sprawiedliwość i opatrzność Boża kieruje ich czynami...

Była sama na brzegu potępienia...

Tak. Wyjrzały do niej z dna nędzy palone żarem i łamane zimnem cienie. Otoczyły ją zwartym kręgiem. Zaglądały w oczy. Wyciągały ręce i dotykały zuchwale jej ciała.

Zapomniała o wszystkim innym. Lęk perlił się potem na jej czole, a serce waliło rozpaczliwie prędką kołataniną. Słowo „Jezus” marło na jej ustach, choć budziła się co dzień z nim i co dzień z nim zasypiała. „Jezus” szeptały jej usta spalone gorączką. „Jezus” powtarzała czując, że jej skołatany duch do żadnej już modlitwy warg nie przymusi. Powtarzała tylko uporczywie to jedno słowo, jak żebrak wypowiadający monotonnym głosem wezwanie o litość. Jak opuszczona przez męża żona powtarza poszarpanym przez mękę głosem rytmiczne zwrotki różańca...

Powtarzała słowo „Jezus” i mówiła: „Bądź wola Twoja”.

Wołała w pustkę, jak woła: „mamo!” biedne zbłąkane dziecko.

Obok niej piekło dyszało żarem... Jakiś wysoki pół-męski, pół-kobiecy głos wyśpiewywał bez końca: „Potępiona! Potępiona!”

Gdybyż mogła spać i nie myśleć! Lecz snu nie było, a ciężkie myśli obsiadły jej głowę, jak uprzykrzone muchy.

Siliła się, by zamknąć oczy. Zaciskała je słowem „Jezus”.

Aż wreszcie nadszedł pewien dzień... Świt wtargnął do jej celi. Leżała na swym posłaniu bezwładnie, jak ciśnięta szmata. Oczy błędziły obojętnie po szarych kątach izby, po ciałach drzemiących strażników, po cuchnącej słomie, po łańcuchach i nagle padły na leżące jej zwierzchnie ubranie. Nie była to szara zgrzebna suknia, w którą się ubrała po dniu odwołania, ale jej dobrze znany, wytarty i postrzępiony męski ubiór. Sięgnęła ku niemu drżącą dłonią. Sięgnęła, lecz zaraz cofnęła rękę. Obiecała przecież... Jej słowo - to słowo rycerza. Nie na próżno nosiła pas i łańcuch i ostrogi. Zacisnęła zęby wobec pokusy i szukała swego stroju. Lecz szukała go daremnie. Wówczas zawołała na strażników. Ci obudzeni ryknęli urągliwym śmiechem.

- Chybaś pijana, albo szalona. Nigdyś innego odzienia nie miała.

- W portkach chodziłaś, a teraz cię mierzą.

Prawda, że nigdy innego odzienia nie miała. I nie wolno jej było innego mieć. Jakże jasno rozumiała w tej chwili swoje odstępstwo. Lecz dała słowo. Cóż stąd? To nie ona je teraz złamała.

Szybkim ruchem wciągnęła na siebie swój dawny krótki kaftan. Oczy jej płonęły ogniem. Serce biło. Lecz dawne trwogi gdzieś znikły.

Jeden ze strażników podbiegł do drzwi i krzyknął w korytarz:

- Ubrała się!

A więc wszystko było już z góry umówione. Czekali tylko, by ją zdradzić.

Odetchnęła. Najstraszniejszy z pocałunków - pocałunek Judasza - miała już poza sobą. Zahuczał korytarz szybkimi krokami oraz krzykiem. Lecz ona siedziała nieulękła...

...Oto nagle doszedł ją z daleka cichy Głos i dla innych niedosłyszalny, a przecież głuszący wszystkie zewnętrzne dźwięki. Brzmiał w jej sercu wołaniem mocnym i śpiewnym jak sygnał bojowy. Rozparł jej duszę poczuciem triumfu. Zbudził w niej wiarę i postawił ją na nogi. Ożywił starte w męce siły. Podniósł ją z prochu i porwał za sobą. Wołał:

- Idź, córko Boga! Idź!

- Idę - odrzekła równie mocno, choć cicho.

Rynek był otoczony poczwórnym szeregiem żołnierzy angielskich. Kardynał Winchester nie ufał teraz nikomu. Wszak przed kilkoma jeszcze dniami Poton de Xaintrilles podszedł aż pod same mury Rouen i tylko zdrada przewodnika ocaliła miasto przed zuchwałym Gaskończykiem. W Rouen mimo terroru, jaki zaprowadzili Anglicy, padały raz po raz okrzyki wzywające do oswobodzenia Joanny. Ostatni podstęp z podrzuceniem jej męskiej odzieży był szyty zbyt grubymi nićmi, toteż wywołał niezadowolenie nawet w kolegium sędziów. Zresztą Winchester nie wierzył także i temu kolegium. Jeden z otaczających go Anglików rzucił niedawno w twarz Cauchonowi słowo „zdrajca”. Chytrłość biskupa zaczęła niepokoić nawet tych, którzy go postawili na czele trybunału. A nuż zechce ocalić tę czarownicę? Dlaczego przeciąga tak długo przewód? Dlaczego bawi się w tysiące formalności? Powinien był od razu skazać dziewczynę na śmierć. Czyżby chciał coś jeszcze na tym zarobić? - zżymał się kardynał, właściwy władca Anglii i Francji.

Lecz dzień dzisiejszy był jego triumfem. Zasiadłszy na wyściełanych futrami ławach, z zadowoleniem patrzył na stos wznoszący się na środku placu. Dwaj kaci stali na szczycie obok białego tam pała i coś jeszcze poprawiali. Trzeci przybijał na palu napis streszczający winę oskarżonej. Na tablicy tej pisarz sądowy wykaliografował starannie: „Heretique, relapse, apostate, idolatre”. Nad ciszą placu górował dźwięczny stuk młotka. Z dala, z wąskich ulic miasta, dochodził zmieszany gwar głosów.

Nad placem wisiało słońce jak przeźroczysta, pełna połysków zasłona. Daleko od kościołów dolatywał żalospny pojęk dzwonów.

Z przeciwnej strony stosu, na drugiej trybunie, siedzieli sędziowie z Cauchonem w pośrodku. Twarz biskupa z Beauvais była dziś bardziej jakby nabrzmiała niż zwykle. Chwilami nieznacznym ruchem przytykał dłoń do lewej piersi lub wachał mały flakonik ukryty w szerokich rękawach szaty. Czuł się źle. Dręczyły go jakieś myśli.

Gwar głosów rósł i wkrótce ujrzano w wylocie ulicy mały wózek zaprzężony w dwa konie. Otaczali go jezdni i piesi żołnierze, ledwo dający sobie radę z napierającym na wóz tłumem. Ludzie tłocząc się krzyczeli, wyciągali ręce, łkali. Twarze zalane łzami otaczały Joannę ze wszystkich stron.

A ona, stojąc na wysokim wozie, patrzyła z góry na tych ludzi. Czasami pochylała się ku jakiejś bardziej zbolalej twarzy i mówiła szybko jedno czy dwa słowa, zdolne jednak wstrząsnąć tymi, którzy je słyszeli. Nie bała się w tej chwili niczego. I tylko z napiętą uwagą wsłuchiwała się w Głosy, które miały zabrzmieć. Miały zabrzmieć, bo tak jej obiecały, a ona wiedziała, że zawsze dotrzymują słowa.

- Joanno - ktoś głośniej krzyknął z tłumu, a ona od razu poznała cudzoziemski akcent głosu.

W tłumie bielila się głowa Bolesty. Usta mężczyzny drżały, łzy, prawdziwe łzy płynęły po policzkach. Rozepchnął żołnierzy, uchwycił się kurczowo prętów wozu.

- Chciałem cię ocalić! - wołał.

Uśmiechnęła się lekko.

- Mnie Bóg ocalił... - rzekła.

Setka rąk oderwała rycerza od wozu i pchnęła z powrotem pod ścianę domów. Ponad lasem pięści i podniesionych halabard Bolesta widział wciąż jeszcze twarz dziewczyny. Pochyliła się w jego stronę.

- Wracaj do żony, rycerzu - powiedziała.

Potem tłum ich rozdzielił.

Wóz ze skazaną przejechał przed trybunami wśród krzyków tłumu i głośnego zawodzenia kobiet. Joanna śmiało zeskoczyła na ziemię. Długa koszula spływała jej z ramion, a spod niej, gdy szła, ukazywały się bosa stopy. Lecz na widok stosu zadrżała. Usta jej skrzywiły się nagłym skurczem. Pobladała.

- O stosie! - rzekła. - Za chwilę ogień twój pożre to dziewicze ciało, które nie znało męskiego dotknięcia.

Lecz bez oporu weszła po drabince na szczyt. Rozejrzała się. Słońce świeciło jej prosto w twarz, złociste, triumfalne majowe słońce. Znad dachów domów wiatr niósł ku niej zapach kwitnących łąk, brzęk dzwonek owczych, niskie porykiwanie krów, głosy dziecięce. Tam w dole, w czarnym wąwozie uliczek, smród miasta dławił aż piersi, ale tutaj, wysoko, lżej można było odetchnąć. Przymknęła oczy.

Kaci łagodnie przysunęli ją do słupa i poczęli oplątywać sznurem. A ona stała wśród nich posłuszna, cicha, zapatrzona gdzieś w siebie, trzymając w złożonych dłoniach mały krzyżyk.

Kiedy już ruszyć się nie mogła, zwróciła tylko głowę w stronę prawej trybuny i popatrzyła w szare złe oczy Winchestera. Mierzyli się tak chwilę spojrzeniami, aż Joanna rzekła:

- Przebaczam wam...

Potem zwróciła oczy w przeciwnym kierunku i wparła je w zwężone źrenice i wyprane, bezbarwne tęczęwki biskupa z Beauvais. Lecz ten natychmiast spuścił głowę, a ręce poczęły mu drżeć jak w febrze. I znowu powiedziała:

- Przebaczam...

Ludzie schodzili ze stosu. Pozostał na nim jeszcze tylko mnich w kapturze, który coś szybko, urywanymi słowami mówił do Joanny.

Czterech katów z pochodniami w rękach stanęło przy czterech rogach stosu. Piąty, również z pochodnią, stał na drabinie z głową na wysokości kolan Joanny. Jego twarz wyrażała dziwne zmieszanie, tak że co chwila szukał wzrokiem wsparcia w oczach Winchestera.

W pobliskim kościele zaczęły bić dzwony. Rozkołysał się ich dźwięk głęboki, niski, przejmujący. Napełnił plac jakby nowym życiem, które się szarpało w klatce murów.

Joanna otworzyła oczy. Coś jakby uśmiech delikatny, łagodny pojawił się na jej ustach. Bo razem z dźwiękiem dzwonów spływał w jej uszy głos - głos potężny, brzmiący jak chorał triumfalny i radosny, zwycięski i mocarny - głos obietnicy, której z niecierpliwością oczekiwała - głos, którego echo tylko dotychczas słyszała. Głos jedyny, który budzi z martwych i z nicości. Głos Boży.

Kardynał skinął ręką. Chrust ogarnięty płomieniem począł trzeszczeć.

- Zejdź, bracie - rzekła Joanna.

- Jeszcze chwilę...

- Nie, zejdź. Podnieś tylko z dołu krzyż tak wysoko, abym mogła go widzieć.

Mnich zsunął się po drabinie. Płomienie lizały już stos i podnosiły się jak węże z obu stron opartej o słup postaci. Wtedy Winchester zmarszczył brwi i coś wzrokiem rozkazał stojącemu na drabinie katowi. Ten chciał nie posłuchać, ale zabrakło mu odwagi. Szybkim więc ruchem, nie patrząc przed siebie, dotknął pochodnią kraju szaty Joanny. Materia zwinęła się nagle, skrzyta przez błękitny płomień...

Była to ostatnia próba zohydzenia dziewczyny. Sędziowie chcieli ją nie tylko spalić, ale pragnęli też czystość jej zbrukać. Gdy nie pomogły próby w więzieniu, umyślili, aby przynajmniej obnażyć Joannę na oczach tłumu. Niechby oczy pospólstwa dokonały tego, czego nie mogli dokonać pijani żołnierze.

Lecz jakże się zawiedli! Nikt nie śmiał tak długo spojrzeć na stos, dopóki litościwy płomień nie zakrył nagości cierpiącej kobiety. Ludzie stali z oczami wbitymi w ziemię. Żołnierze, znani rozpustnicy i gwałciciele, odwracali twarze. Wstyd zapalił się na policzkach stojących. Wstyd, że są ludźmi...

A sama Joanna nie czuła już zniewagi, którą jej wyrządzono. Tak bardzo była obca w tej chwili ciała, które zaczynał już trawić ogień! Ludzie mogli już zniszczyć tę przepiękną osłonę, kryjącą cud duszy z innego, bardziej słonecznego świata, a nic by w jego wnętrzu nie znaleźli. Bo ono nie należało już do nich.

W pożarze słońca gorzał stos, a rozgrzane powietrze drżało nad rynkiem. Z morza płomieni sterczał ku górze, jak sztandar ginącego w boju oddziału, szczyt osmalonego pala. Ale i on runął wreszcie. Stos topniał szybko i coraz niżej obsuwał się ku ziemi, zamieniając się w kupę popiołu.

A wtem przebiegł zatłoczony rynek jakiś powiew. Wszyscy jednocześnie poczuli, jak się marszczy ich skóra, a niespokojny dreszcz zbiega od korzeni włosów na głowie aż do stóp. Zatrzęsły się serca szarpnięte trwogą. Złamała się złość. Gardła ścisnęły się gwałtownie. Łzy wybuchnęły niepowstrzymaną falą. Zaś wśród szalonego płaczu i jęku, jaki ogarnął plac, słysząc było głos żołnierza, stojącego przy samym stosie.

- Widziałem! Widziałem gołąbkę! Och, czyście nie spalili świętej?!

Popiół i żuźle spadały na bruk ulicy z wysokiego podmurowania stosu.

20.

Pierwsze złote liście plamiły zieleń drzew, kiedy Bolesta znalazł się wreszcie w lasach otaczających Łazanki. Dziwnie się czuł, mijając grube, chropowate pnie, stojące jak słup wzdłuż drogi - te same pnie, które tyle razy oglądał i które znał nieomal jak dzieci wzrosłe pod jego okiem. Nieobca mu była brzoza tam na skrócie, zgięta przy ziemi i jakby padająca, lecz utrzymująca w sposób cudowny utraconą równowagę. Wiedział, że gdy odchyli liście małego, lecz już szeroko w gąszczu rozpartego dębu, znajdzie wielkie mrowisko z kolek i gałęzi zbudowane, ożywione gorączkową bieganiną tysięcy rudych mrówek. A skręciwszy z drogi na prawo, tam zaraz za wielkim wykrotem i obaloną, stoczoną przez robactwo sosną, stanie wobec czarnego jeziora, drzemającego w swej mrocznej głębi i łamiącego dziwne blaski - nikt nie wie, czym zbudzone do życia.

Bolesta jechał wśród drzew, ale choć mocny dech lasu poruszał mu żywiej pierś, miał wrażenie, że tylko śni. We śnie przejeżdżał Francję i kraje cesarstwa. We śnie wędrował szlakiem nieskończonych dróg. Śpiącym kołysał rumak w swym spokojnym, równomiernym stępie.

Bo to był chyba tylko sen - to wszystko, co się dokonało w ciągu ostatniego roku. Widział wciąż siebie jeżdżącego w pośpiechu po Francji, wzywającego rycerzy, by szli ratować tę cudowną kobietę, której miecz i słowo zdolne były dźwignąć kraj do nowego życia. Nikt go nie słuchał, nikt nie wierzył w sukces jakiegokolwiek działania. Więc musiał przyjąć stos, a z nim śmierć dziewczyny. Od popiołów rozsypanych na starym rynku nie

umiano odpędzić tłumów. Ludzie chwyтали je garściami jakby cenną relikwię i unosili do domów. Popędzani przez żołnierzy pachołcy wywozili resztki, których ludzie nie zdążyli zebrać, i wrzucali do rzeki, zaś błękitna toń pochłoneła łakomie to, co przed godziną jeszcze było tętniącym życiem.

Lecz Bolesta nie popiół, ale słowo zabrał ze sobą spod gorejącego stosu. Słowo, które sprawiało, że świat cały wydał mu się snem - snem dziwnym i nieprawdopodobnym. Bo i dlaczego ta kobieta, dla której tyle wysiłków poniósł i pod której wpływem tak wielki wstrząs dokonał się w jego duszy, kazała mu ostatnim swoim słowem wracać do tego, co uważał już za umarłe, nie istniejące i przepadłe? Katarzyna. Myślał o niej już od dawna jak o nieżywej. Zwid żony, tak bardzo niegdyś ukochanej, potem porzuconej i skrzywdzonej, wreszcie opuszczonej z ciemną nocą na powiekach, tkwił w nim, jak bolesny wyrzut sumienia, ale z gatunku tych wyrzutów, które nie dają się z pamięci usunąć. Od czasu spowiedzi w klasztornym krużganku modlił się stale za żonę i za syna, ale ta modlitwa o nic nie prosiła i niczego nie oczekiwała: modlił się w poczuciu swej winy i to uważał za swój święty obowiązek.

Lecz nagle usłyszał słowa mające dla niego moc rozkazu. Początkowo chciał zaprotestować. Nie był przecież cieniem, aby iść w krainę cieniów. Lecz nie było człowieka, który by chciał słuchać jego protestów. Popiół leżący na dnie rzeki nie odpowiada na stawiane pytania. A słowo padło i tkwiło w jego sercu, jak cierń. Mógł je albo usunąć, albo mu ulec. Walczył czas dłuższy, lecz w końcu uległ.

Wracał. Sam nie wiedział, do czego wraca i po co to robi. Wracał w poczuciu, że stanie wobec jakiejś straszliwej i bolesnej zagadki. Serce nie ciągnęło go ku miejscom, ku którym dążył. Przeciwnie - serce drżało z lęku przed czymś, czego nieświadomie dla samego siebie oczekiwał. A bijąc niespokojnie w piersi, zdawało się błagać Boga o litość dla swoich obaw.

Bolesta miał wrażenie, jakby ciężka i groźna dłoń Boża zawisła nad jego życiem. Lękiem i smutkiem napełniała go potęga Bożej woli, zmuszająca go, by szedł ku nieznanym a niepokojącym oddalom. Tyle już dni budził się z poczuciem pustki wokoło siebie, tyle nocy przewracał się samotnie na łożu, nie znajdując miękkiego ramienia kobiety, zdolnego ukoić ból opuszczenia. Wspomnienie Róży piekło go, jak rana. Przelotne miłostki, którymi chciał zagłuszyć lęk samotności, napełniały go goryczą. W kobietach spotykanych nie potrafił odnaleźć tego, czego szukał i co kochał niegdyś w jednej. W niej, w Katarzynie.

Tak to sobie uświadamiał zupełnie wyraźnie. Kochał Katarzynę całą mocą swego spotężniałego w samotności uczucia. Jeżeli odszedł od niej, to nie dlatego, aby ta wielka

miłość uległa nagłej zagładzie, ale dlatego, że przyszedł ktoś i w skiby, z których strzelał ku górze kłos miłości, wcisnął nasienie kłokolu. Nie umiał znieść jej oddalenia, wywołanego przez jej arbitralny charakter. Zamiast zniżyć się do pokory i pełnej oddania miłości, buntował się na każdym kroku. Miłość trudno przerodzić w obojętność - naturalnie prawdziwą miłość. Jeżeli się natomiast z miłością walczy, wyrasta na jej miejscu nienawiść. Czy jest jednak ona czymś prawdziwym? Czy nie jest to raczej tylko zamaskowana forma miłości, zdolna zmienić się znowu w gorące uczucie?

Bolesta gotów był uśmiechnąć się lekceważąco. Więc ma może uwierzyć, że jego miłość zmartwychwstanie? Jest właściwie starym człowiekiem. Katarzyna - jeżeli żyje, nie jest także młoda. Między ich ostatnim widzeniem minęły lata. Między czasami, gdy się jeszcze wzajemnie kochali, upłynęło tyle dni, że trudno by mu było przypomnieć sobie, jak wyglądał poprzednio jego stosunek.

Ale... Bolesta lękał się jednak lekceważącego uśmiechu. Lękał się go, myśląc o swoim życiu.

Bo ponad tym życiem był Bóg. Rycerz czuł wokół siebie pełną mocy obecność. Potężna wola stała nad jego wolą, a choć jej nie kruszyła taranem swej przewagi niedostrzegalnie, tysiącem nie dających się zauważyć niemal dotknięć prowadziła ją ku pewnym drogom i ku pewnym kierunkom. Nie wtłaczała jej w określony z góry szlak, lecz Bolesta czuł, że każda droga, jaką by tylko sobie wybrał, zaprowadzi go do tych samych przemądrze wybranych przystani. Jemu wydawać się mogło, że idzie w kierunku przez siebie tylko wybranym. Było to złudzenie. Linie dróg zaginały się gdzieś w przestrzeni, jakby dążąc ku wspólnemu ośrodkowi wszelkiego ruchu, ku źródłu mocy tak potężnej, że wiedzie do niego i błąd, i prawda.

Bóg jest - to stwierdzenie wciąż mu stało przed oczami. Odkąd ujrzał cud życia Joanny, nie mógł i nie śmiał podać tej prawdy w jakąkolwiek wątpliwość. Napelniała go ona trwogą; bo i czegoż mógł poza karą oczekiwać od Władcy wszechświata - on, grzeszny i tyłu błędami skalany człowiek?

I coraz trwoźniej biło serce Bolesty, w miarę jak mijał dobrze sobie znane drzewa zagajnika, kopce przydrożne... Koń dążył naprzód, nie dzieląc niepokoju swego pana. Dla ciężkiego normandzkiego żrebca było rzeczą obojętną, gdzie dąży - byleby tylko mógł znaleźć na końcu swej drogi spokojną stajnię i pełny żłób.

Zobaczył idącą brzegiem drogi dziewczynkę. Jasne włosy związane były w dwa warkocze, spadające z tyłu na plecy. W ręku niosła jakieś zawiniątko. Kiedy się zrównali, zapytał:

- Może idziecie do Łazanek?

Spojrzała ku niemu ciekawie. Widać zdziwił ją nie polski ubiór Bolesty i nie polski rzą� na jego koniu. Ale w jej oczach nie było lęku - patrzyła z nich śmiałość i hardość, spleciona z wielką dziecinną jeszcze ufnością do ludzi.

- Do domu idę - odparła. - Do Łazanek. A wy?

Teraz Bolesta przytrzymał idącego szerokim stępem konia.

- Powiedzcie mi, proszę, kto teraz gospodarzy we dworze? Długo mnie w kraju nie było, ale wiem, że poprzednio panią tu była Katarzyna, córka Piotra, a żona Bolesty z Naporów.

Dziewczynka kiwnęła potakująco głową.

- Jak gospodarzyła, także i gospodarzy - rzekła.

- Wyście jej może jaka krewniaczka?

Zapytana wybuchnęła perlistym śmiechem.

- Jestem jej córką!

Coś jakby rozpaczliwy cios miecza przeszył Bolestę od wewnątrz, a nagły pot wystąpił mu na czoło. Zacisnął zęby aż do bólu, wparł się palcami w łęk siodła. Miał ochotę wyć jak zranione zwierzę.

A więc zbliżało się straszliwe doświadczenie. Bóg nie miał go widać zamiaru oszczędzać. I to teraz właśnie, kiedy uświadomił sobie, że Katarzyny nigdy nie przestał kochać, spada nań jak grom wiadomość, iż ona wyszła za mąż za innego. Nie czekała na jego powrót. Przez tyle lat nie był o nią zazdrosny, aż wreszcie dziś zrozumiał, jak strasznym jest ciosem strata żony. Na samą myśl o istnieniu człowieka, który się ośmielił zająć jego miejsce, czuł, jak rozpacz i wściekłość podnoszą mu włosy na głowie. Był w tej chwili zazdrosny nie tylko o każdą zaznaną od swej żony łaskę, lecz także o każdą krzywdę, którą mu kiedykolwiek wyrządziła. Miał poczucie, że ktoś go okradł z kilku lat życia - z życia, na które może nieraz miał powody narzekać, ale które w chwili obecnej wydawało mu się drogie i niczym nie zastąpione. Fala gniewu pozbawiła go jasności myślenia i wydarła z pamięci wspomnienie wszystkich grzechów, które on przeciwko wierze małżeńskiej poczynił. Wszystko, co nie dotyczyło Katarzyny, wydawało mu się rzeczą mało ważną i pozbawioną znaczenia.

Przez chwilę miał zamiar zawrócić konia z powrotem. Ale gniew przeważył nad oburzeniem. Postanowił pokazać niestałej żonie, że on jednak żyje, a tym samym ma lepsze i pełniejsze prawa do niej od tego innego, który się wkradł do jego domu, korzystając z jego nieobecności.

Pchnął konia do stępa. A przez zaciśnięte zęby rzucił pytanie w stronę idącej równolegle z nim dziewczyny:

- Jak się nazywasz?

- Hanka... - odparła.

Poczuł jeszcze gwałtowniejszy ból, więc tylko zwarł mocniej szczęki, a podniósłszy twarz ku górze, począł mówić w duchu szybko i rozpaczliwie:

- Boże, przecież Ci zaufałem... Wierzyłem, że jak odejdę od swoich grzechów, to wtedy mnie wspomóżesz. Aleś Ty mnie rzucił w jeszcze głębszą otchłań cierpienia. Dlaczego? Powiedz sam, dlaczego? Zwodził mnie szatan, a zwiódłszy naigrawał się ze mnie. To jego prawo. Ale Ciebie zowią wcielonym miłosierdziem. Księża wołają, by Ci ufać, bo taki podobno rozkaz zostawiłeś ludziom. Więc dlaczego nas zwodzisz? Czart wykonał wszystko, co obiecał. Postępował po diabelsku, ale słowa nie złamał. Tyś natomiast kazał nam ufać i wierzyć. I czym Ci nie zawierzył i nie zaufał, gdym odbiegł od wszystkich, by stanąć przy tej, która w Twoje Imię odnosiła zwycięstwa? Wiesz przecież sam, iż spalono ją niesłusznie, bo była Twoją najwierniejszą służką. A to ona kazała mi wrócić tutaj... Czy tylko po to, bym jeszcze więcej cierpiał... jakby życie moje nie było już jedną otchłanią wszelakiej męki i upadku?

Dziewczynka o coś się go spytała, ale on jej słów nie słyszał. Jechał zatopiony w gorzkich rozmyślaniach.

- Joanno - pytał w duchu - po coś kazała mi wracać?

Posłyszał szczekanie psów i zrozumiał, że stoi przed bramą dworca. Stara pamiętna brama! Stawiał ją jeszcze jego ojciec, gdy odbudowywał dwór spalony przez Litwinów.

Wjechał do wnętrza. Dziewczynka szła wciąż obok jego konia, gwizdząc sobie wesoło. Widać nie przejęła się wcale jego mrukliwością.

Przed domem zeskoczył z konia, rzucając wodze w ręce nadbiegających pacholków. Ktoś stał na progu, jakby czekając na jego przybycie. Zadrżał. Zobaczył Katarzynę.

Stali na wprost siebie w milczeniu czas dłuższy. Pierwsza kobieta podniosła rękę i rzekła:

- Nareszcie wróciłeś!

Przebiegł go dreszcz.

- W jaki sposób poznałaś, że to ja?

- Widzę cię. Bóg zwrócił mi wzrok.

Poczuł, że siły go opuszczają. Nogi zadrżały pod nim tak, że prawie osunął się na kolana. Lecz nagle poderwał go gniew.

- Więc dlatego wyszłaś, nie czekając na mój powrót, za męża i doczekałaś się dzieci?
- Nie wyszłam za męża, Bolesto. To przecież twoja córka.
- Moja córka?!

Stali przed sobą bladzi ze wzruszenia. To nic, że wiatr rozwiewał białe jak śnieg włosy mężczyzny, a spod czepca kobiety wyciągał pasma jej włosów, przyprószone także gęsto siwizną. Nie czuli się w tej chwili starzy. Nowe siły pulsowały falą krwi w ich żyłach. Żyli - żyli naprawdę. Dla tej jednej chwili warto było cierpieć przez tyle lat. Dla tej jednej chwili, która zmienia serca i odnawia uczucia człowieka, warto było krwawić się na długich gościńcach życia. Jak krótka wydawała im się dzisiaj przeszłość. Cóż znaczą te dni, miesiące, lata walki, jeżeli nadejdzie moment, w którym nie ma już zatargów i nieporozumień, ale dwa strumienie uczuć zlewają się w jeden, pełen harmonii i mocy.

- Moja córka - powtórzył jak przez sen.

I w tej chwili myśl jego pobiegła do tej ostatniej nocy przed rozstaniem. Do nocy, która go omal że nie powstrzymała na drodze odejścia. Do nocy przepięknej, jedynej w ich życiu. Do nocy porywów i do nocy zjednoczenia. Do nocy, w której cieniach burza zmysłów miała prawo się rozszać. Do nocy płodnej w skutki i w nowe życie, które miało z niej porankiem wyrosnąć.

Nie. - Bóg nie stoi nad nami jak groźny cień, zaciemniający nasze życie. Jest wszędzie. Spływa ku nam w blasku słońca i schodzi tajemniczo na drżących pajęczynach księżycowego blasku. Jest i w męce dziewiczej ofiary i w radości małżeńskiego uścisku. Wyrasta kwieciami szczęścia, ufności i poświęcenia. Nie dopuszcza, aby nas dotknęła jakakolwiek szkoda. Jeżeli razi nas, to dlatego, aby potem każdą boleść zamienić w ustawiczną, natchnioną radość. Pochyliła się nad nami najmiłościwszym pochyleniem matczynym, bierze nas w ramiona, by nas ustrzec. Daje nam swoją miłość - miłość, z którą nic się nie może równać - miłość nieskończonych poświęceń dla nieskończonych radości.

Pod Bolestą ugięły się nagle kolana. A gdy ująwszy w palce delikatnie kraj szaty żony przycisnął go z miłością do ust, przez myśl jego przebiegło wołanie gwałtowne, gorące:

- Joanno!

Słońce powoli zapadało za wierzchołki drzew. Od zagród dochodziło porykiwanie krów, bek owiec, szczebanie psów. Żuraw studzienny skrzypiał jak dawniej. Hanka klepała po szyi konia Bolesty. Stawy rozdzwięczały się kumkaniem żab.

Lublin-Warszawa,

listopad 1937 - marzec 1939 r.